



**ALISTAIR
MACLEAN
SAM
LLEWELLYN**

ALL FOUR BOOKS FOR THE
FIRST TIME IN ONE VOLUME!

**THE COMPLETE
NAVARONE**

‘COMPULSIVELY EXCITING’

Daily Telegraph

MACLEAN ALISTAIR

Stracency z Nawarony

ALISTAIR MACLEAN

Sam Llewellyn

Z angielskiego przełożył Paweł Korombel

Tytuł oryginału **STORM FORCE FROM NAYARONE**

Prolog Marzec 1944 r.

–Kontakt – zgłosił operator radaru. – Cholerny potrójny kontakt. Jezu!

Liberator położył się na skrzydło, zarzucił ciężko ogonem, tnąc szkwałowe chmury, których pasma zalegały nad Atlantykiem ku Cabo Ortegale, wyznaczającemu górny lewy róg Hiszpanii.

–Wyrażaj się – łagodnie napomniał radarzystę pilot. – Bombardier?

–Gotów – odparł bombardier, usadowiony głębiej w dziobie.

Dłonie pilota w skórzanych rękawicach dotknęły manetek gazu. Buczenie czterech silników firmy Rolls-Royce urosło do ryku, od którego zagrzechotały szczęki załogi. Pilot pchnął orczyk. Zatrzeszczały płyty poszycia. Liberator zanurkował w chmury.

Opary, gęste i szare jak ze spalanego węgla, rozbijały się o plastikowe okno stanowiska bombardiera. Na wysokości pięciuset stóp zaczęły się rwać. Poniżej był ocean, szary, zasłany koronką piany.

Bombardierowi zaschło w ustach. Sam widok tej rozkołysanej płachty wystarczał, żeby się porzygać. Ale było tam coś jeszcze: szerokie, gładkie pasmo na załamujących się górach wody, jak po jakimś gigantycznym żelazku...

–Widzisz już? – spytał pilot.

Bicie serca bombardiera zagłuszało nawet trzaski interkomu i ryk silników.

–Widzę.

Na końcu równej jak stół wstęgi trzy długie, niskie kadłuby rozdzierały powierzchnię oceanu, zostawiając szewrony piany. Wąskie, szare, z opływowymi kioskami. Wąskie, szare łatwe cele.

–Są cholernie olbrzymie – zauważył radarzysta, zerkając zza ramienia dowódcy. – Co to jest, do diabła?

To były okręty podwodne, ale dwa razy większe niż wszystkie brytyjskie lub niemieckie jednostki, jakie pilot oglądał w trakcie czterech lat służby nad tymi niespokojnymi wodami – czterech lat, podczas których stał się ekspertem od okrętów podwodnych. Naprawdę były cholernie olbrzymie.

Pilot zmarszczył brwi, wpatrując się w spiętrzone pianą kilwatery. Oczywiście, trudno było dokładnie ocenić, ale wyglądało na to, że te jednostki wyciągają co najmniej trzydzieści pięć węzłów. Jeśli to ich – pomyślał – to mogą naprawdę wyrządzić szkodę. Oby były nasze...

Rozżarzone czerwone kule leniwie oderwały się od kiosków i przemknęły obok czaszy kokpitu.

–Ich – powiedział pilot, kładąc samolot w ciasny skręt. Pociski wskaźnikowe odarły jego głos z łagodności. – Podchodzimy do celu.

Teraz cała chmara smugaczy przewalała się wokół kokpitu liberatora, zmieszana z czarnymi rozpryskami cięższej artylerii przeciwlotniczej. Samolot podskoczył, nity zajęczały na rozprężonym niebie. Bombardier starał się nie myśleć o swoim niechronionym podbrzuszu, starał się nie zwracać uwagi na przypominający zgniłe jaja smród wybuchających pocisków i na jazgotanie browningów przedniego strzelca nad głową. Do spuszczenia bomb pozostało co najmniej dwie mile; przy szybkości stu dwudziestu węzłów – trzydzieści nie kończących się sekund.

–Dziwne – powiedział pilot. – Czemu się nie zanurzają? Bombardier skupił wzrok na przyrządach celowniczych.

–Drzwi bombowe otwarte – zgłosił. Poczował nowe drżenie kadłuba, gdy zakłócony został opływ powietrza. Celownik wypełnił się szarym, pomarszczonym oceanem. Okręty podwodne utrzymywały formację w kształcie litery V; szły wzdłuż drabinki celownika ku punktowi zwolnienia bomb, niewinne jak pstrągi w strumieniu, gdyby nie leniwe czerwone baloniki smugaczy.

Bombardier zmarszczył czoło, wcisnął oczodół w okular celownika. Coś było nie w porządku ze środkowym okrętem. Pokład przed kioskiem był wykręcony i skrzywiony. Chryste -pomyślał bombardier – ktoś go staranował. Prawie przeciął na pół. Dlatego się nie zanurza. Jest uszkodzony...

Coś z metalicznym hukiem wybuchło po lewej stronie bombardiera. Nagle lodowate powietrze z wyciem owiało kark bombardiera. Maleńkie okręty podwodne w celowniku zdryfowały w prawo.

–Trochę w prawo – powiedział spokojnie, zagłuszając łomot swojego serca. – Trochę w prawo. – Trzy szare ryby wróciły na znaczniki celownika. – Tak trzymać.

Kciuk dłoni w skórzanej rękawicy znalazł przełącznik. Nawąła pocisków wskaźnikowych była teraz koszmarna, gęsta jak śnieżna burza. Bombardier skoncentrował się na Pearlu z kantyny, myśląc z nadzieją, że tym razem nie usmaży jajek na beton, jak to mu się wczoraj udało...

–Tak trzymać – powtórzył. Szary trójkąt był o pół cala od punktu zwolnienia bomb. – Dochodzimy, dochodzimy...

Gigantyczny młot walnął w kadłub gdzieś za jego plecami. Poczuł straszliwy ból w lewej nodze. Trafił – pomyślał. Trafił nas, skurwiel. Dłoń bombardiera zacisnęła się na przełączniku. Poczuł, jak samolot uwolniony od ciężaru bomb poderwał się w górę.

Za wcześnie – pomyślał.

Potem myślenie urwało mu się całkowicie, bo dym spowił całą twarz, głowę przeszył rozdzierający ból nogi złamanej w czterech miejscach i ktoś wył jak pies, a gdy szare chmury złapały w szare łapy liberatora, bombardier zdał sobie sprawę, że to nikt inny, lecz on sam robi ten cały raban.

Dziesięć minut później radarzysta skończył opatrunek. Wyrzucił fiolkę po morfinie przez najbliższe rozdarcie kadłuba. Pomyślał, że bombardier wygląda fatalnie, ale cóż, otwarte złamanie jeszcze nikomu nie okrasiało ust uśmiechem. Dla pocieszenia uniósł kciuk i wymamrotał:

–Dopadliśmy jednego!

Przez różowe chmury morfiny bombardier zauważył ruch ust kolegi i usiłował okazać zaniepokojenie.

–Trafiliśmy jednego – powtórzył radarzysta. – Widziałem dym. Jeden już był uszkodzony, wyglądał tak, jakby go ktoś staranował. I trafiliśmy przynajmniej jednego.

Ale oczywiście mógł sobie gadać zdrów, bo przy pracujących silnikach i pieprzonej kolosalnej wyrwie w kadłubie nie słyszało się niczego, a poza tym bombardier zasnął.

Tylko że te U-Booty były cholernie wielkie – pomyślał operator. W życiu takich nie widziałem. Nie takich wielkich. Nie takich szybkich.

Liberator, bucząc, poleciał na północny zachód, przez Zatokę Biskajską, nad pofałdowaną wycieraczką chmur, w kierunku bazy Dowództwa Wybrzeża w St Just. Tam załogę, podenerwowaną rozmyślaniami o twardości jajek w kantynie, poddano drobiazgowemu wydobywaniu informacji.

Niedziela Godz. 10.00-19.00

Andrea wlepił wzrok w Jensena. Oblicze potężnego Greka ściągnęła groza.

–Powtórz – sapnął.

–Jest zadanie – oświadczył po raz drugi kapitan Jensen. Stał w promieniach włoskiego słońca, odbijającego się od ostrych białych zębów i złotego paska na otoku czapki. – Tak naprawdę chodzi tylko o małe zadanko. I pomyślałem sobie, że skoro i tak już tu jesteście...

Jak zawsze Jensen był obrzydliwie wymuskany. Stał wyprężony, czujny, w lśniącej białej mundurze, a jego ocienione brodą oblicze tchnęło niewinnością, jeśli można mówić o tchnącej niewinnością gębie pirata. Wygląd trzech mężczyzn w fotelach był zaprzeczeniem jakiegokolwiek wymuskania. Twarze wyczerpane, zapadnięte, zgarbieni tak, jakby zrzucono ich w te plusze bez spadochronu. Wszystko, czego nie zasłaniały mundury, pokrywały plastry opatrunków i plamy jodiny. Wyglądali jak ludzie, którzy cudem uniknęli śmierci.

Ale wygląd tej trójki nie mógł zmylić Jensena.

Zebranie jej kosztowało go wiele wysiłku. Był w niej Mallory, przed wojną wspinacz sławny na cały świat z racji wyczynów w Himalajach, zdobywca większości dziewiczych szczytów w Alpach Południowych rodzimej Nowej Zelandii.

Spędził osiemnaście miesięcy za liniami nieprzyjacielskimi z mężczyzną siedzącym obok – Andrea. Potężny Andrea, silny jak stado byków, cichy jak cień, pułkownik armii greckiej i jeden z najbardziej skutecznych żołnierzy nieregularnych formacji, jeśli chodzi o poczęstowanie sztyletem wartowników wroga. A oprócz nich był tam kapral Dusty Miller z Chicago, członek Sił Pustynnych Dalekiego Zasięgu; były dezertor, poszukiwacz złota i bimbrownik. Cokolwiek istniało, Miller potrafił to obrócić w kupę żelastwa. Geniusz Millera w dziedzinie sabotażu dorównywał tylko jego geniuszowi niesubordynacji.

Ale Jensen oceniał żołnierzy wedle ich przydatności do służby, a nie kantów na mundurze. W oczach Jensena ci ludzie byli bardzo, ale to bardzo przydatni.

Błysk tych krwiożerczych zębisk piekł oczy Andrei. Nie trzeba wiele, by zapiekły oczy komuś, kto nie spał przez większą część ostatnich dwóch tygodni.

–Małe zadanko... – powtórzył Mallory. Jego twarz była wymizerowana i spuchnięta. Według wojskowych standardów bardzo przydałoby mu się golenie. Podobnie Andrei. – Zdradzi nam pan jakieś detale?

Uśmiech powiększył się.

–Myślałem, że możecie mieć pewne kłopoty z przyswajaniem faktów.

Kapral Dusty Miller przyjął był w skórzanym staromodnym fotelu prawie horyzontalną pozycję i z ciekawością znacznie przekraczającą zainteresowanie antykiem studiował nagie postaci na freskach zdobiących sufit willi, którą Jensen zagarnął na kwaterę główną. Teraz się odezwał:

–Wcześniej nigdy to panu nie przeszkadzało. Krzaczaste brwi Jensena uniosły się o milimetr. To nie był ton, do jakiego kapitanowie Marynarki Królewskiej przywykli w rozmowach ze zwyczajnymi kapralami.

Ale Dusty Miller nie był zwyczajnym kapralem, podobnie jak kapitan Mallory nie był zwyczajnym kapitanem ani, skoro już o tym mowa, Andrea nie był zwyczajnym bojownikiem greckiego ruchu oporu. Właśnie ta niezwykłość sprawiała, że

Jensen zwracał się do nich z wyraźnym szacunkiem; takim samym, z jakim traktuje się śmiercionośną broń, którą zamierza się wyrzucić szkodę nieprzyjacielowi.

W tym pokoju pełnym żołnierzy nie będących zwyczajnymi żołnierzami Jensen również nie był zwyczajnym kapitanem marynarki wojennej. Jako osiemnastoletni porucznik dowodził z powodzeniem statkiem pułapką – okrętem wojennym udającym jednostkę handlową, a przeznaczonym do walki z okrętami podwodnymi – i zatopił osiem U-Bootów w ostatnim roku pierwszej wojny światowej. Pomiędzy wojnami był, szczerze mówiąc, szpiegiem. Dowodził powstaniem szyitów w Iraku, rozpracował spisek grożący zablokowaniem Kanału Sueskiego i jako kartograf zatrudniony przez Cesarską Marynarkę Wojenną Japonii zmapował zestaw szokująco, ale celowo niedokładnych map morza Sulu. Teraz, w piątym roku drugiej wojny światowej, był szefem wydziału operacyjnego Ekspozytury Operacji Dywersyjnych, jednostki do zadań specjalnych, podporządkowanej wywiadowi brytyjskiemu. Mówiło się, że zwycięstwo aliantów pod El Alamein to częściowo sprawa podłożenia w bazach paliwowych wroga pasty z węgla krzemowego w miejsce smarów. A w ostatnich miesiącach z powodzeniem zaplanował zniszczenie niedosiężnej baterii dział na Nawaronie i dywersyjny rajd w Jugosławii, który doprowadził do zniszczenia Linii Gustawa i przełamania frontu na przyczółku w Anzio.

Ale Jensen był tylko planistą. Ci trzej mężczyźni – Nowozelandczyk Mallory, uparty wspinacz, twardy jak nóż komandosa;

Amerikanin Dusty Miller, Einstein wśród sabotażystów, i Andrea, dwustuosiemdziesięciofuntowa góra mięśni o kocim kroku i sile niedźwiedzia – byli bronią, której używał.

Jeśli istniał na świecie bardziej zabójczy oręż, Jensenowi nie udało się go wysledzić. A śledztwa Jensena wręcz słynęły z dociekliwości.

–Hm... – rzekł. – Czy któryś z was, panowie, zna francuski?

Mallory zmarszczył brwi.

–Niemiecki – powiedział. – Grecki. Andrea ziewnął i zasłonił usta gigantyczną obandażowaną

ręką, otartą, gdy wisiał na żelaznej drabince pod upustami wody, kiedy runęła zaporą Zenica.

–Ja – zgłosił się Dusty Miller.

–Płynnie?

–Kiedyś miałem robotę w Montrealu – rzekł Miller. Jego oczy były błękitne, niewinne. – Portier burdelu.

–Dziękuję wam, kapralu.

–In'y a pas de quoi – odparł Miller z kurtuazją mieszkańca Starego Świata.

–Znaleźliśmy wam tłumaczy – powiedział Jensen. Mallory westchnął w duchu. Znał Jensena. Kiedy Jensen widział cię w załodze, wchodziłeś do załogi i jedyne, co pozostawało, to sprawdzić, gdzie upchnięto kamizelki ratunkowe, i przygotować się do rejsu. Zapytał:

–Jeśli mogę wiedzieć, kapitanie, dlaczego musimy mówić po francusku?

Uśmiech Jensena wystraszyłby zgłodniałego rekina. Przeszedł po brązowym dywanie do wielkiego biurka z połączanego brązu, na którym stały tylko dwa telefony – czerwony i czarny.

–Chcę, byście poznali pewnych ludzi – oświadczył. Sięgnął po słuchawkę czarnego aparatu. – Sierżancie, przyslijcie do mnie panów z poczekalni.

Mallory wpatrywał się w ślimacznicę na marmurowej kolumnie. Samoloty buczały wysoko. Dostarczały powietrznego wsparcia oddziałom napierającym na pomoc po przekroczeniu Linii Gustawa. Zapalił kolejnego papierosa, chociaż w ustach nadal czuł gorzki smak poprzedniego. Miał ochotę zasnąć na tydzień. Niech będzie miesiąc...

Otworzyły się drzwi i weszło dwóch mężczyzn. Jednym z nich był wysoki major z wąsami gwardzisty. Drugi niższy, tęższy, z karkiem wołu. Miał trzy gwiazdki na epoletach.

–Major Dyas. Wywiad – przedstawił ich Jensen. – I kapitan Killigrew. SAS.

Major Dyas skinął głową. Kapitan Killigrew po kolei zmierzył wszystkich badawczym spojrzeniem. Twarz miał spaloną słońcem i było w niej coś. Mallory uznał, że to gniew. Odpowiedział na salut kapitana. Andrea, będąc zagranicznikiem,

poprzestał na skinieniu głową. Dusty Miller pozostał w pozycji horyzontalnej i zareagował na wojskowe pozdrowienie kapitana Killigrew łypnięciem oka i machnięciem kościstej ręki.

Killigrew przełknął ślinę jak żaba. Lodowato błękitne oczy Jensena przebiegły od jednego mężczyzny do drugiego. Odezwał się szybko:

–Zechce pan usiąść, kapitanie. Majorze, słuchamy pana. Killigrew opuścił się sztywno na krzesło i nie dotykając plecami oparcia, przyjął pozycję, jakby kij połknął.

–Taaa – powiedział Dyas. – Możecie palić. Mallory i Miller już palili. Dyas przeciągnął dłońią po wysokim czole intelektualisty. Mógłby być lekarzem lub profesorem filozofii.

–Major Dyas był tak uprzejmy – wyjaśnił Jensen – że zgodził się zrobić wam odprawę w sprawie tego... małego zadanka.

Mallory wygodnie rozparł się w fotelu. Nadal czuł zmęczenie, ale wkrótce pojawi się coś, co będzie ważniejsze niż zmęczenie. To coś pamiętane z szalasów w Alpach Południowych po morderczym podejściu, dwugodzinnym śnie i przebudzeniu w lodowatych ciemnościach przedświtu. Wkrótce nie będzie innej drogi, tylko w górę i w górę. Wspinaczka i walka;

zaplanuj, zagryź zęby, zrób swoje lub zgiń. Jedno było podobne do drugiego.

–Więc tak – odezwał się Dyas. – Rzecz pierwsza. To, czego się zaraz dowiecie, jest wiadome tylko siedmiu ludziom na świecie. Teraz, z wami, dziesięciu. Inni znają kawałki, wycinki, ale liczy się naprawdę... całość. – Przerwał, by nabić szerniąłą fajkę, i trzasnął dużą, wysłużoną zapalniczką. – Lipiec zapowiada się na ważny miesiąc tej wojny – oświadczył zza kłębow dymu. – Zapewne najważniejszy z dotychczasowych.

Powieki Millera rozchyliły się. Andrea skłonił się w przód i oparł potężne przedramiona na zabrudzonych nogawkach spodni.

–Zamierzamy zaryzykować pewną hazardową rozgrywkę -ciągnął Dyas. – Bardzo hazardową. I chcemy, żebyście zwiększyli nasze szanse.

–Chcecie ustawić grę? Zaufajcie kapitanowi Jensenowi -wycedził Miller.

–Pan wybaczy...? – powiedział Dyas.

–Kapral pragnął wyrazić swój entuzjazm – szybko wkroczył Mallory.

–Ach tak.

Kolejny kłęb dymu.

Mallory poczuł w żołądku skurcz podniecenia.

–Ta hazardowa rozgrywka... Chodzi o jakiś nowy front?

–Powiedzmy – rzekł wymijająco Dyas. – Musimy mieć całkowitą kontrolę nad morzami. Jesteśmy dobrzy w powietrzu, jesteśmy znakomici na powierzchni. Ale jest też pewien szkopuł.

Twarz kapitana Killigrew pociemniała. Wygląda tak, jakby go miała krew zalać – pomyślał Mallory. Ciekawe, co on ma z tym wspólnego.

–Okręty podwodne, U-Booty. Ludzie obsługujący radary jednostek powietrznych, asdic i najczulszy nasłuch radiowy byli przekonani, że są załatwione. – Kolejny kłęb dymu. – Wszyscy byliśmy o tym przekonani. Aż kilka miesięcy temu błogie przekonanie poszło w diabły. W marcu mieliśmy trochę nieprzyjemności z atlantyckimi konwojami i z eskortami. Rzecz sprowadza się do tego, że okręty zaczęły tonąć w liczbach nie spotykanych od dwóch lat. – Profesorska twarz była ponura, zacięta. – pojawiło się coś niewytłumaczalnego. Masz serię eksplozji w promieniu, powiedzmy, stu mil, i myślisz to, co zawsze. U-Booty atakujące razem, wilcze stado. Ale wilcze stado nie wchodziło w grę, bo nie było łączności radiowej, a zatopione okręty były zbyt rozrzucone. Więc pomyślano, że to może miny Ale to też nie wyglądało na miny, bo pod koniec marca HMS "Frantic", niszczyciel z eskorty konwoju, w którym nastąpiły wcześniej dwa zatonięcia, odebrał echo siedemset mil od Cape Finisterre i udał się w pościg, ale zgubił to echo. – Z powrotem zajął się fajką.

–Nic w tym niezwykłego – osądził Mallory. Dyas skinął dobrotliwie głową.

–Poza tym, że niszczyciel poszedł pełną mocą, a okręt podwodny po prostu oderwał się od niego.

–Co proszę...? – wtrącił się Miller.

–Niszczyciel szedł pełną mocą, z szybkością trzydziestu pięciu węzłów – powiedział Dyas. – U-Boot łatwo wyciągał pięć węzłów więcej.

–Czemu ten gość częstuje nas tym wszystkim? – zapytał Miller.

–Sądzę, że kapral Miller chciałby zapoznać się z implikacjami tych faktów – rzekł

Mallory.

–Pan wybaczy, majorze Dyas – zabrał głos Jensen. Na twarzy miał wyraz wymuszonej cierpliwości. – Dla waszej informacji:

U-Booty muszą spędzać większość czasu na powierzchni, wykorzystują diesle do pokonania długich dystansów i załadowania akumulatorów. Ich maksymalna prędkość w zanurzeniu to jak dotychczas mniej niż dziesięć węzłów i nie potrafią utrzymać jej długo ze względu na ograniczenia akumulatorów. – Jego twarz była zimna i ponura, głębokie zmarszczki wyglądały jak wryte w kamieniu. – Więc czeka nas coś takiego: kanał La Manche wypełniony największą flotą, jaką kiedykolwiek udało się zebrać w historii, a te U-Booty – wielkie U-Booty, każdy niosący setkę torped... na Boga, są na to dość duże – walą z prędkością czterdziestu węzłów pod wodą. To może oznaczać zatonięcie trzystu okrętów i stratę Bóg wie ilu żołnierzy.

–Więc odebraliście jedno szybkie echo – powiedział Miller. – To jeszcze nie powód do bicia na alarm. Jak szybko pływają wieloryby?

–Postaraj się trzymać uszy otwarte, a gębę zamkniętą -warknął Jensen.

Dopiero wtedy Mallory dostrzegł napięcie, jakiemu poddany był Jensen. Człowiek, którego Mallory znał, był rozluźniony, zimnokrwisty jak oficer wachtowy marynarki. Pirat – tak, agresywny – tak. To cechy prawdziwego zawodowca. Ale zawsze spokojny. Mallory nigdy, od chwili poznania, nie widział, by Jensen stracił nad sobą panowanie – nawet w obecności Dusty'ego Millera, który nie przepadał za oficerami.

Mallory skrzyżował wzrok z Millerem i zmarszczył brwi. Ten inny Jensen, który mu się teraz ukazał, balansował na krawędzi noża ostrego jak brzytwa. Więc powiedział:

–Kapral Miller ma tu rację, kapitanie.

–Wieloryby – podjął Dyas. – Prawdę powiedziawszy, po[^], śleliśmy o nich. Ale... no cóż, dodało się dwa do dwóch Łagodny głos odbijał się od fresków sufitu i działał jak balsam' na stargane nerwy. – Inna jednostka eskorty zgłosiła staranowanie dużego okrętu podwodnego

Potem postrzelono B-24, gdy bombardował dwa U-Booty eskortujące trzeciego, który wyglądał na staranowany

. To były wielkie okręty, wyciągały trzydzieści węzłów na powierzchni. B-24 zgłosił ich uszkodzenie. Ale kiedy wysłaliśmy na poszukiwania więcej samolotów, wróciły z niczym. Ztwierdzono, że nie mogły się zanurzyć, więc uznano je za zatopione. Potem przechwycono wiadomość – nieważne jaką, nieważne gdzie, ale uwierzcie mi na słowo, to była wiarygodna wiadomość mówiąca, że wilcze stado uzupełnia wyposażenie po uszkodzeniach, wyrządzonych działaniami wroga. Rzeczony uzupełnianie

ma być zakończone w południe, w środę, drugiego tygodnia maja. ° Była niedziela – ostatni dzień pierwszego tygodnia maja Malowane kopuły sufitu wypełniło milczenie, które w końcu przerwał Mallory:

–Te okręty podwodne... Co to za diabeł?

–Trudno orzec – rzekł Dias z naukową skrupulatnością która być może zirytowała by Mallory'ego, gdyby był człowiekiem podatnym na takie rzeczy. – Kriegsmarine utrzymuje, ścisłą tajemnicę, ale udało się nam połączyć kilka spraw. Wiemy, że mają nowy model akumulatorów do pływania pod wodnego, dysponujący dużą mocą. Naprawdę dużą mocą.., krążą plotki o czymś jeszcze. Jesteśmy skłonni uważać, że raczej chodzi o coś całkiem nowego. O rozwój pewnego pomysłu autorstwa gościa nazwiskiem Walter. Pracują nad tym od lat trzydziestych. Silnik spalinowy wewnętrznego spalania pracujący pod wodą. Spala olej napędowy.

Miller tymczasem otworzył oczy i zajął pozycję, którą w jego przypadku można by niemal nazwać wyprostowaną, że

–W czym? – spytał.

–Dias nie zrozumiał.

–Nie można spalać oleju napędowego pod wodą.

Musisz mieć tlen.

–Ach. Tak. Niewątpliwie. Słuszne pytanie. – Nie wyglądało na to, by Miller czuł się tym pochlebiony. Silniki to była jego działka. Wiedział, jak wprawiać je w ruch. Jeszcze lepiej wiedział, jak je niszczyć. – Nic pewnego. Ale uważa się, że chodzi o coś przypominającego nadtlenek wodoru, który w dużym rozcieńczeniu ma postać wody utlenionej. Naturalnie, na powierzchni silnik pobiera powietrze. Po zanurzeniu automatycznie przełącza się – być może za pomocą przełącznika pływakowego, blokującego pobór powietrza – i włącza dysocjator pozyskujący tlen z czegoś takiego jak nadtlenek wodoru. Otrzymuje się spaliny, rozpuszczalny w wodzie dwutlenek węgla. Tak rzecz się prezentuje w teorii.

Jensen wstał.

–Teoria czy nie – powiedział – okręty przeprowadzają uzupełnienie. Muszą być zniszczone, zanim znowu będą w stanie wyjść na morze. I wy zajmiecie się tym zniszczeniem.

–Gdzie cumują? – spytał Mallory.

Dias rozwinął mapę wiszącą za jego plecami. Ukazywała Francję i północną

Hiszpanię, brązowe wyrzyszenia Pirenejów ciągnące się od Morza Śródziemnego do Atlantyku, szkarłatną nitkę granicy wijącą się wzdłuż kręgosłupa gór.

–Zostały zbombardowane przy Cabo Ortegal – wyjaśnił. – Nie mogły się zanurzyć, więc nie popłynęły na pomoc. Sądzymy, że są tu. – Sięgnął po kij bilardowy i wskazał długi prosty odcinek wybrzeża biegnący z Bordeaux na południe, przez Biarritz i St-Jean-de-Luz do hiszpańskiej granicy.

Mallory spojrział na końcówkę wskaźnika. Były tam trzy porty: Hendaye, St-Jean-de-Luz i Bayonne. Poza tym wybrzeże biegło prostą linią, zapowiadającą plaże.

–Gdzie? – spytał.

Dyas ominął go wzrokiem i przyglądził węża. Od kiedy tylko znalazł się w tym pokoju, przyłapał się na tym, że nieruchomość tych mężczyzn, pełne znużenia, rozluźnione twarze o głęboko wpadniętych oczach działają mu na nerwy. Ten wielki z czarnym wąsem był milczący i niebezpieczny, promieniujący straszliwą siłą. Z pozostałych dwóch jeden wydawał się niechlujny, a drugi niesubordynowany. Wyglądali

jak, hm... gangsterzy. Zniechęcająco niewojskowi – pomyślał Dyas. Ale Jensen wiedział, co robi. Był z tego znany. Niemniej jednak pytanie Mallory'ego wcale nie przypadło majorowi do gustu.

–No cóż, Hiszpania jest państwem neutralnym – rzekł. Zapanował nad sobą na tyle, by nie roześmiać się nerwowo. – I mamy dobre źródło wywiadu w Bordeaux, więc wiemy, że ich tam nie ma. – Odkasznął, bardziej nerwowo, niż zamierzał. – Po prawdzie, to nie wiemy, gdzie są.

Trzy pary oczu przyglądały mu się w milczeniu. Wreszcie odezwał się Mallory:

–Więc mamy do południa w środę znaleźć i zniszczyć pewne okręty podwodne. Jedyne kłopot polega na tym, że nie wiemy, gdzie są. A skoro już o tym mowa, to prawdę mówiąc, nie wiemy, czy faktycznie istnieją.

–A owszem, tyle to wiemy – powiedział Jensen. – Zostaniecie zrzućeni w objęcia komitetu powitalnego...

–Zrzućeni...? – wtrącił się Miller. Ponurą twarz wykrzywiła zgroza.

–Ze spadochronem.

–Wielkie nieba! – zajęczał Miller, jakby ktoś wykręcał mu rękę.

–Chociaż jak dalej będzie pan przerywał, to możemy obejść się bez spadochronów

przy zrzucie. – Korsarska twarz Jensena stwardniała tak, że nawet Miller zdał sobie sprawę, iż dość się nagadał. – Komitet powitalny, mówilem. Zabierze was do człowieka imieniem Jules, który zna rybaka, który z kolei zna miejsce pobytu tych U-Bootów. Ten rybak sprzeda wam odpowiednie informacje.

–Sprzeda?

–Dostaniecie pieniądze.

–Więc gdzie jest ten rybak?

–Jak do tej pory nie znamy jego miejsca pobytu.

–Ach – westchnął Mallory, podnosząc oczy ku freskom. Zapalił kolejnego papierosa.

– Hm, jak przypuszczam, dysponujemy przewagą zaskoczenia.

Miller dodał entuzjastyczny uśmiech do swoich pełnych żałoby rysów.

–Żeby mnie pokręciło! – powiedział. – Jeśli oni będą tak zaskoczeni jak my, to gały im wyjdą z orbit.

Dyas spoglądał na Jensena. Mallory pomyślał, że major wygląda na człowieka dręczonego jakimś sekretnym bólem. Jensen skinął głową i uśmiechnął się po swojemu, okrutnie. Wyglądało na to, że odzyskał panowanie nad sobą.

–Należałoby bardzo na to liczyć – orzekł – bo te okręty podwodne muszą zostać zniszczone. Bez żadnych "ale". Nie obchodzi mnie, co będziecie musieli zrobić. Macie wolną rękę. – Przerwał. – Z tym że działacie opierając się wyłącznie na własnych siłach. – Odkaszlnął. Jeśli oficer brytyjskiej marynarki wojennej wychowany w duchu nelsońskiej obłudy mógł być niepewny, to Jensen był blisko tego stanu. – A co do elementu zaskoczenia... No cóż. Przykro mi, że sprawię wam zawód, ale prawdę mówiąc, nie bardzo jest o czym mówić. Rzecz w tym, że w zeszłym tygodniu wysłano grupę SAS i słuch o niej zaginął. Więc jesteśmy skłonni przypuszczać, że została ujęta.

Mallory zakrył przenikliwe oczy powiekami. Wiedział, co znaczy ta informacja, ale chciał usłyszeć to z ust Jensena.

–Prawdę mówiąc, wydaje się całkiem możliwe – powiedział ten – że Niemcy, tak to nazwijmy, będą na was czekać.

Killigrew uznał to za sygnał do zabrania głosu. Był niskim mężczyzną, zbudowanym jak byk i jak byk toczył oczyma. Wstał, przemaszerował na środek pokoju, rozstawił nogi o dobry jard na podłogowej mozaice i wbił głowę w potężne ramiona.

–Słuchajcie no, wy, ludzie! – warknął głosem kogoś, kto przywykł natychmiast skupiać na sobie całą uwagę.

Jensen zerknął na wychudzoną twarz krzyżowca Mallory'e-go. Miał zamknięte oczy. Andrea delikatnie gładził wąż, wyglądając przez okno, za którym słońce późnego przedpołudnia świeciło żółcią i zielenią na liściach winorośli. Dusty Miller wyjął przed chwilą z ust papierosa i teraz przemówił do niedopałka:

–SAS. Specjalna Służba Powietrzna. Lądują z cholernymi haubicami i cholernymi dżipami, hałasując jak pociąg, który się wykoleja. Nie przyjdzie im do głowy, że wypadałoby mieć przewodników albo tłumaczy, a co dopiero władać obcymi językami. Mają czaszki z betonu, a zamiast mózgu cholerną dziurę... Mogę czymś panu służyć?

Killigrew stał nad nim. Twarz miał czerwoną z wściekłości.

–Powtórz to. Miller ziewnął.

–Dziura zamiast mózgu. Słonie w składzie porcelany. Teraz oczy Mallory'ego były otwarte. Żyły na karku kapitana Killigrew odznaczały się jak liany na baobabie, a oczy miał nabiegłe krwią. Szczęka sterczała mu jak dziób lodołamacza. I ku zdumieniu Mallory'ego odciągnął w tył pięść, gotów wepchnąć Millerowi zęby do gardła.

–Dusty – powiedział. Miller popatrzył na niego.

–Miller przeprasza, kapitanie – rzekł Mallory.

–Nerwy – bąknął Miller.

Pięść Killigrew nadal wisiała w powietrzu.

–Staniecie do raportu, Miller – rzekł łagodnie Mallory.

–Tak jest, panie kapitanie! – powiedział Miller, niczym stary służbista.

Głos Jensena był jak trzask bicia:

–Kapitanie!

Killigrew stuknął obcasami. Nabiegła krwią twarz nagle zszarzała. Był o włos od zaatakowania podoficera. Za to groził... no cóż... sąd wojenny.

Mallory zgasił papierosa w marmurowej popielniczce, obiegnął wzrokiem pokój. Oceniał sytuację. Bóg jeden wiedział, na jaki stres był narażony ten kapitan SAS, że o mało co nie dał łupnia kapralowi. Zauważył, że Jensen za maską profesjonalnego oburzenia ukrywa żywą ciekawość. Andrea, wydawałoby się nie opuszczając fotela,

znalazł się na środku pokoju blisko Killigrew. Stał spokojny i rozluźniony, jego ramiona niedźwiedzia obwisły, ręce zwisały swobodnie po bokach. Mallory wiedział, że Killigrew jest o ułamek sekundy od gwał-

townej śmierci. Zetknął się wzrokiem z Millerem i pokręcił głową, milimetr w prawo, milimetr w lewo. Miller ziewnął.

–Ależ dziękuję, kapitanie Killigrew – rzekł. Killigrew patrzył prosto przed siebie. Oczy wyłaziły mu z orbit. – Widząc, że ta mucha pełźnie w kierunku mojego ucha – wskazał wielkie muszysko wirujące ku kandelabrowi – kapitan był tak usłużny, że chciał pacnąć cholerę. – Brwi Jensena powędrowały w górę. – Biorę na siebie całą odpowiedzialność.

Jensen nie wahał się ani chwili.

–Nie ma po temu potrzeby – rzekł. – Ani stawania do raportu. Proszę kontynuować, kapitanie. Killigrew przełknął ślinę.

–Taaak jest. – Odzyskiwał kolory. – W porządku – rzekł z wyrazem twarzy kogoś, kto przed chwilą zajrzał w otchłań. – Nasi ludzie. Pięciu. Zrzućeni w ostatni wtorek z dżipem i radiostacją na południowym obrzeżu Lourdes. Zgłosili się po wylądowaniu, obrali kierunek na Hendaye, mieli podróżować nocą. Powinni zgłaszać się drogą radiową co osiem godzin. Ale nic. Ani jednego cholernego słóweczka.

Po raz kolejny Miller zetknął się wzrokiem z Mallorym. Dżip – pomyślał. Dżip! niech mnie kule biją. Czy ci ludzie nigdy nie słyszeli o posterunkach drogowych?

–Aż do wczoraj wieczór – kontynuował Killigrew. – Jakiś Jaś z ruchu oporu zgłosił się przez radio. Powiedział, że w takiej czy innej górskiej wiosce trzydzieści kilometrów na zachód od St-Jean-de-Luz była strzelanina. Padły ofiary. Więc myślimy, że to oni. Ale ten przekaz był trochę dziwny. Nie użyto szyfru. Oczywiście, to może oznaka, że radiooperatorowi ziemia paliła się pod stopami. Albo oznaka, że siatka została rozpracowana.

Mallory przyłapał się na tym, że sięga po kolejnego papierosa. Jak dawno temu nabrał w płuca powietrza bez dymu tytoniowego? Unikał wzroku Millera. Ci ludzie z SAS byli odważni. Ale Miller miał rację. Brali się do rzeczy jak słoń w składzie porcelany. To nie była metoda Mallory'ego.

Mallory wierzył w prowadzenie wojny po cichu. Stosował się do starego partyzanckiego przysłowia: jak masz

nóż, zdobędziesz pistolet; jak masz pistolet, zdobędziesz strzelbę; jak masz strzelbę, zdobędziesz automat...

–Dziękuję, panowie – powiedział Jensen. – Jestem wam wdzięczny za współpracę.

Dyas i Killigrew wyszli. Ten ostatni uniósł wysoko nabiegłą krwią twarz i spozierał prosto przed siebie, aby nie dostrzec sardonicznej miny Millera.

–No, tak – powiedział Jensen, demonstrując wyzywająco krwiożerczy uśmiech. – Myślicie, że wam się uda? – Nie czekał na odpowiedź. – Słuchajcie. Ten plan może się wam wydawać cholernie głupi. Nic na to nie poradzę. Możliwe, iż życie miliona żołnierzy zależy od tego, żeby te okręty nie wypłynęły w morze. Obawiam się, że SAS spieprzyło sprawę. Chcę, żebyście znaleźli te cholerne okręty podwodne. Jeśli nie zdołacie ich wysadzić, przekażcie zamiar przez radio. RAF zajmie się resztą.

–Proszę wybaczyć, że zapytam, kapitanie. Ale co z ruchem oporu na miejscu? – spytał Mallory. Jensen zmarszczył czoło.

–Dobre pytanie. Dwie sprawy. Po pierwsze, słyszeliście tego idiotę Killigrew. Może zostali rozpracowani. I dwa, niewykluczone, że te U-Booty są upchane gdzieś tam, gdzie RAF nie jest w stanie ich dopaść. – Wyszczrzył zęby. – Dziś rano powiedziałem panu Churchillowi, że jeśli mam wyrazić swoje zdanie, to wasza banda jest tyle warta co dywizjon bombowców. Zgodził się ze mną. – Wstał. – Jestem wam bardzo wdzięczny. Wykonaliście dla mnie dwie cholernie fajne operacje. Niech ta będzie trzecia. Szczegółowa odprawa później na lotnisku. Dziś po południu przyleci po was albemarle. Odlot dziewiętnasta zero zero. – Przesunął wzrokiem po ich twarzach. Mallory znużony, ale ostry jak żelazo topora; Andrea nieprzenikniony za czarnym wąsem i Dusty Miller, drapiący się po krótko ostrzyżonej głowie w sposób obraźliwy dla regulaminu. Jensenowi ani przyszło do głowy martwić się, że w ciągu ostatnich czternastu dni dostali w kość i ledwo mieli okazję zmrużyć oko. Byli narzędziem do wykonania zadania i tyle.

–Pytania?

–Tak – rzekł ze znużeniem Mallory. – Podejrzewam, że w tym domu znalazłaby się kropelka koniaku, co?

Godzinę później warty przy marmurowych kolumnach willi sprezentowały z hałasem broń, gdy jacyś trzej mężczyźni drobnym krokiem zeszli schodami na podjazd, na którym oczekiwał sztabowy kabriolet koloru khaki. Wartownikom nie podobał się widok tych ludzi. Według standardów żołnierskich byli podstarzali, po czterdziestce, a wyglądali jeszcze starzej. Mundury mieli brudne, buty w strasznym stanie. Aż się prosiło zażądać dokumentów i książeczek żołdu. Lecz było w nich coś takiego, że warty zdecydowały się nie reagować, bo tak w sumie będzie lepiej. Szli znużeni, ale wytrwałymi susami, jak jacyś nieregularnie ucztujący drapieżcy, którzy gdy wreszcie przystawali do posiłku, żarli ścigane cierpliwie na wielkich obszarach ofiary, mordowane bez szumu i skrpułów.

Jednakże Mallory nie myślał o jedzeniu.

–Niezły ten koniak – osądził.

–Pięciogwiazdkowy – przyznał Miller. – Stara wiara bierze tylko to, co najlepsze.

Po willi Jensena, lotnisku Termoli brakowało stylu.

Tajfun wył nad głowami, pokrywając nie dokończony pas startowy chmurami kurzu.

Co nieuniknione, stała tam kolejna sala odpraw. Ale sala ta to był barak z kartonowymi ścianami i szybami poklejonymi papierową taśmą, chroniącą przed wstrząsami. Okna trzęsły się od burz piaskowych wywołanych śmigłami kołujących myśliwców. Wśród myśliwców był bombowiec, z długim guzowatym ryjem dzika, tankujący z cysterny w kolorach ochronnych. Mallory wiedział, że to albemarle. Jensen postarał się, by tempo wydarzeń nie słabło.

Evans, jeden z młodych, gładkich w obejściu adiutantów Jensena, przyprowadził ich z samochodu. Powiedział:

–Spodziewam się, że macie listę zakupów.

Był młody, różowutki i tchnął zapalem, który sprawiał, że Mallory czuł się tysiąc lat starszy. Ale Mallory kazał sobie zapomnieć o zmęczeniu, koniaku i czterdziestu latach przeży-

tych na staruszce Ziemi. Siadł przy stole z Andreą i Millerem i wypełniał w trzech egzemplarzach zamówienia magazynowe. Potem podjechali trzytonówką do arsenału, gdzie ukazały się efekty roboty Jensena w postaci ustawionej w koziół broni i radiostacji B2 w plecaku. Były tam również dwie okute mosiądzem skrzynki, których zawartość Miller ocenił z zainteresowaniem. Jedną wypełniały materiały wybuchowe: żelatyna wybuchowa i kostki czegoś przypominającego masło, co naprawdę było heksogenem w postaci plastycznej; plastik wybuchowy. Druga zawierała splotki i zapalniki z opóźnionym działaniem, pokolorowane jak dziecinne kredki. Miller poukładał je wprawnymi palcami. Dokonał pewnych wymian. Były tam również inne substancje, samodzielnie całkiem niewinne, ale użyte w znany mu sposób zabójcze dla pojazdów i personelu wroga. Wreszcie było płaskie cynowe pudełko zawierające tysiąc funtów w używanych... banknotach pięciofuntowych, z wizerunkiem pana Bradbury'ego.

Andrea stał przy koźle schmeisserów. Poruszał rękami jak człowiek czytający brajlem. Wzrok miał utkwiony gdzieś daleko. Odrzucił dwa pistolety maszynowe, wziął trzy inne i lekki karabin maszynowy Bren. Rozłożył brena, złożył, skinął głową i napełnił chlebak granatami.

Mallory sprawdził dwie zwoje liny ze stalowym rdzeniem i torbę sprzętu wspinaczkowego.

–W porządku – powiedział. – Załadować. W baraku odpraw czekało trzech mężczyzn. Siedzieli osobno przy szkolnych pulpitych, każdy zatopiony we własnych myślach.

–Wszystko gra? – zapytał porucznik Evans. – No, to prezentacja. Wasza grupa.

Mężczyźni przy pulpitych podnieśli głowy, przyjrzeni się Mallory'emu, Andrei i Millerowi z niepokojem ludzi, którzy wiedzą, że za kilka godzin ci nieznajomi będą mieć nad nimi władzę życia i śmierci.

–Żadnych prawdziwych nazwisk, żadnego koszarowego drylu – powiedział Evans. Wskazał mężczyznę po prawej. Drobny, wpadnięte policzki, usta schowane pod czarnymi wąsami. Miał nieprzyjazne, pełne rezerwy spojrzenie kogoś,

**kto całe życie spędził wśród gór. – To Jaime. Jaime pracował w górach. Zna drogi. **

–Pracował...? – spytał Mallory.

Twarz Jaime'a była ziemista i nieprzenikniona, wzrok pełen nieufności.

–Przenosiłem towary. Szmuglowałem, można powiedzieć. Żaden faszysta mnie nie złapał. Ani hiszpański, ani niemiecki. Wszyscy umrą, kiedy się ich zastrzeli.

Twarz Mallory'ego była nieprzenikniona. Fanatycy mogą być zaufanymi towarzyszami; ale to był wyjątek, nie reguła.

–A to – rzekł spokojnie Evans – jest Hugues. Hugues jest naszym personalnym. Zna ruch oporu na miejscu. Praktycznie do ostatniego człowieka. Z wyglądu przypomina Niemca. Nie dajcie się zwieść. Przed wojną był na Oksfordzie. Wrócił do Normandii objąć rodzinny zamek. SS zastrzeliło jego żonę i dzieci, kiedy zszedł do podziemia.

Hugues był wysoki i pleczysty, miał jasnokasztanowe włosy, miłą białoróżową twarz Nordyka i niebieskie przejrzyste oczy. Kiedy wymieniał uścisk dłoni z Mallorym, jego dłoń była wilgotna od nerwowego potu. Spytał:

–Mówisz po francusku?

–Nie. – Mallory napotkał wzrok Millera i wytrzymał go przez chwilę.

–Żaden z was?

–Zgadza się.

Wiele cnót musiało się spotkać, by przez te ostatnie tygodnie Mallory, Andrea i Miller mogli utrzymać się przy życiu i walczyć. Ale cnota kardynalna to: oszczędzać naboje i nie ufać nikomu.

–Miło mi was poznać – powiedział Hugues. – Ale żeby... nikt nie znał francuskiego? Jezu!

Mallory'emu spodobał się ten profesjonalizm.

–Gadanie możesz wziąć na siebie.

–Byliście jakiś czas za frontem? – spytał Hugues.

–Jakiś.

Ten Hugues ma spojrzenie szaleńca – pomyślał Mallory. Nie był pewien, czy mu się ono podoba.

Evans odchrząknął.

–Słówko na osobności, Hugues – powiedział. Wziął go na bok. Hugues zmarszczył czoło, gdy oficer

marynarki szeptał mu do ucha. Potem spłaszczył i powiedział

do Mallory'ego:

–O rany! Chyba zrobiłem z siebie durnia.

–Całkowicie zrozumiałe – odparł Mallory.

Hugues był w porządku. Młody, pełen zapału i bystry. Ale to spojrzenie szaleńca... Nic dziwnego, biorąc pod uwagę okoliczności. Kontakt z ruchem oporu będzie miał równie życiowe znaczenie jak przewodnik i radiotelegrafista. Muszą zadowolić się Hugues'em.

Ostatni mężczyzna był prawie tak potężny jak Andrea; nosił zniszczony, dziwnie szykowny słomkowy kapelusz. Evans przedstawił go jako Thierry'ego, doświadczonego radiooperatora ruchu oporu. Potem zaciągnął żaluzje i podsunął zebrany walizkę z jakimiś ubraniami.

–Nie przejmujcie się francuskim – rzekł – możecie zostać przy niemieckim.

Wyciągnął spodnie i skafandry z kamuflażem we wzór, który Mallory widział na Krecie.

–Mam nadzieję, że wzięliśmy dobre rozmiary. I jeszcze przez chwilę lepiej nie wychylajcie nosa za próg.

To prawda – pomyślał ponuro Mallory. Jest kilka lepszych sposobów zwrócenia na siebie uwagi w bazie powietrznej aliantów niż paradowanie w mundurach Waffen SS.

–Przymierzcie – rzucił Evans.

Francuzi przyglądali się bez ciekawości i rozbawienia, gdy Mallory, Miller i Andrea nakładali na battiedressy niemieckie skafandry i spodnie. Noszenie munduru nieprzyjaciela to dopraszanie się o rozstrzelanie na miejscu. Ale tymi samymi konsekwencjami groziło działanie dla ruchu oporu lub, jeśli już o tym mowa, operowanie za liniami niemieckimi w mundurze brytyjskim. W okupowanej Francji śmierć będzie dyszała im w kark, nie patrząc na metki przy kołnierzu.

–W porządku – orzekł Evans, przyglądając się feldfeblowi

z twarzą Mallory'ego i dwóm szeregowym. – Hm, pułkowniku, nie zastanowiłby się pan nad zgoleniem wąsów?

–Nie – powiedział Andrea z kamiennym wyrazem twarzy.

–Chodzi tylko o to, że...

–...esesmani nie noszą wąsów – dokończył za niego Andrea. – To wiem. Ale nie zamierzam się bratać z esesmanami. Zamierzam ich zabijać.

Jaime przyjrzał mu się z nowym zainteresowaniem.

–Pułkowniku?

–Przejęzyczenie – rzekł Mallory.

Przez chwilę Evans okazał lekkie zmieszanie. Z przesadnym przejęciem skierował się do estrady i rozwinął typową mapę plastyczną zachodniej części Pirenejów. U góry prześwitywał błękitny pas Atlantyku. Górskim grzbietem wił się czerwony wąż hiszpańskiej granicy.

–Lądowanie tutaj – powiedział, energicznie stukając wskaźnikiem w kotlinę nad St-Jean-Pied-du-Port.

–Lądowanie? – powtórzył Mallory.

–No, raczej zrzut.

–Mówiłem kapitanowi Jensenowi, że nie znoszę wysokości – zaprotestował Miller.

–Żadna tam wysokość – uciął Evans. – Zrzut nastąpi z pięciuset stóp. – Uśmiechnął się z rozradowaniem człowieka, któremu nie groził los pozostałych, i rozwinął mapę o większej skali, z zaznaczonymi poziomiami. – W tej kotlinie jest płaski kawałek terenu. Oddalony od skupisk ludzkich. Dochodzi tam droga z Jonzere. Prowadzi do granicy hiszpańskiej. Tam będzie posterunek graniczny, patrole. Nie chcemy, żebyście wstawali się do Hiszpanii. W tej chwili Franco skłania się na naszą stronę i nie chcemy podsuwać mu żadnej okazji do... hm, demonstracji siły. Poza tym groziłoby wam internowanie, a obozy naprawdę są niezbyt miłe. Więc po opuszczeniu miejsca zrzutu pójdziecie w dół. Jaime wam przypomni. W górę jest Hiszpania. W dół – Francja.

Andrea ze zmarszczonym czołem przypatrywał się mapie. Poziomice po obu stronach kotliny były blisko siebie. Bardzo blisko. Prawdę mówiąc, ściany kotliny wyglądały na urwisko, nie na łagodne stoki.

–To niedobre miejsce na zrzut – powiedział.

–W tej chwili we Francji nie ma dobrych miejsc zrzutu -odparł na to Evans. Odpowiedziała mu cisza. – Zresztą zajmie się wami pewien człowiek imieniem Jules – dorzucił pogodnie. – Hugues go zna.

Jasnowłosa Normandczyk skinął głową.

–Dobry człowiek.

–Jules szczególnie przyłożył się do przedsięwzięcia "wilcze stado". Zrobi wam odprawę i przeprowadzi dalej. Potem będziecie zdani na własne siły. Ale słyszałem, że przywykliście do tego. – Popatrzył po zaciętych twarzach i pomyślał z arogancją młodego mężczyzny: Są starzy i zmęczeni. Czy Jensen wie, co robi? Ale przypomniał sobie, że Jensen zawsze wie, co robi. Mallory ocenił wzrokiem różowe policzki Evansa, jego wyprasowany mundur. Wszyscy wiemy, że kazano ci to powiedzieć – pomyślał. I wszyscy wiemy, że to nieprawda. Nie jesteśmy zdani na własne siły. Jesteśmy na łasce tych Francuzów.

–Ustalono hasło – rzekł Evans. – Kiedy ktoś powie wam UAmiral, odpowiecie Beaufort. I na odwrót. Nadajemy to w BBC. Niestety, SAS używał tego hasła, a nie ma czasu na nadanie innego. Zachować ostrożność. – Rozdał pękate brązowe koperty. – Sygnały. Rozkazy. Mapy. Wszystko, czego wam trzeba. Zapamiętać i zniszczyć. Jakież pytania?

Nie było żadnych. Lub raczej było ich zbyt wiele, aby warto było je zadawać.

–"Sztorm" – powiedział Miller, który otworzył kopertę. – Co to?

–Wy. Ta operacja nazywa się "Sztorm" – wyjaśnił Evans. – Byliście "Huraganem" w

Jugosławii. To dalszy ciąg. No i... -Zawahał się.

–Tak? – mruknął Mallory.

–Doprawdy, to żart. – Evans uśmiechnął się szeroko, po chłopięcemu. – Ale, no cóż, kapitan Jensen powiedział, że możemy równie dobrze nazwać was tak jak w prognozach meteo.

–Wspaniale – podsumował odprawę Miller. – Po prostu wspaniale. Jeszcze tego tylko brakowało do tych spadochronów.

Niedziela godz. 19.00 -poniedziałek godz. 09.00

–Panie i panowie... przepraszam, panowie – powiedział podpułkownik lotnictwa Maurice Hartford. – Mamy godzinę do zrzutu. Linie Powietrzne Pireneje wyrażają nadzieję, że mieliście przyjemną podróż. Osobiście uważam, że wszyscy jesteście stuknięci.

Naturalnie, nikt nie mógł go słyszeć, bo interkom był wyłączony. Ale ulżył sobie. Dlaczego to zawsze ja? – pomyślał.

Wystartowali przyjemnie. Sześciu ludzi plus załoga, niewiele sprzętu. Trywialny ładunek jak na albemarle'a, lecącego spokojnie z Termoli nad pomarszczonymi szczytami Apeninów w kierunku zachodzącego słońca. Zachodzącego na czerwono słońca.

Hartford włączył interkom.

–Kapitanie Mallory – powiedział – może by pan wpadł tu na dziób?

Mallory przekręcił się w stalowym kubełkowym fotelu. Tego popołudnia przespał kilka godzin. Podobnie Andrea i Dusty Miller. Ordynans obudził ich na obiad. Podano befsztyk, czerwone wino i rzucili się na to głodni jak wilki. Francuzi dziobali jedzenie. Nikt nie miał ochoty do rozmowy. Jaime pozostał nachmurzony Hugues, jeśli Mallory się nie mylił, dostał straszego pietra. Nic w tym złego – pomyślał. Najodważniejsi to nie ci, którzy nie znają strachu, ale ci, którzy go poznali i opano-

wali. Na pokładzie samolotu Francuzi nie spali, podczas gdy Andrea ułożył się do snu z głową na skrzynce z zapalnikami, a Miller zapadł się głęboko w fotelu, oparł nie kończące się nogi o radiostację i zachrapał, rywalizując z klekotem merli-nów albemarle'a.

Mallory miał lekki sen. Potrzebował dziesięciu dni nieświadomości, przerywanych tylko obfitymi posiłkami w czterogodzinnych odstępach. Ale to musiało zaczekać. Wśród kamiennych i śnieżnych lawin Alp Południowych i podczas długich

niebezpiecznych miesięcy na Krecie nauczył się spać kilka cali pod powierzchnią świadomości, snem dzikiego zwierzęcia, które w ułamku sekundy przechodzi do całkowitej czujności.

Wygrzebał się z siedzenia i poszedł do kokpitu. Pilot wskazał fotel drugiego pilota. Mallory usiadł i podłączył się do interkomu.

–Filiżankę herbaty? – zaproponował pilot. Nosił gogle, żeby koniuszki gigantycznych wąsów nie wlażyły mu do oczu.

–Proszę – powiedział Mallory.

–Drugi pilot kima. – Pilot pochylił termos nad kubkiem. – Zachód słońca – wskazał przed siebie.

To był zachód słońca co się zowie! Niebo zapełniały archipelagi płonących wysp, obmywanych ostatnimi promieniami słońca w złotym przypiływie. Powyżej rozciągnęły się plamy cii rusów. W dole Morze Śródziemne ze stalowego przemieniało się w atramentowe.

–Niebo czerwone w nocy, strach zajrzy pilotowi w oczy -powiedział dowódca.

Samolot podskoczył. Mallory zachłysnął się herbatą, parząc usta o gorący kubek.

–Czemu? – spytał.

Niezły gość – podsumował Hartford. Wcale się nie nadyma. Spokojny. Jak jeszcze nie uzbrojona bomba. Piwne oczy kogoś, kto wszędzie czuje się jak w domu, wszędzie kompetentny, gdziekolwiek by go los rzucił. Pociągła, zmęczona twarz. Bez ruchu, oszczędza siły. Niebezpiecznie wyglądający facio – pomyślał radośnie Hartford. Trzymajcie się, drogie szkopiska.

–Pogoda – wyjaśnił. – Tam pogoda, że Boże uchowaj. Nadchodzi front. Pastuchów to nie obchodzi. Oni chodzą po

ziemi. Ale my lecimy prosto w to zwierzę. Zdrowo nas po-pieści.

–Dobre warunki do zrzutu?

–Spuścimy was – odpowiedział Hartford.

Prawdę mówiąc, warunki do zrzutu nie były dobre. Ale dostał rozkaz, że ma spuścić tych ludzi bez względu na to, czy warunki będą dobre, czy nie.

–Powiesz swoim chłopakom, żeby się wpięli? Wyciągnął z kieszeni kurtki lotniczej briarkę wielkości kosza na śmieci, napchał tytoniem i zapalił. Kabinę wypełnił ostry

dym. Odsunął okienko, wpuszczając huk silników, od którego wierciło w zębach.

–Powąchaj to morze – rzekł, głęboko wciągając powietrze. – Czary. To jest to! Zejdziemy na pięćset stóp. Milutka, szeroka kotlina. Macie tylko skoczyć, kiedy zapali się światło. Wszyscy od razu.

–Pięćset stóp?

–Bułka z masłem.

–Usłyszą, jak nadlatujemy.

Pilot uśmiechnął się szeroko, odsłaniając dziury, jakie kły zrobiły w ustniku fajki.

–Tylko wtedy, kiedy to będą Hiszpanie – powiedział.

Zderzyli się z frontem nad wybrzeżem i lecieli dalej, minuta za nie kończącą się minutą, aż te przeszły w godziny. Albe-marle pikował i nurkował, skrzydłami szarpały wstępujące prądy. W ciemnoszarym świetle sączącym się przez małe okienka Mallory przyjrzał się swojemu plutonowi. Za Andreę i Mil-lera ręczył głową. Ale Francuzów nie był już tak pewny. Widział błysk białek oczu Jaime'a, nerwowe przygryzanie ust Thier-ry'ego. A Hugues spoglądał na swoje dłonie przyciśnięte do kolan, paznokcie obgryzł do żywej skóry. Mallory poczuł nagłe znużenie. Zbyt wiele razy był w małych, ogrodzonych metalem pomieszczeniach, obserwował zbyt wielu ludzi, zbyt wiele razy rozważał, jak zareagują, kiedy ciśnienie wzrośnie i pokrywa się zerwie...

Albemarle ostro kiwnął się na lewe, potem prawe skrzydło.

Mallory pomyślał, że tam, na zewnątrz, istnieje zupełnie nowy rodzaj turbulencji; nie ścierają się ze sobą masy powietrza, ale wytryskują w górę fale zawieruchy, twarde jak skalna ściana. Rozejrzał się wokół.

Drzwi do kabiny pilotów stały otworem. Trzepoczące się za szybą kolorowe chmury rozstąpiły się, rozwiały. Nagle Mallory patrzył w dół kotliny, której strome ściany wyrosły niespodziewanie ze wszystkich stron. Górne partie były białe od śniegu. Szara wioska przycupnęła w górze – w górze, nad samolotem. Parę żółtych światełek zaśniło w pomroce. Żadnego zaciemnienia. Hiszpania – pomyślał Mallory...

Z przodu zamajaczyła sosna. Zbliżała się z prędkością dwustu mil na godzinę. Zobaczył, jak ramiona pilota poruszają się, gdy przyciągał drążek. Drzewo było wyżej niż samolot. Hej -pomyślał Mallory – zaraz się wrąbiemy...

Lecz albemarle z rykiem uniósł się i przeleciał nad koroną drzewa. Coś uderzyło w podłogę pod stopami Mallory'ego. Drzewo znikło i samolot położył się ostro na lewe skrzydło w następnej kotlinie.

Mallory wstał i zamknął drzwi. Są rzeczy, które niekoniecznie trzeba oglądać. Sosny wysokie na... ile to? Sto stóp? Co najmniej. Mallory uznał, że jeśli ma wpaść na skałę, nie chce jej oglądać w zbliżeniu.

I tak to trwało: wycie wiatru, skoki maszyny, bas silników. Mallory zasnął.

Następnie uświadomił sobie, że cały ten harmider nadal trwa i ktoś potrząsa go za ramię. Czuł się koszmarnie; głowa go bolała, myśli przelewały się jak zlodowaciała ropa. Bombardier wciskał mu w twarz kubek z herbatą. Benzydryna – pomyślał. Nie. Jeszcze nie. To dopiero początek.

Obudził się w innym świecie; niebezpiecznym, przyprawiającym o ściskanie w dołku świecie wydarzeń, na które nie miał wpływu. Bardzo chciało mu się palić. Ale przez dobrą chwilę nie będzie czasu na papierosa.

Niewyraźne żółte światło paliło się w głębi kadłuba. Pękate postaci w kamuflażu przeklinały i zderzały się ze sobą, zakładając spadochrony i gromadząc ekwipunek.

–Pięć minut – powiedział bombardier z odrażającą wesołością, kiedy skończył sprawdzanie uprząży. – Do okopu!

–Do okopu? – powtórzył Miller.

Bombardier wskazał prostokątny otwór w podłodze.

–Ładujcie się tam. W rozkroku. – Wskazał parę żarówek. – Kiedy zapali się zielona, baczność!

–Rany, dzięki – powiedział Miller i poczłapał na wskazane miejsce. Zapaliła się pierwsza żarówka: czerwona.

Hugues stanął za Millerem. Nie potrafił się uspokoić. Myśli z męczącym uporem przeskakującej igły gramofonowej krążyły wokół ostatnich dwóch lat. Po tym, co SS zrobiło jego rodzinie, przez jakiś czas nie dbał o to, czy żyje, czy nie. Potem pojawiła się Lisette. I w Lisette znalazł nowy powód do życia...

W taką noc ostatnie, czego potrzeba, to powód do życia. Pamiętaj, czego cię uczono w szkole – pomyślał. Postaraj się, żeby wszystko było zapięte na ostatni guzik. Nie pokazuj po sobie niczego...

Lisette. Kiedy znowu cię zobaczę?

Strach rozdarł mu umysł i wspiął się wyżej. Przeszedł w grozę. Wnętrznosci zamieniły się w wodę, lodowaty pot sączył się wszystkimi porami. Najpierw czekał go lot ze spadochronem i oczywiście istniała możliwość, że czasza się nie otworzy.

Potem, nawet jeśli spadochron się otworzy, ten wielki chudzielec, Miller, miał przed sobą dwie rozhuśtane skrzynki -przytroczone do pasa, na litość boską! – pełne materiałów wybuchowych. Więc wszyscy wypadną z tego samolotu w jednej kupce... sześciu ludzi i mina lądowa. Jezu! Rozlecą się po tej całej okolicy. Nigdy nie zobaczy Lisette...

Pod stopami poczuł nową wibrację, jak przy zmianie na wyższy bieg. Otworzył się okop. Z wyciem wdarła się noc, czarna, pełna wiatru. Poczucił się przygwożdżony, złapany w pułapkę, spętany cholerną uprzężą, schmeisserem, plecakiem, sprzętem.

Czyjaś dłoń spoczęła na jego ramieniu. Obejrzał się tak szybko, że niemal stracił równowagę.

Należała do wielkiego mężczyzny, który się nie odzywał, tego wąsatego niedźwiedzia. Wielka twarz była niewzruszona.

Odbicie małej czerwonej żarówki pływało w każdym czarnym oku. Jedno z nich mrugnęło. Jezu! – zawołał w myślach Hugues. On wie, co się ze mną dzieje. Co o mnie pomyśli? Ale, zadziwiające, poczuł, że strach ustępuje. Jaime też nie czuł się swobodnie, chociaż z innych powodów. W myślach przemierzał na krótkich nogach górala czekający ich szlak: w górę Valle de Tena, potem na północ przez Col de Pourtalet. Już tamtędy przechodził, najpierw z ładunkami papierosów, potem poganiając muły niosące broń dla sprawy republikańskiej pod koniec hiszpańskiej wojny domowej. Teraz zdał sobie sprawę, że nadlatują nad Colbis. Nie podobała mu się pogoda. Nie podobało mu się to, że z szybkością trzystu kilometrów na godzinę tracili wysokość w chmurze zasłaniającej stoki pochylone pod kątem pięćdziesięciu stopni. Ziemia pod stopami oznaczała bezpieczeństwo. Jazda mułem była bezpieczniejsza. Chciał wrócić na ziemię, bo nogi rozstawione nad okopem bolały go i czuł strach bijący od Thierry'ego -obwieszzonego urządzeniami radiowymi, ze słomkowym kapeluszem wepchniętym do plecaka. A ta jego wielka gęba, wyglądająca niewiarygodnie zdrowo w czerwonym świetle... Nagle twarz Thierry'ego zzieleniała.

Baczność!

Sześć par butów stuknęło obcasami. Liny wyciągające rozciągnęły się i napięły. Ładownia była pusta. Przez drzwi bombowe bombardier dojrzał żółte światelka tworzące drżącą literę L. Zgłosił do interkomu:

–Wszyscy skoczyli.

Pilot przyciągnął drążek i chmury wróciły. Albemarle położył się ciasno na skrzydło i obrał kurs na Włochy.

Ziemia uderzyła Mallory'ego jak wielki mokry młot kowalski. Koziółkując, zobaczył

świeczki w oczach. W uszach mu zadzwoniło po zderzeniu ze skałą. Pozbył się spadochronu, niewidzialnego teraz w mroku, rozpląszczył się na ziemi i przeładował schmeissera. Był napięty jak osaczone zwierzę. Przez chwilę słyszał tylko jęk wiatru i czuł \i pod policzkiem. Potem blisko jakiś głos powiedział:

–UAmiral.

–Beaufort – odpowiedział.

Rozległo się pokrzykiwanie. Dojrzał więcej światełek – dużo światełek, idiotycznie dużo. Zniżył schmeissera. Światełka odpłynęły, ktoś krzyknął:

–Non! Non! L'Amiral Beaufort! Witamy we Francji, mon officier.

Ktoś niepotrzebnie podniósł go na nogi. Spytał:

–Gdzie reszta?

–Bezpieczna. – Poczuł w ręce manierkę. – Buvez. Pij. Vive la France!

Wypił. To był koniak. Przebił dziurę w zimnie i deszczu. Ludzie zapalali papierosy. Było wiele niewojskowego hałasu, kilka butelek. U jego boku pojawiła się ciemna postać, potem druga.

–Lada chwila ktoś zacznie muzyczkę na cholernym akordeonie – powiedział głos Millera.

–Są wszyscy? – Z ciemności dobiegły pomruki. Było za dużo ludzi, za dużo hałasu, za mało dyscypliny. – Hugues

–Tak jest.

–Powiedz tym ludziom, niech pogaszą te cholerne światła. Gdzie Jules?

Rozległa się przemowa po francusku. Hugues zareplikował, jego głos był coraz dobitniejszy, pełen wymówek.

–Merde – zaklął w końcu.

–Co jest?

–Ale idioci. Co za trockistowskie skur...

–Skracaj się. – Głos Mallory'ego otrzeźwił go jak szarpnięcie kagańca.

–Jules'a zatrzymano w Colbis. W zeszłym tygodniu był wypadek z waszym

oddziałem. Niemcy zrobili się nerwowi.

To byłaby SAS – pomyślał Mallory – ruszająca się jak słoń w sklepie porcelany.

–Ale Colbis jest już w następnej kotlinie. Zabierzemy was tam, kiedy będziemy mieli transport. Jest z tym kłopot. Nie wiedzą, co począć. Mówią, że zaraz będzie ciężarówka. Fran-chement – Hugues podniósł głos – nie wierzę tym ludziom. Są jak Hiszpanie, zawsze maniana...

–Spytaj ich, co znaczy "zaraz".

I uspokój ich – pomyślał Mallory. Uspokój.

–Mówią, żeby poczekać – powiedział wcale nie uspokojony Hugues. – Do wioski jest siedem mil. Mogą być patrole. Jest grotą, którą znają. Tam jest sucho i niemieckie patrole się do niej nie zapuszczają. Mówią, że to dobre miejsce na przeczekanie. Ciężarówka przyjedzie zabrać was za godzinę, może

dwie.

Mallory spojrział na zegarek. Krople deszczu zamazywały

tarczę. Tuż po północy. Już poniedziałek. Każe im się czekać w deszczu na szczycie gór, a wilcze stado wypływa we środe

w południe.

–Gdzie ta grotą? – spytał.

–Znam ją – powiedział Jaime. Mallory westchnął. Cierpliwości.

–Chodźmy – powiedział.

Andrea pojawił się u jego boku. Mallory poczuł się lepiej, mając blisko siebie gigantyczną postać.

–Niedobrze – powiedział ledwo słyszalnie Grek, wśród

pełnych podniecenia wrzasków eskorty.

–Postaramy się, żeby było lepiej – odrzekł Mallory. –

Hugues, każ tym ludziom się uciszyć.

Hugues zaczął krzyżeć. Tłum ucichł. Ruszyli w zacinającym deszczu.

Jaime narzucił ostre tempo w górę kotliny, w kierunku Hiszpanii, szlakiem wijącym się przez rumowisko sięgających do kolan głazów, które spadły ze stoków kotliny. Mapa nie kłamała; stoki były ostre jak urwisko. Z tyłu Mallory słyszał głos Hugues'a, który gwałtownie klócił się z kimś po francusku. Francuz zaczął martwić Mallory'ego. Przeżycie za liniami nieprzyjaciela zależało od cichego zachowania się, a tymczasem wyglądało na to, iż Hugues'owi daleko do cichości. Mallory zawołał spokojnie:

–Zamknąć się!

Hugues się zamknął. Ludzki wąż się uciszył.

Mallory zwrócił się do Millera:

–O co poszło?

–Rozglądał się za kimś. Za kimś, kogo nie było. Po dziesięciu minutach dno kotliny zwężyło się do stu jardów, a po obu stronach wyrosły pionowe skalne ściany, przewieszane u podstawy, ukryte w atramentowych ciemnościach.

–Tu – odezwał się z ciemności Jaime. Snop światła latarki ukazał ciemne wejście.

Andrea zmaterializował się u boku Mallory'ego.

–Złe miejsce – powiedział.

Jaskinia nie miała innego wyjścia poza prowadzącym do kotliny. A ta była raczej wąwozem niż kotliną. Złe to wyglądało. Jak pułapka.

–Hugues – rzekł Mallory, nie rozglądając się. – Powiedz tym ludziom, że to nie jest dobre. – Obrócił się. – Hugues! Powiedz tym ludziom...

Urwał. Nie było żadnych ludzi. Hugues był samotną ciemną sylwetką na tle bledszej szarości skał.

–Oni odeszli – wyjaśnił.

–Odeszli? – zdziwił się Mallory.

–Poszli poszukać transportu. Poza tym wynikła sprawa... osoby, którą chciałem spotkać, a która się nie zjawiała. Dlatego wdałem się w kłótnię... taką ostrą kłótnię. – Zaczął podnosić głos. – Prawdę mówiąc, ci ludzie to wieśniacy...

–Wystarczy – osadził go Andrea. Hugues przerwał, jakby ktoś nacisnął wyłącznik. Mallory zwrócił się do Andrei i Millera:

–Mamy związane ręce. Musimy mieć transport. Jeśli się stąd ruszymy, zgubią nas.

Musimy zaczekać. Kryć się.

Andrea i Miller już znikali w mroku, zajmując stanowiska nie w jaskini, ale pośród gładów kotliny.

Noc ucichła, jeśli nie liczyć westchnień wiatru, szumu deszczu i sennego pobrząkiwania koziego dzwonka z wnętrza jaskini.

Wszystko jest nie tak – pomyślał Mallory. Zrobiono nam odprawę po łebkach i jesteśmy zależni od partyzanckiej organizacji, która jest całkowicie zdeorganizowana. Wygląda na to, że SAS już wystawiła na szwank naszą akcję. Jeśli nieprzy-

jaciel pojawi się w kotlinie, nie ma innego wyjścia jak obóz dla internowanych w Hiszpanii.

Mallory położył się i wytężył słuch. Łowił odgłosy ponurego deszczu, wiatru i koziego dzwonka...

I jeszcze czegoś. To był odgłos jakiego mechanizmu, ale nie silnika. To był odgłos metalu trącego o metal, obracających się

trybów. Odgłos roweru.

Nagle rozległ się łomot. Stare dźwięki powróciły, a w dali towarzyszył im zgrzyt obracającego się tylnego koła, które

wreszcie zamarło.

Mallory czekał. Wtem usłyszał krótkie, jakby z innego świata pohukiwanie sowy.

Mallory jak dotychczas nie słyszał sów w Pirenejach. Ale było ich sporo na Krecie, gdzie odbywał służbę z Andrea.

Coś poruszyło się na wysokości jego ramienia; coś wielkiego, czamiejszego niż noc.

–Znalazłem – odezwał się Andrea i cisnął coś na żwir obok Mallory'ego, coś, co zaczerpnęło oddechu i zaczęło się krztusić.

Mallory łagodnym ruchem przytknął wylot lufy schmeissera do zagłębienia za uchem tego czegoś i przykazał:

–Cicho.

To coś ucichło.

–Jestem brytyjskim oficerem. Czego chcesz? – spytał Mallory.

–Hugues'a – usłyszał w odpowiedzi.

–Dobry Boże! – westchnął. To coś było kobietą.

Kobieta odzyskała głos. Tłukła Mallory'ego rękami. Była

silna.

–Laissez-moi – powiedziała głosem twardym, pełnym wigoru.

Z ciemności i deszczu dobiegło wołanie Huguesa:

–Bon Dieu!

Mallory zauważył w jego krzyku coś nowego: wstrząs i zachwyty. Usłyszał chaotyczny tupot butów Hugues'a, a potem okrzyk:

–Lisette!

–Hugues! – zawołała kobieta. – C'est bien toi? Hugues złapał ją w objęcia. Strach przepadł. Przepadły wszystkie okropności. Przez całe życie Hugues'a ludzie zabierali mu to, co kochał, z przyczyn, które im wydawały się znakomite, ale dla niego były niepojęte. Zabrano mu rodziców i wysłano go do głupiej angielskiej szkoły. Zabrano mu Mireille i dzieci, bo był sabotażystą. A potem w ruchu oporu poznał Lisette i został jej kochankiem. Kiedy SOE zabrało go na pokładzie łysandra, myślał, że to też koniec z Lisette.

Ale oto była. W jego ramionach. Wielka jak życie, jeśli nie większa.

–Moja kochana – szepnął.

Pocałowała go w policzek, mruzczała pieszczotliwe słowa. Wtem ton jej głosu uległ zmianie. Wydała się rozgorączkowana.

–Merde! – zaklął Hugues tym nowym, zdecydowanym tonem. – Musimy opuścić to miejsce. Natychmiast.

–Kto to jest? – zapytał ze spokojem Mallory.

–Lisette – odpowiedział Hugues. – Przyjaciel. Resistante.

–Czy ona jest tą osobą, którą chciałeś spotkać, a która nie przybyła?

–Tak. To stary przyjaciel. Zna ludzi w tym regionie. To wspaniale, że nas znalazła.

Zrządzenie losu. Mówi, że sześćdziesięciu Niemców jedzie do kotliny.

–Trzy ciężarówki. – Mówiła z silnym akcentem, ale zrozumiale. – Ci, którzy dotarli do Jonzere, powiedzieli, że złapano dwóch z waszego komitetu powitalnego, znaleziono przy nich spadochrony.

–Jak dawno temu?

–Pół godziny – powiedziała Lisette. – Najwyżej. Kazali mi was ostrzec.

Żołądek Mallory'ego skurczył się do rozmiarów orzecha włoskiego. Półtorej godziny we Francji i można powiedzieć, że jest po operacji. Odepchnął tę myśl.

–Jaime! – zawołał. Jaime wyłonił się z nocy.

–Lisette – rzekł bez zdziwienia.

–Bonjour, Jaime.

Mallory w kilku słowach opisał sytuację.

–Musimy iść do Hiszpanii – zdecydował Jaime. – To koniec. Jest po wszystkim.

W wyobraźni Mallory ujrzał żołnierza z plecakiem na grzbiecie, chorobą morską w brzuchu i strachem w duszy, przyciśniętego do stalowej burty statku przez tysiąc innych żołnierzy. I nagle, bez ostrzeżenia coś uderza o tę burtę, miażdży żołnierza jak skorupkę jajka i pieni się zimna zielona kipiela.

Kiedyś Mallory przebywał w małym stalowym pomieszczeniu na okręcie pływającym po Morzu Śródziemnym, sprawdzał granaty. Nagle rozległo się uderzenie. Ktoś powiedział: – "Torpeda", i pomieszczenie zaczęło napełniać się wodą, a cały okręt okrzykami, które szybko zostały zdławione. Mallory był jednym z czterech, którzy przeżyli. Czterech z trzystu.

Jeśli wilcze stado wypłynie nietknięte, będzie tysiąc takich

statków.

–Nie ma żadnej innej drogi? – spytał.

–Żadnej. – Jaime jakby się zawahał. – Poza Chemin des Anges.

–Co to?

–Nic. Koźła perć, nic więcej. Biegnie z Jonzere, z dołu kotliny. Granią, jak te stare drogi. Używali jej pielgrzymi, ludzie z muszelkami przy kapeluszach. Szli tak do

Santiago de Compostela, kiedy w górach byli rozbójnicy. To niebezpieczna droga. Zabiła prawie tylu pielgrzymów, co rozbójnicy.

–Gdzie to?

Na tle ciemnego nieba wydawało się, że Jaime wzruszył ramionami. Wskazał w górę.

–Szczyt wzgórza. Biegnie trzysta metrów nad kotliną. Nad urwiskiem. Potem schodzi na drugi stok i opada do Colbis. W Colbis były gospody dla pielgrzymów. Ale nie możemy iść do Jonzere, żeby wejść na szlak. Jest pełne Niemców...

–Wejdziemy na urwisko – powiedział Mallory, jakby proponował spacer po parku.

Na sekundę zapadła cisza. Przerwał ją Jaime:

–Wejść na Chemin des Anges? To niemożliwe.

–To konieczne – rzekł Mallory.

Chłód w jego głosie na moment uciszył Jaime'a. Lecz po chwili Francuz powiedział:

–Ale ty nie rozumiesz. Nikt nie da rady wejść na to urwisko.

–Tak właśnie pomyślą Niemcy. Miller? Miller przysiadł na głazie. Wiedział, co powie Mallory, dlatego był przygnębiony.

–Taaa?

–Zbierz ludzi. Andrea i ja wdrapiemy się na to urwisko. Zrobimy stanowisko z pełną asekuracją i rzucimy linę. Postaraj się, żeby wszyscy przyszli.

Miller zepchnął z czoła hełm esesmana i spojrzał w górę. Przez chwilę wydawało mu się, że jest w tunelu. Potem, wysoko, chmury drgnęły, pękły i między dwoma skalnymi masami wyłoniła się nitka nieba. Wiatr dął w górę kotliny. Miller nie słyszał ciężarówek. Ciemny kształt, który był Mallorym, zarzucił na ramię zwój liny i podszedł do urwiska. Miller ze znużeniem zebrał Hugues'a i Lisette, Jaime'a oraz Thierry'ego - radiooperatora. W jednym miejscu, pod skałą, zgromadził zapasy, radio i dwie drewniane skrzynki materiałów wybuchowych. Zdawało się, że lita skała wchłonęła Mallory'ego i An-dreę. Grupa na dole skuliła się, chłostana lodowatym deszczem. Z góry z rzadka dobiegało jakieś słowo, dzwonienie młotka lub czekana, tarcie gwoźdźca w podeszwie buta o skałę. Te dźwięki szybko oddaliły się wyżej. Cholerne ludzkie muchy – pomyślał ponuro Miller. On sam nie miał ssawek na stopach i nie planował wyhodowania sobie czegoś takiego. Wstał, odbezpieczył schmeissera i

zszedł w deszczu pięćdziesiąt stóp w dół kotliny. Ktoś musiał stanąć na warcie, a jedyną osobą, której Miller tu ufał, był Miller.

Wpadniesz w złe towarzystwo i co cię czeka?

–Powiem ci, co cię czeka – mruknął do siebie, siadając w stworzonym przez naturę kamiennym fotelu i przygotowując się na pierwszego z sześćdziesięciu Niemców, którzy wychyli nos zza skały.

Kłopoty.

Były takie chwile w życiu Mallory'ego, kiedy z przyjemnością walczył w ciemnościach z niezgorszym kawałkiem wapiennej skały. Może w chłodny poranek w wąwozie Alp Południowych, kiedy wstało się o pierwszej w nocy, a gwiazdy statecznie błyszcząły srebrem między śnieżnymi górskimi szczytami.

To nie była żadna z tych chwil.

To była pionowa skalna płyta, ledwie widoczna w ciemności. To była wspinaczka brajlem, obmacywanie palcami i podeszwami butów gładkiej powierzchni, szukanie zagłębień i wybrzuszeń, wbijanie czekana w pęknięcia szerokie na włos, balansowanie czubkiem buta na oparciu wąskim jak gęsie pióro.

Ale Mallory wiedział, że jest większa zachęta do wspinania się po pionowej skale niż osiągnięcie białego Olimpu wysokich szczytów. To pragnienie uwolnienia siebie i swoich towarzyszy od trzech ciężarówek Niemców.

Więc Mallory wspinał się po ociekającej wodą ścianie, aż zerwał paznokcie, szczypiący pot zalał mu oczy, a oddech zarzęził w przepalonym papierosami gardle. I po pięćdziesięciu stopach znalazł komin.

To był przyjemny komin, krawędź wielkiej płaszczyzny skalnej, która za kilkaset lat oderwie się od ściany i ześlizgnie do wąwozu. Mallory zrobił stanowisko, zawołał Andreę i ruszył w górę komina, jakby wchodził po schodach.

Początkowo komin szedł prosto w górę. Po trzydziestu stopach zaczął wykręcać w lewo. Wtem nagle okazał się zablokowany wielkim głazem, który stoczył się ze ściany i utknął. Głaz tworzył gładką półkę, okoloną z obu stron kamiennymi skarpami i niewidoczną z dołu. To było więcej, niż Mallory śmiał marzyć. Pięćdziesięciu ludzi mogło się tu ukryć, podczas gdy Niemcy przetoczą się kotliną i rozplaszczą sobie nos o hiszpańską granicę. Po czym dojdą do wniosku, że "Sztorm" uciekł...

Mallory poczuł coś, co jeszcze niedawno nie mieściło mu się w głowie.

Nadzieję.

Nie mów hop, dopóki...

Jaime pojawił się pierwszy Niósł obszerną, kanciastą skrzynię z radiostacją. Jaime był przydatny w górach. Po chwili zjawił się Andrea, niosąc drugą linę.

–Wszyscy u podstawy komina – zgłosił. – Ekwipunek też.

–Dobrze – powiedział Mallory. Zaasekurował linę i rzucił drugi koniec w dół.

Teraz, kiedy były dwie liny, wszystko potoczyło się szybciej. Thierry pojawił się przy pierwszej, sapiący, ciężko wystraszony, ze słomianym kapeluszem wciśniętym na czoło. Wejście drugą liną zabrało więcej czasu.

–To ta kobieta – powiedział Andrea. – Nie ma siły w rękach.

Mallory ujrzał, jak szerokie plecy Andrei zarysowują się na tle nieba, gdy schylił się po linę. To była duża kobieta; we Francji czasów wojny było niewiele tłustych ludzi, ale ona do nich należała. Musiała ważyć ponad sto czterdzieści funtów. Lecz Andrea wciągnął ją jak torebkę cukru, postawił na nogach i zdjął jej z pleców ładunek.

–Merci – powiedziała.

Białe zęby Andrei błysnęły pod wąsami. Ten grecki gigant miał uśmiech muszkietera. Nawet teraz, gdy deszcz zacinał ostro, a Niemcy byli w dolinie, Lisette poczuła się osłonięta peleryną uprzejmości i zrozumienia. Andrea skłonił się jak przed damą w Wersalu, a nie bezkształtnym tobołem na skalnej półce. Potem znowu rzucił linę w dół.

Pojawił się Hugues, tak zdyszany, że nie miał siły narzekać, i podszedł do Lisette. Mallory przeżył chwilę dokuczliwego niepokoju. Priorytetem Hugues'a powinna być operacja, nie ukochana. Mallory niewiele wiedział o tej kobiecie. I o Hugues'^ Na razie, jeśli jej informacje były prawdziwe, uratowała im skórę. Ale jeśli nie myliło go przeczucie, zapowiadało się, że Lisette będzie czynnikiem rozpraszającym uwagę. A w tej operacji nie mogło być mowy o żadnej podzielności uwagi. W tej operacji był tylko jeden priorytet: znaleźć i zniszczyć wilcze stado.

Należało mieć oko na Hugues'a.

Mallory odwrócił się i wciągnął skrzynię materiałów wybu-

chowy ch i kilka pakunków. Deszcz stawał się jeszcze zimniej -szy, przechodził w gradowe drobinki. Mallory wiedział, że niebawem zacznie padać śnieg. Ręce miał popękane i obolałe, plaster odpadł z otwierających się ran. Bóg tylko wiedział, co musiał czuć Andrea. Ale ekwipunek wciągnięto, ułożono na krawędzi głazu i Miller był w drodze, lecz jeszcze bez liny. Należało mu ją rzucić; Miller nie był wspinaczem.

Wiatr zajęczał i zamarł.

–Słuchaj – odezwał się Andrea.

W ostrym, przepelnionym śniegiem powietrzu pojawił się nowy dźwięk: pracujące silniki ciężarówek.

Przez całe czterdzieści stóp od podstawy skały Miller miał wrażenie, że pusta przestrzeń ściąga go w dół. Wiatr był lodowaty, ale pod mundurem Millera lała się Niagara gorącego potu. Kolana miał jak z waty, dłonie mu się trzęsły – ostatecznie wychował się na równinach Środkowego Zachodu. Chwył po chwycie, nie dwa naraz – powtarzał sobie. Nie patrz w dół. Nie myśl o płaskiej ścianie pod stopami...

Poklepał skałę nad głową, szukając występów i rozpadlin. Mallory musiał coś znaleźć. Ale Miller równie dobrze mógłby wspinać się po szybie. Obie liny były zajęte...

Pospieszcie się, proszę – pomyślał uprzejmie. Czterdzieści stóp niżej działy się różne rzeczy. Wiatr przyniósł z kotliny ostrą woń spalin. Miller spojrzał w górę.

Zimny, zmieszany ze śniegiem deszcz chłostał twarz. Miller widział tylko, że skała jest czarna i świecąca, a komin czarną smugą wznosi się do blokującego go głazu. Miller widział Mallory'ego w kominie, ramionami wspartego o jedną ścianę, piętami o przeciwległą, pnącego się z nieczułą na ziemskie przyciąganie płynnością. Nogi i ręce Millera były za wątłe na takie wyczyny, a korpus pragnął przykleić się do skały, nie rozsiać się nad pustką, jak to zrobił Mallory, który użyczał ciężaru całego ciała tam, gdzie to było potrzebne, palcom rąk i nóg...

Bez liny nie było jak się dostać do komina.

Wcisnął twarz w skałę. Ziemny zapach mokrego kamienia

wypełnił nozdrza. Ściana się rozjaśniła. To reflektory samochodowe pojawiły się w dole kotliny.

Znowu poszukał rękami. Ściana była szorstka, ale nie dawała żadnego punktu zaczepienia. Chyba że było się ludzką muchą, jak Mallory. Nie da rady pójść w górę – pomyślał Miller. Nie da rady zejść w dół. Więc po prostu stój, trzymaj się i nie słuchaj tego głosu w głowie, który każe ci krzyczeć, wrzeszczeć, odchylić się łagodnie w tył i skoczyć w pustkę.

Światła pojawiły się pod stopami i wąż zakipiał hałasem pracujących silników. Głos z góry oznajmił:

–Lina jedzie!

Ciężarówki były dokładnie pod nim. Po warkocie silników odgadł, że poruszają się wolnym, spacerowym tempem. Szukają. Nikt nie będzie gapił się w górę. Jest znakomicie. Nikt nigdy nie gapi się w górę. Szczególnie na nagie urwisko.

Nawet Niemcy. Choćby byli nie wiem jak staranni.

Oby!

Lina ostrożnie otarła się o jego twarz. Miller cicho, uprzejmie podziękował. Potem uchwycił ją w dłonie i zaczął wspinaczkę.

–Już wchodzi – powiedział Andrea swoim miękkim, niewzruszonym głosem.

Stali w głębi półki, jaką tworzył kamień blokujący komin. Jej skraj był teraz horyzontem oświetlonym z dołu przez blask reflektorów ciężarówek. Na skraju było coś kanciastego, równobocznego. Radiostacja.

–Weź – rozkazał Mallory Thierry'emu.

Thierry, szurając butami, ruszył naprzód, jego potężne ciało zarysowało się na tle świateł. Jest zmęczony – pomyślał Mallory. Zmęczony, wystraszony, w mokrym słomkowym kapeluszu,

Gdyby sam był mniej zmęczony, może zapobiegłby temu, co się wydarzyło.

Thierry złapał radiostację i zarzucił ją na ramię. Obracając się, zahaczył o coś butem. Mogła to być kępka mchu albo. trawy, ale akurat trafił na spory kamień. Kamień, który spadł poza skraj półki.

Ze świstem przemknął obok głowy Dusty'ego Millera.

U podstawy komina odbił się. Wprawił w ruch sporych rozmiarów głaz. Zanim dotarł do dna kotliny, towarzyszyła mu mała lawina. Z łoskotem wylądowała piętnaście stóp na prawo od drugiej ciężarówki konwoju. Kamyczki sieknęły w drzwi szoferki od strony pasażera.

Ciężarówka zatrzymała się. Szperacz na dachu zakreślił biały świetlny dysk, ślizgający się po czarnej pionowej ścianie.

Miller był piętnaście stóp od celu, spocony, zdyszany. Złapał się ręką liny. Podciągnij się, odpychając stopami. Złapał się drugą ręką liny. Z dołu rozległy się krzyki. Złapał się pierwszą ręką. Ręce były szarymi pajakami na tle urwiska. Mogłyby należeć do kogoś innego, gdyby nie ten ból i ciężkie bicie serca.

I nagle jedna z nich nie była szara, ale rozbłysła wyzywająco kolorem ciała i każda

nitka liny zarysowała się z mikroskopijną dokładnością. A Miller był cimą wijącą się na szpilce szperacza.

Zagrzechotał karabin, potem drugi. Odłamki skały ukłuły go w twarz. Po plecach przeszły mu ciarki, kiedy tak czekał na kule. Jeszcze dziesięć stóp do przejścia. Równie dobrze mogłoby być dziesięć mil.

Ale z góry rozległa się seria z automatu i szperacz znikł, a lina w rękach Millera nagle ożyła, pobiegła wzwyż jak wyciąg narciarski. Kiedy zadarł głowę do góry, ujrział potężne kształty, niewyraźne na tle skały, i pracujące ramiona. Andrea.

Greki wyciągnął Millera ostatnie dziesięć stóp, jakby ważył dwieście uncji, a nie funtów. Miller rozpląszczył się na półce, szukając osłony, przetoczył się, zerwał z ramienia schmeissera. Kłopoty – pomyślał. Nie jestem cholerną ludzką muchą, w wyniku czego siedzimy w kłopotach po szyję i zanurzamy się głębiej.

Skały za głazem były brylantowobiałe. W ich świetle widział Andreę, jak przeładowywał brena.

–Dam wam osłonę – powiedział Andrea spokojnym głosem pana sytuacji. – Granaty?

Miller i Mallory wyjęli z ładownic po dwa granaty i odciągnęli zawlecзки.

–Dwa, trzy – odliczył Mallory. – Rzuć!

Zapanowała cisza, przerywana tylko metalicznym grze-

chotem granatów spadających w dół skały, dwa po prawej, dwa po lewej. Świat jakby wstrzymał oddech. Ustawią moździerz tam na dole, zrobią stanowiska ogniowe, wezwą wsparcie przez radio. Chociaż w takim wąwozie odbiór radiowy będzie straszny...

Wtem noc zmieniła się w oślepiający blaskiem dzień, rozzwoniły się cztery wybuchy i zlały w jeden, po którym nastąpiła potężniejsza eksplozja. Andrea podczołgał się do skraju półki. Światła zgasły. Pojawiło się nowe: pomarańczowo-czarne. Płonęła ciężarówka. Strzelanina uspokoiła się, a potem zaczęła na nowo.

–Dajcie nam przez dziesięć minut osłonę – polecił Mallory. – Spotkamy się na szczycie.

Głowa Andrei odcinała się ciemną plamą na tle pomarańczowych błysków płonącej benzyny. Plama kiwnęła potakująco. Przez chwilę potężne ramiona z przewieszonym brenem pokazały się na tle nieba. Pięciu pozostałych mężczyzn i Lisette zebrali pakunki.

–Jest ścieżka – powiedział Jaime głosem, w którym nie było lęku. – Trochę wyżej.

–Miller – rzekł Mallory. – Te ciężarówki nie mogą wrócić. Ani dostać się tam, gdzie miałyby dobrą łączność radiową. Potrafisz coś wymyślić?

Amerikanin wzruszył ramionami.

–Jest na to stary szkolny sposób.

Zanurzył już ręce w okutej mosiądzem skrzynce. Znalazł pierwszą z pięciu funtowych cegiełek plastiku, położył ją na skale, zamknął pierwszą skrzynkę i otworzył drugą. Była grubo wyłożona filcem. Pomagając sobie latarką wyjętą z kieszeni na piersiach skafandra, wybrał zielony zapalnik czasowy z trzydziestosekundowym opóźnieniem. Delikatnie wcisnął zapalnik w spłonkę i spojrzał na fosforyzowane cyferki tarczy zegarka. Złamał zapalnik, ziewnął i starannie zapalił papierosa. Nim schował zapalniczkę do kieszeni, minęło dwadzieścia pięć sekund. Wziął cegielkę w obie dłonie i rzucił na pojazdy w dole.

Miller naprawdę nie cierpiał wysokości. Ale miłe, bezpiecz-

ne materiały wybuchowe to było znajome terytorium. To rozkosz znowu tam wrócić.

Przez moment, długi na jeden oddech, panowały ciemność i cisza. Tylko krzyki Niemców unosiły się z kotliny. Towarzyszyło temu drapanie metalu o skałę, ustawianie moździerzy. Wtem noc stała się biała, bielsza niż szperacze, podmuch cisnął Mallory'ego o skałę, a metaliczny łoskot sprawił, że bębrenki uszne zderzyły się ze sobą w środku głowy.

–Idziemy – rozkazał Mallory. Własny głos wydawał mu się cichy i daleki, zagłuszony dzwonieniem w uszach.

Ludzki wąż zarysował się na skale: Mallory na czele, potem Jaime, Lisette i Hugues. Miller zamykał tyły. Andrea wspiął się po skale pochylonej pod kątem czterdziestu pięciu stopni, aż znalazł inny gład. Tam zatrzymał się, rozłożył dwójnog brena i postawił go na skale.

Płomienie nadal gorzały w kotlinie. Rzucały zmienne światło na poszarpane skały, powykręcany metal i wiele nieruchomych ciał ubranych w połowę szarość. Były tam trzy ciężarówki. Dwie płonęły. Ostatnia leżała jak żuk przygnieciony wielką kamienną płytą, oderwaną od ściany wąwozu siłą eksplozji. W głębi trzy szare figurki spoczywały rozciągnięte na kamieniach obok czegoś, co kiedyś było moździerzem.

Jedna z nich się poruszyła.

Andrea przyłożył brena do ramienia i nacisnął spust. Ciężkie dudnienie peemu

przetoczyło się echem po skałach. Szara figurka przewróciła się na plecy i nie poruszyła więcej.

Wróciła cisza, przerywana tylko jękiem wiatru i stukaniem deszczu ze śniegiem o skałę.

Andrea obserwował przez pięć minut, cierpliwie, nie zważając na lodowatą wilgoć przenikającą skafander i battiedress.

Nic się nie poruszyło. Na ile potrafił to ocenić, radiostacje były zniszczone i nikt nie przeżył. Ale, oczywiście, ktoś musiał przeżyć. Andrea nie miał nic przeciwko temu, by zejść na dół i poderżnąć mu gardło. Tyle że gdyby to zrobił, nie dałby rady dołączyć do głównej grupy.

Zastanawiał się nad tym ze spokojem właściciela winnicy podejmującego decyzję, którego dnia rozpocząć zbiór: być

może dzisiaj jest zbyt mało cukru, ale jeśli zaczeka do jutra, może spaść deszcz...

Naturalnie, Niemcy przyjmą założenie, że pluton, który ich zaatakował, udał się do Hiszpanii.

Andrea po raz ostatni spojrzął na płomień, metal i ciała. Nie czuł żadnych emocji. Partyzantka to była robota, robota, w której był ekspertem. Jego siła i inteligencja były bronią w służbie jego towarzyszy i sprzymierzeńców jego kraju. Zabijanie niemieckich żołnierzy nie sprawiało mu przyjemności. Ale jeśli stanowiło część tej roboty, był gotów zabijać, i to zabijać umiejętnie.

Miał wrażenie, że to, co się tu stało, było dobrym kawałkiem roboty.

Zarzucił breń na ramię i ruszył pośpiesznie w górę stromego wzniesienia. Zaczął padać śnieg.

To był mokry śnieg. Płatki wielkości spodków lądowały z lodowatym pacnięciem na skórze, ubraniu lub metalu i natychmiast topniały. Wpadały do butów i za kołnierze, a rozpuszczając się, o dziwo, stawały się jeszcze zimniejsze. Nie minęło dziesięć minut, a cały zespół był przemoczony do suchej nitki. I przez, jak się wydawało, nieskończoność świat ograniczał się do chrapliwych oddechów, bicia serc, tarcia przemoczonych lodowatych butów o stopy, gdy w przenikliwie chłodnej czerni uparcie pokonywali stromy stok. Millera dręczył niepokój. Zapytał Andreę:

–Co myślisz?

Andrea wiedział, do czego odnosi się pytanie.

–Będą uważali, że poszliśmy do Hiszpanii.

–Może.

–I wyślą patrole, na wypadek, gdybyśmy nie poszli do Hiszpanii.

–Właśnie.

Noga za nogą. Tłukące się w piersiach serca. Obolałe stopy. Wkrótce trzeba będzie się zatrzymać. Muszą zjeść i się ogrzać. Tymczasem oddalali się od jedzenia i ciepła, szli w górę. W nieznane. Gdzie, jak ich zapewniono, będzie czekał Jules, w jakimś ciepłym i suchym miejscu. Jak zapewniła ich Lisette.

Mallory był zmuszony polegać na ludziach, których nie znał. To przyprawiało go o zdenerwowanie.

–Lepiej pilnujmy tyłów, na wypadek gdyby ktoś odpadł -powiedział cicho.

Andrea zrobił krok w bok. Minęli go Jaime, Miller, Thierry. Potem – po długiej, zbyt długiej przerwie – Hugues i Lisette. Hugues pochylał się nad kobietą, zapewne w połowie ją niósł. Ich kształty były dziwnie nieforemne na białym śniegu, jak jakiegoś widmowego zwierzęcia. Andrea słyszał oddech Hugues'a.

–W porządku? – spytał.

–Oczywiście – rzekł Francuz głosem, którego rozradowania nie mogło zatrzeć nawet wyczerpanie.

Andrea zdziwił się, lecz dołączył do szeregu i ruszył w górę. Wydawało się, że trwa to wieczność, ale naprawdę minęło

niewiele ponad godzinę, gdy Jaime chrząknął z satysfakcją

i powiedział:

–Yoild!

Od jakiegoś czasu teren wznosił się mniej stromo. Między śnieżnymi płatkami Mallory dojrzał srebrną śnieżną linię na tle czarnoolowianego nieba. Grzbiet. Między nim i wspinaczami był jakby wąski występ skalny, biegnący skosem w górę. Jego obrzeże łagodziła sześciocalowa warstwa śniegu. Jaime zgarnął nogą śnieg i ukazał się chodnik z nieforemnie obrobionego kamienia.

–Chemin des Anges – powiedział. – Stąd już łatwo. Ścieżka była nietrudna do przejścia, szła granią, omijała żleby, od których Miller uciekał wzrokiem. Wspięli się na grzbiet.

Teraz brak wysiłku sprawił, że poczuli chłód przemoczonych ubrań. Zatrzymali się, by Lisette i Hugues mogli dogonić grupę. Mallory wyjął z przemoczonej kieszeni owinięte w ceratę papierosy i poczęstował Millera. W błysku zapalniczki pokazały się wyostrzone rysy twarzy. Zbliżyli się Lisette i Hugues.

–Lisette musi coś zjeść – powiedział Hugues. – Odpocząć, ogrzać się...

–Nie mów głupstw – przerwała mu kobieta słabym, ale zdecydowanym głosem.

–Ale, kochanie...

–Nie wyjeżdżaj mi z "kochanie". Możemy iść dalej? Mallory się nie odezwał. Można było podziwiać ducha tej kobiety. Ale niezbyt dawało się podziwiać szybkość, z jaką się poruszała. Za wolno – pomyślał Mallory. Wszystko działo się za wolno, a tu trzeba pokonać cholerny dystans, zanim znajdą się choćby na linii startu.

Zegarek wskazywał drugą zero zero.

–Ile jeszcze? – spytał Jaime'a.

–Dwie godziny. Cały czas w dół. Stok nie jest już taki zły. Mallory słyszał, jak Hugues'owi szczękają zęby. Tu, na górze, wiał przenikliwy lodowaty wiatr, a śnieg był zimniej szy.

–Wcześniej jest jakieś schronienie?

–Za dziesięć minut. Wiata pasterska. Będzie pusta.

–Dzięki Bogu.

Wiata miała dach, trzy ściany i zrzędzeniem opatrności była odwrócona tyłem do wiatru. Klepisko pokrywała ściółka zmieszana z nawozem, ale sucha i po śniegu tak wspaniała jak turecki dywan. Zagrzebani w brudnej słomie, palili papierosy i własnym ciepłem rozgrzewali przemoczone ubrania. Jaime wyjął butelkę koniaku. Lisette była na wpół ukryta w słomie obok Hugues'a. Kiedy Mallory zaświecił jej w twarz latarką, zobaczył, że jest bez życia, szara. Wziął koniak z dłoni Thierry'ego i podał go Lisette.

–Masz – powiedział.

Zęby kobiety zaszczekały na szyjce butelki. Zakaszłała. Kiedy wreszcie odzyskała głos, wychrypiła:

–Dziękuję.

–Dobrze, że nas znalazłaś – rzekł Mallory.

–Miłość – oświadczył Hugues. – To była potęga miłości. Szósty zmysł...

–Poza tym było jeszcze trochę czegoś innego – rzekła sucho. – Hugues, opanuj się.

–Tak. – Mallory był pełen uznania dla jej twardości. – Więc jak ci się to udało?

Pokręciła głową. Miała takie dreszcze, że drżała słoma, na której leżała.

–Oni gadali, partyzanci. Jednego z nich znałam. Powiedział, że w informacji radiowej zapowiadającej wasz zrzut była mowa o dostarczeniu pieniędzy. Nie wiem, czy to prawda. Zmówili się z niemieckim oficerem. Tu, w górach, niektórzy Niemcy są zdemoralizowani. I oczywiście partyzanci też; część z nich to zwykli bandyci. Niemiec miał was zabić. Potem miał im przekazać pieniądze i dostać medal, tak sądzę. – Jej zęby zaśniły w bladej poświacie śniegu. – Widziałam, jak wrócili ostrzec tego oficera. Wiedziałam, skąd przyszli. Więc wsiadłam na rower i przewróciłam się w odpowiednim miejscu. I nie udało się tym świniom.

–Dzięki Bogu – wtrącił z zapalem Hugues. Mallory przyłapał się na tym, że się uśmiecha.

–Dziękuję ci – powiedział.

Podniósł się mimo protestu zmęczonych kolan. Wyglądało na to, że grupie przybyło wzmocnienie. Dzielne wzmocnienie, choć powolne. Miał nadzieję, że Hugues zapanuje nad swoimi miłosnymi uniesieniami i będzie się zachowywać jak istota myśląca. Zarządził:

–Wymarsz!

Półtorej godziny później Jaime poprowadził ich zaśnieżoną ścieżką wśród drzew nad wioską. Stała tam kolejna, przypominająca stodołę budowla.

Jaime otworzył drzwi i powiedział:

–Zaczekajcie tu.

–Dokąd idziesz? – spytał Mallory.

–Znaleźć przyjaciół. – Było tam palenisko. Jaime wyjął zapalki, zapalił trzaski, dorzucił drewna. – Odetchnijcie. Wysuszcie się. – Cienie krzaczastych brwi ukrywały oczy.

Mallory spojrzał na Andreę. Nie podobało mu się to. I był przekonany, że Andrei też się to nie podoba. Ale nic nie mógł na to poradzić.

Jaime znikł w ciemnościach nocy. Lisette osunęła się przed paleniskiem i zaczęła

zzuwać buty.

–Na dwór! – rozkazał Mallory. Spojrzała na niego, jakby oszalał.

–A jeśli Jaime wróci z niemieckim patrolem? – rzekł Mallory.

–Mais non – zaprotestował Thierry.

–Jaime? – powiedziała Lisette. – Nigdy. On nienawidzi Niemców.

Twarz Hugues'a była zaróżowiona, był zdenerwowany.

–Skąd wiesz? Skąd ktokolwiek wie? Niemcy zjawili się w miejscu zrzutu po półgodzinie. Ktoś nas zdradził...

–Powiedziałam wam, co się stało – przerwała mu Lisette. – Teraz, na litość boską...

–Na dwór! – powiedział Hugues.

Coś nowego pojawiło się w twarzy Lisette.

–Non. Non, non, non, non. Ja zostaję.

–Ja też – oświadczył Thierry. Jego twarz pod wielkim kapeluszem miała kolor słoniny.

–Kobiety! – wyrzucił z siebie Hugues.

–To nie dlatego, że jestem kobietą! – powiedziała oschle Lisette. – Znam Jaime'a. I ufam mu.

–Ach, tak! No, proszę...

–Za to ty może bardziej ufasz swoim przyjaciółom. I kiedy Hugues rozejrzył się wokoło, zobaczył, że tam, gdzie stali Mallory, Miller i Andrea, zostały tylko mokre ślady butów.

W lasku Miller leżał, dygocząc, na przemoczonych sosnowych igłach i myślał tęsknie o ciepłym palenisku w stodole. Widział, jak Hugues wypadł, trzaskając drzwiami. Potem nic się nie działo, poza tym, że lodowata woda kapiała za kołnierz i woń zgniłych igieł sosnowych wierciła w nosie.

Po półgodzinie deszcz ustał. W ciszy słyhać było kapanie kropel. A oprócz niego rżenie i grzechot silnika. Jakaś ciężarówka bez świateł wyłoniła się zza zakrętu. Miller namierzył szoferkę ze schmeissera. O ile potrafił to ocenić, ciężarówka była mała i nieniemiecka. Wysiadło z niej trzech mężczyzn.

-UAmiral Beaufort! – zawołał czyjś głos.

–Vive la France! – dodał ktoś inny.

Drzwi stodoły otworzyły się i zamknęły.

Mallory zobaczył, jak Hugues wychodzi z krzaków, w których się ukrywał, i podchodzi do stodoły. Wyglądało na to, że zna tych ludzi. Na tym obszarze znał wszystkich. Więc Mallory podniósł się i wszedł do środka.

Mężczyźni, których przyprowadził Jaime, mieli sumiaste wąsy i nosili wielkie, opadające na oczy berety. Mieli dubeltówki. Dwaj z nich pytlowali z Hugiem szybką francuszczyzną. Cholera, wyglądają na za bardzo zadowolonych z siebie -pomyślał Mallory.

–W wiosce nie ma Niemców – powiedział Jaime. – Ale zrobił się mały klops. Wygląda na to, że Jules miał wypadek. Fatalny wypadek, jak mi mówią. Wczoraj w nocy zastrzelono go w Jonzere.

Mallory wbił w niego wzrok.

–Jak?

–Przez nadmiar entuzjazmu – wyjaśnił Jaime.

Hugues przerwał rozmowę i odwrócił się do Mallory'ego.

–Lub, prawdę mówiąc, z powodu zamieszania. Jaime wzruszył ramionami.

–Partyzanci usłyszeli, że wylądowaliśmy. Uznano, że jest nas pułk, bo z niemieckiego patrolu w wąwozie przeżyło tylko dwóch. Jules dowiedział się o tym wszystkim i poszedł do Jonzere uchronić te wszystkie gorące głowy przed wystrzelaniem przez Niemców. Ale było za późno. Oni pukali do Niemców, Niemcy do nich i gorące głowy wystrzelano. A jakże. Jules zginął razem z nimi.

Hugues wypuścił głośno powietrze na znak dezaprobaty.

–Na północy coś takiego jest nie do pomyślenia. Ci górale za bardzo się gorączkują i za mało myślą.

To Jules znał człowieka, który wiedział, gdzie jest remontowane wilcze stado. Bez Jules'a łańcuch był zerwany.

–Więc jak mamy kontynuować tę operację? – spytał Mallory z łagodnością, której nie czuł.

–Marcel ma dla was niespodziankę w Colbis – rzekł Jaime z taką miną, jakby nie pochwalał niespodzianek.

–Marcel piekarz? – spytał Hugues.

–Właśnie on.

Hugues z aprobatą pokiwał głową.

–Dobry człowiek.

Mallory miał wrażenie, że przysłuchuje się plotkom o ludziach, których nie zna.

–Potrzebuję informacji o wilczym stadzie, nie chleba.

–Voila – rzucił Jaime. – Marcel zaprasza na śniadanie w... w swoim barze. Potem zapewni wam transport tam, dokąd chcecie się dostać. Pewnie się ucieszycie na wiadomość, że ma Anglika, który może dysponować informacjami.

Może – pomyślał Mallory. Tylko może. Wydał długie, zrezygnowane westchnienie.

–To rozumiem! – wtrącił się Miller, przysuwając się do ognia. – A tancereczki?

–Może znajdą się i tancereczki.

–Śniadanie to znakomity pomysł – rzekł Amerykanin. Mallory gestem wezwał Jaime'a. Mężczyźni w beretach szli za nim jak przyklejeni.

–Czemu w wiosce nie ma Niemców? Jeden z przybyłych uśmiechnął się szeroko i szybko coś powiedział. Jaime przetłumaczył:

–Bo wszyscy są w Jonzere. Najpierw była walka. Teraz usiłują złapać pewnych bandytów, zanim przedostaną się do Hiszpanii. – Nastąpiła wymiana zdań w dziwnym języku. Mallory uznał, że to baskijski. – Ten człowiek mówi, że była bitwa. Wielu ludzi zabito. Może nastąpić odwet. Mówi się, że w górach jest armia aliantów. W następnej kotlinie.

Mallory uniósł brwi.

–Armia – powtórzył. W trzy minuty od pułku do armii.

–Tak – powiedział Jaime. Światło pochodni ukazywało poważną minę. – I mówią, iż mamy szczęście, że nie zostaliśmy w to wplątani, kiedy jest nas tak niewielu, a do tego z kobietą.

Mallory spojrzał ostro na Jaime'a. Czy pojawił się tam cień uśmiechu? Twarz Andrei

była bez wyrazu. On też zauważył ten uśmiech. Wielka głowa wykonała prawie niedostrzegalny ruch.

Przytakiwała. Nagle Mallory poczuł, że rodzi się w nim coś niebezpiecznego. Zaufanie do Jaime'a. Odsunął na bok czułośćkowość.

–Nastawcie dobrze uszu. Jestem wam wdzięczny za propozycję gościny. Ale nie chcę wchodzić do wioski, bez względu na to, czy będzie tam śniadanie, czy nie. Chcę, żeby dostarczono mi tutaj środek transportu, i chcę dostać się na wybrzeże. Im więcej czasu spędzimy w górach, tym większe wyniknie zamieszanie, tym więcej plotek. Chcemy, żeby wszystko odbyło się szybko i po cichu. Nie przepadam za plotkami, odwetami i bitwami. Chcę mieć informację i transport. Jedno i drugie przed świtem. Powiedz to tym ludziom, niech przekażą Marce-lowi.

–Nie wiem... – zaczął Jaime.

–Raz-dwa – przerwał mu Mallory.

Jaime spojrział w nieustępliwie płonące, głęboko osadzone oczy nad długą, nie ogoloną szczęką. Jaime pomyślał o pionowej skale, której nikt nie potrafił pokonać, a pokonanej przez tego mężczyznę; o trzech ciężarówkach spalonych na przełęczy i o wywiedzionej w pole pogoni, która błąkała się pod hiszpańską granicą. To nie mężczyzna, którego rozkazy można by lekceważyć. Być może go nie docenił.

–Bon.

–A teraz... – rzekł Mallory, gdy ludzie w beretach wyszli na dwór – Thierry. Czas zawiadomić tutejszych, że jesteśmy.

Thierry skinął głową. Był wielki, blady i wyczerpany. Jego głowa poruszyła się powoli, jakby kark mu zeszywniał, wielkie szczęki napinały się, jakby coś przeżuwał, luźne źdźbła słomy zakołysały się beztrósco nad pękniętym denkiem kapelusza. Zaczął rozpakowywać radiostację. Miller rozłożył się w kącie na słomie i nucił jazzową melodię. Andrea był rozluźniony, ale blisko dziurki od klucza w drzwiach, przez którą miał oko na wartowników. Mallory oparł głowę o ścianę. Czuł, jak ubranie zaczyna parować przy ogniu.

–Co wiesz o tym Marcelu? – spytał cicho Hugues'a.

–Zastępca Jules'a – wyjaśnił Hugues. – Tu jest dziwna siatka. Zabezpieczenia okropne. Ale to odważni ludzie.

–I można im zaufać? Hugues uśmiechnął się.

–A mamy wybór?

Mallory wciąż słyszał głos Jensena. "Prawdę mówiąc, wydaje się całkiem możliwe, że Niemcy, tak to nazwijmy, będą na was czekać".

Niech cię szlag trafi, Jensen. Co takiego wiesz, a o czym nam nie powiedziałeś?

Znowu padał deszcz, jednostajnie tłukł o dach stodoły. W górach śnieg pokryje ślady. Może się poszczęści. Może zostaną całkowicie przykryte i Niemcy nie będą czekać na ich pluton. Ale Mallory nie wierzył w szczęście.

–Kontakt nawiązany – zgłosił Thierry.

–Przekaz?

–Brak przekazu.

Mallory zamknął oczy. Sen natarczywie dopominał się o swoje prawa. Mimo ognia na kominku Mallory'emu było zimno. Za dwie godziny miał przypomnieć sobie to zimno. Z nostalgiczną tęsknotą. W tej chwili leżał, trzęsąc się, pogrążony w półśnie.

Wtem się ocknął.

Z zewnątrz dobiegał odgłos silnika ciężarówki. Złapał schmeissera i skoczył na równe nogi. Zauważył, że Miller trzymał drzwi na muszce. Andrea znikł. Co...

Drzwi otworzyły się z hałasem. Stanął w nich jakiś mężczyzna. Był niski, gruby, z beretem wielkości salaterki i wąsami sterczącymi jak wronie skrzydła. Małe czarne oczka przebiegły między wylotami luf wymierzonych w niego schmeisserów. Uśmiechnął się szeroko, pokazując wszystkie zęby.

–Panowie! Colbis wita sprzymierzonych przybyłych zza morza. Alors, Amiral Beaufort.

–Kim jesteś? – spytał Mallory.

–Nazywam się Marcel – przedstawił się mężczyzna. – Jestem zachwycony, że mogłem was spotkać. Żałuję tylko, że nocą mieliście drobne kłopoty, o których już słyszałem. – Ukłonił się. – Moje gratulacje. Teraz do ciężarówki! Wkrótce będzie świt i wiele oczu obsługujących wiele języków.

Padał gęsty deszcz. W szarym półświecie sosny wspinały się na stromym stoku ku połąci brudnoszarych chmur. Ciężarówka to był stary dychawiczny citroen napędzany gazem drzewnym. Strzelał kłębamii dymu na placyku przed stodołą.

–Messieurs – powiedział Marcel. – Lokujcie się. Mallory załadował pluton "Sztorm" pod plandekę i wskoczył do szoferki. Marcel wrzucił bieg, i podskakując, ruszyli w

dół wąskiej drogi wijącej się między ociekającymi deszczem drzewami.

–Ale awantura – odezwał się Marcel. – Mówi się, że Niemcy wpadli na armię maquis. No, wspaniale...

–Szukam trzech okrętów podwodnych – wpadł mu w słowo Mallory.

–Naturalnie. I znam człowieka, który was tam zabierze. Musimy teraz do niego jechać. I na śniadanie.

–Człowieka?

–Spokojnie – rzucił Marcel, okrążając dziurę na drodze. Lasek się skończył. Mijali łąki, na których stały brunatne chatki. Przed sobą mieli skupisko domów i półokrągłe sklepienie dzwonnicy kościoła. Żadnego ruchu; było wpół do piątej rano. Ale Mallory'emu nie przypadło to do smaku.

–Dokąd jedziemy?

–Ależ oczywiście na śniadanie. Do wioski.

–Nie do wioski. – Wioski to były pułapki bez wyjścia. W ciągu ostatnich ośmiu godzin Mallory poznał tyle pułapek, że miał ich dość do końca życia.

–W Colbis nie ma Niemców – uspokajał go Marcel. – Nie ma kolaborantów. To ważne, żebyśmy pojechali do wioski. Spotkać tę osobę.

–Kim jest?

–A, to niespodzianka – odparł Marcel z ujmującym uśmiechem.

Mallory powiedział sobie w duchu, że gniewem niczego się tu nie wskóra.

–Wybacz, ale jest bardzo mało czasu. Nie chcę skazywać się na sytuację, z której nie będzie odwrotu.

Marcel spojrzał na niego. Nad rumianymi policzkami błysz-

czały twarde oczy człowieka, który przeszedł swoje, oczy podwładnego, którego dowódcę zabito tej nocy. Mallory poczuł się lepiej.

–Osoby, z którą musicie się spotkać, nie wolno ruszać z miejsca – powiedział Marcel. – Wierz mi.

Mallory poddał się. Nasunął na oczy hełm, sprawdził magazynek i rozsiadł się wygodnie. Powoli, ledwo zipiąc, ciężarówka minęła łąki i wjechała w przeznaczone dla

mulich zaprzęgów, kręte uliczki centrum Colbis.

Był tam rynek, ogrodzony od południa długim kościelnym murem. W środku rosły dwa platany, pod którymi sennie gdały zagrzebane w piasku kury. Było mairie i rząd budynków, w których na pewno były sklepy: rzeźnik, piekarz i towary żelazne. Na rogu rząd wysokich okien ociekających deszczem, a nad nim szyld ze spłowiałym napisem: Cafe Des Sports.

–No, i jesteśmy – oznajmił radośnie Marcel. – Hopla. Buty zagrzechotały na mokrych kocich łbach. Kawiarniane szyby z trawionego szkła odbiły wizerunek grupki cywilów i trzech żołnierzy Waffen SS z ciężkimi plecakami i schmeisse-rami; cywilami mogli być więźniowie. Ten widok mógł sprawić, że odsunięte zasłony zakryły z powrotem okna – chociaż nigdzie nie dało się zauważyć żadnego odsuwania. Niemieckie oddziały okupacyjne w strefie przyfrontowej były znane z przewrażliwienia na punkcie odsuwanych zasłon.

Marcel, uśmiechnięty i posapujący, zaprowadził swoich podopiecznych do kawiarni i wskazał im drogę przez zasłonę z paciorków wiszącą za barem. Okrywała wejście do klatki schodowej. Nozdrza Millera drgnęły.

–Kawa. Prawdziwa kawa.

–Dostarczana z Hiszpanii – wyjaśnił Marcel. – Z seńorita-mi i pomarańczami. Głównie z seńoritami, Teraz na górę.

Miller wszedł na schody. Za nim Mallory. Amerykanin zatrzymał się jak wryty. Palec Mallory'ego spoczął na spuście schmeissera. U szczytu schodów był duży podest, z którego okna rozciągał się widok na rynek. Na podeście stały kanapy i fotele. Wychodziło na niego zbyt wiele drzwi. Ciężka tam zastała woń perfum i nie mytych ciał.

–To burdel – powiedział Miller.

–Więc będziesz czuł się jak u siebie w domu – rzekł Mal-lory.

Szli prawie całą noc. Mallory przemókł do suchej nitki. Miał zdartą skórę na dłoniach i pęcherze na otartych stopach. Chciał znaleźć cel operacji i zrealizować ją do końca, dopóki jeszcze można było mówić o jakiegokolwiek operacji.

A zamiast tego czekało ich śniadanko w domu publicznym.

–Burdel? – zdziwił się Miller. – W takiej dziurze To powinno coś znaczyć. Ale zapach kawy stępił zdolnościumysłowe Millera. Wiedział jedno – musi się napić kawy alboumrze.

Z dworu padało światło, zimne i szare. Ale tu na kredensie stała kawa, chleb, kozi ser i jasny ognisty koniak dla tych, którzy mieli na niego ochotę. Mallory wypił filiżankę kawy i zagadnął Marcela:

–Mówiłeś, że ktoś tu jest. Marcel skinął głową.

–Będzie spał. Jeszcze rożka? Własnego wypieku.

–Obudzimy go.

Marcel wzruszył ramionami i otworzył jedne z drzwi podestu.

Woń potu i perfum wzmogła się. To była sypialnia z brudnymi tapetami w kolorze rózu. Na łóżku mężczyzna w mundurze khaki leżał na plecach jak krzyżowiec na katafalku. Pod rozpiętą w pasie bluzą battiedressu widać było bandaż z rdzawymi plamami. Na fotelu przy łóżku leżał beret z oznaką SAS – uskrzydłony topór.

Mallory spojrzał na gwiazdki epoletu.

–Dzień dobry, poruczniku.

Ranny na łóżku poruszył się i jęknął. Rozchylił do połowy powieki. Skupił wzrok na Mallorym. Ujrzał mężczyznę w czarnym głębokim hełmie i skafandrze Waffen SS, trzymającego schmeissera.

–Ukrywamy się w burdelu – powiedział Miller. – Niektórym to pasuje.

Dłoń mężczyzny podpełzła pod poduszkę. Mallory był szyb-

szy. Jego palce zacisnęły się na metalu. Wyjął spod poduszki samopowtarzalnego browninga.

–Rozluźnij się – doradził.

Porucznik wbił w niego spojrzenie błękitnych oczu szalonego wojownika. Był błąd jak ściana, miał podbite oczy. To z bólu. Był ciężko ranny.

–SOE – przedstawił się Mallory. – Przyszliśmy cię wykupić.

Nie pokazał tego po sobie, ale serce mu zamarło. To musiał być jeden z ludzi kapitana Killigrew. Jeden z tych wymachujących pistoletem chłopców, którzy zostali zrzućeni i pogubili się. Którzy zapewne już narazili na szwank operację. Sprawy

układały się wystarczająco fatalnie bez ранnego porucznika SAS wiszącego kulą u nogi plutonowi "Sztorm". Ciężko ранnego porucznika, sądząc po wyglądzie. Być może dałoby się go przerzucić przez granicę hiszpańską.

–Skąd mam to wiedzieć? – spytał porucznik.

–Admirał Beaufort ci powie – rzekł Mallory. – I pewien niski człowiek, kapitan Killigrew. – Rozpiął skafander. – A to brytyjski battiedress. Jakoś nietaktowne wydawało się noszenie go na dworze.

–Kto wam powiedział, że tu jestem? Marcel...

–Marcel był bardzo dyskretny – rzekł łagodząco Mallory. Powoli mina szalonego wojownika znikła z twarzy ранnego. Pozostało znużenie.

–Killigrew. Tak. Kiedy się tu dostaliście?

–Albemarle'em, tej nocy – wyjaśnił Mallory. Nie było czasu na pogaduszki. – Muszę wiedzieć, co się wam przydarzyło.

–Wylądowaliśmy na kawałku płaskowyżu... niedaleko -odparł porucznik. Wyraźnie skąpił informacji. – Przywieźliśmy dżipa.

Dżipa – pomyślał Mallory. Pełnowymiarowego, autentycznego dżipa. Na spadochronie. Zadziwiająco. Ale taki był styl SAS.

–Jechaliśmy w kierunku wybrzeża. Zasadzka. Inni chłopcy zdrowo dostali. Ja zaliczyłem wstrząs mózgu i kulę w brzuch.

–Jak się to stało? – zapytał Mallory.

–Zjeżdżaliśmy polną drogą. Wtem pojawiły się dwa cekae-my Spandau. Z obu stron drogi. Potem dużo nie pamiętam. Partyzanci mnie tu przywieźli. – Głos mu drżał. To był bardzo młody chłopak.

–Więc wpadliście na posterunek drogowy? – dopytywał się Mallory.

–Posterunek to za duże słowo.

Mallory skinął głową. Dodajcie mi sił – pomyślał. Oto jak w stylu SAS wygląda przejście po cichu posterunków granicznych nieprzyjaciela. Dwa granaty i gaz wbity do podłogi/

–Dokąd jechaliście na wybrzeże?

–To bez znaczenia – odparł porucznik.

To była jego pierwsza operacja. Jak w szkolnej drużynie rugby – liczyła się wygrana i niech szlag trafi koszty. Taktyka drużyny była taktyką drużyny i nikomu nic do niej. Wojna różniła się tylko tą cholerną kulą. Nie pozwalał sobie zbytnio o niej myśleć, by znowu ból go nie przywalił. Czuł ją tam, w dole, jakby miała wymiary piłki krykietowej. I bolała. Ostatnio coraz bardziej... Skupił całą niechęć na tym starcu w mundurze Waffen SS, który wdarł się tutaj, rzucił kilka nazwisk i myślał, że to mu daje prawo do wydobycia wszystkich informacji, przejęcia operacji, zagarnięcia całej chwały. Niech sam wszystkiego poszuka.

Twarz starca była blisko. Miał szerokie czoło i bardzo młode piwne oczy; jak ślepiec starego Brutusa, który uczył łaciny w Shrewsbury i łąził po Alpach w letnie wakacje. Te oczy usuwały rezerwę porucznika tak, jak otwieracz do konserw usuwa wieczko puszki. Starzec pytał:

–Dokąd jechaliście i z kim mieliście się spotkać? Porucznik wezwał na pomoc całą swoją niewątpliwą twardość.

–To nieważne.

Spojrzenie piwnych oczu zaostrzyło się. Starzec powiedział:

–Nie bądź dzieckiem. Zostało niewiele czasu. Porucznik zacisnął zęby. Rozpaczliwie chciał to komuś powiedzieć. Wtedy byłby mniej samotny, a naprawdę był przerażająco samotny. Ale tajemnica to tajemnica.

–Przykro mi. Ja... ja nie mam na to pozwolenia. Mallory zmierzył go wzrokiem. Był naprawdę absurdalnie młody. Jego odwaga – gorączkowa i uparta – była tylko odwagą szaleńca. W szponach gestapo pękłby jak gałązka.

Mallory westchnął w duchu. Wstał, otworzył drzwi i wystawił z nich głowę. Wyglądało na to, że przerywa przyjęcie.

–Andrea! – zawołał cicho.

Wielki Grek miękkiem krokiem ruszył z fotela, z którego obserwował rynek. Jego bary zasłoniły światło w pokoiku.

–Jeśli nie chcesz powiedzieć mnie, powiedz pułkownikowi – rzekł Mallory.

Porucznik SAS zmarszczył brwi. Nie widział żadnego pułkownika. Widział nie ogolonego olbrzyma z wielkimi wąsami. Widział parę czarnych oczu, które rozumiały wszystko, wybaczały wszystko.

–Pułkownikowi? – powtórzył.

–Andrea jest pułkownikiem armii greckiej.

–Skąd mam wiedzieć, że to nie następne cholerne kłamstwo?

Andrea usiadł na różowym pluszowym fotelu. Nagle porucznik poczuł się słaby, chory i tak, jakby miał czternaście lat.

–Boisz się – powiedział Andrea.

–Za cholere się nie boję – odparował porucznik. Ale gdy tylko Andrea się odezwał, ranny poczuł, jak opuszcza go cały duch zespołowy, całe to wojownicze i buńczuczne nastawienie. Zobaczył siebie takim, jakim był... rannym chłopakiem, który może umrzeć w zapłutym pokoju. Sam.

–Nie umierania – sprostował Andrea. – Ale samego siebie, tego, że zawiedziesz. Ja też się tego boję, przez cały czas. Więc nie mogę sobie na to pozwolić, żeby zawieść.

Nie przemawiał jak żaden pułkownik, którego porucznik kiedykolwiek słyszał. Przemawiał jak człowiek pełen ciepła i zdrowego rozsądku, jak przyjaciel. Bądź ostrożny – radził jakiś głos w głowie porucznika. Ale to był cichy głosik, szybko gasł.

Oczy Andrei rozjaśniły się na widok prowizorycznego drewnianego szczudła – kawałka kija z topornie wystruganą podpórką dopasowaną do pachy.

–Twoje?

–Zamierzam go używać – powiedział żołnierz SAS. – Całkiem sprawnie mogę się poruszać. – To nie było czyste kłamstwo. Potrafił się poruszać. Tylko kiedy to robił, czuł, jak ten kawałek metalu w brzuchu drga i robi mu krzywdę. Ale nie w tym rzecz. Rzecz w tym, żeby dalej walczyć. – Za kilka dni pójdę w góry.

–Czemu nie pójdziesz z nami? – spytał taktownie Andrea. Ten chłopak i jego szczudło nie wytrzymałyby w górach godziny. – Zabierzemy cię ze sobą. I ty, ja, Miller i Mallory skończymy tę operację.

Wzrok rannego powrócił do pierwszego mężczyzny, tego chudego.

–Mallory? – powiedział. Ujrzał pierwsze strony gazet przybite do tablicy ogłoszeń. Na tych stronach widniały zdjęcia tego mężczyzny z piramidami pokrytych śniegiem skał w tle. Ten Mallory. Podjął decyzję.

–Jules mi powiedział. Guy Jamalartegui. W Cafe de L'ocean w St-Jean-de-Luz. Przekazalibyśmy wam. Ale... było bardzo dużo niemieckiej łączności. Mieliśmy nakazaną ciszę radiową. Chyba że w sytuacji awaryjnej. Szkopy są bardzo szybkie.

Mallory skinął głową. Ruchome radiopelengatory to nie była jedyna przyczyna. SAS lubiła zatrzymywać materiały wywiadowcze dla siebie, zwłaszcza kiedy informacje mogły pomóc Jensenowi i SOE.

–Dziękuję ci – powiedział. – Dziękuję ci bardzo. – Odgłosy zabawy sączyły się przez drzwi. – Dobra. Czy mogę ci zaproponować śniadanie?

Gdy tylko szok zaczął ustępować, Miller się niemal rozbawił. Kawa była niewątpliwie kawą, chleb był jeszcze ciepły, prosto z pieca, i chociaż Miller nie należał do entuzjastów koziego sera, w obecnym nastroju z ochotą zjadłby nawet kozę z rogami. A zanim skończył jeść, zza niektórych drzwi zaczęły dobiegać niedwuznaczne odgłosy. Gdy podano koniak, kieliszek napełniła mu brunetka w czerwonej jedwabnej koszuli

nocnej i Miller uświadomił sobie, że Francja, nawet okupowana, nadal pozostała Francją.

Rozparł się w fotelu, słuchał paplających po francusku i baskijsku maquis i sączył koniak. Wycinek umysłu miał zajęty dziewczyną w czerwieni. Ale głównie skupił się na rynku, kontrolował mrok pod drzewami i rogi placyku. Niebawem oczy wioski zaczną się otwierać, a języki obracać. Dziewczyna pogładziła go po krótko ostrzyżonej czuprynie. Miller uśmiechnął się leniwie, co każdy, kto go nie znał, wzięłby za oznakę zupełnego rozluźnienia. Co w pewnej mierze było zgodne z prawdą. Bo Miller uważał, że przebywanie w tym domu jest okay. Więc było okay. W swoim życiu, które zawierało prawie dziesięć razy więcej wypadków niż życiorys przeciętnego obywatela, nie spotkał człowieka, któremu ufałby bardziej niż temu Nowozelandczykowi.

Francuza nie był tak pewien. Jaime siedział w kącie i trzymał filiżankę kawy. Przynajmniej sprawiał wrażenie, że wie, co w trawie piszczy. Teraz obserwował Hugues'a, który krzątał się zaaferowany, wokół Lisette. Całe życie spędzone w miejscach, w których osobowość liczyła się bardziej niż prawo, nauczyło Millera niesłychanej wrażliwości na ludzkie reakcje. Miller miał nieuchwytnie wrażenie, że Jaime nie darzy Hugues'a zbytnią sympatią.

Sam też miał tu pewne wątpliwości. Jasne, Hugues orientował się w ruchu oporu. Ale był facetem łatwo poddającym się ekscytacji. Dużo zamieszania robi ten facet – pomyślał Miller. I dużo hałasu, za dużo. A Lisette? Jesteśmy na nią skazani. Jest powolna, zbyt ociężała. Ale pokazała, że twarda z niej sztuka.

Jezu!

Zdejmowała ubrania. Miała na sobie płaszcz, dwa szale i kilka jakichś chłopskich fartuchów. Dzięki temu wszystkiemu wyglądała jak piłka na dwóch nogach. Tak

ubrana przejechała na rowerze górską drogą bez światełka, wspięła się po pionowej skale i bez chwili snu potrafiła przejść piętnaście mil wśród przepaści.

Ale Millerowi opadła szczęka nie z powodu tych wyczynów. Chodziło o to, że bez zimowych łańców wyglądała tak samo

jak w nich. Przyznaj sam – pomyślał Miller. Gdybyś był Hu-giem, a Lisette byłaby twoją dziewczyną, to może sam trochę przesadzałbyś z opiekuńczością.

Bo Lisette wyglądała jak gazomierz na dwóch nogach z bardzo prostego powodu – była w ósmym miesiącu ciąży.

Gdzieś rozdzwonił się telefon, uparty dźwięk aparatu na korbkę. Ktoś odebrał go na dole w holu i zaczął gorączkowo wrzeszczeć po baskijsku. Miller kompletnie znieruchomiał, słuchał. Głosy zamilkły. Krakały wrony. Poza tym była cisza.

Ale w tej ciszy rozległy się silniki. Silniki ciężarówek, wielu ciężarówek.

W tym określonym momencie historii we francuskiej strefie przyfrontowej tylko jedna grupa ludzi miała wiele ciężarówek i paliwo do nich.

Miller złapał i przeładował schmeissera. Dziewczyna w czerwonej koszulce nagle znikła. Piekarz Marcel poderwał się na nogi. Uśmiech pozostał na twarzy, która zrobiła się szara i zastygła. Teraz silniki pracowały na rynku: cztery ciężarówki z plandekami na platformach. Pojazdy stanęły. Wysypywali się z nich żołnierze w głębokich hełmach i szarych polowych mundurach; ciężkie buty zgrzytały na mokrych kocich łbach rynku.

Wtoczył się kabriolet. Wsiadł z niego wysoki, ubrany w czarny mundur oficer, powiedział coś i wskazał ciężarówkę Marcela. Dwaj żołnierze przekłuli bagnetami opony. Ciężarówka siadła na felgach.

Gdy Mallory wychylił głowę z pokoju rannego, Andrea wysunął rękę i złapał Marcela za ramię. Marcel był ciężkim mężczyzną, ale choć Andrea trzymał go w wyciągniętej ręce, tamtemu stopy zadyndały w powietrzu.

–Co to za oddział?

Twarz Marcela wyrażała bezbrzeżną grozę.

–Nie wiem... zapewniono mnie... W umyśle Mallory'ego gładko zawirowały trybiki i pojawiła się konkluzja.

–To burdel SS Prawda9

Na twarzy Marcela wykwit! purpurowy rumieniec zażenowania.

–To przykrywka. Dobra przykrywka. Więc, panowie... Andrea go puścił. Marcel pomasaował ramię. Powiedział:

–Proszę, chodźcie za mną.

Jego głos był spokojny i grzeczny; głos idealnego gospodarza. Dziewczęta już sprzątnęły ślady śniadania. Marcel wskazał pokój rannego. Jedna z dziewcząt trzymała otwarte drzwi szafy. Mebel nie miał tylnej ścianki. Zamiast niej były schody prowadzące w ciemność.

Mallory ufał Marcelowi. Ale ktoś ich zdradził.

Kto?

Andrea podszedł z pomocą do porucznika. Ten odepchnął go, sięgnął po szcudło i z jękiem stanął na nogach. Gdy Miller zamykał tyły, słyszał łomot kolb karabinów o drzwi wejściowe baru.

Kolejne szczury w kolejnej pułapce – pomyślał. Wszystko dla filiżanki kawy i dziewczyny w czerwonej koszulce.

Ale jak już o tym mowa, to kawa chyba była tego warta.

Drzwi szafy zamknęły się z hukiem. Zeszli schodami na małe podwórze, puste i mokre. W głębi podwórka była szopa, której nadproże zaczernił dym. Roznosiła się tu przemożna woń pieczonego chleba.

Za murów dobiegły gardłowe krzyki, szczekanie psów.

–Vite – powiedział Marcel, wpychając ich do szopy. To była piekarnia. Stały w niej dwa piece chlebowe. Ten po prawej był otwarty. Przed drzwiczkami była wielka kamienna płyta, a na niej leżała blacha długości sześciu i szerokości czterech stóp. Drobny jednooki człowieczek w brudnym fartuchu nawet na nich nie spojrział.

–Na blachę – powiedział Marcel. – Dwójkami.

–Gdzie reszta? – spytał Mallory.

–W burdelu. Mówią po francusku, bien entendu. Ich papiery są w porządku. Vite.

Miller wskoczył na blachę i położył się ze swoimi skrzynkami na wielkiej drewnianej

łopacie. Mallory wdrapał się obok.

–Kiedy blacha się zatrzyma, stoczcie się – zarządził Marcel. – Zasłońcie twarze.

Mallory słyszał głosy Niemców. Pułapka – pomyślał. Kolejna, mniejsza pułapka. Po tej absolutnie koniec. Leżał na blasze, trzymając plecak na brzuchu. Zakrył twarz dłońmi. Ktoś pchnął łopatę. Wściekły żar osmalił mu grzbiet dłoni. Wyobraził sobie półokrągłe sklepienie ceglanego pieca, poczuł smród płonących włosów. Amunicja! – pomyślał.

Ale żar zelżał, zsuwali się z łopaty na kamienną płaszczyznę, która była jedynie ciepła. Mallory podniósł głowę. Ciemność była czarna jak atrament. Po sześciu calach uderzył głową w sufit. Czuł ruch powietrza.

Blacha wróciła, przywożąc Andreę i porucznika SAS. Ten ostatni, gdy Andrea zepchnął go z blachy, miał ciężki, drżący oddech. Gdzieś zachręściły kamienie. Po sprawie – pomyślał Miller. Masz swój własny piec chlebowy, okrągły, zbudowany z cegieł. I w głębi są małe drzwiczki. Wepchnięto nas do środka, zamknięto drzwiczki...

Z pieca doleciało szuranie.

...a teraz, zaraz, upieką troszkę chlebka.

Usiłował podnieść głowę, żeby zobaczyć, skąd napływa powietrze. Grzmotnął o sufit. Wysokość osiemnastu cali – pomyślał. I żadnej widoczności. Pogrzebani żywcem.

Wyciągnął ręce, dotknął okutych mosiądzem skrzynek. Po drodze musnął ramię Mallory'ego.

To ramię było zeszywniałe, dygotało z jakiegoś powodu. Dygotało ze strachu.

Nie. To nie Mallory. Mallory był zimny jak lód. Mallory wspiał się południową ścianą Nawarony, kiedy Miller skomlał ze zgrozy na dole.

Dobra – pomyślał Miller. Ale wewnątrz każdego człowieka jest szczelnie zamknięte miejsce i tam żyje bestia, której ten człowiek się najbardziej lęka. Ale czasem zamki puszczają, bestia wyrывa się na swobodę, szaleje w głowie, opanowuje każdy zakątek umysłu.

Bestią Mallory'ego była klaustrofobia.

Dusty Miller wpatrywał się w niewidzialny sufit sześć cali od jego nosa i słuchał dźwięków dobiegających przez ścianę pieca. Rozległ się ostry trzask i wtargnął nagły powiew dymu.

Rozpalono ogień, rozgrzewano piec do następnego wypieku. jak długo będziemy musieli tu zostać? – pomyślał. Co się stanie, jeśli Mallory tego nie wytrzyma? Zaczął śpiewać. Nucił pod nosem:

–żeby ciasto chciało rósć, zacznij wpierw do misy wpuść...

–Zamknij się – zasyczał porucznik SAS.

–Nie nadymaj się tak, bo szybciej szczerstwiejesz – powiedział Miller.

–Na litość boską...

–Piecuchy w piecu się pieką – ciągnął swoje Miller. – Zakalec z nich zrobią, człowieka...

Mallory wiedział, że to kolejny atak torpedowy; mała metalowa kajuta, czterech ściśniętych mężczyzn, huk straszego błękitu Morza Śródziemnego wdzierającego się do kadłuba, cztery twarze na sześciu calach pod stalowym sufitem, zepsute powietrze, gorące, nie ma czym oddychać! – i Mallory zaraz umrze z braku tlenu, to pewne, ale wpierw ze strachu...

Chyba ktoś coś mówił. Plół kompletne bzdury, cedził słowa miękkim, nosowym chicagowskim akcentem. Poza tym zaśpiewem dobiegały inne głosy. Głosy Niemców.

Miller.

Strach przepadł. Mallory przyłapał się na myśli, że są gorsze rzeczy niż ciasne pomieszczenia. Na przykład gry słowne Dusty'ego Millera.

Miller poczuł, jak łokieć Mallory'ego wbija mu się ostro w bok. Zamknął się. Misja uwieńczona powodzeniem.

Nagle blisko rozszczękał się pies. O wiele bliżej niż za drzwiczkami pieca. Komorę, w której byli ukryci czterej mężczyźni, wypełnił odgłos pazurów drapiących po kamieniu. Przewody wentylacyjne – pomyślał Miller. Muszą być przewody wentylacyjne i cholerny pies nas wywęchał.

Leżeli wpatrzni w sufit, którego nie mogli widzieć, w ciemności pełnej psiego jazgotu. Mała cęła za piekarnikiem stopniowo była coraz gorętsza. Zaczęli się pocić.

Stojący przed piecem Marcel też się pocił. Fartuch miał oproszony mąką i popiołem z wielkich paproci, których używał

do palenia w piecu. Ale nie myślał o wypieku. Patrzył na oficera SS opartego o framugę drzwi, uderzającego lufą ługera o wnętrze dłoni w czarnej skórzanej rękawiczce. Esesman uśmiechał się bardzo ciepło, ale jego nieprzeniknione szare oczy były zimniejsze niż lód.

–Gdzie oni są? – spytał oficer.

–Pardon?

Podwórko było pełne żołnierzy. Przewodnik psa wszedł do środka, ciągnięty przez wilczura na kolczatce. Pies wywalił jęzor i dyszał rozjątrzony.

Oficer odezwał się cierpliwie, po przyjacielsku:

–Ten pies przyszedł z burdelu nad kawiarnią. Idzie za zapachem kogoś, kto siedział na jednym z foteli. Zapach wiedzie prosto do twojego pieca. Jak myślisz, co to oznacza?

Ogień w piecu palił się już mocno. Dym przeciskał się przez drzwiczki, pełził pod sufitem szopy i bił w łzawiące deszczem niebo. Marcel wskazał na drzwiczki pieca rozjaśnione równym blaskiem płonących paproci.

–Kim mieliby być ci niby-ludzie? – rzekł. – A może to salamandry?

Uśmiech nie zniknął z twarzy esesmana. Rzekł łagodnie:

–Jeśli ci ludzie są na niby, czemu pies tak się nimi zainteresował?

–Nie wiadomo.

–Odnoszę silne wrażenie, że w tej wiosce są ludzie, którzy nie mają tu żadnego interesu.

–Skąd u pana to wrażenie?

Esesman uśmiechnął się, lecz nie odpowiedział. Omiótł wzrokiem piekarnię.

–A co jest w środku drugiego pieca? Marcel ziewnął.

–Kto wie?

–Chodzi mi po głowie – powiedział esesman, gładząc palcem długi, aryjski podbródek – żeby rozłożyć ten piec na kawałki.

–Non – zaprotestował Marcel. Jego oczy były pełne gro-

zy. – Ja z tego żyję. Georges! Co jest w piecu? Co jest w tym piecu, na Boga? Powiedz temu panu.

–Pains Flayigny – wyjaśnił jednooki.

–Ach! – wykrzyknął Marcel. Na twarzy pojawił mu się szeroki uśmiech. – Voild!

–Bitte?

–Georges jest z Alzacji – rzekł Marcel. – Więc od czasu do czasu piecze pains Flavigny, którego najważniejszym składnikiem są ziarna anyżku uwielbiane przez psy. Oczywiście, ten wypiek marnie się sprzedaje. Ale wie pan, jak jest. Trzeba dbać o dobry humor pracowników. Podczas wojny bardzo ciężko znaleźć...

Esesman łagodnym ruchem skierował wylot lufy pistoletu w kierunku Georges'a.

–Otwórz piec – rozkazał.

–Ale pains...

–Otwórz.

–Ciasto się zmarnuje.

Palec oficera spoczął na cynglu. Georges wzruszył ramionami.

–To zbrodnia – prychnął. – Ale jak pan chce. – Dźwignął zatyczkę, otworzył drzwiczki i wsunął do środka drewnianą łopatkę. Kiedy ją wyjął, była na niej okrągła zarumieniona bułeczka. – Jeszcze nie upieczona. Widzi pan, nom, d'un nom. Świętokradztwo. Siądzie. Wszystkie siądą.

Oficer SS wziął bułeczkę i zmiążdżył w dłoni. Pies wyskoczył w górę, usiłując zlizać okruchy z rękawiczki. Esesman ciężkim butem kopnął zwierzę w brzuch. Odskoczyło, skomlać. Oficer delikatnie obwąchał okruszyny. Intensywnie pachniały anyżkiem.

–Wspaniale – powiedział wciąż uśmiechnięty. Odwrócił się i wyszedł na podwórze. – Obawiam się, że pies zaprowadził nas na manowce. Ale są inne sposoby dotarcia do prawdy.

Marcel wyszedł za nim, wycierając ręce o fartuch.

–Pardon, monsieur?

–Wasi wieśniacy okazali się bardzo głupi – wyjaśnił esesman. – Głupi jak krowy. Są przepisy. Obaj je znamy. Przepisy

zostały złamane. Zeszłej nocy w Jonzere były starcia, są trupy. Wy, ludzie, musicie się nauczyć, że prawa należy słuchać. Obawiam się, że lekcja będzie bolesna. – Uśmiech. Marcel niepewnie uśmiechnął się w odpowiedzi. Groza ścisnęła mu żołądek. Wpatrywał się w lodowate oczy. – Jest sposób na to, żeby ta lekcja była mniej bolesna. W tej wiosce są angielscy agenci. Kiedy ich znajdę, odjadę. – Minął sklep, wyszedł na rynek i niedbale oparł rękę na tylnym siedzeniu samochodu. – Feldfebel!

Sierżant wyprężył się na baczność.

–Zapukaj do każdych drzwi na tym rynku – rozkazał oficer. – Uprzejmie. Każdego, kto otworzy, wyprowadź na rynek i ustaw... – zimne oczy rozejrzały się z zastanowieniem i zatrzymały na długiej gładkiej ścianie północnej strony kościoła – pod tym murem. Jednocześnie ustawcie spandaua pod drzewami.

Twarz Marcela zbieleła jak jego mąka.

–Co pan robi?

–Prowadzę wojnę – rzekł oficer. – Kiedy ustawimy tam tych ludzi, będziemy ich rozstrzeliwać, jednego co dziesięć minut, aż usłyszę prawdę. Chleb ci się przypali, piekarzu. – Uśmiechnął się. – Lepiej wracaj.

Poniedziałek Godz. 09.00-19.00

Miller służył w Siłach Pustynnych Dalekiego Zasięgu, więc zakosztował już dość gorąca. Ale nic na spieczonych diunach lub owianych wiatrem skarpach Sahary nie przygotowało go na żar za piecem chlebowym.

Mówił bez przerwy. Czuł, że należy mówić do Mallory'ego. Niełatwo jest gadać, kiedy jest się przypiekanym, ale pomyślał, że o wiele łatwiej jest mówić, kiedy tylko czuje się gorąco, niż wtedy, kiedy czuje się i gorąco, i najzwyczajniejszą panikę. Andrea również mówił – przyciszonym basem wspominał jaskinię na Krecie, w której ukrywali się z Mallorym. A przez cały czas żar rósł i rósł, palił skórę. Poza tym czuli zapachy: dym spalanego drewna, woń piezonego chleba zmieszana z woniami innych piekących się rzeczy, które Miller rozpoznawał, ale o których nie chciał myśleć. To był zapach migdałowych cukierków; zapach żelatyny wybuchowej, smażącej się w skrzynkach.

Jest pociecha – pomyślał Miller. Drobna. Jeśli żelatyna wysadzi heksogen, to zabierze też ze sobą kilkudziesięciu Niemców. Nie wspominając o wiosce Colbis i sporym kawałku północnych Pirenejów...

Przez ścianę dobiegł nowy dźwięk: ostry łomot, stępiony warstwami kamienia. Odgłos karabinu maszynowego.

Mallory wiedział, że wygrał. Zapanował nad swoimi gruczo-

łami, czy czymś tam, co powodowało miękkość kolan i zamieniało wnętrzności w płynną masę. Karabin maszynowy przeniósł go w świat zewnętrzny. Teraz wybiegał myślą w przód.

–Będziemy potrzebowali transportu do St-Jean-de-Luz.

–Transportu?

–To trzydzieści mil drogą. Okręty podwodne wypłyną pojutrze w południe. Za mało czasu na marsz.

–Rowery?

Zapadła cisza. Wszyscy myśleli o tym samym: kobieta w ciąży i porucznik z kulą w brzuchu niezbyt się nadawali na cyklistów. Bezwzględny człowiek, który chciałby poruszać się szybko, zostawiłby takie ciężary. Mallory nie wiedział, czy jest na tyle bezwzględny. Na szczęście nie miał okazji być poddanym próbie. Ranny i Lisette wiedzieli za dużo, aby można było zaryzykować, że wpadną w ręce nieprzyjaciela.

Podobało mu się to, czy nie, stali się towarzyszami podróży.

Porucznik leżał bardzo spokojnie, oszczędzając siły w panującym gorącu, i słuchał rozmowy pozostałych. Czcza gadanina była dla dziewcząt, mazgajów i innych okazji nie cierpianych przez SAS. Wtem przemówił:

–Jest dżip.

Dżip. Zapewne z flagą Wielkiej Brytanii wymalowaną na całej karoserii, ciężkimi karabinami maszynowymi, barkiem na kółkach i tarasem do opalania. SAS była nie do pobicia. Chyba że trafiła na nieprzyjaciela.

–Proszę, proszę – powiedział Miller. – To ci dopiero wspaniała wiadomość.

–Gdzie? – zapytał Mallory.

–W stodole za piekarnią. To dżip, z którym nas zrzuciono. Pod paprociami. Marcel powiedział mi, że go tam wprowadzili.

–Dziękuję wam, mhm...

–Wallace.

Miller ku swojemu zaskoczeniu poczuł, że dotyka go czyjaś ręka. Potrząsnął nią. Odpowiedziała uściskiem. Więc wszystko gra – pomyślał. Zostaliśmy sobie

przedstawieni i teraz on pożycza nam swój samochód. A my jesteśmy zamurowani w piecu i się pieczemy.

Cholerni Angole.

Z zewnątrz rozległ się nowy dźwięk: czyjś głos w jednym z przewodów wentylacyjnych. Głos Marcela:

–Musicie wyjść.

–Weźmiemy dżipa.

–Tak. – Ten głos był napięty. – Musicie się wynieść. Wasi towarzysze są przy stodole. Nie ociągajcie się.

–Tylko otwórz drzwiczki.

–Tak.

Czekanie. Coś się ruszało, coś, co raczej dawało się wyczuć przez ściany niż usłyszeć. Ktoś wybierał żar z paleniska. Drzwiczki dzielące ich od pieca otworzyły się, wpuszczając podmuch rozżarzonego powietrza.

–Wjeżdża blacha – usłyszeli głos Marcela.

Potem Mallory nie mógł sobie przypomnieć, jak się wydostali. Był piekielny żar, smród płonących włosów, aż wreszcie stali w piekarni, na środku wspaniałej, pustej przestrzeni.

–Do stodoły! – powiedział Marcel. Nagle zrobił się chudszy, a jego twarz miała nieprzyjemny szary odcień. – Chodźcie za mną.

Andrea podał Wallace'owi ramię. Wyszli na podwórze i minęli pomalowane na zielono drzwi. Stodoła była do połowy zapełniona snopkami suchych gałęzi paproci.

–Allons – powiedział Marcel i zaczął usuwać wiązki z prawej strony. Robił to jak w gorączce, beładnie. – Tu.

Zaczęli odsuwać snopki. Po kilku minutach spośród paproci wyłonił się tylny zderzak pojazdu.

–Hej! – zawołał Miller. – SAS, kochamy was. Tym pojazdem był dżip, ale nie było jakiego dżipa. Brakowało mu barku i tarasu do opalania się, ale to prawie jedyne urządzenia do umiłania życia, których nie dostarczono. Z tyłu zainstalowano parę browningów. Drugą parę zamontowano na masce przed fotelem pasażera. Pasy z amunicją znajdowały się na swoim miejscu.

–Są pozostali pasażerowie – powiedział Marcel. – Byli w łózkach. Może spali, a może nie. – Wydał z siebie coś na kształt śmiechu.

Thierry, Hugues i Jaime, powłócząc nogami, weszli do stodoły. Kapelusz Thierry'ego wyglądał tak, jakby właściciel nie zdjął go do spania. Hugues rzucał wzrokiem na wszystkie strony i przygryzał wargi.

–Gdzie Lisette? – zapytał.

Odpowiedziało mu rozkładanie rąk i wruszenie ramion. Jaime rzekł:

–Jest zmęczona. Śpi. Najlepiej będzie, jak wyjedziemy. – Był ponury. – Ma dobre fałszywe papiery. Będzie tu bezpieczna.

Może on słusznie mówi – pomyślał Mallory. Tu będzie jej lepiej. Brakowało czasu na szukanie miejsca, w którym mogłaby odpoczywać. Lisette to był szkopuł, ale do przeskoczenia.

–Non, merde... – zaczął protestować Hugues.

–Jaime ma rację – wtrącił Marcel. Kolejna seria ognia ze spandaua rozległa się na rynku. Piekarz wyglądał tak, jakby zaraz miał wybuchnąć płaczem. – Proszę. Pośpieszcie się. Ktoś zacznie sypać.

–Sypać?

–Rozstrzeliwują ludzi. Jednego co dziesięć minut. – Z twarzy spadła mu maska opanowania. Zasłonił się rękoma.

–Na litość boską, bądź mężczyzną – powiedział Hugues. Marcel spojrzał na niego pustym wzrokiem. Policzki miał pokryte łzami. Powiedział:

–Pierwszą osobą, którą zastrzelili, była moja matka. Hugues'owi cała krew nabiegła do twarzy, a potem zbladł.

–Niech Bóg ma ją w swojej opiece – zamruczał Andrea.

–Umarła, żeby inni mogli żyć – powiedział Mallory. – Dziękujemy ci za jej wielką odwagę. I twoją.

Marcel spojrzał na niego zdecydowanym wzrokiem.

–Vive la France! – Wziął głęboki oddech. – Przez pamięć o niej żądam od was, żebyście wypełnili waszą misję.

–Będzie spełniona.

Uściskał dłoń Mallory'ego. Andrea położył swoją wielką łapę na jego ramieniu.

–Powierzam Lisette twojej opiece – powiedział Hugues.

–To dla mnie zaszczyt – rzekł Marcel. – Teraz musicie jechać. Wtedy będę mógł ich powstrzymać.

–Jak?

–Każe dziewczętom powiedzieć, że was widziały.

–Dziewczętom?

–Przyjaźnią się z niektórymi Niemcami. Tymi, którzy przychodzą do burdelu. To dlatego zostawiają nas w spokoju. Zawsze tak robią. Niemcy nie skrzywdzą dziewcząt.

–Jak się wydostaniemy? – spytał Mallory.

–Jadąc prosto przed siebie – wyjaśnił Marcel. – Wyjazd jest za paprociami.

–Muszę pożegnać się z Lisette – powiedział Hugues.

–Musisz jechać – rzekł mu Marcel. – Proszę. – Pogrzebał w skrzynkach i wrócił z czterema butelkami koniaku. – Weźcie to. Jedźcie.

–Non! – podniósł głos Hugues. – Dziecko... Nie skończył tego, co zamierzał powiedzieć, bo Andrea położył mu na ramieniu dłoń zakrzywioną jak ramię dźwigu.

–Jak ten odważny Marcel jesteś żołnierzem – przypomniał mu i pchnął go na tylne siedzenia dżipa.

–Powiedz jej, że ją kocham – rzekł zawstydzony Hugues. Marcel z otępieniem pokiwał głową.

–Miller – rozkazał Mallory. – Prowadź.

–Przez rynek?

Mallory skierował na niego spojrzenie zimnych piwnych oczu.

–Tak sędzę – odparł. – A ty nie?

Silnik dżipa zapalił za pierwszym razem. Wsadzili Wallace'a na tylne siedzenie i rozmieścili się, jak mogli. Silnik zahuczał ogłuszająco w zamkniętym pomieszczeniu. W wiosce też będzie huczał głośno, żaden silnik nie pracował w tej chwili w Colbis.

Miller przestawił napęd na obie osie. Silnik zawył, gdy nacisnął gaz. Puścił sprzęgło. Dżip skoczył w suche paprocie i zapadł się cały. Wyszłe gałązki spiętrzyły się przed szybą i zasypały tylne siedzenie. Miller dojrzał światło i skierował się ku niemu. Dżip wyskoczył z drzwi stodoły, na drogę, zakręcił na dwóch kołach, przykryty stogiem paproci zakręcił raz jeszcze. Przy końcu drogi był wycinek rynku z platanami. W tym wycinku trzech esesmanów przysiadło za spandauem.

–Cywile, padnij! – rozkazał Mallory, podniósł browningi na masce i przesunął bezpiecznik. – Otworzyć ogień.

Strzelanie do niewinnej ludności cywilnej nie sprawiało przyjemności obsłudze spandaua. Szczerze mówiąc, to była nieprzyjemna służba, tylko o włos lepsza niż sprzątanie latryn. Ale Befehl ist Befehi. Rozkaz to rozkaz.

Siedzieli sobie, ignorując roje krwawych odprysków na kościelnym murze, nad zmiętymi ciałami pierwszych dwóch ofiar, i skoncentrowali się na trzeciej ofierze, gospodyni księdza, chudej, przygarbionej, sztywno wyprostowanej staruszce we flanelowym szlafroku. Obsługa karabinu maszynowego była ponura i zdecydowana, bo umierała z chęci na papierosa. Im szybciej będą mieli to z głowy, tym lepiej...

Z tyłu rynku rozległ się klekot, jakby pracowała gigantyczna maszyna do pisania. Coś wyrzuciło spandaua w powietrze tak, że przekoziółkował razem z trójnogiem po rynku. Rykoszety zajęczały w niebo. Dwaj żołnierze wykonali niezdarne figury akrobatyczne i padli. Trzeci zdążył się odwrócić, pomyśleć: ogień z karabinu maszynowego, i zobaczył stóg na czterech kołach wyjący w bocznej uliczce, błysk ognia maszynowego tańczący w słomie, która zdawała się płonąć. Potem kolejne uderzenia kowalskiego młota przebiegły po torsie strzelca, nogi mu się ugięły, a usta napełniły krwią. A gdy jego głowa spoczęła bezwładnie na bruku rynku, ujrzał kolegów z plutonów ustawionych w szeregach, jak zaczynają padać niby łan koszonego zboża, i usłyszał huk eksplozji zbiornika z benzyną.

Potem oczy i uszy strzelca zasłoniła szara wata i umarł.

Miller szarpnął kierownicę dżipa w prawo. Główna droga prowadząca z rynku stała otworem. Grzechot browningów rozlegał się jednostajną serią grzmotów. Coś płonęło, wydając zapach, który przypominał mu zapach wędrujących chwastów płonących na preriach Kansas, gdzie latem pracował na polach naftowych. Oczywiście, to nie były wędrujące chwasty. To były paprocie zapalone ogniem cekaemów. Paprocie suche jak hubka. Mallory i Andrea nadal strzelali. Miller wrzasnął:

–Zrzućcie to!

Z rynku rozległ się wyższy, ostrzejszy grzechot: ogień karabinów. Kula odbiła się od

zawieszenia dżipa- i z jękiem poleciała w niebo.

–Zniżyć ogień – rozkazał spokojnie Mallory. Przed nimi na drodze wyrósł niemiecki patrol. Browningi zahuczały. Kolejne pociski ze świstem przeleciały nad dżipem. Wtem Niemcy upadli, potoczyli się i zawieszenie podskoczyło, gdy koła przejechały po ciałach. Ulica znikła w tyle za całunem szarobiałego dymu. Domy przerzedziły się. Trzask płonących paproci zamienił się w huk.

–Pozbyć się tego! – wrzeszczał Miller.

Płaszcz Hugues'a dymił, gdy Francuz podniósł się z podłogi samochodu. Kaszlał, łzy leciały mu strumieniami. Kopnięciami zrzucił na drogę wiązki płonących paproci. Jaime robił to samo, a wystraszony Thierry ostrożnymi ruchami najpierw oczyścił cenną radiostację.

–St-Jean-de-Luz! – powiedział Mallory, przekrzykując szum powietrza. – Którędy?

–W górę szosy – odparł Jaime. – Potem jest trakt. – Zrzucił z rękawa płonącą paproć. – Merde!

Między ciężkimi burzowymi chmurami prześwitywały paski czystego nieba. Resztki paproci dymiły na drodze, szybko gasły. Przed nimi łagodnie zakręcała czarna wstęga gładkiego bruku;

to była główna szosa z doliny. Roilo się na niej od Niemców -Niemców, którzy tymczasem dowiadują się już przez radio, że oddział armii brytyjskiej rozbija się w dżipie. Przynajmniej Mallory miał nadzieję, że uznają ich za oddział regularnego wojska. Dzięki temu cywilów ominie odwet.

Ale skąd Niemcy dowiedzieli się, że mają przyjechać do Colbis?

"Prawdę mówiąc, wydaje się całkiem możliwe, że Niemcy, tak to nazwijmy, będą na was czekać".

–Gdzie się ukrywaliście w wiosce? – spytał Mallory.

–Rozrzucili nas – wyjaśnił Jaime. – Ja byłem w burdelu. W łóżku. Oczywiście, w najbardziej niewinnej sytuacji.

–Ale oni przeszukali hotel.

–Moje papiery są w porządku – rzekł Jaime. Jego twarz pociemniała, zeszywniała. – Czego mam się bać?

Mallory pokiwał głową. Pytania, na które nie było odpowiedzi, brzęczały mu koło

uszu jak muchy.

–W lewo – powiedział Jaime.

Na lewo odchodził z szosy trakt, który biegł zboczem góry i ginął w lesie. Dżip, podskakując, minął opuszczone gospodarstwo i wjechał na nawierzchnię pokrytą wiekową kostką.

–Boczna droga – wyjaśnił Jaime. – Wychodzi blisko St-Jean-de-Luz. Główna biegnie doliną i u stóp góry łączy się z wielkim gościńcem do St-Jean-de-Luz. Ta zaprowadzi nas przez wzgórze, w dolinę, przez jeszcze jedno wzgórze i w dół do St-Jean. Ale nadaje się tylko dla muła albo dżipa. To nieważna droga. Nie prowadzi do granicy, więc Niemcy nie poświęcają jej wiele uwagi.

Trzech z nich siedziało z przodu, a czterech z tyłu. Porucznik SAS był blady, miał zamknięte oczy. Kiedy dżip podskoczył na wielkim kamieniu, ranny zacisnął szczęki, tłumiąc ból. Przez godzinę dżip, jęcząc, wspinał się pod górę. Jaime i Hugues cicho rozmawiali po francusku.

Nagle Hugues zaczął wrzeszczeć. Twarz miał purpurową, wykrzywioną z wściekłości. Złapał Jaime'a za szyję, przysiadł mu na piersiach i uderzył głową niewielkiego mężczyzny o karoserię. Powtórzyłby to, gdyby Andrea nie zacisnął mu dłoni na ramionach i bez wysiłku nie oderwał go od Jaime'a. Ten przetoczył się na bok, kaszląc i krztusząc się. Hugues bezskutecznie usiłował wyrwać się z uścisku i nadal krzyczał.

–Zamknąć się! – rozkazał Mallory głosem ostrym jak wystrzał karabinowy. Hugues się zamknął.

–O co chodzi?

Hugues miał oczy jak spodki.

–Lisette – powiedział.

–Co z nią?

–Nie ma jej w wiosce. Powinna tam być, spać. Ale nie. Jaime mówi, że ją widział. Prowadzoną przez Niemca w skórzanym płaszczu. Gestapowca. – Ukrył twarz w dłoniach.

Mallory poczuł, jak lęk ściska go w dołku.

–Czy to prawda?

Twarz Jaime'a mogłaby być wykuta z żółtawego kamienia.

–Prawda – przyznał. Hugues nagle się wyprostował.

–Musimy jechać do Bayonne – rzekł. – Natychmiast. Bezzwłocznie. Z tymi karabinami, które mamy, i z materiałami wybuchowymi możemy opanować komendę gestapo...

–Ile Lisette wie o tej operacji? – spytał Mallory.

–Wie, że jedziemy do St-Jean – powiedział Hugues. – Ale nigdy nas nie wysypie.

–Każdy kiedyś sypie – rzekł Jaime.

–Non! – krzyknął Hugues, tracąc panowanie nad sobą.

–Jest w ciąży – powiedział Jaime. – Jak myślisz, co zrobią dziecku?

Wściekłość Hugues'a wyparowała. Wydawało się, że zmałał. Ukrył twarz w dłoniach.

–Jak to się stało? – spytał Mallory. Jaime bez wyrazu spozierał przed siebie.

–Widziałem z okna tego burdelu. Wyprowadzono ją. Załadowano do jakiegoś wielkiego samochodu i pojechali.

–Czemu wcześniej nam tego nie powiedziałaś?

–Musimy coś wykonać. Dla tego czegoś zginęła matka Marcela, Jules w Jonzere i inni. Jest wojna. Siedziałem cicho, żeby nic nie... podważyło naszej decyzji. – Spojrzał na Hugues'a, potem na Mallory'ego. – Postąpiłbyś jak ja.

–Tylko potwór... – zaczął Hugues.

–Zamknij się – osadził go Mallory.

Oczywiście, Jaime miał rację. Celem operacji było zniszczenie okrętów podwodnych, a nie uganianie się za samochodem gestapo po północnym przedgórzu Pirenejów. Podtrzymując wersję, że Lisette jest w Colbis, wystarczająco długo, Jaime zapobiegł gorszemu kryzysowi.

Choć Lisette nie mogło spotkać nic gorszego.

Mallory usiłował nie myśleć, co ją czeka.

–Będzie sypać – powiedział.

–Dopiero po dwóch dniach – odparł Jaime. – Taka jest zasada. Wytrzyma dwa dni, żeby dać nam czas na ucieczkę.

Thierry nasunął kapelusz na oko i pozwolił sobie na obraźliwie cyniczny chichot.

–Niemcy też o tym wiedzą. Będą bardzo przekonujący.

–Jezu! – jęknął Hugues. Miał szarą, bezkrwistą twarz.

–Ale rozluźnijcie się – kontynuował Thierry. – Jeśli gestapo będzie stawiało niewłaściwe pytania, usłyszysz niewłaściwe odpowiedzi. Skąd ma wiedzieć, jakie pytanie należy zadać?

Mallory wiedział, iż na komendzie gestapo w Bayonne są ludzie, którzy potrafią doprowadzić do tego, że przesłuchiwany błaga, aby zgodzili się wysłuchać wszystkiego, co wie, bez stawiania pytań. Zwrócił się do Hugues'a:

–Nic nie możemy zrobić. Naprawdę, jest mi bardzo przykro. Hugues spojrzał na niego oczami zaszczutego zwierzęcia.

–Staruszki przeżyły swoje. Żołnierze bronią ojczyzny. Ale jak można używać mojego nie narodzonego dziecka do celów wojennych? Co to biedactwo zrobiło?

–O to musisz zapytać księdza – powiedział Andrea. Mallory nie spojrzał na niego. Grek znalazł ciała rodziców w rzece Protosami. Zostali zastrzeleni przez bułgarskich żołnierzy, którzy związali ich razem i cisnęli na żer rybom. Andrea wiedział, co to wojna totalna. Podobnie zabójcy jego rodziców, aż do dnia, w którym zginęli, bardzo nagle i wszyscy od razu. – Ale czas na takie pytania przyjdzie, kiedy skończy się wojna. Na razie musimy tylko słuchać rozkazów i walczyć, bo jak zaczniemy myśleć, oszalejemy.

Potem nie było żadnych rozmów.

Dżip wspinał się w górę stoku, ponad wielką, zamgloną perspektywę doliny. Hugues otworzył jedną z butelek koniaku dostarczonych przez Marcela. Niebieskie oczy stały się szkliste i przekrwione. Ramię zalesionego wzgórza wyrosło między drogą i doliną. Słońce wychyliło się spomiędzy postrzępionych chmur. Muchy brzęczały nad zakrwawionymi bandażami Wallace'a. Trakt wyszedł spomiędzy drzew i wił się między wrzosami górskiej przełęczy. Wysoko na błękitnie wisiła para sępów. Nie było Niemców, nie było żadnych oznak wojny szalejącej

gdzieś tam. Gdy droga znów potoczyła się w dół, Dusty Miller zauważył połyskliwą niebieską nić, za przypominającą grzbiet wieloryba krzywizną wzgórza. Ocean.

–Jest postęp – powiedział. – Cholera, najwyższy czas. Ale droga znowu szła ostro w

dół między wysunięte strażę kasztanowych lasów i niebieska nić znikła. Miller nieznacznie upadł na duchu, co w jego wypadku oznaczało krańcowe załamanie. Co prawda wreszcie zbliżali się do wybrzeża. Zbiornik paliwa był pełny w dwóch trzecich. Wystarczy jechać dalej i niech się dzieje, co chce...

Ale drogi zostało jeszcze do cholery i trochę, biegła przez ziemie czerwonoskórych, a cel podróży był w najlepszym wypadku niepewny.

– Jeszcze kilometr i będzie gościniec. – Jaime otrząsnął się z ponurej ciszy jak pies po kąpieli. – Gościniec do granicy. Patrolowany, jak sądzę.

– Teraz bez hałasu – zarządził Mallory. – Jedź pięćset jardów. Wyłącz silnik. Na luz.

Dżip cicho, jeśli nie liczyć skrzypienia resorów i pociągania nosem Hugues'a, potoczył się w dół traktu. Lekki wietrzyk westchnął w kasztanach. Był piękny wiosenny poranek, zakłócany tylko śpiewem ptaków na gałęziach.

I gardłowymi głosami dobiegającymi z traktu.

Mallory klepnął Andreę w ramię. Wielki Grek skinął głową. Zeskoczył z wozu i ruszył w dół drogi. Potężne bary stopiły się z drzewami dzięki czemuś, czego nie można było przypisać wyłącznie kamuflażowi na skafandrze. Obserwując go, Hugues zadrżał na wspomnienie ciepłych, miękkich, ale straszliwie silnych dłoni, które oderwały go od Jaime'a, jakby podnosiły lekki koc.

Jego oczy przesunęły się na Jaime'a, na kamienną twarz człowieka, który spowodował, że stracił Lisette. Czasem bycie żołnierzem stawało się nieznośne.

Odwrócił wzrok. Patrząc na Jaime'a, czuł płomień w oczach.

Andrea poruszał się szybko i cicho. Gdy w dole dostrzegł ciemny przebłysk drogi, krył się między drzewami. Ostrożnie stawiał kroki wśród paproci i zeschniętych liści. Przemykał przez

las z możliwie najmniejszym szelestem, bardziej jak powiew wiatru niż człowiek o wadze dwustu osiemdziesięciu funtów. Na skraju lasu przystanął.

Gościniec był brukowany sześcienną polerowaną kostką, typową dla Francji. Dwadzieścia jardów po lewej z worków z piaskiem zrobiono gniazdo ogniowe. Spomiędzy worków wystawała lufa karabinu maszynowego. Za gniazdem drewniany kozioł pomalowany w czerwono-białe pasy blokował drogę. Lufę wycelowano w prawo, na północ, ku Francji, i przypadkiem na ten odcinek drogi, który musiał przebyć dżip, by wjechać znów na trakt i zanurzyć się w las u stóp góry przykrytej na szczycie szarą skałą.

Andrea ocenił to wszystko w jakieś dziesięć sekund i sprawdził w myślach listę możliwości. Następnie spokojnie wrócił między drzewa i przeszedł lasem nad posterunkiem drogowym.

Z góry stwierdził, że karabin pozostawiono bez obsługi. Ta w liczbie trzech żołnierzy wylegiwała się w towarzystwie kolejnych dwóch na trawiastym skraju drogi, paląc papierosy. Ktoś opowiadał świński dowcip, który Andrea słyszał już na Nawa-ronie. Szybko przeszedł lasem pięćdziesiąt jardów, równoległe do drogi, mniej więcej w kierunku Hiszpanii. Następnie zawiesił schmeissera na brzuchu, nasunął hełm na oczy i wyszedł na bruk.

Na odgłos kroków żołnierze na brzegu drogi podnieśli głowy. Ujrzeni największego żołnierza Waffen SS, jakiego kiedykolwiek mieli okazję zobaczyć na własne oczy. Szedł lekkim krokiem w ich kierunku, hełm zasłaniał mu oczy. Poprzednio nigdy nie widzieli esesmana z wąsami. Ale, jak to porządni żołnierze Wehrmachtu, nie przepadali za SS i za wąsaczami. Dlatego sierżant, który opowiadał dowcip, udawał, że nie widzi nadchodzącego, dopóki ten nie stanął nad nimi. Wtedy podniósł wzrok.

–Czego chcesz, do diabła? – rzekł. – Ogolić się?

Mężczyźni w dżipie nie usłyszeli niczego. Śpiewał drozd, gołąb zagruchał z kasztana. Poza tym panowała cisza przypominająca Mallory'emu ciszę za drzwiami sali operacyjnej.

Andrea robił coś strasznego, najstraszniejszego. Po pięciu minutach ze śpiewem drozda zmieszało się metaliczne pohukiwanie sowy.

–Jedź – rozkazał Mallory.

Miller ruszył. Tym razem włączył silnik, bo nie było już żywego nieprzyjaciela, który mógłby usłyszeć warkot.

Andrea czekał przy drodze – właśnie wycierał długi zakrzywiony nóż o kępkę trawy. W pobliżu, na obrzeżu drogi, pięciu żołnierzy w szarych mundurach wpatrywało się w niebo. Wśród żółtych i białych kwiatów, na których leżeli, połyskiwało wiele czerwieni. Choć było za wcześnie na maki.

Andrea wspiął się do dżipa. Miller wcisnął gaz.

W górze drogi postać w szarym polowym mundurze wypadła spomiędzy drzew. Dopinała spodnie. Na widok dżipa krzyknęła:

–Halt!

Mallory poprawił hełm i złapał schmeissera.

–Załatwię to.

Lecz wypity przez Hugues'a koniak rozpałał mu głowę. Niebo, drzewa i góry pływały. Trudno słuchać rozkazów, będąc żołnierzem. Kiedy znaczyły, że ta kobieta, ta kobieta, którą kochasz, Lisette... Jej paznokcie – pomyślał. I zęby. Wyrwą je szczypcami. A dziecku...

W środku jego pola widzenia poruszyło się coś nowego. Coś szarego. Niemiecki żołnierz.

Hugues wiedział, że wyszedł na głupca przed tymi żołnierzami o granitowych twarzach. Ale w głowie miał nowo narodzone dziecko i człowieka ze szczypcami w ręku. Słyszał krzyk Lisette. Bo ten człowiek szedł nie do Lisette, ale do dziecka...

Człowiek, który był Niemcem, jak ten żołnierz.

Oczywiście, że należało go zabić. I to Hugues powinien go zabić, żeby odkupić się w oczach tych żołnierzy.

I nagle w jego dłoni pojawiła się broń, palec trącił cyngiel, broń podskakiwała, a powietrze było pełne grzechotu schmeissera. Kule poszły wysoko. Ktoś wyrwał mu broń z rąk. Tamten żołnierz padł na ziemię i przetoczył się do rowu, znikł z pola widzenia. Jego karabin wypalił po trzykroć. Ostami strzał trafił w dżipa.

–Jedźmy – polecił spokojnie Mallory.

Dżip wystrzelił przez drogę i pokonał dwieście jardów po drugiej stronie gościńca. Wtedy Andrea rzekł:

–Zatrzymaj.

Dżip stanął na dnie długiej, wąskiej pochyłości. Tę stronę doliny pokrywały wielkie płyty szarego wapienia, na których nic nie rosło. Andrea znalazł dochodzący do drogi występ skalny, położył się na nim płasko i uniósł głowę w sam czas, aby dojrzeć figurkę w polowym mundurze, skuloną jak królik w podkowie worków z piaskiem gniazda ogniowego. Było pełne cieni, ale Andrea wiedział, co robi ukryty żołnierz – tak dobrze, jakby go widział. Tam na pewno jest telefon polowy i żołnierz wzywa posiłki.

Andrea starannie wycelował brena w cienistą podkowę i przesunął celownik schodek wyżej. Następnie strzelił cztery razy ogniem pojedynczym w dół worków. Trafienia rozmieściły się jak cztery symbole na czwórce pik. Potem wstał szybko.

Na dole czaił się cień zwieńczony jakby szarym żółwiem, a może stalowym hełmem. Żołnierz przerwał rozmowę telefoniczną, by ratować życie. Andrea obserwował hełm,

podczas gdy oczy żołnierza szukały strzelającego. Znalazły. Hełm uniósł się, wyrosła ludzka figurka, starająca się unieść ciężki karabin maszynowy i wesprzeć go na podpórce. Andrea przyglądał się jej z klinicznym chłodem, bez nienawiści. Powinien zostać przy telefonie – pomyślał z wyzbytą emocji naganą mistrza obserwującego niedorajdę. Fatalny błąd. Celownik brena spoczął na hełmie. Potężny palec nacisnął spust.

Czkawka karabinu maszynowego przetoczyła się po urwiskach i przepaściach doliny. W gnieździe ogniowym mała figurka rozrzuciła szeroko ręce, wyskoczyła w górę, opadła na parapet z worków i leżała nieruchomo. Jeszcze zanim echa ucichły, Andrea długim krokiem skierował się do dżipa.

Zanim go ujrzał, poczuł woń benzyny. Gdy pokonywał szczyt wzgórza, pozostali członkowie plutonu stali wokół pojazdu.

–Problem rozwiązany – zgłosił Andrea.

–Mamy nowy – rzekł Mallory. Andrea zauważył, że twarze wokół dżipa pokryła dziwna sztywność. – Kula trafiła w bak. Czy twój przyjaciel miał czas zawiadomić dowództwo?

–Nie sposób ocenić – oświadczył Andrea. – Cała benzyna wyciekła?

–Cała.

Mallory, Miller i Jaime stanęli za pojazdem. Andrea użyczył ramienia. Koła zaczęły się obracać. Miller wykręcił kierownicę. Dżip nabrał szybkości, podskoczył na kamieniu i z metalicznym trzaskiem znikł w parowie.

Thierry kucnął przy radiostacji, kręcił skalą strojeniową.

–Od tej pory cisza radiowa, proszę – powstrzymał go Mallory.

Thierry pokiwał głową. Zarzucił sprzęt na plecy.

–Jak daleko? – spytał.

–Do oceanu dwadzieścia kilometrów – powiedział Jaime. – Po drodze jest jeden grzbiet. Wysoki.

Miller ziewnął i zarzucił na plecy swoje skrzynki.

–Miło rozprostować nogi po długiej przejażdżce po terenie.

–Pomogę panu Wallace'owi – rzekł Andrea. Porucznik SAS stał sztywno. Twarz miał koloru popiołu drzewnego i ciemne podkopy pod oczami.

–Nic mi nie jest – zaprotestował.

–Chodź – powiedział Andrea i podszedł do niego z wyciągniętymi rękami.

Wallace uniósł szczudło i oparł je o pierś Andrei.

–Dam sobie radę.

–Czasami najodważniejszym przychodzi się poddać – rzekł Andrea.

Ale Wallace zaparł się, zwęził oczy i błysło w nich spojrzenie szalonego wojownika.

–Żaden drań z SOE nie będzie mi mówił, co robią odważni ludzie. – Sięgnął do kabury z pistoletem.

Andrea wzruszył ramionami i odwrócił się. Przez chwilę spotkał się wzrokiem z Mallorym. Oczy Greka były pozbawione wszelkiego wyrazu, ale Mallory znał go na tyle dobrze, by wiedzieć, że się martwi. Byli na wapiennej skale otoczonej morzem Niemców i mieli ważniejsze sprawy na głowie niż pułkową dumę.

–Nie chcemy, żebyś opóźniał nasz marsz – wyjaśnił Mallory.

–Nikt nie będzie opóźniał naszego marszu – rzekł przez zaciśnięte zęby porucznik. Opamiętał się i dorzucił: – Kapitanie. Mallory wzruszył ramionami.

–Jaime pierwszy – rozkazał. – Wymarsz!

Pomaszerowali.

Jest lepiej – doszedł do wniosku Mallory.

Co prawda było ich zbyt wielu, jeden pijany, inny ranny i nie mieli środka transportu. Ale mieli cel marszu. To plus.

Minus był taki, że zostawili za sobą ślad w postaci niemieckich trupów rozszaniach po Pirenejach. Ale na to nic nie dało się poradzić.

Poza marszem przed siebie.

Trakt szedł ostro w górę i wykręcał na północ. To był dobry trakt, zbudowany dla mułów, z szerokimi stopniami i wysokimi na sześć cali kamiennymi podstopkami. Roślinność była uboga. Wapienne płyty podobne do tych na dnie doliny leżały i tu, ale były bardziej spoiste. Doszli do wyschniętego wąwozu między potężnymi przewieszonymi turniami. Wallace uparcie parł przed siebie, krzywiąc się przy każdym zgrzytnięciu szczudła o skałę. Muchy brzęczały i pełzały wokół szerniałego opatrunku na brzuchu.

Początkowo było gorąco. Ale słońce przesunęło się za welon cirrusów, zamgliło i do jedenastej znikło za czarną krawędzią chmur, które wypełzły na niebo. Adrenalina napędzona pogonią znikła, utleniona przez zmęczenie bezsennej nocy. Wszystko sprowadzało się do walki z siłą ciężenia, stawianiu jednej stopy przed drugą, w górę nie kończących się mulich stopni, doliną wyschniętego potoku, w kierunku horyzontu, który niezmiennie ustępował kolejnemu, szerszemu horyzontowi. Jaime poruszał się równomiernym, starannym krokiem górala. Thierry szedł zgięty pod ciężarem radiostacji;

pot skapywał mu z szerokich policzków, zaciemniał kołnierz koszuli i opaskę słomkowego kapelusza. Głowa Hugues'a kiwała się na ramionach, często się potykał i nie odpowiadał, kiedy się do niego zwracano. A Wallace ponuro pokonywał dystans. Szczudło zgrzytało na kamieniach. Twarz wykrzywił ból i wysiłek.

Nim przyszło południe, zrobiło się zimno i zacinał deszcz. Kolejny front szedł od Atlantyku.

–Ile do szczytu? – spytał Mallory.

–Godzina – odparł Jaime. Zmrużył oczy, oceniając czarne chmury. – Niebawem będziemy potrzebowali schronienia.

–Dlaczego?

–Śnieg. Znam jaskinię.

–Żadnych jaskiń więcej – zaprotestował Mallory. – Musimy iść dalej.

–To... szczególna jaskinia – rzekł Jaime. – Jeszcze dwadzieścia minut.

–Szczególna?

–Idzie burza. Na razie powinniśmy oszczędzać oddech do marszu.

–Dalej – zarządził Mallory. – Dwadzieścia minut. Rozległ się huk i klekot. Wallace upadł. Nie poruszał się, Andrea kucnął, położył mu rękę na czole. Spojrzał na Mallory'ego. Zwykle nieprzenikniona twarz była zmartwiona.

–Gorączka.

–Możesz go ponieść?

–Oczywiście.

Andrea przerzucił rannego przez plecy i ruszył. Deszcz się rozpadał, potem ustał. Chmury nadal unosiły się wysoko, ale kłęby brudnej mgły czepiały się turni, a

wilgotne powietrze szczypało twarze.

Dno wąwozu podnosiło się, aż weszli na nagi wapienny stok. Nachylenie wzrosło do czterdziestu pięciu stopni. Mallory słyszał dyszenie Andrei.

–Na szczyt – rzekł Jaime.

Ze szczytu pochyłości wyrastało urwisko. Przed nim mały płaskowyż zwężał się w dziwny wąski żleb, jakby miniaturowy wąwóz. Żleb ostrym skosem wrzynał się w urwisko i nagle ginął w płataninie głazów.

–To tu – powiedział Jaime. – Za skałami. Mallory przystanął na szczycie pochyłości, wsłuchując się w oddech szeleszczący w gardle i dudnienie krwi w uszach. I jeszcze inny dźwięk.

–Do jaskini! – rozkazał. – Szybko.

Rzucili się do biegu, ślizgając się na luźnych wapiennych płytkach zaścielających grunt. Wszyscy to usłyszeli – równomierne buczenie silnika samolotu.

Nie mieli szansy zdążyć do jaskini.

–Padnij! – ryknął Mallory.

Wcisnęli twarze między głazy Buczenie wzrosło. Samolot obserwacyjny Fiesler storch powoli wyrósł nad szlakiem. Leżący między dwoma głazami Mallory prawie widział błysk lornetki obserwatora, gdy samolot okrążył płaskowyż.

Storch poleciał dalej, nad drugą stroną góry. Powoli, z wielkim wysiłkiem pluton "Sztorm" powlókł się do jaskini.

Jej gardziel była niewiele szersza niż pęknięcie w skale, ale wewnątrz znajdowała się komora wielkości dużego pokoju, o podłożu zarzuconym kamieniami i kozimi bobkami. Wysokie sklepienie ginęło w cieniach. Ściany były gładkie, jakby wypolerowane wodą. Teraz jej tam nie było poza nielicznymi, sączącymi się z góry kroplami. Zimny przeciąg niósł ze środka woń zapleśniałego kamienia.

–Widzieli nas? – spytał Thierry. Mallory zrzucił plecak z ramion.

–Trudno powiedzieć. Dwadzieścia minut. Potem idziemy dalej.

Andrea zauważył spojrzenie Mallory'ego i chyłkiem wyszedł przed jaskinię.

–Jeśli nas zobaczyli, wrócili tą drogą, którą przylecieli, i zgłoszą raport. – Pod rondem kapelusza oczy Thierry'ego były pełne niepokoju. – Nie sądzisz?

–Jasne – przytaknął Mallory, nie dlatego, że było to dla niego jasne, ale dlatego, że chciał zamknąć tamtemu usta. – Jedzenie. – Zaczął grzebać w plecaku, wyciągać puszki sardynek i tabliczki czekolady.

–Zagotowały się? – spytał Miller.

–Jeszcze nie – rzucił swobodnie Mallory. – Zerknij na Wallace'a, dobra?

Leżał na kamieniu. Andrea podłożył mu pod głowę plecak. Ranny tak wychudł, że wydawało się, iż nos i kości policzkowe

przebijają skórę twarzy. Płonął suchym żarem. Miał otwarte oczy, ale były szkliste i patrzyły tępo.

–Boli.

Miller przykląkł obok.

–Toż to drobiazg, jak powiedziała aktorka do biskupa. – Zrobił zastrzyk z morfiny w zwisające bezwładnie białe ramię. Wallace zajęczał, drgnął i powiedział coś cienkim, niezrozumiałym głosem. Opuścił powieki. Miller rozpiął mu bluzę i zaczął zdejmować bandaż opasujący brzuch.

Kiedy skończył, przez chwilę siedział jak skamieniały, z nieruchomą twarzą. Potem zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko, z ulgą.

Widok rany nie mógł napawać ulgą. Tworzyła wgłębienie po prawej stronie brzucha – nabrzmiałe na brzegach, w kolorze niezdrowej czerwieni przechodzącej w żółć. Unosił się z niego lekki odór, poranna woń spiżami z mięsem po upalnej nocy. A był to zaledwie obraz zewnętrzny. Wyglądało na to, że kula przewędrowała z prawej strony na lewą, przeszła pod mięśniami brzucha i nadal gdzieś tam tkwiła. Miller w żaden sposób nie mógł sprawdzić, jaką szkodę wyrządziła, a zresztą nie miał ochoty nic sprawdzać.

Pogrzebał w apteczce pierwszej pomocy i wyciągnął sulfonamidy w zasypce. Posypał grubą warstwą ranę wlotową i założył świeży opatrunek. Podczas gdy Andrea przytrzymał Wallace'a, obandażował go tak, że teraz wyglądało to czysto, biało i porządnie.

–Co z nim? – spytał Mallory.

Miller zapalił świeżego papierosa od niedopałka.

–Może będzie miał szczęście – rzekł bez przekonania.

–Nic nie możemy poradzić?

–Możecie siedzieć z rozdziawionymi gębami i zastanawiać się, jak, do diabła, udało mu się wspiąć na wysoką na trzy tysiące stóp górę. Poza tym napakowałem go sulfonamidami. Mogę jeszcze odmówić paciorek.

Mallory skinął głową. Tygodnie wysiłku odcisnęły się na Millerze. Oczy zapadły mu się głęboko i pojawił się w nich maniacki błysk. Miller zawsze miał przesadnie rozwinięte po-

czucie humoru, ale teraz rozwinęło się do tego stopnia, że było chłodniejsze niż stal bagnetu.

–Ale powiem ci coś – rzekł Miller. – Gdybym potrafił się wspinać z takim brzuchem, to, cholera, równie dobrze potrafiłbym fruwać.

Pogrzebał w plecaku, wyciągnął puszkę ryb i w gęstej ciszy zaczął jeść, posługując się nożem.

Mallory usiadł, rozluźnił obolałe członki i też zjadł trochę sardynek. Był wyczerpany. Za dwie doby wilcze stado powinno wypłynąć. Zaraz muszą się stąd ruszyć.

Ale jeśli zostawią Wallace'a, umrze.

Sennie spierał się ze sobą. Już zostawili Lisette. Czemu nie zostawić Wallace'a?

Jeśli storch ich zauważył, znajdą go tu. I będzie sypał.

Mallory przyłapał się na tym, że drzemie. Wyprostował się szybko, wyjął z plecaka benzydrynę i połknął ją.

Hugues kiwał się nad butelką koniaku. Mallory pochylił się, wyjął mu ją z dłoni. Sporym haustem popił pastylkę i podał butelkę Jaime'owi. Andrea niedługo będzie musiał nieść Walla-ce'a.

Rozejrzał się po szarych, wyzbytych entuzjazmu cieniach. Andrei nie było. Pewnie stał na warcie. Mallory sztywno dźwignął się na nogi i podszedł do otworu jaskini.

Żleb ciągnął się jak zadaszony niebem korytarz. Podczas dziesięciu minut, które spędzili w środku, dach opadł, przeszedł z czerni w łagodną szarość. I z tej szarości, wirując w podmuchach ostrego wiatru, przypląnęły miliardy śnieżnych płatków. Zarysy kamieni w żlebie rozpląwały się, łączyły pod chłodną, białą pokrywą. Po Andrei nie było ani śladu.

Jaime wyrósł u boku Mallory'ego.

–Teraz tylko jedno małe wzgórze do oceanu.

–Ile?

–Dwanaście kilometrów.

–Pada śnieg.

–Nie w dole. Tu śnieg, tam deszcz. – Jaime roześmiał się. Koniak dodał mu szelmowskiego błysku w oczach. – Jak chcesz, możemy iść wewnętrzną drogą.

–Co chcesz przez to powiedzieć? Jaime wziął go za ramię, zaprowadził do jaskini i wskazał na zacienione rozpadliny w głębi.

–Kiedyś tędy wypływała z urwiska rzeka. Wciąż tam jest, ale znalazła sobie nowe ujścia. Teraz pojawia się w dolinie blisko drogi do Hendaye. I mówią, że tryska ze wzgórza w innych miejscach. Kiedyś poznałem jednego człowieka, Norberta Castereta, który opowiedział mi, że przeszedł wewnątrz góry. To był wielki nudziarz. Opowiedział mi ze szczegółami:

szyby, wodospady i reszta.

–Fascynujące – mruknął Mallory. Benzydryna sprawiła, że w uszach miał gęstą ciszę, jakby wszystko zagłuszył śnieg. Słyszał tylko wysilony oddech Wallace'a i kapanie wody ze sklepienia jaskini. A teraz, gdy Jaime o tym wspomniał, coś jeszcze, raczej wibrację niż jednostajny odgłos, coś niezwykle potężnego, ryczącego i huczącego bardzo daleko. Na przykład wodospad.

Napiął mięśnie, poczuł, że ma spocone ręce. Jaskinie i woda... Nie ma się co bać – powiedział sobie. To tylko benzydry-na. Spojrzał na zegarek. Spędzili tu kwadrans. Czas ruszać dalej.

–Wyruszamy za trzy minuty. Drogą zewnętrzną. Hugues i Thierry zajęczeli, prostując zesztywniałe od zimna członki. Miller załadował plecak i cenne skrzynki. Mallory zarzucił na ramiona swój plecak i broń. Znowu podszedł do otworu jaskini i spojrzał na mały płaskowyż. Był pusty, zasłany płatkami śniegu. Gdzie, do diabła, podziewa się Andrea?

Potem coś poruszyło się w śniegu; wielkie wąsy i para czarnych oczu. Oczy urosły. Mallory zdał sobie sprawę, że to Andrea, ubrany w biały skafander i uzbrojony w brena.

–Mój drogi Keith, mamy niemiecki patrol – powiedział spokojnie Grek. Ale ruszał się szybko. Cisza śpiewała w uszach Mallory'ego.

–llu?

–Może trzydziestu.

Na skraju płaskowyzu, na śniegu, zmaterializowała się linia nierównych kształtów. Były to sylwetki niemieckich żołnierzy,

którym towarzyszyły inne kształty, od których szły skomlenia i poszczekiwanie.

Psy

Nie było sensu odciągać wroga od jaskini. Psy nie pozwolą się zwieść, nawet gdyby przewodnicy dali się wyprowadzić w pole.

Andrea przyglądał mu się.

–Pójdę w górę wzgórza i ich odciągnę – zaproponował.

–Nie. – To słowo wiele go kosztowało. Ale psy nie dadzą się odciągnąć. – Z powrotem do jaskini!

–Ale jaskinia to pułapka.

–Jest tylne wyjście.

Jedna z postaci na śniegu krzyknęła. Linia zamarła.

Andrea westchnął i wycelował brena. W łagodnym białym świetle rozległ się stukot karabinu maszynowego. Jedna z postaci zgięła się i upadła. Mallory wśliznął się do żlebu. Schmeis-ser ożył mu w rękach, a tymczasem Andrea wycofał się. Kule roztrzaskały skałę nad głową Mallory'ego. Poczuł, jak skalne odłamki tną mu policzki, jak ciecze strużka krwi. Cofnął się do gardzieli jaskini. Andrea zapewniał ogień osłonowy. Gdy stanęli w otworze, cztery postaci w szarych mundurach pojawiły się u dołu żlebu.

Nagle Mallory i Andrea znaleźli się w środku jaskini. Schmeis-ser Mallory'ego podskakiwał mu w dłoniach. Andrea zanurzył rękę w ładownicy, zakreślił w powietrzu łuk i granat pofrunął jak małe czarne jajo, obracając się w powietrzu. Wybuchł z głośnym hukem u dołu żlebu. Ale mimo to do ciemnego wnętrza jaskini poszybowało wiele kul odbitych od gardzieli.

Benzydryna pulsowała w głowie Mallory'ego. Jak oni nas znaleźli?! Psy. Lub storch. To nie miało znaczenia. Albo wedrą się teraz, albo wezwą posiłki, które zapewne były już w drodze.

Z zewnątrz rozległ się ogłuszający, jednostajny stukot i w otworze zahuczały kłujące

odłamki skalne. Bez względu na posiłki był tam już przynajmniej jeden karabin maszynowy. Potem do akcji wejdą moździerze.

Mallory pomyślał o tym, co pocisk moździerza może zrobić z gardzielą jaskini. Ujrzał powietrze pełne ostrych jak brzytwa

kawałków metalu i odłamków rozłupanej skały, zapadające się sklepienie...

Zapadające się sklepienie.

Przywołał Millera.

Kiedy podszedł, Mallory wytłumaczył, o co chodzi. Miller skinął głową i wrócił truchcikiem między cienie.

Mallory zawołał przez ramię:

–Jaime! Wyjście?

–Znalazłem! – odkrzyknął Jaime.

Bogu dzięki!

Andrea spotkał się wzrokiem z Mallorym. Jego twarz była taka sama jak dawniej – wielka, beznamiętna nad rozłożystymi czarnymi wąsami. Ale coś w wyrazie szerokich nie ogolonych szczęk wstrząsnęło Mallorym. Andrea przeszedł w pojedynkę z Grecji do Bułgarii, przez samo serce okupowanej Mitteleuropa. Był pułkownikiem greckiej armii i przeżył jej klęskę. Mallory spędził z nim półtora roku za niemieckimi liniami na Krecie, patrzyli śmierci prosto w oczy na Nawaronie i w Kotle Zenicy. Lecz Mallory ani razu nie widział takiego wyrazu na tej twarzy. Tutaj, pięć tysięcy stóp nad poziomem morza, w wilgotnej jaskini, blisko szczytu stromej wapiennej tafli twarz Andrei była... zrezygnowana.

Mallory uświadomił sobie, że mięśnie stwardniały mu jak drewno, a w głowie coś szaleje i wierzga niczym przerażone zwierzę. Zmusił się do myślenia o kanale La Manche pokrytym okrętami pełnymi żołnierzy, a wśród tego wszystkiego gigantyczne niewykrywalne okręty podwodne poruszały się szybko, załadowane torpedami. Seria ze spandaua wbiła się w ścianę jaskini wysoko nad jego głową.

–Jaime znalazł tylne wyjście – powiedział do Andrei. Twarz Greka rozluźniła się. Rezygnacja ustąpiła miejsca wyrazowi, który w wypadku Andrei przekazywał wszystko -od uprzejmej ciekawości do żarliwego entuzjazmu.

–To powinniśmy z niego skorzystać – oświadczył. – Czym prędzej.

Cztery minuty później Miller stał pośród wielkich głazów w głębi jaskini. Gardziel była wąskim białym otworem scho-

dzącym się u góry. Reszta mroczna, czarna jak atrament, kontrastująca z blaskiem padającego śniegu.

Miller skupił wzrok na tym blasku i przez trzy sekundy usiłował nie myśleć o niczym innym, tylko o świetle dnia i niebie. Ale jego prawą dłoń mroził powiew o kamiennym zapachu, bijący z rozpadliny w skalnym dnie – rozpadliny, w której zniknęli jego towarzysze i w której musiał zniknąć on sam, teraz, gdy zakończył przygotowania...

Ulewa kul runęła otworem i wszystko zagłuszył szcęk rykoszetów. Śnieg nagle zaroił się od szarych postaci, które strzelały, wbiegając do jaskini. Miller wypalił serię ze schmeis-sera w brylantowobiały lancet. Potem opuścił się w rozpadlinę i po podwójnej linii zaczął schodzić w ciemność.

Pierwsi dwaj Niemcy rozpląszczyli się o ściany na zewnątrz gardzieli. Szarpnęli sznury naciągające i cisnęli do środka dwa trzonkowe granaty. Rozległo się głuche BUUM, wionął dym. Z czarnego wnętrza nie dobiegły żadne odgłosy życia. Dla pewności rzucili jeszcze dwa granaty i czekali na łoskot.

Nie doczekali się go.

Za to doczekali się gromowego ryku i języka ognia, który wystrzelił z jaskini, rozpuścił śnieg na przestrzeni pięćdziesięciu stóp, zgarnął ich i wystrzelił jak kule armatnie ze żlebu na płaskowyż, gdzie spoczęli pod warstwą odłamków skalnych, spadła z nieba jak grad. Tam, gdzie poprzednio była jaskinia, w górskim boku ziała świeża rozpadlina, na wpół zasłonięta dymiącym piargiem.

–Gott – jęknął feldfebel. – Czym oni dziś szpikują te granaty?

–Czymkolwiek by szpikowali, to zrobiło swoje – rzekł sturmbannfuhrer. – Teraz zabierzcie tych ludzi i, na litość boską, zmiatajmy z tego śniegu.

Miller był dwadzieścia stóp w dole od krawędzi rozpadliny, kiedy nastąpiła eksplozja. Podmuch gorącego powietrza osmalił mu brwi i rozdzielił podwójną linę na dwoje. W jednej skondensowanej chwili pomyślał: kilo plastiku z trzydziesto-

sekundowym zapalnikiem nie tylko wysadzi wapienną jaskinię, ale przetnie linę ze stalowym rdzeniem.

Potem z hukiem wylądował na mokrym kamieniu i straszliwy ból w lewej nodze wypełnił mu cały świat, kurz zapchał płuca, kamienie spadły na głowę.

Uświadomił sobie, że leży w miejscu oświetlonym żółtym światłem latarki, kamienie obsypujące głowę są małe, a ból w nodze ustępuje. Stłuczenie, nie złamanie – pomyślał. Pomacał kieszeń na piersiach bluzy, szukając papierosów, i zapalił jednego. W świetle latarki dym uniósł się pionowo. Poprzednio był przeciąg.

–Wygląda na to, że sklepienie się zapadło – powiedział.

–Jak najbardziej – przytaknął Mallory głosem może o ton lżejszym niż zwykle. – Dziękuję ci, Dusty.

Teraz pozostaje nam tylko wydostać się stąd i znaleźć te okręty podwodne – pomyślał Miller.

Mallory też zapalił papierosa. Otwór szybu był wąski -prawie za wąski dla Andrei. Tu na dole było szerzej, lepiej, tak długo, jak nie myślało się o tych wszystkich miliardach ton skały wokół, o wysadzonym otworze...

Serce tłukło się jak nitowniczy młot pneumatyczny. Tyle skały siadło mu na piersiach, że ledwo mógł oddychać...

Wpadać w panikę będziesz później – rzekł sobie. Kiedy odwalisz robotę. Jak na razie od ciebie zależy życie sześciu ludzi. Benzydryna sprawiła, że zabrzmiało to niegłupio. Wziął głęboki oddech i rozkazał:

–Zgasić latarki. Używać jednej naraz, tylko podczas marszu. – Światło zgasło. Zapadła ciemność, gęsta i dusząca jak mokry aksamit. – Jaime. Ten twój przyjaciel Casteret. Co ci powiedział?

–To było dwa lata temu – rzekł Jaime.

–Postaraj się sobie przypomnieć. Nastąpiła chwila oczekiwania, podczas której prawie słyszał kółeczka obracające się w głowie Jaime'a.

–Wszedł do jaskini. Szyb, rzeka. Powiedział, że jest wiele przejść; rzeka znalazła na zewnątrz jedną drogę, potem drugą, niższą, potem jeszcze jedną. Więc góra jest pełna dziur jak ser

szwajcarski, niektórych zablokowanych, innych zalanych. Droga jest, bo Casteret ją znalazł. Ale to zabrało mu wiele dni.

–To wszystko?

–To wszystko.

Wiele dni w ciemności. Mallory słyszał swój coraz głośniejszy oddech.

–Więc jeśli skierujemy się w dół, nie możemy się bardzo pomylić.

–Chyba tak – przyznał Jaime.

–Bardzo dobrze – rzekł Mallory. – Poprowadzę. Hugues i Andrea, nieście Wallace'a.

Z kilku parcianych pasków i szczudła zrobili lektykę. Mallory wstał, rozprostował zeszywniałe nogi. Zaświecił latarkę.

Zaczęło się.

Strumień światła ukazywał wygładzony wodą chodnik, schodzący ostro w dół. Był wysoki, miejscami tak wysoki, że światło latarki nie sięgało sklepienia. Kiedyś była to rynna kwaśnej wody deszczowej rozpuszczającej pokłady wapienia. Teraz woda znikła, zostawiając koryto szarych kamyczków, po których szli jak po żwirowym podejździe domu na przedmieściu piekła.

Przeszli w ten sposób dwieście jardów, w dół, pod kątem może czterdziestu stopni. Wedle kompasu Mallory'ego kierowali się na zachód. Potem chodnik skręcił na prawo.

Mallory oświetlał latarką podłóżę. Nagle pokazały się dwa snopy światła, jedno tam, gdzie wskazywał Mallory, a drugie na sklepieniu, które znalazło się pod ich stopami, bo odbijało się w czarnym rozlewisku sięgającym od ściany do ściany. Chodnik zniknął pod ostrym kątem w wodzie.

To był ślepy chodnik.

Serce waliło Mallory'emu w uszach. Przed nimi sklepienie schodziło do wody. Za nimi otwór jaskini był zasypany.

Znaleźli się w pułapce.

Dusty Miller zobaczył, że światło latarki się zatrzymuje. Usłyszał kapanie wody, chrapliwy oddech "noszowych". Przypomniał sobie paniczne zeszywnienie Mallory'ego w piecu chlebowym. Pogrzebał w kieszeni i zapalił papierosa.

–Na litość boską! – zapał Hugues, dobrą oktawę za wysoko. – Zużyjesz nasze powietrze.

–Powietrza jest masa – rzekł rozwlekłe Miller, na użytek Mallory'ego. – W górze szybu był przeciąg, pamiętasz? – Usłyszał, jak Mallory pochrząkuje, jakby nie ufał swojemu głosowi. – I wedle standardów speleologów to jest najwygodniejsza jaskinia z możliwych. Czy opowiadałem wam kiedy, jak pracowałem w kopalni ametystów Go Home Point, jeszcze w Ontario? Malutki szyb i zalało nas. No i siedzę sobie z półtoną dynamitu i, jak się okazuje, wściekłym skunksem, sto stóp pod Płytą Kanadyjską, i ten skurwiel napelnia się szybciej niż kurwi bidet...

–Opowiesz innym razem – przerwał mu Mallory. Miller wyczuł z jego głosu, że Mallory wraca do normy.

–Jasne. Hm, wydaje mi się, że musi tu być jakieś miejsce powyżej poziomu wody, że całe to powietrze się tu dostało, zanim wysadziliśmy jaskinię. – Po raz ostatni zaciągnął się papierosem i odrzucił go w snopie iskier. – Więc mamy kłopot nie z powietrzem, tylko z papierosami. Jak mi się zdaje, muszę je teraz wypalić, bo chyba niedługo będę mokry co się zowie. – Postąpił do przodu, mierząc wzrokiem pływający w wodzie snop światła latarki. Rozpiął bluzę.

–Weź linę – powiedział Mallory.

–Jasne.

Długie, blade ciało Millera oplatały węzły mięśni bez uncji tłuszczu. Zawiązał na brzuchu pętlę, wziął do ręki wodoszczelną latarkę i wszedł do wody.

Była tak zimna, że aż paliła. Zaciśnął zęby i szedł dalej. Żwirowe podłoże opadało ostro w dół, pochylony pod kątem czterdziestu pięciu stopni chodnik zachowywał spadzistość. Po trzech krokach woda sięgnęła mu do piersi i nie mógł złapać tchu. Po czterech krokach płynął w najzimniejszej wodzie w życiu. Pracował silnymi ruchami, z nadzieją, że miał rację, że tędy droga, między sklepieniem chodnika i taflą wody, tędy przeciska się powietrze...

Ale być może ono przylatuje skądinąd, z niewidocznej, wysokiej skalnej dziury w sklepieniu. Być może trafili na ślepy

zakamarek, równie głęboki, jak góra jest wysoka, pełen tej lodowatej wody.

Co za śmierć! – pomyślał Miller. Utonąć w mineralce. Przysięgam, że jak z tego wyjdę, nigdy nie wezmę do ust niczego poza koniakiem.

Wsadził w zęby koniec latarki i zanurkował.

Na żwirowej plaży Mallory widział, jak w ciemnej toni światło przygasa, a potem znika. Starał się nie myśleć o tej zimnej wodzie, nacisku sklepienia, skalnych grzebieniach, które mogą cię złapać i nie wypuścić, aż utoniesz w środku skały szerokiej na wiele mil...

Ale zwoje liny z wolna przesuwały mu się między palcami i znikwały w wodzie. Miller robił postępy...

Lina zamarła.

Wyszedł na powietrze – powiedział sobie Mallory.

Ale lina ani drgnęła przez minutę, potem drugą. Głęboko w nim ciskało się to zwierzę: On utknął, zatonął, na litość boską...

Mallory zdał sobie sprawę, że złapał linę i szarpie, ciągnie, ile sił w rękach, mącąc czarną wodę. Andrea zjawiał się u jego boku, uspokajał słowami, które nie docierały...

I nagle zapłonęła latarka i czyjś głos powiedział:

–Zimniej sza niż cycek więdźmy.

To był głos Millera.

Przez chwilę Mallory czuł głęboki wstyd.

–To syfon jak w sedesie – ciągnął Miller. – Po drugiej stronie jest małe wzniesienie, stalagmity, stalaktyty, cały ten młyn. Zawiązałem linę na stalaktycie. Albo micie, mniejsza z tym. W każdym razie zimno, mokro, ale kiedy się przepłynie na drugą stronę, jest czym oddychać.

Mallory odłożył wstyd na lepsze czasy. Było wiele do zrobienia i potrzebował niezmaconego umysłu.

Miller zapakował battiedress w nieprzemakalną pelerynę i wrócił pod powierzchnię lodowatej wody. Reszta poszła za nim, jeden po drugim, wlokąc się pod niskim stropem, wstrzymując oddech, owinawszy ubrania i broń dla ochrony przed wodą. Andrea zamykał tyły. Po drugiej stronie stali i dygotali

w grobowym chłodzie. Najbardziej niepokojący był stan Wal-lace'a.

–Pomachaj rękami – poleciał mu Mallory. – Pobudź krążenie. Wallace z trudem podniósł ramiona i opuścił je bezsilnie.

Miller pochylił się, naciągnął mu bluzę. Ranny był zbyt słaby,

by się samemu ubrać.

–Dresy gimnastyczne – skwitował i usiłował się uśmiechnąć. Brakowało mu sił do tego stopnia, że nawet to mu się nie udało.

Siedli, wypili zupę zagotowaną na kuchence gazowej i sprawdzili broń. Miller postawił puszkę z oliwą blisko lustro wody i kawałkiem wyciora sznurowego przetarł zamek schmeissera. Kiedy skończył, spojrzął na puszkę.

Poprzednio stała sześć cali od skraju wody. Teraz drobne fale lizały jej spód.

W świecie na górze padał mokry śnieg i deszcz. Tu, w świecie podziemnym, wody wnętrza planety podnosiły się.

Najlepiej ani słowa Mallory'emu.

Po pięciu minutach Mallory wstał i powiedział:

–W porządku. Ruszamy.

Chodnik znowu biegł w dół. Pojawiły się kolejne rozlewiska. W żadnym woda nie sięgała wyżej niż do pasa. Hugues szedł przez ciemność z pochyloną głową, rękami w kieszeniach i ramieniem obolałym od szczudła Wallace'a. Kiedy otarł się o jego dłoń, poczuł, że jest zimna jak marmur. Dla Hugues'a było oczywiste, że ten człowiek niedługo umrze. Po co go nieść, skoro porzucili Lisette? To szaleństwo, obłąd. Hugues był żołnierzem. Godził się z tym, że podczas wojny konieczne są poświęcenia. Ale pewne sprawy są zbyt cenne, żeby je poświęcić. Jak życie ukochanej kobiety i nie narodzonego dziecka. Głęboko pod powierzchnią góry Hugues składał sobie obietnice. Jeśli przeżyję – ślubował – wszystko będzie inaczej. Od tej pory będzie się liczyło to, co widzę i czego mogę dotknąć -wzrokiem i rękoma. Od tej pory żadnych walk o wielkie ideały. Od tej pory liczyć się będą ludzie, których kocham.

Jeśli będzie jakieś "od tej pory".

Koniak szumiał mu w głowie. Szedł nienawidząc Mallo-

ry'ego, Millera i tego Greka Andrei, ich zimnych zapadniętych oczu, brutalnych żartów, obojętności wobec żywych, liczenia się tylko z celem operacji...

Andrea nastąpił mu na piętę. Hugues stracił rytm i potknął się – nie mógł złapać tchu, krew huczała mu w uszach.

Nie tylko krew.

Od kiedy tylko znaleźli się wewnątrz góry, w powietrzu unosiło się lekkie drżenie, odległe dudnienie. Teraz nabrało intensywności. Początkowo był to długi, jednolity pomruk. Obecnie pomruk przeszedł w ryk, który wstrząsał podłożem i wprawiał w wibrację nieruchome powietrze chodnika. Po jakiejś mili żwir pod stopami stał się bardziej miękki i dno zaczęło się unosić. Na szczycie niskiego wzniesienia skalna ściana zablokowała chodnik.

Snop światła latarki Mallory'ego powędrował w górę ściany do ciemnego pęknięcia na szczycie. Pęknięcie było szerokie na stopę, a ryk potężny jak silników bombowca. Postawił stopę na ścianie i zaczął się wspinać.

Była wysoka tylko na dwadzieścia stóp, ale spływająca woda starła oparcia dla nóg. Ostrożne dojście na szczyt zabrało pięć minut. A kiedy się tam znalazł, pożałował tego.

Gdy wsuwał głowę w pęknięcie, łoskot spadającej wody potrząsnął nim niczym dłoń olbrzyma. Skierował latarkę w ciemność. Snop światła rozciął pustkę. Wetknął głowę głębiej.

Kiedyś ta ściana musiała być parapetem wodospadu. Obecnie woda znalazła niższy tunel, a miejsce, z którego dawniej spadał wodospad, było urwiskiem, gładkim jak kość słoniowa. Gigantyczny szyb umykał światłu latarki i szedł we wnętrzości ziemi. Z tych głębi unosił się ryk spadających wód, a delikatna mgła rozprysku ochłodziła twarz Mallory'ego.

Co dziwne, ta diabelska dziura w ziemi poprawiła mu humor. Mogła być sobie pod ziemią i ciemna jak wnętrze bankowego sejfu. Ale była otwartą przestrzenią. Miał oto problem, który przy drobnym wysiłku wyobraźni dał się potraktować jako wspinaczkowy.

Zawołał Millera i Andreę. Spojrzeli poza krawędź i wrócili do podstawy parapetu wodospadu.

–Pieska niebieska! – rzucił Miller, nie całkiem równym głosem.

–Mamy dwie liny – rzekł Mallory. – Złączę je, podwoję. Jeśli znajdę coś sensownego, szarpnę dwa razy. Najpierw poślijcie Wallace'a. Reszcie musicie pokazać, jak się opuszczać.

–Idealne miejsce na szkółkę – skwitował Miller.

Mallory związał razem liny, zarzucił ostatni zwój na ramię i przekroczył krawędź.

Ściana była gładka tak, jak wyglądała. Żadnego oparcia dla stóp. Z przerzuconą przez ramię liną, która zwisała mu między nogami, szedł po ścianie, mocno odchylony do tyłu. Zanim dotarł do pierwszego węzła, ogarnęła go kompletna ciemność. Światło latarki Millera było mdłym żółtym punktem wysoko w górze. Ryk wody otaczał go jak burza z piorunami. Odpiął latarkę i skierował ją w dół.

Sześćdziesiąt stóp niżej snop światła napotykał coś czarnego i połyskliwego, umięśnionego jak grzbiet gigantycznego ślimaka bez skorupy. Przez chwilę nie mógł dojść, co to może być. Wreszcie prawda przebiła się do jego świadomości. To był wodospad. Rzeka, wielka rzeka wylewała się z poszarpanego wylotu w szybie i spadała w ciemność zbyt głęboką, by światło latarki mogło ją przeniknąć. Ten ryk paraliżował myśli. Nagle ujrzał siebie kiwającego się jak pajak na nitce, zawieszzonego w tym koszmarnym szybie. Odsunął od siebie ten obraz.

Szyb był kotłem erozyjnym; wirem liczącym miliony lat, świdrem z kwasu węglowego drążącym wapien. Po wyżarciu sobie drogi sto pięćdziesiąt stóp w dół rzeka połączyła siły z innym nurtem i poszła jego śladem. Po lewej stronie pojawił się nowy wodospad, prawie pod kątem prostym do skały, którą schodził Mallory.

Powinna być półka. Tam, gdzie stary wodospad wzmacniał siły nowym, zdecydowanie powinna być półka.

Wiedział, że dochodzi do końca drugiej liny. Ściana nadal była gładka. Z lewej strony czuł powiew spadającej wody, spadającej Bóg wie gdzie. Pył wodny przemoczył go do suchej nitki. Czuł się zmarznięty i wyczerpany. A jeśli nie będzie półki, tylko gładka ściana opadająca na sam dół?

Coś dotknęło jego pleców. Omal nie krzyknął, przerażony. Leżał na półce. Zaświecił latarkę. Półka miała cztery stopy szerokości, dwadzieścia długości, zaścielały ją głazy pokryte białymi wapiennymi osadami, błyszcząca wilgocią. Kiedy oświetlił przestrzeń za krawędzią, nie ujrzał niczego. Tylko czarną wodę sunącą w dół z paraliżującym myśli rykiem.

Dwa razy mocno szarpnął linę. Potem siadł oparty plecami o ścianę, dygotał i jadł czekoladę.

Wallace zjechał pierwszy, opuszczany przez Andreę. Następne były ładunki plecaków, broni i radiostacja, potem Thierry i Hugues. Thierry jakoś utrzymał kapelusz na głowie. Hugues miał zły zjazd; otarł twarz do krwi. Kolejni byli Jaime i Miller. Mallory wyobrażał sobie, że ten ostatni pewnie klął siarczyście. Wreszcie zjawił się Andrea, opadający skokami jak wielki kot.

Gdy wszyscy znaleźli się na dole, Mallory podniósł się, rozprostował zesztywniałe palce, przerzucił liny przez pokryte wapieniem głazy i kontynuował wędrówkę w dół.

Tym razem szła łatwiej. Znajdował jakie takie oparcia dla nóg. Dwadzieścia stóp poniżej znaku umieszczonego w połowie liny wszedł w strefę, w której światło latarki nie tworzyło już żółtego koła na czarnej wodzie, ale rodzaj białego halogenu, jakby we mgle. Hałas przypominał bardziej lawinę śnieżną niż wodospad. Wiał też wiatr – nieregularnymi podmuchami ciskającymi w twarz wodę o wapiennym posmaku. I nagle znów stał na suchym podłożu.

Tym razem to nie była półka. Tym razem gigantyczny, jednostajny plusk wody powiedział mu, że jest u podstawy wodospadu, że stoi na plaży.

Dwa razy szarpnął linę. Włączył latarkę i zrobił rozpoznanie plaży. Szeroka podkova spękanych głazów otaczała rozlewisko kotłującej się wody. Wodospad musiał mieć dwadzieścia stóp szerokości i dziesięć grubości; gęsta wodna kolumna spadała z wysokości dwustu stóp, rozbijając się na wodny pył. Tu wirowała jak w gigantycznym brodziku...

Serce nieprzyjemnie zabiło Mallory'emu w piersi. Poszedł wokół spiętrzonych głazów do jednego skraju wodospadu. Poszedł do drugiego.

Poprzednio spodziewał się, że wodospad w dole popłynie poziomo i wytryśnie z boku góry. Ale żadnego poziomego wylotu nie było.

Szyb tworzył natrysk. To dlatego woda wirowała tu jak w brodziku, bo znajdowała z niego ujście, jak to woda...

Prosto w dół.

Mallory przysiadł na głazie. Ostrożnie zanurzył rękę w kieszeni bluzy, szukając ceratowego pakunku z papierosami i zapalniczką. Włożył papierosa do ust, trzasnął zapalniczką.

Przeciąg zgasił płomień. Zapalił zapalniczkę po raz drugi, ale papieros okazał się przemoczony.

Wkrótce inni zaczęli lądować na plaży. Latarka Mallory'ego dawała słabe żółte światło. Baterie się wyczerpywały. Zgasła. Trzasnął zapalniczką. Knot zapłonął.

Przeciąg znów go zgasił.

Siedział beczynn timer. Miał dreszcze.

Miller zjechał trzeci, po Wallasie. Przeklinał z zamkniętymi oczami. Uderzyło go, że jak na człowieka, który nienawidzi wysokości, przez ostatnie kilka tygodni odwalił nieprzyzwoicie spory kawał wspinaczki. Kiedy znalazł się na plaży, odszedł od liny; uniknąwszy śmiertelnego upadku, nie miał ochoty być rozplaszczony przez jakiegoś

pikującego Francuza. Brudne żółte światło wskazało miejsce, w którym siedział Mallory. Miller włączył latarkę. Używał ostatniego kompletu baterii. Zobaczył to samo co Mallory. Nie ma drogi wyjścia. Też dostał dreszczy. Wiał taki wiatr...

Wiatr.

Skierował latarkę na Mallory'ego. Jego twarz była ściągnięta i blada. Wyglądał jak człowiek, który przez długi czas walczył z jakimś potworem i odkrył, że mimo największych wysiłków ten wciąż żyje.

Zjechały dwa plecaki. Miller oświetlił latarką je i Wallace'a. Twarz porucznika SAS miała trupi wygląd, była szara, zapadnięta, ale podniósł dłoń. Miller skierował światło na bandażę. Rana chyba przestała krwawić.

Miller nagle przestał myśleć o Wallasie. Światło latarki

dotknęło brzegu zbiornika. Przed pięcioma minutami u stóp rannego leżał kamień wielkości cegły. Teraz nic tam nie było.

Rzecz nie polegała na tym, że kamień przepadł – kamienie wielkości cegły nie rozpuszczają się w powietrzu. Zakryła go woda.

Jej poziom stale rósł.

Nie był to problem wojskowy. Ale Miller w żadnym ścisłym tego słowa znaczeniu nie był wojskowym. Prawdę powiedziawszy, po zgłoszeniu się do RAF-u i skierowaniu do służby kuchennej po prostu opuścił oddział; nie z tchórzostwa, ale dlatego, że chciał spożytkować swoje umiejętności tam, gdzie mógł zaszkodzić wrogowi, a nie ziemniakom. Był zdziwiony, gdy ktoś poinformował go, że popełnił akt dezercji. Ale tymczasem znalazł się już za liniami wroga i przyprawiał Rommla o ciężki ból głowy jako żołnierz Sił Pustynnych Dalekiego Zasięgu. I nikt nie miał czasu stawiać go przed sądem wojennym.

Ale gdy stał na tej czarnej malejącej plaży, myślał o czasach sprzed Sił Pustynnych. Nie były to czasy, z których byłby szczególnie dumny, ale odznaczyły się tym, że dokonał wtedy możliwie największej demolki, używając możliwie najmniej środków.

Było to w czasach prohibicji. Z przyczyn, których najlepiej nie wyjaśniać, nawet samemu sobie, Miller znalazł się w Or-casville, osadzie szalowanych na białe domków sterczących na południowym brzegu jeziora Ontario. Właśnie na pomost w Orcasville pewien kanadyjski przemytnik alkoholu, Melvin Brassman, miał zwyczaj wyładowywać partie bimbru. Millero-wi bynajmniej by to wszystko nie przeszkadzało, gdyby nie fakt, że chłopcy Brassmana robili w miasteczku niezły kocioł, czego kulminacją był gwałt na trzech dziewczętach, w tym na córce pastora, i spalenie magazynów dwóch kupców uznanych przez przemytnika za konkurentów. Po

dokonaniu tych spustoszeń ludzie Brassmana rozgłosili, że każdy przemytnik wódki będzie uznany za wroga, staranowany i zatopiony przez stalowy eks-holownik "Firewater", służący im do przewozu towaru.

Jeden z pogorzalców, Brent Kent, wezwał Millera, wówczas poszukiwacza ametystów w regionie Finger Lakes. Kent opisał

mu swoje strapienia, podkreślając potrzebę szybkiego, nie dającego się wyśledzić, gładkiego zniknięcia "Firewatera". W miasteczku brakowało materiałów wybuchowych, a przynajmniej nic nie było o nich wiadomo.

Lecz Miller był kimś więcej niż ekspertem od materiałów wybuchowych. Był chemikiem praktykiem.

Nabył starą, ale pozornie sprawną barkę parową, którą o-chrzcił enigmatycznie "Krakatau". Pomalował burty na kolor miłego dla oka żywego błękitu i rozgłosił, iż wyprawia się do Kanady po ładunek bimbrowy. W wielkich kłębach pary, nie żałując dzwonka, odbił na "Krakatau" od pomostu w Orcasville. Kiedy ładunek znikł mu z oczu, wyłączył silniki i czekał. Po dwunastu godzinach zajął się prawdziwym ładunkiem barki.

Ten składał się nie z napojów wyskokowych, ale kilkunastu beczek łożu i podobnej liczby gąsiorów kwasów siarkowego i azotowego. Zszedłszy z toporem do ładowni, rozłupał beczki z łożem, następnie ostrożnie odkorkował gąsiory z kwasem i spuścił ich zawartość do wiekowych drewnianych zęb, po czym nieporadnie wiosłując, odpłynął bączkiem i przesiadł się na pokład burmistrzowskiego keta. Wylądowawszy, ujawnił stan opilstwa i głupio przechwalał się dużym ładunkiem kanadyjskiej whiskey, kołysząc się na kotwicy w pewnej odległości od brzegu. Towar sprowadzony o brzasku raz na zawsze miał pozbawić Brassmana kontroli nad rynkiem wódki.

Te przechwałki szybko doszły do uszu adiutanta Brassmana w Orcasville, który odbył pewne międzymiastowe rozmowy telefoniczne. Tej nocy idący od strony Kanady w pełnym blasku księżycy "Firewater" ujrzał sylwetkę kotwiczącej "Krakatau" i wszczął akcję zmierzającą do eliminacji konkurencji. Wiadomo było, że "Krakatau" jest zbutwiała. "Firewater" ruszył pełną parą, osiągnął szybkość taranowania i zatopił wroga.

Lecz właściciel "Firewatera" pominął w swoich rachubach Dusty'ego Millera. Gdy Dusty odpływał na wiosłach, z barki uniósł się kwaśny smród i zielona chmura chemikaliów. Obecnie, dwanaście godzin później, kwaśna breja w ładowni połączyła się z tłustymi frakcjami łożu i stworzyła nową substancję.

I tak zbutwiała drewniana barka, w którą kil "Firewatera"

wbił się z szybkością dwunastu węzłów, nie była statkiem do przewozu wódki. Była

to zbutwiała drewniana barka zawierająca dziesięć ton zanieczyszczonej i bardzo wrażliwej na wstrząsy nitrogliceryny.

Eksplozja, która rozniosła "Firewatera", wysadziła również większość szyb w Orcasville i obudziła burmistrza Toronto osiemdziesiąt mil dalej. Następnego dnia Miller skoro świt opuścił miasteczko i Orcasville odzyskało dawny blask. Melvin Brassman przestał sprawiać jakiegokolwiek kłopoty.

Hugues zszedł po linie. W słabym perłowym świetle pojedynczej latarki zobaczył, że ten Amerykanin, Miller, udał się do kawałka plaży naprzeciw wodospadu, kawałka, który, sądząc po głazach spiętrzonych przy ścianie urwiska, był miejscem kamiennego osypiska. Hugues zadygotał w powiewie chłodnego, idącego stamtąd wiatru, który przypominał mu o zewnętrznym świecie. Merde! – zaklął Hugues, wbijając oczy w ciemność. To nie akcja, która rozwiąże cokolwiek. A już na pewno w niczym nie pomogą ci durnie, którzy ściągnęli mnie na dno tej studni, żebym umarł.

Wtem światło po drugiej stronie rozlewiska jakby ożyło, podskakiwało jak pijany świetlik. Przypatrywał mu się tępo. Ktoś stamtąd szedł, biegł, pędził. Czyjeś ciężkie ciało strąciło go ze skały na mokre podłoże, pełen oburzenia usiłował podnieść się z ustami pełnymi kamyków, gdy czyjś głos, głos Millera, zahuczał ponad grzmotem wodospadu:

–Zatkać uszy!

Nagle Hugues ujrzał obraz. Szyb stał się ogromną rurą z szarego kamienia, wodospad srebrną kolumną biegnącą od nieba zamkniętego skałą, każdy występ, półka i kamyczek wyraźny do najdrobniejszego szczegółu, rozświetlony potężnym rozbłyskiem. Hałas wody został na moment zastąpiony nowym hałasem, tak głośnym, że przekraczał wszystko, co dawało się nazwać hałasem.

Był to hałas pięciu funtów żelatyny wybuchowej, którą Dusty Miller wsadził do kamiennego usypiska w miejscu, gdzie przeciąg był najsilniejszy.

Gdy kawałki skał przestały fruwać, Miller wrócił na to miejsce i zbadał jądro eksplozji. Wcale niegorsza robótka -pogratulował sobie. Głazy rozstały się jak kurtyna. W centralnym miejscu wybuchu była poszarpana wyrwa wielkości może dwóch stóp kwadratowych, z której wiatr pędził ostrym strumieniem powietrza jak woda z węża pożarniczego. Miller z nadzieją pociągnął nosem, usiłując wywąchać zapach aromatycznych wiecznozielonych zarośli.

Poczuł wilgotną woń normandzkich kościołów.

Spokojnie, nie wszystko naraz – pomyślał. Oświetlił dziurę latarką. Zobaczył przewracane głazy, a za nimi trochę wolnej przestrzeni – stare koryto rzeki. Teraz szybko, zanim woda uniesie się na tyle, że napelni kanał. Podeszedł do Mallory'ego,

oświetlił swoją rękę i pokazał kciukiem znak powodzenia. Kamienna sztywność opadła z twarzy Mallory'ego. Zebrali ładunki i podzielili je między siebie. Miller zaprowadził ich do dziury w usypisku. Andrea wszedł do niej ostatni. Kiedy się tam znalazł, zauważył, że idzie w wodzie.

Nowy korytarz to był kolejny tunel z wygładzonej przez wodę skały. Wiatr mocno wiał im w twarz. Mallory spojrzął na kompas. Szli na północ. Do tej pory musieli przejść górę. Mallory był zmęczony, głodny, zmarznięty i miał stopy przemoczone od tak dawna, że przypominały ostre gąbki. Ale szli we właściwym kierunku. W dmącym powiewie, który sprawiał, że Mallory drżał z zimna, wyczuł oddech wolności.

Zakładając, że było wyjście.

Korytarz spłaszczał się. Hugues się potknął. Andrea znowu nadepnął mu na piętę; Andrea, który szedł z niezachwianą regularnością maszyny. Hugues był wyczerpany. Chciał cisnąć swój koniec szczudła, z którego zwisał Wallace, zatrzymać się, dać odpoczynek pokrytym pęcherzami stopom, zasnąć w ciemności.

Za plecami głos Andrei powiedział:

–Poniosę go chwilę.

Ten rozumie – pomyślał Hugues. Dokładnie rozumie moją słabość, to, jak nie mogę znaleźć spokoju w myślach, jak wciąż muszę przeżuwać te pytania, na które nie ma odpowiedzi.

W tej przenikliwości Andrei było coś prawie diabolicznego. Hugues czuł się nagi, odsłonięty.

Żeby udowodnić Grekowi, iż się myli, powiedział:

–Czuję się znakomicie.

Grupa z rannym uparciem podążała w ciemności. Ostatnia latarka żółkła. Słysząc było jedynie zziębnięte oddechy, szmer wody na skale.

Andrea nie chciał nic mówić, ale poziom wody w chodniku zdecydowanie rósł.

Zaczęło się od wilgotnego dna. Teraz brnęli po kostki w wodzie i odnosiło się wrażenie, że jej poziom podnosi się szybko. Pomyślał o wodospadzie. Wyobraził sobie, że ta cała woda wlewa się tu. Wyobraził sobie, że wlewa się do komory z małym ujściem, tworząc rozlewisko, które dotrze do tunelu i go wypełni. To będzie kłopot dla operacji – pomyślał metodycznie Andrea. Jeśli utoną, nie zostanie zakończona. Najlepiej byłoby, gdyby się to nie wydarzyło.

Mallory szedł przed siebie. Woda błyszcząca w pomarańczowym strumieniu światła latarki, wesoło pluskała płynąc w dół.

Strumień światła zmałał do punktu, zgasł.

Mallory zapalił i uniósł nad głowę zapalniczkę. Płomyczek migotał w powiewie.

Przed nimi tunel poszerzał się i przechodził w płaski wodny jęzor liżący zwartą skałę. Nad głowami, od wysokości katedralnego sklepienia, szedł szyb. Właśnie w dół tego szybu spadał z wyciem wiatr. Zapalniczka zgasła. W ciemnościach, które nastąpiły, widziało się na szczycie szybu drobinę światła, jasną jak brylant w zimnym czarnym aksamicie głębokich podziemi.

Nieosiągalną drobinę. Gdyż kiedy ich oczy przystosowały się do niewyraźnego blasku, przekonali się, że komora, w której stoją, ma z grubsza kształt odwróconego leja, a szyb tworzy jego dziób.

Informacje o wspinaczkowych wyczynach Mallory'ego wypełniały gazety Imperium Brytyjskiego. Ale nawet mistrz wspinaczki górskiej nie ma ssawek u nóg.

Mallory poczuł koło siebie czyjąś obecność. Miller podniósł

zapalniczkę. Wodny jęzor był rozlewiskiem napełnianym strugą, która sięgała im do kolan. Stalaktyty tworzyły cienie na stropie, a stalagmity ledwo wystawały z rozlewiska. Za każdym stalagmitem burzyła się woda.

–Ona płynie – powiedział Miller. – Musi gdzieś uchodzić.

Tym razem był tak przemoczony, że nie było sensu się rozbierać. Obwiązał się liną w pasie i zaczął brnąć przez rozlewisko.

Na dystansie pierwszych trzydziestu stóp woda nie sięgała mu wyżej niż do kolan. Potem nagle dno zapadło się i płynął, a raczej unosił się na wodzie, porwany ostrym prądem w wąskim rowie. Ku skale przed sobą.

Źle to sobie wykalkulował.

Otworzył usta do krzyku. Zdał sobie sprawę, że jest za późno, więc jedynie nabrał głęboko powietrza w płuca. I zanurzył się.

Prąd był jak ręka, złapał go, wciskał w dół. Zanurkował ostro, poczuł, że uderza o wielką skałę. Wtem jego ramiona znalazły się w ciasnym otworze, zbyt wąskim, by mógł się przez niego przedrzeć. Woda wciskała się do nosa. Usiłowała wedrzeć się do płuc. Wił się konwulsyjnie, uwolnił się, uderzył o inną skałę z taką siłą, że w uszach mu zadzwoniło. Znalazł się w rynnie, skalnej rynnie, tak wąskiej, że nie mógł

ruszyć ręką ani nogą. Parcie wody było potężne. Ty cholerny idioto -sklął samego siebie. Mogło ci się udać raz, dwa razy, dziesięć. Ale nurkowanie w bożym wodociągu to dopraszanie się kłopotów.

I jesteś w kłopotcie.

Płuca mu pękały. W uszach waliła krew, w głowie huczało i grzmiało jak tamten wodospad. Jeszcze trzydzieści sekund i umrze. A wtedy umrą ci pozostali faceci. A te okręty podwodne przetną flotę inwazyjną jak trzy rozżarzone do czerwoności pogrzebaczki funt masła.

Płuca pełne tlenu, tlen zmienia się w dwutlenek węgla. Zaraz cię udusi.

Zmniejsz się.

Zrób wydech.

Miller wypuścił powietrze. Płuca skurczyły się, tors zwęził się o ułamek. Uścisk tunelu zelżał. Nurt przeciągnął go rynną. Cisnął o dziurę, w której zmieściła się tylko głowa. Nos, rozdziawione usta zalewała woda.

Teraz, zaraz umrze.

Umrze z głową w świetle dnia.

Światło dnia?!

Ostatkiem sił wił się jak węgorz. I nagle to coś, co trzymało prawe ramię, ustąpiło i przebił się, był na zewnątrz, za tym wszystkim, leżał na plecach w wesolej strudze, pomykającej z pluskiem zadrzewioną doliną pod popołudniowym niebem, z którego padał rzadki śnieg.

Odetchnął dwa razy, głęboko, kaszląc. Spojrzał na dziurę w zboczu. Poprzednio była nie większa niż borsucza nora. Rozpękła się, poszerzyła do rozpadliny odpowiedniej dla niedźwiedzia lub nawet Andrei. Uplływ wody jakby się zmniejszył. Miller rozbił gardziel. Teraz w tunelu może nawet będzie powietrze. Dwa razy szarpnął linę.

W małej dolinie było zimno. Śnieg nie ustawał, ale biały puch opadał bez przekonania z gęstych czarnych chmur, unoszony zachodnim powiewem. Sprawdzili i oczyścili broń, niezdarnie gmerając zziębniętymi, pomarszczonymi od wody palcami. Jaime znalazł trochę suchych gałęzi i rozpałił ognisko, które płonęło prawie bez dymu. Andrea zagotował zupę. Thierry wcisnął na głowę kapelusz, rozpakował radiostację i zaczął sprawdzać poszczególne części.

Miller przyniósł Wallace'owi puszkę zupy. Żaden z nich nie wyglądał szczególnie zdrowo, ale Wallace wyglądał strasznie. Miał skórę szarą jak papier, ale aż parzącą w dotyku. Oczy szkliste. Gdy Miller wlał mu trochę zupy do ust, natychmiast z wymiotował.

Rana była blada i bezkrwista z powodu stałej kąpieli wodnej. Ale żółte brzegi wydawały się jeszcze bardziej żółte, a czerwona opuchlizna podrażniona. Z obrzmienia sączyła się cuchnąca zgnilizną wydzielina.

–Boli – poskarżył się Wallace.

–Masz tu cholerną papraninę – powiedział Miller. – Im szybciej dostarczymy cię pod dach, tym lepiej. Wallace otworzył przygaszone, łzawiące oko.

–Zostawcie mnie – powiedział.

–Jeszcze czego, w dupę się pocałuj – rzekł Miller, robiąc zastrzyk morfiny. – Nałożymy ci opatrunek. Wciąż boli?

–Nic nie czuję.

–Jasne – rzucił Miller, jakby usłyszał dobrą wiadomość. – Tylko założymy ci na to świeży opatrunek. – Rozsmarował na ranie wilgotne sulfonamidy, zabandażował ją i jako tako przykrył Wallace'a suchym kocem.

–Co z nim? – szybko spytał Mallory.

–Wygląda na to, że coraz gorzej – odparł Miller z ponurym wyrazem twarzy. – Plus wstrząs, jak sądzę. Nie wiem, czemu jeszcze żyje.

Głęboko zapadnięte oczy Mallory'ego patrzyły gdzieś daleko. Dla niego było tajemnicą, dlaczego którykolwiek z nich jeszcze żył.

–Zrobimy dwie godziny odpoczynku – rzekł. – Jaime wie, gdzie jesteśmy. Niemcy uważają, że zginęliśmy. Andrea, prześpij się.

Przyglądał się, jak Miller okrywa Wallace'a pałatką, owija się w swoje poncho i natychmiast zasypia. Andrea siedział oparty o drzewo, jego oczy były niewidoczne. Spał, nie spał, nikt tego nie wiedział i nie miał ochoty pytać. Jaime i Hugues spali. Tylko Thierry był czujny – potężna przykucnięta postać grzebała przy radiostacji, sprawdzała ją po zanurzeniu w wodzie.

–Działa? – spytał Mallory.

Wcześniej cicho przysunął się do Thierry'ego; nie znał innego sposobu poruszania

się. Thierry nagle poderwał głowę. Przerzucił wyłącznik. Świetlny wskaźnik zgasł.

–Są rozkazy? – spytał.

Mallory pochylił się i spojrzął na urządzenie. Wskaźnik miał podpis NADAWANIE. Poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku.

–Thierry. Co ty robisz? – rzekł z nieobecny poprzednio, groźnym spokojem.

–Sprawdzam urządzenie.

–Bylebyś tylko nie nadawał.

–Słyszałem, co mówiłeś – rzekł z irytacją Thierry, wcisnął kapelusz na czoło i oparł się o głaz. Mallory podszedł do końca doliny. Śnieg przestał padać. Między zwałami czarnych chmur pojawiały się głębokie kotliny błękitu. Słoneczne lance tnące leśną gęstwinę niosły prawdziwe ciepło. Ciepło, które było bardzo potrzebne. Szczególnie Wallace'owi. Za cztery godziny miała zapaść ciemność i Mallory'emu nie wydawało się prawdopodobne, by Wallace miał przeżyć noc na dworze.

Wallace nie był jedynym zmartwieniem. Mallory sądził, że w najlepszym wypadku byli w połowie zbocza góry. Nadal muszą zejść w dolinę i dostać się do oceanu, gdzie ma na nich czekać ten Guy Jamalartegui. Bez względu na to, czy Niemcy wierzyli, czy nie, że "Sztorm" zginął w zawalonej jaskini, drogi do oceanu będą gęsto patrolowane.

Mallory rozluźnił przemoczone stopy, zacisnął popękane i otarte dłonie, zmniejszając stary ból i narażając się na nowy. Benzydryna przestawała działać. Czuł się znużony i poirytowany. Najbardziej potrzebowali się wysuszyć. Kiedy wyschną, wszystko się zmieni.

Był zbyt podminowany, by odpocząć. Patrolował las, siedł w dół stoku, aż drzewa zaczęły rzędnąć.

Poniżej łąka opadała ostro w granatowo-niebieskie dna parowów. Słońce znów się pokazało. Czuł na twarzy jego ciepło. Na tej wysokości śnieg topniał równie szybko, jak sypał, i zieleń łąk była rozmigotany smaragdowym przestworem, w którym pływały konstelacje polnych kwiatów. Opadała do zamglonej zatoki, w której leżała wioska przypominająca skupisko zabawek, a za nią górskie ramię, następne ciężkie czarne chmury i metalowa płachta oceanu.

Ale Mallory nie rozkoszował się tym widokiem. Wrócił w cień kępy sosen. Przy oczach trzymał lornetkę. Szarobrazowa twarz skamieniała pod szczeciną zarostu.

W kółeczkach okularów niższe połacie łąki były pełne szarych robaczek. Słońce

odbijało się od przednich szyb; szyb półciężarówek i samochodów transportowych i od dziwnego

pudełkowego pojazdu ze stalową pętlą na dachu, przypominającą ramę gigantycznej rakiety tenisowej. Radiopelengator.

Mallory ujrzał to jak błysk oświecenia; nie błysk pioruna, ale mdłe czerwone mignięcie wskaźnika NADAWANIE na radiostacji Thierry'ego.

Thierry nie sprawdzał urządzenia. Nadawał.

Wszystko zaczęło się układać. Ten cholerny dumy słomkowy kapelusz, który Thierry z uporem nosił na głowie w deszczu i w słońcu, nie miał nic wspólnego z próżnością posiadacza. To był znak rozpoznawczy. "Nie strzelać do człowieka w słomkowym kapeluszu – stanowiły rozkazy. – Resztę zabić. Nie człowieka w kapeluszu".

Jensen powiedział: "Tak to nazwijmy, Niemcy będą na was czekać".

Najpierw postarała się o to SAS. A teraz Thierry.

Niecałą milę dalej, u początku łąki, trzy wozy pancerne zaczęły się wspinać pod górę, zanurzone po osie w gęstej wiosennej trawie, zostawiając ślady jak tory kolejowe. Mallory cofnął się do lasu.

W wąwozie wszyscy spali, poza Thierryem, który nadal kucał przed radiostacją jak wielki Budda. Mallory nie spojrział na niego. Andrea chrapał ciężko. Mallory potrząsnął go za ramię.

–Chyba powinienes zgolić wąsy – powiedział.

–O co... – zaczął Andrea.

–Szybko.

Ręka Andrei podniosła się do górnej wargi. Po raz pierwszy od czasu, kiedy Mallory go poznał, w oczach potężnego Greka zjawiała się niepewność.

–Nie.

–Nadchodzą Niemcy. Pięciuset żołnierzy. Wozy opancerzone. Słuchaj.

Andrea słuchał. Zwiesił głowę, pokiwał nią, z ociąganiem wyjął z plecaka brzytwę i zaczął ścinać wspaniały zarost na górnej wardze.

–Dwadzieścia lat – mruknął.

Ale Mallory oddalił się, budził pozostałych.

W przeciągu dwóch minut warga była ogolona, pokrywała ją tylko czarna szczecina, podobnie jak resztę twarzy. Wstał nowy Andrea; ogolony, z ogorzałą cerą, nosem i policzkami powiększonymi, gdy zabrakło wąsów. I było coś jeszcze w tej normalnie beznamietnej powierzchowności. Andrea mógł zgolić wąsy dla dobra służby, ale to nie znaczyło, że darzył serdecznymi uczuciami tego, kto naraził go na tę stratę.

Andrea był zły.

Wyżej na swoim głazie Thierry zaczynał się denerwować. Ludzie krzżeli się w obozie, chociaż nie powinno być żadnej krzżataniny. Spojrzył na strome ściany lasu po bokach, na dolinę i strumyk szemrzący na stoku. Ci ludzie będą walczyć aż do śmierci. Pracował dla Niemców, żeby się uratować, nie wystawiać na niebezpieczeństwo. Głupi słomkowy kapelusz nie uchroni go przez serią ze spandaua ani szrapnelem.

Thierry przyłapał się na tym, że jest na nogach i te nogi poruszają się, idą bokiem w kierunku lasu. Całym sobą pożądał ukrycia w zbawczym cieniu drzew. Niebo było jasnym błękitem ślącym nadzieję między te zielone liście. Jego misja skończyła się;

ucieczka to żaden wstyd. Odbierze pieniądze obiecane przez Herr Sachsa z gestapo, kupi bar, będzie słuchał tanecznej muzyki, będzie zarabiał na kilku dziewczętach pracujących w pokojach na górze i niebo już zawsze, zawsze będzie tylko niebieskie.

Skończyło się drobiecie bokiem. Teraz biegł najszybciej, jak się dało, wielkim ciałem tratując maliny i młode kasztany. Kątem oka dojrzał, że ktoś go ściga. Z nieprzytomnego strachu narobił w spodnie. Wydało mu się, że słyszy silniki i łomot żołnierskich butów na leśnym poszyciu. Uniósł słomkowy kapelusz i wrzasnął:

–Hilfe! Hilfe!

Ten kapelusz i krzyki musiały mu odebrać szybkość. Wiedział, że coś mocno walnęło go z tyłu, w lewą stronę klatki piersiowej. Zgiął się. Czyjś głos zabrzmiał mu w uchu:

–To od Lisette, ty bydlaku.

To Hugues, ten głupi Normandczyk – pomyślał ze zdziwieniem. Co teraz będzie?

Coś było nie w porządku z jego klatką piersiową. Za bardzo bolała. Bolała naprawdę bardzo mocno, jakby wbito w nią rozpalony do czerwoności żelazny pręt. Atak serca? – pomyślał Thierry. Lekarz nakazywał mu: Schudnij. Ale umrzeć na atak serca na wojnie? Jakie to głupie! – myślał Thierry, spływając zimnym potem. Jak bardzo

głupie. Może da się z tego wygrzebać...

Usiłował nabrać powietrza. Ale płuca były pełne jakiegoś płynu. Kaszlnął. Coś wypłynęło mu z ust.

Krew.

Przed nim zamajaczyła twarz jasnowłosego Normandczyka, Hugues'a. Robił coś z nożem. Czyścił go garścią liści kasztana.

Dźgnął mnie – pomyślał w panice Thierry. Nożem. Mogę umrzeć.

Umarł.

Esesmani w wozach opancerzonych zatrzymali się na skraju lasu i czekali. Gestapo ustawiało trzeci mobilny radiopelen-gator w odpowiednim miejscu, tak by dokładnie ustalić pozycję radiostacji. Wtedy terroryści zostaną otoczeni i metodycznie zmiżdżeni.

Esesmani byli gotowi czekać na to tak długo, jak zajdzie potrzeba.

Krążyły plotki, że jest wysoce nierozsądne podejmować jakiegokolwiek ryzykowne działania wobec tych ludzi. Podobno mieli już blisko stu żołnierzy na koncie. Logicznie rzecz biorąc, należało ich załatwić przewagą liczebną. I, dzięki Bogu, rozwiązując ten problem, mieli wielką przewagę liczebną.

Obersturmfiihrer SS nie myślał jak inni. Odwrócił się i patrzył szyderczo na szare tyraliery, maszerujące niestrudzenie w górę stoku. Skrzywił pogardliwie wargi. Jego żołnierze mogą cieszyć się z użycia tak wielkiej przewagi siły. Obersturm-fuhrerowi wyglądało to na używanie młota kowalskiego do zgniecenia jednego orzecha. Tam było tylko pięciu czy sześciu terrorystów: Francuzów, Brytyjczyków. To kundle, ludzie gorszych ras. W pojęciu obersturmfuhrera czas najwyższy zmieść ich z drogi i znowu zająć się prawdziwą wojną.

W tym momencie pięciu mężczyzn wyszło na skraj lasu, lub raczej wyszło czterech, niosąc piątego na prowizorycznych noszach. Trzech idących i człowiek na noszach mieli brytyjskie battiedressy. Za nimi, w bezpiecznej odległości, siedł tęgi ciemny mężczyzna, trzymając resztę na muszce schmeissera. Na szyi dyndały mu jeszcze dwa automaty. Zgodnie z ustaleniami na głowie miał słomkowy kapelusz.

Popatrzył na wóz opancerzony. Ciemne oczy oceniły czarny mundur obersturmfiihrera, błyskawice na kołnierzyku kurtki.

–Trzech angielskich i dwóch francuskich skurwieli – powiedział wyraźnie akcentowanym niemieckim.

Wilgotne niebieskie oczy Niemca na dłużej spoczęły na przybyszu. Był obrzydliwie nie ogolony, mundur miał nie dopasowany i mokry. Akcent wskazywał na Francuza, ale nie na sto procent.

–Miało być sześciu – powiedział obersturmfuhrer.

–Jeden jest w środku góry – rzekł mężczyzna w słomkowym kapeluszu. – I już na zawsze tam zostanie.

–Dobrze – powiedział esesman. Chłodny wzrok przesunął się po przemoczonej grupce Anglików i jej dwóch francuskich towarzyszach. Zeskoczył z wozu. – Wemer i Groen! Weźcie spandaua. Altmeier, przekaż przez radio dowództwu, że problem rozwiązano.

Spojrzał zimno na więźniów. Herr Gruber, szef gestapo w St-Jean-de-Luz, mógł chcieć ich przesłuchać. Ale Herr Gruber był cywilem, ekspertem od wyrywania paznokci kobietom;

wiedział bardzo niewiele o wojnach, jakie toczyli między sobą mężczyźni. Obersturmfuhrer pociągnął nosem. Na robactwo jest tylko jedno lekarstwo.

–Lekka śmierć – powiedział. – To pewnie więcej, niż zasługujecie. Komm.

Ustawiono spandaua dwadzieścia pięć jardów od wozu, lufą w kierunku niskiego wapiennego urwiska. Trzydziestu lub czterdziestu żołnierzy Wehrmachtu w szarych połowych mundurach stało beczynnie dookoła, przyglądając się.

–Dobrze – powiedział obersturmfuhrer do mężczyzny w kapeluszu. – Teraz każ im kopać.

–Kopać?

–Nie za głęboko. Trzydzieści centymetrów wystarczy. Dwaj esesmani odpięli łopaty z tyłu wozu i rzucili więźniom. Mallory wziął się do kopania. Podobnie Hugues i Miller. Wallace na kolanach bezsilnie grzebał w pulchnej ziemi. Wyglądało na to, że wehrmachtowców ogarnęło obrzydzenie. Powoli zaczęli się wymykać.

–Dobrze – oświadczył dziesięć minut później obersturmfuhrer, zaglądając do płytkiego dołu. – Każ się im rozebrać.

Rozebrali się powoli. Ostatni żołnierze w szarych mundurach odeszli. Nie cierpieli tych sztuczek S S, od których człowiekowi w brzuchu się wywracało. Prawdziwy mężczyzna nie mógł oglądać takich rzeczy. Pluton egzekucyjny i jego ofiary stali sami. Towarzyszył im tylko ptasi śpiew i ociekające deszczem zielone drzewa przy małym urwisku na skraju lasu.

Przy rozstawionym cekaemie stało trzech mężczyzn – obersturmführer i dwaj szeregowi esesmani. Naprzeciwko nich bladzi, okryci gęsią skórą w zachodzącym słońcu więźniowie.

–A co z papierosem? – zapytał po niemiecku Mallory. Mężczyzna w kapeluszu rzekł:

–Dajcie im papierosa.

–Jak na zdrajcę porządny z ciebie człowiek – powiedział o bersturmführer.

Mężczyzna w kapeluszu podszedł do Mallory'ego, wyjął papierosy, zapalił i wręczył więźniowi jednego. Obersturmführera ogarnęło nagle uczucie, że coś jest nie w porządku.

To było ostatnie uczucie, jakiego w ogóle doświadczył.

Bo gdy mężczyzna w kapeluszu zapalał papierosa mężczyźni bez ubrania, musiał mu też wręczyć schmeissera. I nagle ten schmeisser wystrzelił długą serią w obsługę spandaua, która zrobiła jakby żabki do tyłu i leżała, podrygując, wpatrzona niewidzącymi oczami w niebo. Został obersturmführer, z wysuniętym z kabury ługerem. Schmeisser skierował się na niego. Iglica stuknęła w pustej komorze naboowej.

Obersturmführer rzucił się do biegu.

Biegł nieźle jak na człowieka w szerokich spodniach i cięż-

kich wojskowych butach, ale nie dość dobrze jak na człowieka uciekającego przed śmiercią. Andrea precyzyjnym ruchem sięgnął za pas i wyciągnął nóż. Srebro błysnęło w słońcu. Nagle postać w czarnym mundurze przestała biec i padła w nieporządnej płataninie rąk i nóg. Czapka spadła jej z głowy, przetoczyła się i spoczęła oparta o oset. Lekki wiatr rozwiewał gładko przylizane rudawe włosy.

Andrea wyciągnął nóż z karku obersturmführera i wytarł ostrze o mokrą trawę, płosząc muchy bzyżące wokół rany. Mallory i Miller już zdzierali mundury z trupów esesmanów. Mundur obersturmführera jako tako pasował na Mallory'ego.

Przetoczyli trupy do grobów, które kopali sobie samym. Podjechali w górę małej dolinki, załadowali sprzęt i skrzynki Millera do wozu. Mallory siedział sztywno wyprostowany. Wystawił głowę z wieżyczki. Nie ogolona twarz miała szary kolor.

–Ruszaj – powiedział.

Miller wcisnął gaz. Wóz opancerzony skoczył w dół wzgórza, pomiędzy resztkami oddziału Wehrmachtu. Żołnierze odwracali oczy. Wiedzieli, czym te dranie z trupami główkami na czapkach zajmowały się na górze.

A na skraju lasu nic nie mąciło ciszy poza bzyczeniem much nad ciemnymi plamami na świeżo ruszonej darni i poświstem płowego sępa, kołującego między dwiema chmurami.

W dolinie wóz opancerzony wjechał na bruk i śmiało, z grzechotem zaczął pokonywać drogę do St-Jean-de-Luz.

Poniedziałek godz. 19.00 -wtorek godz. 05.00

Mieszkańcy St-Jean-de-Luz poświęcali mało uwagi wozom opancerzonym SS; widzieli ich aż nadto. Mallory patrzył prosto przed siebie na gęstniejącą zabudowę.

–Potrzebujemy bezpiecznego miejsca – powiedział. – Tym razem żadnej pułapki.

Jaime kiwnął głową. Na obrzeżu miasteczka rzekł:

–Tutaj.

Mallory skierował wóz w dół ścieżki, do zardzewiałej żelaznej bramy, na której wisiał łańcuch i kłódka opieczętowana swastyką. Jaime przeciął łańcuch, wpuścił wóz, a potem założył łańcuch, tak że ogniwa wyglądały na nietknięte.

Za bramą było gospodarstwo. Wyglądało na opuszczone w pośpiechu. Okna głównego budynku były otwarte, bryza unosiła strzępy firanek. Obory też stały puste.

–Faszyści zabrali ludzi – wyjaśnił Jaime. – Mężczyzn na przymusowe roboty. Kobiety ukrywały maquis. One też odeszły. Od tej pory nikt się tu nie pojawia.

Mallory obszedł zabudowania. Unosiła się w nich zła woń skażenia. Siano pleśniało w żłobach, wyschnięty nawóz zalegał klepisko obory. W domu pościel nadal spoczywała na łózkach, a w kuchni rondel pełen zgniłego jedzenia stał na zimnym piecu. Jak po zarazie.

Ale Mallory'ego mniej interesowały zabudowania, bardziej drogi wyjścia z nich. Te były znakomite. Dom stał w kępie wiecznozielonych dębów, wśród pól poprzecinanych gęstą siecią głębokich rowów, pożytecznych w razie ucieczki. Najbliższy sąsiedzki budynek stał dwieście jardów dalej; ściana, która wychodziła na opuszczone gospodarstwo, była ślepa, bez okien. A co najlepsze, byli za żelazną bramą z pozornie nie naruszoną faszystowską pieczęcią.

Wprowadzili wóz do stodoły i szczelnie zamknęli ciężkie wrota. Siedli na połamanych krzesłach wokół kuchennego stołu i zapalili papierosy, podczas gdy muchy z podłogi używały sobie na ich łydkach. Zachodzące słońce wisiało żółtymi promieniami na kłębach dymu. Mallory mógłby spać przez rok.

–Musimy iść do baru – powiedział Hugues. Mallory skinął głową. Twarz Francuza była opuchnięta

z wyczerpania. Mallory chciałby mu bardziej ufać. W barze mogło być niebezpiecznie.

–A jeśli Lisette sypnęła? – zapytał.

–Jeśli sypnęła, to sypnęła – rzekł Hugues. – Podejmę to ryzyko.

Po Colbis Mallory zaczął uważać Hugues'a za słabe ogniwo. Ale potem widział, jak ścigał wołającego o pomoc Thierry'e-go, który, niewiele brakowało, wypadłby z ukrycia i pokazał się Niemcom. To była brudna robota i Mallory był wdzięczny, że nie musiał sam jej wykonać. Hugues zrobił ją za niego.

I pod jednookim spojrzeniem spandaua SS, kiedy stali nad grobami, było podobnie. Naturalnie, Hugues się bał. Ale był mężczyzną, który miał odwagę pokonać swój strach. A wedle zasad Mallory'ego na tym polegała prawdziwa odwaga.

Lecz tu nie chodziło o odwagę Hugues'a. Istota rzeczy polegała na znalezieniu Guy Jamalarteguiego.

Wybacz – pomyślał Mallory. Ale bez względu na to, czy jesteś odważny, czy nie, nie mogę ci zaufać, nie na sto procent. Kiedy tylko stracimy cię z oczu, ogarnie cię pokusa, żeby ułożyć się o życie Lisette i twojego nie narodzonego dziecka.

Mallory spojrzał na kłęby dymu otaczające głowę Millera, rozwalonego na krześle i z nogami na stole. Miller zauważył to spojrzenie.

–Ja też pójdę – powiedział. – Przyda mi się łyczek czegoś mocniejszego.

Dziesięć minut później szli w kierunku portu St-Jean-de-Luz. Z Millera był niewiarygodnie wysoki Francuz. Kroczył długimi susami, w czarnym berecie i niebieskich drelichach. Nogawki spodni łopotwały mu wokół łydek. Znalazł to wszystko w szafie. Śmierdziało szczurami. Jednakże dokumenty dostarczone przez SOE były w porządku. Hugues miał na sobie sweter i sztruksy, w których przedzierał się przez górę, a także берет. Byli brudni i nie ogoleni. Żuli czosnek i wtarli ziemię w popękanie, otarte dłonie. W sam raz wyglądali na wieśniaków idących z roboty do gospody.

St-Jean-de-Luz było prawie miasteczkiem. Leżało poza strefą działań wojennych. Żółte wieczorne światło miało ten szczególny blask, który daje bliskość wielkich połaci wodnych. Mieszkańcy spacerowali, ciesząc się ładną pogodą. Ciemnowłosa dziewczyna z wyższością zignorowała mrugnięcie Millera. Westchnął i zatęsknił za papierosem. Ale miał tylko jasny tytoń, a tu palenie jasnego tytoniu było jak

wciągnięcie na maszt gwiazdzistego sztandaru i wymachiwanie bronią.

Cafe de l'Ocean była usytuowana strategicznie na skrzyżowaniu dwóch wąskich uliczek w Quartier Barre, na północ od portu. U końca uliczki, przy motocyklu z przyczepą, Miller zobaczył dwóch umundurowanych Niemców. Stali na nabrzeżu pod chmurą piszczących mew. Wyglądało na to, że odpoczywają sobie, miło kurząc papierosy. Niebawem wóz opancerzony SS po raz kolejny nie odpowie na wezwanie i wybuchnie wrzawa i zamieszanie. Ale Miller miał żarliwą nadzieję, że nie nastąpi to zbyt szybko.

Przed barem Hugues rozejrzał się na wszystkie strony z miną spiskowca z kiepskiego przedstawienia.

–Ładuj się – powiedział uprzejmie Miller i otworzył mu drzwi.

Cafe de l'Ocean była pomieszczeniem o boku dwudziestu stóp, z barem w głębi. Wypełniało je jakichś trzydziestu mężczyzn, pięć kobiet i chmura tytoniowego dymu. Przy narożnym stoliku dwaj Niemcy w połowych mundurach grali w warcaby. Na ich widok Hugues zeszytniał jak wyżeł przed kuropatwą. Miller klepnął go w ramię i powiedział:

–Kamouflaż. – Miał nadzieję, że nie popełnił błędu, zgłaszając się do tego zadania.

Hugues przełknął ślinę. Wielkie jabłko Adama skoczyło w górę i w dół nad wystrzępionym kołnierzykiem koszuli. Przepchnął się do baru, obok starszawego mężczyzny w berecie, z wielkimi siwymi wąsami i nabiegłymi krwią, pożółkłymi oczami.

–Koniak dla mnie i dla mojego przyjaciela admirała -zamówił u tłuściocha za ladą.

Barman miał oczy jak szlifowane kamienie.

–UAmiral Beaufort?

–Nikogo innego. – Cienka warstewka potu świeciła się na różowo-białym obliczu Hugues'a. BBC przekazała hasło. Ale zawsze było możliwe, że coś potoczyło się nie tak jak trzeba, że ten nieprzenikniony barman, o którym Hugues wiedział, że jest w ruchu oporu, odmówi wskazania następnego kontaktu.

Ale jak na razie wszystko szło dobrze.

Barman podał koniak i ogryzkiem ołówka pracownice nagryzmolił rachunek. Hugues podsunął kieliszek Millerowi, powiedział:

–Salut – i spojrział na świstek papieru. Było na nim napisane "Guy Jamalartegui – 7,

Rue du Port, Martigny". Hugues wyciągnął z kieszeni pieniądze i wraz z rachunkiem wręczył barmanowi. Ten włożył zapłatę do kasy, podał rachunek na strzępki i wrzucił do kosza.

–Bon – rzekł Hugues. – On s'en va? Blisko rozległ się chrapliwy szept:

–Vive la France!

Hugues'owi serce podskoczyło w piersiach. Głos należał do mężczyzny z wąsami. Odwrócił się.

–Widziałem ten papier. To dobry człowiek, ten Guy – rzekł

wąsacz. Zajeżdżało od niego jak z gorzelnii. – Bardzo dobry. Pozwoli pan, że się przedstawię. Jestem komendant Cendrars. Może słyszał pan o mnie?

Wzrok Hugues'a przebiegł do Niemców zajętych warcabami. Uśmiechnął się rozpaczliwie.

–Niestety nie. Pan wybaczy...

–Croix de Guerre za Mamę – ciągnął starzec. – Miecz długo spoczywał w pochwie, ale nadal błyszczący. I jest gotów znów wyskoczyć. – Przysunął głowę do Hugues'a. Wokół zapanowała cisza. Przepity, chrapliwy głos Cendrarsa był szczególnie przenikliwy, a jego konspiracyjne zachowanie zwracało uwagę. – Nie jestem sam. Są inni podobni do mnie. Czekają chwili. Chwili, która się zbliża. Choćby teraz. Wielka walka o wyzwolenie Francji spod faszystowskiego buta. Nie jesteśmy komunistami, monsieur. Ani socjalistami, jak ci z partyzantki. Mam nadzieję, że nie jest pan komunistą. Non. Jesteśmy po prostu Francuzami...

–Pan wybaczy – powiedział Hugues. – Wkrótce zacznie się godzina policyjna.

–Mówi się, że dzisiaj w górach zabito sześciu esesmanów -rzekł Cendrars, znacząco mrużąc żółte oczy.

Cisza stała się intesywna, taka, w której wszyscy nastawiają uszu. Miller opróżnił kieliszek, zdecydowanie capnął Hugues'a za ramię i wyprowadził go na uliczkę.

–Co on mówił?

–Brednie – powiedział Hugues. – Głupi stary drań. Głupi stary rojalistyczny con...

–Żadnego politykowania. Do domu, James.

Ruszyli.

Miller trzymał się trochę z tyłu za Hugues'em. Nie podobał mu się ten Cendrars. Jeszcze mniej podobało mu się to, że wieść o zabiciu esesmanów stała się w miasteczku tajemnicą poliszynela. Niemcy nie będą siedzieć na tyłku i oplakiwać nieżywych. Nastąpią poszukiwania i odwet...

Idący przed nim Hugues zamarł. Mówił do kogoś, kogoś małego we włóczkowej czapce i wielkim płaszczu. Zarzucił tej małej osobie ramiona na szyję, objął ją, dziwnie parskał, jakby

się śmiał, ale bardziej przypominało to płacz. To był niesamowity, okropny hałas, który na pewno ściągnie uwagę. Spłoszony Miller nacisnął beret na oczy i ruszył w innym kierunku. Nagle ta osoba odezwała się po francusku:

–Na litość boską, zamknij się.

Hugues odskoczył do tyłu, jakby go ktoś postrzelił. Miał zdumienie na twarzy, otwarte usta.

–Bądź mężczyzną – powiedziała mała figurka. Mała figurka Lisette.

–Hugues, musimy iść – przywołał go do porządku Miller.

–Musisz iść – przytaknęła Lisette. Tylko tego nam jeszcze brakowało – pomyślał Miller. Hugues gapił się na nią. Nie rozumiał słów, które mówiła. Łzy radości sprawiły, że jego twarz była świetlista jak oblicze anioła. Zapomniał, że jest żołnierzem. Był mężczyzną, a ta kobieta nosiła pod sercem jego dziecko. Tyle tylko chciał wiedzieć. Teraz już zawsze będą szczęśliwi.

–Jesteś wolna – powiedział.

–Zgadza się – rzekła Lisette. – A teraz, na litość boską, rusz się.

–Ruszyć się?

Miller odchrząknął. Lisette wyglądała kwitnąco. Włosek nie spadł jej z głowy. Była w ósmym miesiącu ciąży. Tryskała zdrowiem.

To źle. To bardzo źle.

–Powiedziano nam, że zabrano cię na komendę gestapo w Bayonne – rzekł Miller.

–Tak – potwierdziła Lisette. Rozejrzała się po uliczce. Była pusta, jeśli nie liczyć coraz głębszych cieni wieczoru. – Wypuścili mnie. Ze względu na dziecko.

Jej twarz była taka jak zawsze: blada, orla, z podkrążonymi oczami i przezroczystą skórą kobiety w ciąży. To nie był ktoś, kogo torturowano.

–Co się dokładnie wydarzyło? – spytał Miller.

–Spytali mnie, co wiem i jakim cudem znalazłam się w tej wiosce. Powiedziałam, że byłam z odwiedzinami. Oni... no cóż, chyba mi uwierzyli. Powiedzieli, że kobieta w moim... stanie

nie kłamałaby, bojąc się o nie narodzone dziecko. – Pokazała w uśmiechu tyle zębów, że cienie rzuciły się do ucieczki. – Oczywiście, zgodziłam się z tym.

–Jasne – przytaknął Miller. – Jak nas tu znalazłaś?

–Wiedziałam, że idziecie do St-Jean-de-Luz. Wiadomo, że kiedy szukasz wiadomości w St-Jean, znajdziesz je w Cafe de l'Ocean.

–Tak?

To nie podobało się Millerowi. Prawdę mówiąc, bardzo mu się nie podobało. Żaden funkcjonariusz gestapo nigdy nie przejmował się nie narodzonym dzieckiem, a co dopiero takim, którego matka została zatrzymana w czasie nalotu na placówkę ruchu oporu. Gestapo mogło wypuścić Lisette tylko z jednego powodu – by wskazała drogę do swoich przyjaciół.

–Muszę iść – rzekł Miller.

–A my? – spytał Hugues.

–Prowadzimy tu operację wojskową. Wygląda mi na to, że w tym miasteczku wkrótce będzie bardzo gorąco. Musimy przenieść się dalej.

–Więc Lisette będzie nam towarzyszyła.

Miller spojrzał na nich. Jego twarz była szara jak beton.

–Rzecz w tym, że jest problem. Ten problem to ktoś, kto szedł za Lisette z Bayonne. – Przyglądał się Hugues'owi. Widział, jak marszczy czoło, walczy ze sobą. Znał jego odpowiedź. Hugues już raz porzucił Lisette w imię służby. Nie zrobi tego ponownie.

–Musisz iść – powiedziała Lisette.

–Nie – odparł Hugues.

Miller odwrócił się i ruszył przed siebie, z rękami w kieszeniach. Powstrzymywał się od biegu, utrzymywał stateczne tempo wieśniaka. Kierował się do gospodarstwa.

Usłyszał za sobą odgłos kroków: jednej pary krótkich nóg, jednej pary długich. W szybie okiennej zobaczył odbicie: Hugues obejmował ramiona Lisette, wyraźnie

rozdarty. Kroki zwolniły i zamarły. Miller przyspieszył. Zmierzał ku obrzeżu miasteczka.

Niech to szlag trafi – pomyślał. Hugues widział adres na

rachunku w Cafe de l'Ocean. Niemcom nie będzie potrzeba wiele czasu, aby go wydostać.

To był kanał. Pięciogwiazdkowy, z dnem z polerowanej miedzi, cuchnący jak polowa latryna z dziewięcioma dziurami kanał. Kanał nad kanałami.

Domy się przerzedziły. Blisko zadudnił silnik ciężarówki. Miller spokojnie zszedł na pobocze i znikł w krzakach. Przejechała ciężarówka pełna żołnierzy o twarzach bez wyrazu pod czarnymi głębokimi hełmami. Hugues i Lisette nie ukryli się w zaroślach. Ciężarówka przystanęła z piskiem hamulców. Z szoferki wysiadł oficer. Miller usłyszał warknięcie:

–Papiers?

Miller miał w kieszeni dowód osobisty, pozwolenie na pracę, kartki na żywność, kartki na tytoń, przepustkę do strefy przygranicznej i zaświadczenie lekarskie, podpisane przez niejakiego doktora Labayona z Pau, informujące, że chroniczne lumbago uchroniło Millera przed wysłaniem do Niemiec na przymusowe roboty. Miller czerpał pewne poczucie bezpieczeństwa z dźwigania tej fury świstków, ale wiedział, że w krzyżowym ogniu pytań o wuja ze strony matki i kolor brody doktora Labayona szybko tracą ważność.

Miał nadzieję, że Hugues i Lisette byli w takim stanie umysłowym, który pozwoli im na sprawne myślenie. Ale wątpił w to.

Cicho jak cień prześliznął się zaroślami. Po dziesięciu minutach był z powrotem w zabudowaniach gospodarskich.

–Gdzie Hugues? – spytał Mallory. Miller powiedział mu.

Mallory zapalił papierosa. Potem cisnął go na podłogę, przydeptał butem i zarzucił plecak na ramię.

–Wyruszamy – rzekł.

–Dokąd? – spytał Miller.

–Do Martigny.

–A co, jeśli będą sypać?

–Będą sypać – odparł Mallory – to Niemcy zareagują. Jeśli nie zareagują, to znaczy, że nikt nie sypał.

Ale jeśli będą sypać – pomyślał ponuro Miller – to jesteście martwi. Znowu.

Był taki szczyt w Alpach Południowych, na którym go to spotkało: Mount Capps, zdradziecki szczyt, pełen rozpadlin i zwietrzałej skały. Górę zbocza pokrywał śnieg, który w porannym słońcu strzelał salwami głazów, a później w ciągu dnia tracił spoistość z podłożem i ześlizgiwał się w dół jak pułki czołgów, rycząc i ciągnąc za sobą pióropusze sproszkowanej skały i lodu.

Mallory opuścił bazę trzeciego dnia wspinaczki, zostawiając przyjaciół – Beryl i George'a. Osłonięty potężną granią, rozbił biwak w połowie lodowca. Resztę nocy spędził, marznąc, nie znajdując odpoczynku wśród trzasków i huków zamarzającej pokrywy lodowej.

Obudził się o czwartej i wyszedł z namiotu. Niebo było czyste, wierzchołek Mount Capps tworzył spokojną piramidę zabarwionego na różowo lukru. Nad zboczami wisiała Wenus jak srebrna bańka choinkowa. Był piękny poranek.

Mallory odszedł dziesięć stóp dalej, za zasłonę skał, gdzie wyznaczył sobie ubikację. Opuścił spodnie.

Z góry rozległ się huk. Śnieżne pióra nastroszyły się na skałach. Huk przeszedł w ryk. Mallory spojrzał na namiot.

Pięćdziesięciostopowa ściana lodu i skał przemknęła z hukiem przez jego pole widzenia. Musiała pędzić z prędkością dwustu mil na godzinę. Lodowaty dech tego przelotu cisnął go o skały.

Kiedy chwiejnie dźwignął się na nogi, w uszach mu dzwoniło.

W namiocie był plecak, zapasowe liny, pożywienie, zmiana ubrania, śpiwór.

Namiot przepadł. Tam, gdzie stał, w górskim zboczu była głęboka, wypełniona odłamkami blizna. Pozostała mu tylko lina, czekan i umiejętności nabyte podczas wspinania się po górach od dziesiątych urodzin.

Zapiął spodnie. Beryl i George czekali na dole. Spędzili

półtora miesiąca na planowaniu tej wyprawy. Do tej pory nikt nie wspiął się na południową ścianę Mount Capps.

O czwartej rano tego grudniowego dnia dziewięć tysięcy stóp nad poziomem morza Mallory myślał: Beryl, George i reszta zespołu liczy na ciebie. Nie chodzi tylko o

twoje życie. Masz obowiązki. Więc zgiń, pnąc się wzwyż. Na tej górze równie dobrze możesz zginąć, schodząc. Trzy godziny na szczyt, dziewięć do bazy.

Jeśli masz umrzeć, równie dobrze możesz umrzeć, idąc w górę, jak w dół.

Więc zarzucił na ramię pojedynczą linę, czekał i wrócił do bazy w osiem godzin.

Przez szczyt.

Gazety pisały o bohaterstwie. Sam Mallory uważał po prostu, że wykonał zadanie, nie zawiódł zespołu i tyle.

A teraz zespół był gdzieś tam, na południowych wybrzeżach Anglii, liczył setki tysięcy ludzi, czekał na załadunek.

To było ryzykowne zadanie. Ale z tego powodu wcale nie przestawało być zadaniem.

Szybko odeszli przez pola. Andrea niósł Wallace'a. Mieli za sobą bardzo mało snu; na tyle, żeby być zaćmieni i oszołomieni, ale nie na tyle, by choć trochę odpoczęli. Gdy brnęli przez sady i pola młodziutkiego zboża, znowu się rozpadało i porywisty deszcz stukał gałęziami o gałęzie.

Miasteczko leżało w ciemności pod niebem wieczoru. Noc spadła, kiedy Jaime prowadził ich opłótkami od południowej strony, przekraczał ciemniejące drogi, wspinał się po niskich wynio-słościach i schodził tarasami. Silniki ryczały w St-Jean-de-Luz. Po drugiej stronie zatoki przemieszczali się Niemcy, nie wiadomo dokąd ani przeciwko komu. Oni mogli tylko mieć nadzieję, że te ruchy nie miały nic wspólnego z Hugues'em ani Lisette.

Jeden problem naraz.

–Zaczekajcie tu – polecił Jaime.

Dotarli do wysadzanej kamieniem dróżki, wiodącej ostro w dół. U jej końca, niczym stalowa płachta, falowała woda.

Jaime znikł w mroku.

–Andrea! Recce? – zaproponował Mallory. Andrea złożył Wallace'a przy murku, który opasywał chyba grządki ziemniaków, i łagodnie wcisnął mu w rękę schmeissera. Gorączka i morfina zaćmiły rannego. Dawniej myślał, że ci ludzie to partacze jak cała reszta SOE, zwyczajni amatorzy. Teraz obraz w głowie, a raczej w tym, co mu z niej zostało, uległ zmianie. Byli najznakomitszym, najbardziej trzeźwo patrzącym, kompetentnym zespołem, jaki kiedykolwiek spotkał. Nigdy by nie

dopuścił do siebie takiej myśli, gdyby był zdrow. Ale szczerze mówiąc, byli o wiele lepsi niż jakikolwiek pluton SAS.

Myśl o tym jak o rugby. Myśl o zespole, który doszedł do pełnej sprawności, nie szwendając się po boisku krykietowym, ale grając znakomite mecze i wygrywając. Duch zespołowy był dla dzieciaków. Ci mężczyźni to inna liga.

Wallace chciał dorównać ich poziomowi. Ale nie miał pojęcia jak. Wiedział tyle o ranach, by zdawać sobie sprawę, że jest z nim źle; naprawdę źle. Kiedy działanie morfiny słabło, czuł wszędzie zimno, poza tym wielkim pulsującym wrzodem w brzuchu. Wrzód zdawał się rosnąć, sięgał obrzydliwymi zatrutymi paluchami w głąb ciała. Powinienem odpocząć -pomyślał. Powinienem zostać w tym burdelu.

Ale to oznaczało niemiecką kulę, pewnie poprzedzoną torturami.

To też były tortury, obijanie się w tych mrocznych, wilgotnych podziemnych korytarzach, z kawałkiem metalu przewiercającym brzuch, płonąc gorączką, przez wszystkie te tygodnie – czy tylko godziny? – temu. Ale tę torturę dało się wytrzymać, kiedy tylko było się w zespole dorosłych mężczyzn.

Co za życie! Wallace poczuł, jak napięta gorączką skóra rozciąga się w szerokim uśmiechu. Wydaje ci się, że jesteś fantastyczny w bandzie dzieciaków – z bombami, dzi-pem i odwiecznym animuszem. A potem wchodzisz do męskiego zespołu i przez kilka krótkich minut czujesz się mężczyzną.

A potem...?

Andrea cicho przesadził mur ogrodowy w wiosce. Gdzieś rozszczękał się pies. Wkrótce wszystkie będą ujadać. W jed-

nym z domów ktoś gwałtownie uchylił okno i zaczął kląć. Lekko mżyło. U podstawy wzgórza – a raczej urwiska – niebo zamieniło ocean w srebro.

Gdyby nie brak światła, można by pomyśleć, że jest pokój. Gdzieś w pamięci Andrei ożyły wspomnienia wesela, długich stołów zastawionych butelkami, śmiechu i dymu papierosów wznoszących się w gorącą egejską noc, księżyc wychodzącego z głębokiej błękitnej wody. To miasteczko mogło być właśnie takie. I znowu będzie.

Ale to wspomnienie było drobne, jakby widziane przez odwrócony teleskop, pomniejszone nie soczewkami, ale latami wojny. Zacierało się, zasłonięte wizerunkiem ciał rodziców wykrwawionych na kamienistym brzegu rzeki. Zacierało się, zamazane śmiertelnym rżeniem i setkami nocnych polowań, podczas których Andrea nie był pułkownikiem greckiej armii -właściwie nie był nawet człowiekiem; był wielkim, morderczym zwierzęciem, przepelnionym żądzą zabijania.

Przesadził ostatni mur ogrodowy i pokonał pole dochodzące do skraju niskiego urwiska. U dołu wioski było nabrzeże, ułomek kamiennego cypla, w którego osłonie niespokojnie podskakiwały cumujące łódki.

Deszcz szemrał łagodnie. Andrea czekał, cierpliwy jak kamień.

I został nagrodzony.

W dole, pod osłoną szopy u podstawy cypla, zapłonęła zapalka, oświetlając twarz pod ostro odgiętym brzegiem stalowego hełmu. Zamajaczył zarys drugiego hełmu.

Padał deszcz. Psy nadal szczekały. Andrea wrócił drogą, którą przyszedł.

Mallory, Miller i Jaime byli już pod murem.

–Bunkier na wzgórzu po drugiej stronie – powiedział Mallory. – Pilnuje portu.

–Dwóch wartowników – zgłosił Andrea. – Na cyplu. Żadnego bunkra po tej stronie.

–Żadnych żołnierzy w wiosce – zameldował Miller. – Dom tego Guy jest trzeci, licząc od cypla.

–Przynieście Wallace'a – rozkazał Mallory.

Psy nadal szczekały, gdy piątka ludzi pokonała trzy murki i podeszła od tyłu chaty. Pies rzucił się na Andreę, ujadając wściekle. Andrea położył mu na łbie swoją wielką łapę i przemówił spokojnie po grecku; łagodnymi, prostymi słowami człowieka, który zwykł obcować ze zwierzętami. Pies ucichł. Mallory błyskawicznie otworzył tylne drzwi. Miller i Jaime byli już na środku kuchni, zanim mężczyzna przy stole choćby zdał sobie sprawę, że ktoś wszedł.

Był mały i chudy, z opaloną na brązowo łysą czaszką, wielokrotnie złamanym nosem i krzywymi pożółkłymi zębami. W prawej dłoni trzymał łyżkę, w lewej pajdę chleba. Jadł z głębokiego talerza.

Podniósł głowę i rozdziawił szeroko usta; oczy latały mu po kuchni, szukając nie istniejącej drogi ucieczki. Zaczerpnął głęboki oddech, widząc, że będzie musiał mówić.

–Jesteśmy przyjaciółmi admirała Beauforta – powiedział Jaime. – Monsieur Guy Jamalartegui?

Czarne oczy zwężyły się. Szczęki kłapnęły i skończyły przeżuwać. Głowa skinęła potwierdzająco. Usta przemówiły:

–Przynieśliście pieniądze?

–Tak.

–Dużo was – powiedział Jamalartegui. – Niech mówi tylko jeden naraz. Tu są Niemcy.

–Czterech w bunkrze. Dwóch na nabrzeżu – potwierdził Mallory. – To wszyscy? Jamalartegui skinął głową.

–Chyba że trafi się patrol. – Był pod lekkim wrażeniem. Andrea położył Wallace'a na fotelu przy piecu. Ranny oddychał ciężko. Twarz miał siną.

Przez chwilę panowała cisza, jeśli nie liczyć trzasku ognia pod blachą i stukotu deszczu o szyby. Unosiła się woń czosnku, pomidorów, wina i spalanego drewna,

–Jaime, tłumacz – polecił Mallory. Jamalartegui wyjął z kredensu przy piecu grube szklanki i głębokie talerze i rozstawił je na stole.

–Niemcy zabierają mięso – powiedział. – Ale są jajka i dużo ryb w morzu. – Zajął się wrzucaniem na patelnię cebuli,

ostrych papryczek i jajek. Zapach rozszedł się po kuchni. – Piperade.

Potem zapadło milczenie.

Mallory jadł, aż nie mógł więcej zmieścić w brzuchu. Wytarł talerz chlebem, dolał sobie wina i zwrócił się do Jaime'a:

–Powiedz mu, że ma dla mnie pewne informacje.

**–Jestem biednym rybakim – odezwał się Jamalartegui, gdy Jaime skończył mówić.
– Jak się chce jeść, trzeba płacić.**

–Co to za jedzenie bez rozmowy? – odparł Jaime. Mallory nie rozumiał słów, ale wyczuwał sens wypowiedzi. Sięgnął do plecaka, wyjął i otworzył wodoszczelne pudełko. W niewyraźnym żółtym blasku lampy naftowej pokazały się gęsto upakowane białe papierowe arkusiki pokryte miedziorytami z podpisem pana Bradbury'ego, dyrektora Banku Anglii.

–Tysiąc funtów – powiedział Mallory. – Za informację i transport na miejsce.

Oczy starca spoczęły na pięcioletnich banknotach i rozbłysły. Otworzył usta, gotów do targu.

–Tak albo nie – rzekł Mallory.

–Teraz wezmę połowę – przekazał przez Jaime'a Guy.

–Nie.

–Może informacja, którą podam, nie spodoba się wam.

–Przekonamy się. Teraz mów.

–Skąd mam wiedzieć...? Mallory zeszywniał.

–Powiedz mu, że obowiązkiem brytyjskiego oficera jest nie nadużywać gościnności sprzymierzeńca.

Jaime przetłumaczył, co mu kazano. Guy wzruszył ramionami. Mallory przyglądał mu się. To był ten moment; krytyczny moment, w którym się dowiedzą, czy prowadzą wojskową operację, czy szukają wiatru w polu. Moment, dla którego zginęło wielu ludzi.

Cisza, jaka zapanowała, zdawała się trwać wiele godzin. Mallory przyłapał się na tym, że wstrzymuje oddech.

Wreszcie Guy powiedział:

–Bien.

Mallory odetchnął. Guy zaczął mówić.

–Jest tak – powiedział Jaime, kiedy starzec skończył. – Widział te okręty podwodne. Są w miejscowości zwanej San Eusebio.

Mallory przeszukał w myślach mapę. Wybrzeże Francji na południe od Bordeaux było proste i niskie; sto pięćdziesiąt mil plaży, stale rozbijanych wielkimi falami Atlantyku. Jedyne porty, w których można było się schronić, to Hendaye, St-Jean - de-Luz, Bayonne, Capbreton i Arcachon – wszystkie płytkie, wszystkie niewystarczające dla tych gigantycznych jednostek. Nie przypominał sobie, by widział na mapie jakieś San Eusebio. Więc szukaliśmy nie tam, gdzie trzeba. Wszyscy ci ludzie zginęli na próżno.

–Gdzie to jest? – spytał.

–Pięćdziesiąt kilometrów stąd.

Mallory poczuł, że krew znowu pulsuje mu w żyłach. Teraz musieli tylko nacelować to miejsce i wezwać uderzenie z powietrza. Bombowce załatwią resztę. Nawet jeśli okręty podwodne są w żelbetowych schronach – choć niemożliwe, bo słyszałyby o tym – to są teraz nowe bomby burzące...

–W Hiszpanii – dorzucił Jaime.

Mallory poczuł w ustach zimne powietrze. Szczęka mu opadła.

–Hiszpania jest państwem neutralnym – jęknął. Ciemna baskijska twarz Jaime'a była obojętna. Wzruszył ramionami.

–Ale akurat tam są. Wygodnie jest sobie siedzieć w neutralnym kraju, hein? A Franco i Hitler obaj są faszystami, c'est pareil.

–Neutralność to neutralność – powiedział Mallory.

–A okręty podwodne to okręty podwodne – rzekł spokojnie Andrea.

Jak często bywało, Andrea zaprowadził Mallory'emu porządek w głowie.

Przez chwilę nie był w chacie rybaka, morski wiatr nie trząsał dachówkami, piec nie syczał, nie było wart na nabrzeżu i w bunkrze na wzgórzu. Wrócił do tej sali odpraw w willi

w Tremoli, jednocześnie gorącej i zimnej, szedł wzrokiem za żyłkami na marmurze kolumn. Wtedy zabrzmiało to jak zwolnienie liny cumowniczej. "Jesteście zdani wyłącznie na własne siły" – powiedział Jensen.

Ale, oczywiście, Jensen musiał to powiedzieć. Jensen nie mógł rozkazać przeprowadzenia operacji na terenie neutralnego państwa.

Nie będzie żadnego RAF-u. Żadnego wsparcia. Pluton "Sztorm" był zdany wyłącznie na własne siły.

–O co w tym, do diabła, chodzi? – spytał Miller.

–Musimy wysadzić kilka okrętów podwodnych – wyjaśnił mu Mallory. – Bardzo, bardzo cicho.

–Aaa – bąknął Miller z wyrazem twarzy człowieka, któremu oszczędzono wielkiego zawodu. – To o to chodzi? Myślałem, że Hiszpania jest neutralna i takie tam, macie pojęcie? Fajnie.

Mallory dolał sobie wina i zapalił papierosa. W takich chwilach wiedział, że nigdy nie będzie nikim więcej niż zwykłym żołnierzem. Jensen wbijał nóż w żebra Niemców i dosypał bromu kapitanowi Landsdorffowi na pancerniku kieszonkowym "Graf Spee" w noc poprzedzającą zatopienie okrętu. Ale był również dyplomatą; krążyły plotki, że proponowano mu koronę Albanii, a dla wielu naczelników Beduinów był oficjalnym głosem Imperium Brytyjskiego.

Ta sprawa nosiła wszelkie piętno szczytowej przebiegłości Jensena. I być może

odcisk innej ręki, potężniejszej, którą zwykle widywało się zaciśniętą na hawańskim cygarze.

Neutralność Hiszpanii była w najlepszym razie wybiórcza. Dwadzieścia tysięcy Hiszpanów walczyło dla Hitlera na froncie rosyjskim. Niemiecki konsul w Tangerze – na terytorium hiszpańskim – monitorował ruch statków alianckich w Cieśninie Gibraltarskiej. A hiszpański wolfram, surowiec o podstawowym znaczeniu, był dostarczany do niemieckich stalowni.

Lecz brytyjski ambasador w Madrycie, sir Samuel Hoare, był gotów ignorować całą tę wrogą działalność w imię gotowości do rozmów. Zdecydowanie występował przeciwko operacjom SOE w Hiszpanii z obawy o to, że wystawią go na kompromitację.

Sir Hoare'a trzymano w głębokiej nieświadomości co do działań plutonu "Sztorm". Ta operacja miała nie tylko zapobiec straszliwej rzezi, jaką wyremontowane wilcze stado mogło urządzić flocie inwazyjnej w Kanale. Miała zasygnalizować coś Franco nad głową Hoare'a. Niech hiszpański dyktator wie, że aliantom jest wiadome, jak bardzo nagina prawo, niech ma pogładową lekcję, co go czeka, jeśli to nie ustanie.

Pod warunkiem, że pluton "Sztorm" wypełni zadanie.

Jeśli zawiedzie...

Mallory zapalił kolejnego papierosa i usiłował nie myśleć o tym, że może być poprowadzony ulicami Madrytu jako sabotażysta, przestępca łamiący prawa neutralnego kraju.

O tym nie może być mowy.

Niech cię szlag trafi, kapitanie lordzie Nelsonie Jensen!

Zgasił papierosa w szklance z winem. Powiedział:

–Będziemy potrzebowali mapy.

Hugues i Lisette mieli ciężki wieczór. Kontrola dokumentów na drodze poszła całkiem nieźle; Niemcy za bardzo się śpieszyli, by dokładniej odpytać kobietę w wyraźnej ciąży i jej kochanka. Przecież w górach znaleziono trupy esesmanów z patrolu i należało wymierzyć sprawiedliwość.

Ale Hugues był roztrzęsiony. Czy to możliwe, że Lisette była zdrajczynią? Świadomie – nie. Bezwiednie... tak, to możliwe.

Podjął decyzję. Operacja musi być dalej prowadzona bez nich. Wziął Lisette pod

ramię. Zawrócili ku centrum miasteczka. Byli parą kochanków na przechadzce, zaskoczona deszczem i zbliżającą się godziną policyjną. Cóż mogło być bardziej naturalne niż powrót do domu?

–Dokąd idziemy? – spytała Lisette. Hugues zmusił się do uśmiechu.

–Nawiązać kontakt z naszymi przyjaciółmi. Więc wrócili do Cafe de 1'Ocean. Lisette z wdzięcznością usiadła przy stoliku, podczas gdy Hugues zamówił dwa coups de rouge i zastanawiał się, co, u diabła, mają począć dalej.

Bar się wyludnił. Wiał gwałtowny wiatr i mocniejsze podmuchy marszczyły kałuże na drodze do portu. Ale komendant

nadal stał przy barze – niskim wojowniczym głosem mówił coś do barmana, który spoglądał na niego sceptycznie. Zerknął na Hugues'a, pogładził pijacki nos, oceniając Lisette, i wrócił do rozmowy.

Sto metrów dalej, na nabrzeżu, dwóch mężczyzn w płaszczach przeciwdeszczowych rozmawiało cicho po niemiecku.

–Weszła do środka – rzekł jeden z nich. – Z mężczyzną.

–Czy miała jakieś inne kontakty?

–Jeśli tak, to nie widziałem. Zgubiłem ją na dwadzieścia minut.

–Scheisse! – zaklął wyższy. – Za chwilę będzie godzina policyjna i zgubimy ją na amen. Chyba czas popędzić jej kota.

–Proszę?

–Spłoszyć ją i zobaczyć, dokąd ucieknie.

–Aha.

Podeszli do domu monsieur Walvisa, przedsiębiorcy pogrzebowego, szpicla policji Vichy. Wyższy podniósł słuchawkę i stuknął w widełki. Kiedy zgłosiła się telefonistka, powiedział po francusku z silnym akcentem:

–Dać mi komendanta garnizonu. Nastąpiła przerwa. Telefonistka przepinała wtyczki. Wreszcie chrapliwy głos odezwał się po niemiecku:

–Wer da?

–Cafe de 1'Ocean – powiedział mężczyzna. – Natychmiast. – Odwiesił słuchawkę.

Komendant garnizonu zrobił to samo. Na centrali telefonistka wypuściła oddech powstrzymywany, gdy podsłuchiwała rozmowę, i sięgnęła po wtyczki.

Dwie minuty później w Cafe de l'Ocean rozdzwonił się telefon. Kobięcy głos rzekł:

–Pożar w merostwie.

–Merde! – zaklął barman. – Les boches arrivent.

Hugues zdał sobie sprawę, że spodziewał się tej chwili. Ale teraz, kiedy nadeszła, był sparaliżowany. Przebywanie z tymi żołnierzami odebrało mu siłę woli.

Chociaż w takiej sytuacji siła woli na nic by się nie zdała.

Stał niezdecydowany, pocąc się.

–Lisette, ukryj się.

–Nie ma potrzeby – rzekł barman, wycierając ręce w gigantyczny fartuch. – Nasza przyjaciółka na centrali daje nam ostrzeżenie z dziesięciominutowym wyprzedzeniem. – Nalał sobie mały koniak. – Napijcie się?

Komendant podkręcił wąsa i przyjął poczęstunek.

–W takich chwilach rzeczą najwyższej wagi jest zapanować nad nerwami.

Hugues nie posiadał się ze zdenerwowania.

–Non – powiedział. Czy ten kretyn z gębą morsa poważnie proponuje, żeby siedzieli tu i czekali, aż ich zastrzelą? To byli członkowie ruchu oporu. Jeśli Lisette zostanie znaleziona w ich towarzystwie, znowu wyląduje w areszcie. No i ta sprawa jego dokumentów. Nigdy nie wytrzymają bardziej szczegółowego sprawdzania...

Z ulicy doleciał łomot i dzwonienie. Wiekowy wóz strażacki z piskiem kół, ślizgając się, wyhamował na bruku. Komendant dopił koniak i rozkazał:

–Wszyscy do wozu!

Wskoczył do szoferki i wcisnął na głowę wielgachny mosiężny hełm.

–Allez-y – powiedział barman.

Hugues wytrzeszczył na niego oczy. Barman wyganiał ich tłustymi rękoma.

–Vite!

Lisette złapała Hugues'a za rękę.

–Chodź! – powiedziała.

Komendant zapraszał ich, machając zreumatyzowanym ramieniem. Lisette zaciągnęła Hugues'a do szoferki. Wóz strażacki ruszył.

Siedziało w nim siedmiu lub ośmiu mężczyzn, wszyscy w podeszłym wieku.

–Dokąd jedziemy? – spytał Hugues komendanta.

–Godzina nadeszła. Jedziemy wspomóc naszych przyjaciół Anglików.

–Nie. Nie wolno wam.

–A czemu to? – zahuczał po pijacku komendant. – Każdy

mężczyzna w tym wozie walczył za la patrie nad Marną. Jesteśmy gotowi walczyć i umrzeć. Dla sławy Francji. Nie dla twojego przeklętego Lenina, nom d'un nom...

–Muszę powiedzieć, że nie jestem leninistą – zaprotestował Hugues i pomyślał: Głupi staruch. Kawiarniany podżegacz...

–Szanowny panie – rzekł, prostując się, komendant. – Jestem żołnierzem. Wszyscy jesteśmy żołnierzami i prowadzimy z nieprzyjacielem uczciwą wojnę, twarzą w twarz, honorowo, nie kryjąc się po mysich dziurach. Siedemdziesięciu dobranych ludzi stawi się o świcie w domu Guy Jamalarteguiego. Nadszedł czas.

Hugues otworzył usta, by mu powiedzieć, że powinien zatrzymać dla siebie te dziecinne rojenia. Ale Lisette go uprzedziła.

–Nie może pan tego zrobić – rzekła pojednawczo. Komendant uniósł siwe brwi, trzepoczące się w pędzie pomykającego wozu.

–Nie mogę? Madame, muszę pani powiedzieć, że nad Marną ja i trzydziestu moich towarzyszy przez trzy dni utrzymaliśmy redutę, stojąc naprzeciw pułku Niemców. Nic się nie zmieniło.

–Zaufam panu, mon commendant. To, co powiem, ma najwyższą wagę. To wielka tajemnica. – Twarz komendanta, tam gdzie nie zasłaniały jej rozwiewane powietrzem sumiaste wąsy, zaróżowiła się z dumy – Narazi pan na niebezpieczeństwo ważną misję aliantów.

–Mój skarbeczku, dziękuję ci – odparł. – Uszanuję twoją tajemnicę. Nie zaprzataj sobie nią więcej twojej ślicznej główki. I mademoiselle, nie mów mi o walce i innych sprawach, których nie pojmujesz. Miejsce kobiety jest w sypialni i w kuchni. –

Uszczypnął ją w policzek. – To zostaw mężczyznom.

Lisette tak głośno palnęła go w ucho, że słycać to było nawet mimo strażackiego dzwonka.

–Vieux coni – krzyknęła. – Bufon! Przynajmniej nie przyjeżdżaj tym swoim głupim wozem strażackim.

–Monsieur – powiedział Hugues. – Ta dama zaledwie dziś rano uciekła z łap gestapo, gdy pan przesiadywał w barze od południa.

Wóz strażacki szybko jechał południową stroną portu. Padał deszcz. Z jakiegoś sekretnego schowka z tyłu jeden z "wło-chaczy", jak za I wojny światowej mówiono na dzielnych francuskich piechurów, wyjął staromodne strzelby.

–My, którzy przesiadujemy w barze, też walczymy – rzekł z urazą komendant, rozcierając ucho. W głębi portu kilka łódek rybackich cumowało przy molu. Za nimi dwie wielkie szare ciężarówki poruszały się w zmierzchu.

–Niech pan spojrzysz – wskazał Hugues. – Jadą za nami. Błagam pana. Naraża pan brytyjską operację. Tajemnica ma podstawowe...

–To za wami jadą – odparował komendant takim tonem, jakby wygłaszał rozstrzygający argument debaty.

–Komendancie, ostateczny wynik będzie taki sam – spróbowała go przekonać Lisette.

–Nie będę się krył. Nie słucham was. Droga odbiła od brzegu i zaczęła się wspinać między małymi domami.

–Bien – wycodziła przez zaciśnięte zęby Lisette. – W takim razie jest tylko jedno rozwiązanie. – Schyliła się, wyrwała kluczki ze stacyjki i cisnęła je w przydrożne zarośla. – Teraz biegiem.

Wyskoczyła z szoferki. Hugues za nią. Biegła dobrze jak na kobietę w ósmym miesiącu ciąży. Mój Boże – pomyślał Hugues – to naprawdę niezwykła kobieta. Nigdy nie kochał jej bardziej niż w tej chwili.

Byli wolni, ona i on. Zostawiła komendanta, tego starego durnego komendanta, żeby zmylić pogoń. Starzec da się zabić i wiedza o Guy Jamalarteguim umrze wraz z nim. A on sam, Lisette i ich dziecko mogą udać się na Rue du Port w Martigny, wolni od pogoni, i połączą się z Anglikami. Lisette i dziecko wreszcie będą bezpieczne.

Wojna to wojna. Ale naprawdę liczyła się tylko Lisette.

Ściemniało się. Trwała już godzina policyjna i port w Martigny na pewno będzie strzeżony. Ale czy były jakieś inne możliwości?

Na szczycie wzgórza zatrzymał się i obejrzał za siebie. Trzej

weterani znad Marny, wypinając szerokie tyłki, zgięci w scyzoryk, szukali w zaroślach kluczy. Lisette wydawała dziwne dźwięki, jakby płakała.

Ale ona nie płakała. Śmiała się.

Hugues wziął ją za rękę i szybkim krokiem ruszył przed siebie. Po pięciu minutach z tyłu rozległa się strzelanina. Dobrze – pomyślał Hugues. Jak do tej pory wyśmienicie.

–Ładne miejsce – orzekł Dusty Miller. – Widok na morze. Osłonięte baseny.

Spoglądali na mapę nawigacyjną admiralicji rozłożoną na wyszorowanych sosnowych deskach kuchennego stołu Guy Jamalarteguiego Pokazywała linię brzegową, która schodziła ostro do morza, postrzępioną małymi skalnymi zatoczkami stanowiącymi część potężnej Zatoki Biskajskiej. Ale w środku tego fragmentu wybrzeża było coś odmiennego.

W czasach, w których świat był roztopiony i skały płynęły jak woda, wielki gejzer płynnego kamienia przebił się pod ostrym kątem do innej warstwy. Obecnie ta wielka erupcja granitu tworzyła półwysep, który opiekuńczym ramieniem obejmował zatokę San Eusebio. Ramię było oznaczone "Cabo de la Calavera".

U wlotu zatoka miała nie więcej niż sto jardów, lecz w środku poszerzała się do dwumilowego owalu, miejscami głębokiego na dwadzieścia sążni. Na brzegu zatoki przycupnęła wioska San Eusebio. U czubka półwyspu mapa wskazywała FORTALEZA, forteca. Poniżej były budynki z podpisem WYSOKI KOMIN.

–Fort panuje nad wejściem do portu – rzekł za pośrednictwem Jaime'a Guy. – Niemcy ustawili nowe działa. W forcie jest magazyn, dobrze strzeżony, vous voyez. Pewnie z amunicją dla dział i torpedami dla U-Bootów. Poza tym tu biegnie linia fortyfikacji. – Popękany brudnym kciukiem wskazał zwężenie półwyspu. – Jedyna droga do Cabo. To są starożytne fortyfikacje, zbudowane przez Arabów i wzmocnione przez Niemców, jak myślę. Od strony morza jest wysoki klif. Naprzeciwko brzeg podnosi się od strony morza w kierunku portu, tworząc po drugiej stronie miasteczka piaszczystą plażę. Do-

stępu do niej bronią gęste druty kolczaste i dużo min. Ta linia obrony ciągnie się od wewnętrznego krańca fortyfikacji do budynków starej przetwórni sardynek. W porcie są też dwa statki handlowe, które przywożą dostawy, niby z Urugwaju. Statki mają wyładunek przy pomostach fabryki. Teraz stoją dalej od brzegu na kotwicy. Na pokładach mają dużo karabinów maszynowych kontrolujących wody portu.

–Więc gdzie są te U-Booty? Guy wzruszył ramionami.

–Tu jest wielka przetwórnia ryb. Był jeden taki Amerykanin, Bask, który dorobił się wielkich pieniędzy na połowach łososia na Pacyfiku, i chciał pomóc rodzinnemu miastu. Zbudował cztery keje, suchy dok, dużo łodzi i chciał zrobić wielką przetwórnnię sardynek. Naturalnie, nie udało się. W tamtych czasach, a zresztą nigdy, nie było dość sardynek, nie na taką skalę. To był szalowiec, Amerykanin, nic dodać, nic ująć. Ale budynki wciąż stoją. To idealne miejsce do naprawy statku czy okrętu podwodnego, hien entendu. – Sięgnął po zapalniczkę, rozmazał płamę wina i narysował cztery keje, jak zęby widelca, tworzące trzy zatoczki równoległe do brzegu. Wewnętrzna biegła u podstawy skały. Na połączeniu zębów zaznaczył grupę zabudowań. – To są keje, budynki, nawet dźwigi. To łatwe miejsce do obrony.

Oczy Mallory'ego spoczęły na mapie, na pajęczej plamie wina obok. Doprawdy, to było łatwe miejsce do obrony -i trudne do ataku. Ale były też przebłyski nadziei, zwłaszcza ten, że to było neutralne państwo. Zapytał:

–Ile wynosi stan garnizonu? Guy wzruszył ramionami.

–To niedobre miejsce do składania odwiedzin, liczenia żołnierzy. Może pięciuset. Część to Wehrmacht. Trochę SS. Załogi U-Bootów. I personel techniczny, robotnicy stoczniowi, którzy dokonują napraw. Mówi się, że przyплыли z Niemiec, na tych niby-urugwajskich statkach. W sumie być może dwa tysiące ludzi. Są pod dowództwem ważnego człowieka. Mówiono mi, że nosi czarny mundur. Myślę, że to generał albo admirał. SS albo Kriegsmarine, nikt nie mógł mi powiedzieć.

–Dostawy mają ze statków – powiedział Mallory. – A skąd prąd?

–Przywieźli ze sobą – wyjaśnił Guy. – Za forteleza jest skupisko drewnianych szop, w których mieszkają ludzie. Między szopami i forteleza stoi budynek, w którym kiedyś była pralnia. Teraz zamontowali tam wiele diesli i generatory. Oczywiście, to mocno strzeżony rejon. Jest tam też magazyn, w skalnych lochach.

Andrea siedział odchylony do tyłu, z zamkniętymi oczami, jakby spał. Teraz się odezwał:

–Pan dużo wie o tym miejscu, monsieur. Skąd?

–Moi przyjaciele łowią na kutrach, które wypływają z San Eusebio. Opowiedzieli mi.

–Wciąż łowi się przy San Eusebio?

–Ależ oczywiście – powiedział Guy. – To port neutralnego państwa. Jest tam linia kolejowa, którą zawozi się ryby do San Sebastian. Miasteczko zniszczyli faszyci. Ale nabrzeże jest w dobrym stanie. A co do celników... hm, tak blisko granicy zawsze

znajdą się ludzie chętni na pieniądze.

–Co to ma znaczyć? – spytał Andrea.

–Są tacy, którzy robią interesy ze stałymi mieszkańcami. Interesy nie do końca legalne, przy których ważna jest współpraca celników.

Jaime odchrząknął.

–Wiem, że to prawda.

–Znasz to miejsce? – zapytał Andrea.

–Poznałem przy załatwianiu interesów. Oczywiście, nie wiedziałem o okrętach podwodnych. Dla mnie to był tylko port, w którym dało się pohandlować papierosami, winem, tego rodzaju towarami. Niewiele zostało z miasta po załatwieniu go przez tych drani faszystów. Mam tam kontakty handlowe.

–Miałeś – sprostował Guy.

–Pardon?

–Mówisz o Juanito. To Juanito opowiedział mi te wszystkie rzeczy. Dwa miesiące temu.

–Ostatni raz byłem w San Eusebio cztery miesiące temu -odparł Jaime, nie spuszczając oczu z Andrei. Bardzo dobrze

wiedział, co Andrea może zrobić zdrajcy. Całym sercem pragnął przekonać Greka, że nie kryje przed nim żadnych sekretów.

Andrea skinął głową.

–Ta wiedza się przyda.

–Bon – powiedział Guy. – Więc Juanito został znaleziony w Cabo. Poprzednio był tam kilka razy. Tym razem sprzedawał koniak zwykłym żołnierzom. Niemcy go złapali. Zawisł na szczycie forteleza. Wciąż tam jest, a raczej tyle, ile mowy z niego zostawiły. Na drzewcu flagowym. Pour decourager les autres. – Jego oczy prześliznęły się ku pudełku z banknotami. – Więc to niebezpieczna gra.

Andrea pokiwał głową; na jego wielkim karku pojawiały się i znikwały fałdy, jak u lwa morskiego.

–Nieszczęściem na wojnie jest wiele niebezpieczeństw. Zapanowała cisza, przerywana tylko zawodzeniem wiatru w dachówkach. Francuzi wydawali się

niezwykle zainteresowani swoimi dłońmi. Obecność Andrei ciążyła w pokoju jak tykająca bomba. Mallory czekał. To był krytyczny moment, w którym kończył się bieg i oddział miał szansę złapać oddech i zastanowić się; zastanowić nad faktem, że świadomie, z otwartymi oczami skoczył poza krawędź przepaści. Minął czas gorącej krwi. Zaczął się czas zimnej krwi.

Mallory, jak to wielokrotnie bywało podczas tego ostatniego półtora roku w tak wielu małych pomieszczeniach, w których zapadała cisza, nie próbował rozwiać ciężkiej atmosfery spowodowanej obecnością Andrei. Wreszcie, gdy milczenie przeciągnęło się dość długo, spytał:

–Jakaś obrona od strony morza? Zmiana tematu jak odgromnik uwolniła kuchnię od napięcia. Guy roześmiał się krótko i szyderczo.

–Wokół nabrzeży rozstawili sieci przeciwko okrętom podwodnym. Za sieciami jest klif. Osiemdziesiąt metrów. U podstawy skał morze, fale toczą się aż od Ameryki.

–Żadnych fortyfikacji?

Brwi Guy powędrowały aż pod берет. Uśmiechnął się jak człowiek, który z ulgą wchodzi na znajomy grunt.

–Mon capitaine. Przy takich skałach i takim morzu fortyfikacje nie są konieczne. Ledwie cztery miesiące temu Didier Jaulerry został zepchnięty do podstawy skał, pod fortyfikacje. Zatonął z załogą. Jego łódź wciąż tam tkwi, tyle, co z niej zostało. Widać ją w połowie pływu.

Mallory pokiwał głową.

–O jakiej porze się rozbił?

–Podczas przyływu. Wiosennego.

–I mówisz, że łódź wciąż tam tkwi. Guy otworzył i zamknął usta.

–Monsieur. Nie zamierza pan...

Mallory zdawał się go nie słyszeć. Spoglądał na mapę i zamyślony tarł kciukiem szczecinę na podbródku. W najwęższym miejscu półwysep miał sto jardów. Niewątpliwie będą tam fortyfikacje.

–Z czego jest klif?

–Z granitu – odparł Guy. – Ale zwietrzałego granitu. Mewy zrobiły tam sporo gniazd.

–A podstawa klifu?

Guy spojrział na niego jak na szaleńca.

–Skały. Morze. Wielkie morze i wielkie fale. Niech pan słucha, na pańskim miejscu myślałbym o miasteczku. Jest zniszczone, mówiłem panu. Podczas wojny domowej bronili się tam republikanie. Faszyści spalili wszystko. Więc nie ma tam za wielu ludzi, a ci, co zostali, mieszkają jak szczury, w ruinach. Nie ma jedzenia, wody. To byłoby dobre miejsce na lądowanie. Gdyby pan przebrnął fortyfikacje w porcie, mógłby pan podjąć atak...

Guy poczuł się niezręcznie, zamilkł. Zdał sobie sprawę, że w obecności tych mężczyzn powiedział za dużo i zbyt lekkomyślnie. Paplał jak dziecko w towarzystwie dorosłych.

–Więc tak – odezwał się wreszcie Mallory. – Twoja łódź. Wzrok Guy powędrował do metalowego pudełka banknotów leżącego blisko ręki Mallory'ego.

–Zapłatę dostaniesz po wylądowaniu – zastrzegł się Mallory.

Ale, monsieur...

–Taki jest warunek. I oczywiście przyświecać ci będzie myśl, że pomagasz przy urządzeniu świata, w którym będzie można wydać te pieniądze.

–Ah, – mruknął Guy, wzruszając ramionami z realizmem przemytnika. Wojna była częścią polityki. Pieniądze to pieniądze; były czymś innym.

–Zgoda?

–Zgoda.

–Kiedy wypływamy? – Mallory przyglądał się mu chłodnymi piwnymi oczami.

Niełatwo było zrobić wrażenie na Guy. Ale przyłapał się na tym, że myśli: Dzięki Bogu, że to nie mój wróg.

–O czwartej w porcie będzie wyższy stan wody. Warty są wtedy mniej czujne. Godzina wczesna, port mały. Będą przysypiać. Ukryjemy się w pobliżu nabrzeża. Kiedy przyjdzie czas wejścia na pokład, odsłonię na pięć sekund światło.

–A jeśli Niemcy będą pilnować? – spytał Andrea. Guy uśmiechnął się ze znużeniem, jak mężczyzna, który

zaszedł dalej, niż zamierzał, i nie widzi sposobu wycofania się

w bezpieczne miejsce.

–Jestem przekonany, że będziecie wiedzieć, co zrobić z tym fantem. A kiedy już znajdziecie się na pokładzie... hm, jesteśmy rybackim kutrem. Do granicy jest godzina. Wciągnę hiszpańską flagę. Niemcy uszanują neutralną flagę na pełnym morzu, na wodach terytorialnych. To nie to samo, co potajemne eskapady na Cabo de la Calavera.

Andrea skinął głową. Guy był zadowolony, że widzi ten gest.

–Dziękuję ci – powiedział Mallory i sięgnął po wino. Z St-Jean-de-Luz dobiegł odgłos strzałów zmieszanych z wybuchami. Mallory rozłożył się na fotelu i wsłuchiwał się w stukotanie deszczu o dach, uderzenia wichury o okna. Zamknął oczy. Miller i Jaime już chrapali; Wallace leżał cicho. Porywy wiatru uspokajały się, przerwy między nimi wydłużały. Miller będzie szczęśliwy – pomyślał Mallory. I ja też. Miller nie cierpiał morza tak samo, jak Mallory nie cierpiał zamkniętych przestrzeni. Mallory'emu morze było obojętne, ale go nie rozumiał i nie chciał...

Zasnął.

Gdy się obudził, było ciemno. Sądząc po smaku w ustach i bólu głowy, spał nie dłużej niż cztery godziny. W ciemności, blisko, rozległ się czyjś głos; głos Andrei.

–Przy domu są ludzie.

Kłycie zastukały o drzwi. Ktoś powiedział:

–UAmiral Beaufort. To był głos Hugues'a.

–Entrez – powiedział Guy.

Hugues wszedł do środka. Z nim Lisette. Rozejrzała się. Żółte światło lampy oświetlało szare, sflaczałe twarze i wystające kości policzkowe.

–Bonjour – przywitała się.

–Bonjour – odpowiedział uprzejmie Mallory.

Zapadła cisza.

Wreszcie odezwał się Hugues:

–Chyba Miller wam powiedział. Wypuszczono Lisette. Uszła pościgowi. Przez cztery godziny ukrywaliśmy się w stodole nad wioską. Trzymałem straż. Stamtąd widać drogę. Nikt nie przyjechał. Niemcy nas zgubili.

Mallory położył głowę na oparciu fotela. Hugues był blady i zdenerwowany. Lisette trzymała go za rękę.

–Była strzelanina – powiedział Mallory.

–Komendant i jego ludzie – wyjaśnił Hugues. – Oni są sprytni; jednocześnie sprytni i głupi. Zajmą Niemców.

Mallory pokiwał głową. Po raz kolejny miał uczucie, że wydarzenia wymykają mu się spod kontroli. Ale łódź Guy to był przynajmniej sposób, żeby znowu nad nimi zapanować.

Wiatr przeszedł w serię szkwałów. Pomiędzy nimi był spokój, poza dalekim szelestem morza.

–Guy – odezwał się takim tonem, jakby proponował mecz tenisa. – Myślę, że czas przygotować łódź. A my powinniśmy się stąd wynieść. Ile ci to zajmie?

–Będę na tej wysokości za pół godziny. Poziom wody nie będzie wysoki. Ale może wystarczający. – Z kieszonki zatłuszczonej kamizelki wyjął wielki porysowany zegarek. – O trze-

kiej. – Odchrząknął. – Jak powiedziałem, ważne jest, żebyście zachowali dyskrecję.

–Naprawdę? – zakpił Miller.

–Monsieur – rzekł Guy. – Zapewniam pana. Wartownicy może podsypiają, ale pięć minut przed każdą pełną godziną meldują się przez telefon polowy. Sugeruję, żebyście zachowali ostrożność. – Uśmiechnął się nerwowo, niedbale. Wyśliznął się tylnymi drzwiami i znikł w nocy.

Mallory spojrział na zegarek. Było wpół do trzeciej. Kolejny raz siedział w jakimś pomieszczeniu, miał za plecami morze i polegał na innych, że wyciągną go z kłopotów. Miał nadzieję, że to ostatni raz. Zwrócił się do Andrei:

–Weź Wallace'a. Zmiatamy stąd.

–A co zrobicie z komendantem? – spytał Hugues. Mallory miał wrażenie, że nie wyspał się wystarczająco.

–Z komendantem?

–Zjawi się przed świtem, tak powiedział. Z siedemdziesięcioma ludźmi.

–Był pijany – przypomniała mu Lisette. Hugues westchnął.

–Znam go. Zjawi się przed świtem.

–To znaczy, że będziecie mieli tylną straż – zauważył Wallace.

–Dowodzoną przez komendanta? Zwariowałeś.

–Komendant jest w stanie spoczynku. Ja jestem oficerem służby czynnej. Obejmę dowództwo.

Mallory odwrócił głowę i spojrzał na rysy jak z papieru, na szkliste, rozjaśnione gorączką oczy.

–Nie nadaję się do przejażdżki łodzią – wyjaśnił Wallace. – Może jeden z tych gości będzie mógł mnie przerzucić do Hiszpanii, kiedy skończy się zamieszanie.

–Możliwe – przyznał Jaime. – Rzecz jasna, ci starzy dumie potrzebują kogoś, kto będzie im wydawał rozkazy. Ale mon-sieur nie może zostać w domu Guy. Niemcy go zniszczą.

–Zaczekajcie – powiedział Mallory. – Siedemdziesięciu ludzi zjawi się o brzasku?

–Pod dowództwem pijanego – dodał Hugues.

Mallory spojrzał na Wallace'a. Łódź nie była dla niego dobrym miejscem. Jego jedyną nadzieją był odpoczynek i następnie przeprawa przez granicę w dyskretnej ciszy.

–Poślemy ci tego komendanta – rzekł Mallory. – Powiemy mu, że ty jesteś oficerem dowodzącym. Każesz mu wrócić do domu i zabrać cię, kiedy skończy się zamieszanie.

–Tak jest – powiedział Wallace.

Hugues spojrzał na niego, a potem na Mallory'ego.

–Stodoła, w której się ukryliśmy, to spokojne miejsce. Jest strych. Widać z niego drogę, port. To dobre stanowisko dowodzenia.

Mallory popatrzył na przezroczystą twarz, spękane wargi, błyszczące oczy. Przeszedł przez kuchnię i uściśnął dłoń Wallace'a.

–Dużo powodzenia, poruczniku. Dobrze było mieć przy sobie SAS. Bez pana nie dotarlibyśmy tak daleko. Wallace uśmiechnął się szeroko.

–Myślę, że pewnie dotarlibyście.

–Przyślę komendanta – obiecał jeszcze raz Mallory i ruchem ręki przyzwał Millera. – Pomóż porucznikowi Wallace'o-wi dostać się do tej stodoły.

Rozstali się. Mallory zapamiętał uścisk dłoni, a właściwie słaby dotyk lodowatych

kości.

–Odważny człowiek – powiedział Andrea. Lisette przyglądała im się. Skinęła głową. Miała łzy na policzkach.

Kroki Millera ucichły na ścieżce. Wallace odszedł.

Miller szedł ciężko przez ciemne krzaki winorośli i grządki ziemniaków. Niósł swój ciężar w górę drogi, do stodoły. Pokonał schody. Na strychu oparł Wallace'a o zakurzony, słodko pachnący sąsiek.

–Żadnego palenia – przestrzegł Miller.

–Jasne – rzekł Wallace;

–Powodzenia! – Miller położył trzy pojemniki z wodą w zasięgu ręki rannego.

W żółtym świetle latarni wyglądało to jak scena z klasycz-

nego malowidła: ranny żołnierz, plecak, bren, schmeisser, granaty i puszka z sulfonamidami. Na twarzy żołnierza zaigrał lekki uśmiech. Dziwnie się uśmiecha, jak do kogoś daleko stąd – pomyślał Miller.

–Pozdrów ode mnie Anglię – rzekł Wallace.

–Będziesz tam przed nami – dodał mu kurażu Miller. – Możesz postawić mi bourbona u Ritza.

Pokonując po dwa stopnie naraz patykowatymi nogami, zszedł na dół. Przystanął przy drzwiach. Widok ze stodoły był znakomity. Wioska leżała rozciągnięta przy końcu drogi. Nic ani drgnęło na ziemniaczanych grzędach. Powietrze było nieruchome; wiatr ucichł, wyszły gwiazdy. Miller słyszał, jak Wallace wierci się na strychu, dusząc jęk bólu. Zaskrzypiały zawiasy

Miller ruszył drogą w kierunku domów. Po pięćdziesięciu jardach spojrzął wstecz. Gdy niósł rannego, okiennice stodoły były zamknięte. Teraz stały otwarte. Wallace miał widok na drogę, aż do nabrzeża.

Miller zasalutował i cicho zszedł do wioski.

–Lisette pójdzie na łódź – upierał się Hugues. Mallory przyglądał mu się spod gęstych brwi. Jego oczy były zmęczone, ale Hugues'owi wydawało się, że widzą wszystko.

–Jeśli ją zostawimy, może zacząć sypać – kontynuował Hugues. – Może nie mieć szczęścia. I na łodziach rybackich często są kobiety. Będzie... kamuflażem.

Ciężarna kobieta – pomyślał Mallory. Nie ma co, znakomity członek ekipy sabotażystów.

Lisette nie wiedziała, dokąd się wybierają ani dlaczego. Ale gdyby została zgarnięta, wysypałaby ich, bez dwóch zdań. Tym razem gestapo by się o to postarało.

Jeśli już nie sypnęła.

–Weźcie ją – powiedział.

Zanim Miller wrócił do chaty Guy, była za dwadzieścia trzecia. Na stole stała tylko jedna brudna szklanka i jeden talerz. Nic nie wskazywało na to, że siedmiu mężczyzn i kobieta spędzili tu noc. Mallory czekał z plecakiem na grzbiecie

i schmeisserem w ręce. Miller zarzucił na plecy swoje skrzynki. Pluton "Sztorm"

gęsiego wyszedł tylnymi drzwiami, przez mury ogrodów, aż dotarł na szczyt urwiska, z którego Andrea poprzednio obserwował wartowników. Wiatr ucichł zupełnie. Ocean był gładki jak jedwab, fale biły o nabrzeże ze stłumionym hukiem. Jedna z łodzi wiosłowych znikła z cumowiska. Z zamglonej ciemności dobiegły warkoty i dudnienia starych diesli – to flotylla rybacka szykowała się, by wyruszyć z przyływem. Nie było widać śladu wart.

–Zaczekamy, aż warty o drugiej pięćdziesiąt pięć zasygnalizują, że wszystko w porządku. Wtedy się nimi zajmujemy. To nam da godzinę na wydostanie się stąd.

–Godzinę? – odezwał się w pobliżu jakiś głos. – Monsieur, daję panu moją osobistą gwarancję, że ma pan tyle czasu, ile tylko potrzeba.

Mallory odwrócił się na pięcie.

–Mon Capitaine – rzekł głos w potężnym powiewie starego koniaku. – Pozwoli pan, że się przedstawię. Komendant Cendrars. Do pańskich usług.

–Mówiłem panu o komendancie – rzekł Hugues. – Zasłużony członek ruchu oporu.

–Pan wybaczy! – zasyczał wściekle komendant. – Szef ruchu oporu w tym regionie...

–Ah, {a! – zawołał z przekorą Hugues. Mallory nie pozwolił mu kontynuować.

–Panie komendancie, wyrażam panu moją najwyższą wdzięczność. Hugues, proszę tłumaczyć. Powiedz komendantowi, że przybywa w samą porę. Jestem mu niesłychanie wdzięczny za pomoc. Oddaję go pod rozkazy porucznika Wallace'a, komendanta straży tylnej Jego Królewskiej Mości. Kwatera główna straży tylnej mieści się w stodole nad wioską. Ma natychmiast zgłosić się po rozkazy. Przypominam mu, że zachowanie tajemnicy i ciszy to sprawy najwyższej wagi.

Komendant znieruchomiał. Na zaczernionym deszczem nabrzeżu powoli maszerowała jakaś postać: jeden z niemieckich wartowników. Drugi był na posterunku przy telefonie, gotów do złożenia raportu przypadającego na za pięć trzecia.

–Straż tylna, hein? Pod dowództwem porucznika? Muszę powiedzieć...

–Hej! – odezwał się Miller. – Jazda stąd! – Ciemne postacie przykucnęły nad stosem ekwipunku na ziemi. – Cholera, pilnujcie własnego nosa...

Obok głowy Millera coś wybuchło, szokująco głośno w nieruchomym, oświetlonym gwiazdami przedświcie. Dopiero po kilku uderzeniach serca uświadomił sobie, że był to wystrzał z wiekowego karabinu.

–Nad Marną nie przemykaliśmy chyłkiem obok Niemców -zahuczał Cendrars. – Strzelaliśmy do nich. – I znowu wypalił.

Wartownik, zaskoczony kulą, która rozbiła się o granitową nawierzchnię nabrzeża trzy metry od jego lewej stopy, rzucił się na ziemię. Drugi strzał trafił w puste już nabrzeże.

Miller zdał sobie sprawę, że leży na ziemi z przygotowanym do strzału schmeisserem, a serce wali mu w piersi. Cholerni szaleńcy! – pomyślał.

Mallory widział Francuza stojącego na tle nieba. Był wyraźnym celem dla strzelców karabinów maszynowych w bunkrze na wzgórzu po drugiej stronie. Wallace – pomyślał – jesteś sam.

Być może o to ci chodziło.

Miller i Andrea znikli, jak można się było tego spodziewać.

–Andrea?! – zawołał Mallory.

–Zajmę się bunkrem! – zameldował z ciemności głos Greka.

–Dobrze. Miller?

–Tu!

–Warty.

Spojrzał na zegarek. Wskazówki stały na za pięć trzecia. Druty telefoniczne brzęczały od skowytu wartowników: "Jesteśmy pod ostrzałem, przysłać posiłki!" Komendant nie mógł wybrać gorszej chwili.

Zapanowała dziwna cisza, podczas której można było dać głowę, że nic się nie stało. Wtem ze szczytu wzgórza po drugiej stronie doliny, w której leżała wioska, rozbłysł kłujący płomień ognia. Niemcy w bunkrze zainteresowali się wydarzeniami na dole.

Ułamek sekundy później doleciał głos karabinu maszynowego i gwizd pocisków dużego kalibru. Jeden z ludzi komendanta przewrócił się jak kręgiel. Reszta padła na ziemię. Zatrzeszczały stare kości.

–Merde! – zaklął komendant. – Co to jest? Hugues leżał obok Lisette, ściskając ją za rękę.

–Wy głupie staruchy, czemu nie słuchacie rozkazów? – mruknął ze znużeniem.

Jaime poczuł, jak mija go jakiś powiew, z tym że to nie był powiew, bo powiewy nie mówią, a ten rzekł głosem nie dającym się pomylić z żadnym innym, głosem kapitana Mallory'e-go:

–Zejdź na dół za pięć minut. Znieś sprzęt.

Andrea równym klusem, oszczędzając siły, pobiegł na dół do wioski, a potem na wzgórze. Bunkier był dokładnie nad jego głową, pociski smugowe przelatowały w górnej strefie pola widzenia Greka. Nie zwracał na nie uwagi. Zanim zapadła ta noc, widział już bunkry. Tak daleko na południu i w pobliżu zaprzyjaźnionego neutralnego państwa inwazja nie stanowiła poważnego zagrożenia. Więc to nie był jeden z nieprzystępnych punktów oporu, jakie spotykało się na Krecie, zbudowanych z myślą o przetrzymaniu wielodniowego oblężenia. To była jedynie betonowa skrzynia ze stalowymi drzwiami i otworem strzelniczym, przez który karabin maszynowy mógł ostrzeliwać ogniem flankowym zatokę i nabrzeże.

Coś wypływało na morze; coś mogącego być łodzią rybacką. Trudno dokładnie było określić ten zarys, bo na poziomie morza widoczność ograniczał błądny opar, niczym para z czajnika, unoszący się nad czarną powierzchnią wód.

Andrea zwolnił do marszu. Niedaleko będzie wartownik. Przypadł do ziemi i zobaczył sylwetkę przykucniętego na stoku żołnierza. Wyglądał na zdenerwowanego, kulił się, gdy od czasu do czasu kule wystrzeliwane na chybił trafił ze wzgórza zajętego przez bohaterów znad Marny gwizdały mu nad głową.

Wartownik pilnie obserwował to wzgórze. Trzeba było sporo kantów, żeby załatwić sobie przydział tu, nad hiszpańską granicę, gdzie nigdy nic się nie działo. Nie miał pojęcia, co

napadło tych durniów z ruchu oporu. Niebawem przybędą posiłki z St-Jean. Rano będzie dużo strzelania i podpalania. Ale to, co działo się teraz, było denerwujące.

A może było to coś gorszego. Plotki o inwazji z Anglii przybierały na sile, bez względu na to, jak okrutnie SS i gestapo tłumili takie defetystyczne pogłoski. Wartownik miał niedobre przeczucia. Niemniej jednak, jak już się miało przeżyć tę cholerną wojnę, Martigny było właściwym miejscem przydziału...

Przedramię jak stalowy łom zacisnęło się na tchawicy wartownika. Nóż uderzył raz i cofnął się, szybko jak język węża. Andrea opuścił trupa na ziemię, włożył jego hełm i cicho podszedł do drzwi bunkra. Wyjął z bluzy trzy granaty i położył je na szerokiej dłoni niczym jajka. Wyciągnął zawlecзки. Dwa trzymał w lewej, ściskając kabłąki bezpieczeństwa. Trzeci w prawej. Znalazł chwilę między seriami ognia i zastukał granatem o drzwi.

–Hej! Gdzie wasz cholerny wartownik?! – wrzasnął płynną niemczyzną.

Ze środka dobiegły niewyraźne głosy.

–Tu sturmbanniihrer Wilp! – zaryczał Andrea głosem ochrypłym od teutońskiej wściekłości. – To są ćwiczenia. Otwierać!

Drzwi się otworzyły. Żołnierz, który je uchylił, zobaczył wielką postać w hełmie rysującą się na tle nieba.

–Was?

Andrea kopniakiem posłał go w dół schodów i cisnął za nim granaty. Był już pięćdziesiąt jardów niżej, gdy otwory strzelnicze plunęły ogniem i huk zduszonej, ciężkiej eksplozji przetoczył się nad zatoką.

Wartownicy to nie był kwiat Trzeciej Rzeszy. Zanim Mallory i Miller zjawili się na nabrzeżu, Niemcy zabarykadowali się na posterunku, wrzeszczeli do słuchawek telefonów polowych i słuchali wrzasków z drugiej strony.

Mallory miał nadzieję, że Guy się pośpieszy. W obrębie pięciu mil przebywało wielu żołnierzy, gotowych zjawić się w bardzo krótkim czasie.

Posterunek to była kiedyś szopa na sieci. Miał dwuskrzydłowe drzwi jak stajnia. Mallory kopniakiem otworzył oba skrzydła. Niemcy przy telefonach obejrzeli się. Mieli szerokie, tłuste gęby i liczyli sobie dobrze ponad pięćdziesiątkę. Nie wykonali żadnego ruchu w kierunku karabinów. Za to podnieśli ręce do góry.

–Klucze – powiedział Mallory. Starszy z Niemców wręczył mu klucze.

–Karabiny na ziemię – rozkazał Mallory. Broń zagrzecgotała na kamiennych płytach. – Kopnąć tutaj. – Podniósł karabiny, potem rozwalił aparaty telefoniczne i od wewnątrz zamknął drzwi. Jeśli jakimś cudem komendant garnizonu w St-Jean -de-Luz nie został poinformowany o telefonicznych wrzaskach wartowników, to nie mógł nie zauważyć wysadzenia bunkra. Ciężarówki z wojskiem są już pewnie w drodze.

–Teraz słuchajcie – powiedział Mallory. – To operacja armii brytyjskiej. Nie ma żadnego związku z ruchem oporu. Zaraz wsiadamy do naszego okrętu podwodnego i wycofujemy się. Ludność cywilna nie była w to zaangażowana. Rozumiecie?

Oszołomieni wartownicy pokiwali głowami, przenosząc wzrok ze szczupłej zaciętej twarzy na esesmański skafander i schmeissera, który ani drgnął w bardzo zniszczonych dłoniach.

–Poinformujcie waszego dowódcę – mówił Mallory. – To rajd komandosów, demonstrujący nasze możliwości. Powiedzcie dowódcy, niech sobie zapamięta, na co nas stać.

Wartownicy kiwnęli głowami. Czuli już lodowate wichry rosyjskiego frontu, wiejące im w kark. Ale wiadomość będzie przekazana.

Mallory i Miller wyszli na puste nabrzeże. Mallory zamknął drzwi na kłódkę.

W powietrzu unosiła się wilgoć zmieszana z lekkim przemysłowym fetorem mocnych środków wybuchowych z bunkra. Było cicho, jedynie pluskały fale, a w pobliżu dudnił silnik rybackiego kutra.

Daleko w tle ledwo słyszalnie pracowały silniki ciężarówek.

Przybywały posiłki.

Hugues zszedł w dół urwiska na nabrzeże, z Jaime'em, Lisette i skrzynkami Millera. Wrócił również Andrea. Zza horyzontu nadpłynęła rybacka łódź, maszt przesunął się przez gwiazdy w dyszlu Wielkiego Wozu.

Mallory zauważył, że gwiazdy w dolnej osi Wozu znikły. Odhaczył to w pamięci. Pośród tych wszystkich katastrof było to coś, co mogło się przydać.

–Gdzie są ci starcy? – spytał Jaime'a.

–Przygotowują się do ostatecznej obrony.

–Idź i powiedz im, że za każdego Niemca, którego zastrzelą, w odwecie pójdzie pod mur dziesięciu Francuzów. Powiedz im, że to operacja brytyjskiej armii i że Brytyjczycy się wycofują. Powiedz im, że takie same informacje dostali wartownicy. Zwijaj się.

Jaime skinął głową i potruchtał w górę urwiska.

–Na litość boską, gdzie ta rybacka łódź? – zapytał Hugues. Ciemny kształt wyłonił się z mroku. Kuter prześliznął się wzdłuż nabrzeża.

–Bez wsparcia z powietrza daleko nie dopłyniemy – rzucił Andrea.

To był żart. Żart zbyt prawdziwy, żeby mógł być zabawny. Gdyby Niemcy pełnymi ciężarówkami pojawili się teraz na kei, bez żadnego problemu zatopiliby łódkę Guy. Karabiny maszynowe, granaty i moździerze zrobiłyby swoje.

Gdyby pojawili się teraz na kei.

Mallory pomyślał o Wallasie, o spojrzeniu porcelanowobłę-kitnych oczu. Wallace był szalonym wojownikiem.

Powodzenia, poruczniku – pomyślał Mallory.

Ciemny kadłub kutra był teraz przy nabrzeżu, silnik stukał dźwięcznie jak metalowe serce. Silniki ciężarówek były prawie równie dobrze słyszalne, pojazdy zbliżały się do szczytu wioski.

–Bon. – Drobną postać mówiła głosem Guy, ale wyższym niż zwykle. – Wszyscy na pokład. Szybko, szybko. Jaime zmateriałizował się w cieniach nocy.

–Powiedziałem im – wydyszał.

Weszli na pokład. Śruba mąciła wodę pod pawężą. Dziób

wysunął się i znieruchomiał w absolutnej czerni między oceanem i gwiazdami. Przez chwilę ład za rufą był mroczny i cichy, domy śpiącej wioski rozciągały się w dolinie pod gwiazdami.

Wtem dolina wybuchła jak krater wulkanu.

W szoferce pierwszej ciężarówki siedział zmęczony i znużony hauptmann. Cholerny ruch oporu dostał jednego ze swoich ataków szału. Ktokolwiek załatwił patrol SS w górach, ten, zdaniem hauptmanna, wykonał dobrą robotę. Hauptmann żałował tylko, że po zastrzeleniu tych drani sprawcy nie przywa-rowali, natomiast sprawiali cholerne kłopoty na przedmieściu St-Jean-de-Luz i popędzali kota wartownikom w beznadziejnych, małych płytkich portach, takich jak Martigny. Dopóki nie załomotano w drzwi kwatery hauptmanna, ten zabawiał Wielką Suzette. Suzette mogła sobie być wielka, ale była osobą o zadziwiających umiejętnościach. I zamiast wypróbować je do granic hauptmann siedział teraz na wpół pijany, bardzo zmęczony i w stanie dręczącego coitus interruptus w ciężarówce prowadzącej kolumnę trzech innych pojazdów wiozących stu żołnierzy, by pod groźbą przeniesienia na front rosyjski uciszyli małe lokalne zamieszki w Martigny.

Pieprzyć to – pomyślał hauptmann.

Prowadząca ciężarówka pokonała zakręt i zaczęła zjeżdżać w dół, w dolinę, w której stały domy. Po prawej, sto metrów od drogi, była stara stodoła. Hauptmann nie zwracał na nią uwagi, gdyż wpatrywał się w południową stronę doliny, tam gdzie stał bunkier. Gdyby działo się coś naprawdę poważnego, bunkier powinien być mocno zaangażowany. Ale stał cichy. Gdy ciężarówka zrównała się ze stodołą, hauptmannowi wydało się, że otwory strzelnicze w bunkrze rozjaśnił mdły pomarańczowy blask, który urósł i zgasł. Ale po koniaku oczy płatają małpie sztuczki...

Dobrze wymierzona seria z brena z diabelskim dzwonieniem pękającego szkła rozbiła przednią szybę ciężarówki. Kierowca wyleciał przez szybę i zawisł połową ciała na masce jak mokra szmata. Ciężarówka bokiem prześlizgnęła się po

drodze, zburzyła mur i spoczęła na głazie narzutowym. Jeden z żołnierzy z tyłu dojrzał kłujący płomień ognia z otwartych okiennic pod dachem stodoły. Kiedy otwierał usta, by o tym powiedzieć, seria pocisków przeszła mu żołądek. Ostatni trafił w trzonkowy granat za pasem. Eksplozja, która nastąpiła, spowodowała wybuch zbiornika paliwa. Żołnierze wysypali się z trzech następnych ciężarówek i zajęli pozycje w rowach i za grzędami ziemniaków. W stodole niewątpliwie krył się znaczny

oddział. Strzelec obsługujący karabin maszynowy cisnął broń w miejsce osłonięte zniszczonym chlewem i trzęsącymi się palcami wymacał spust. Był bardzo roztrzęsiony i częściowo oślepiiony płomieniami dopalającej się ciężarówki. Jego pierwsza seria była zupełnie niecelna. Pociski smugowe skrzeszały skry na nawierzchni nabrzeża i posiekały wody portu. Przez chwilę połowa oddziału strzelała w ślad za smugaczami i czarna woda portu zakipiła pianą. Potem feldfobel, który został zwolniony do domu z frontu wschodniego i znał swoje obowiązki, zaczął wywrzaskiwać rozkazy i oddział zwrócił uwagę na okiennice w górze stodoły.

Tam musi być przynajmniej kompania – myśleli żołnierze, wciskając się w ziemię i prowadząc ogień. Czarny otwór uspokoił się. Kanonada oddziału zamarła. Jakiś żołnierz zerwał się i skulony pobiegł z granatem. Chrapliwy, pełen meczami ryk rozległ się spoza okiennic. Po nim terkot automatu i peemu. Strumień pocisków poszedł nisko i powędrował w górę, prawie jakby człowiek, który strzelał, był za słaby, by utrzymać lufy w dół. Żołnierz z granatem trafił na pierwszą serię i padł. Niemcy znowu otworzyli ogień.

Tym razem seria z karabinu maszynowego poszła dokładnie w otwarte okiennice. Co trzecim pociskiem był smugacz. Wewnątrz pokazało się światło – żółte i zielone. Kłęby dymu zaciemniły niebo. Siano zaczęło płonąć. I nagle na tle światła pokazała się postać człowieka. Pełzał na kolanach, podpierając się jedną ręką. W wolnej dłoni trzymał schmeissera i strzelał do wyczerpania się magazynka.

Teraz, kiedy był widoczny, zastrzelili go szybko i spadł na ziemię przed stodołę. Budynek palił się mocnym ogniem, gdy

cug podniósł siano z zeszłorocznego pokosu. Płomienie szybko sięgnęły krokwi.

Niemcy nadal strzelali. Oczywiście, zabili jednego. Ale to niemożliwe, by jeden człowiek mógł spowodować takie straty.

Więc zasypywali ołowiem płonąca stodołę. Płomienie oślepiały im oczy. Aż ściany się zapadły, dach runął w dół i fontanna pomarańczowych iskier sięgnęła ku zimnym, niewyraźnym gwiazdom. A gdy z budynku została tylko kupa żarzących się popiołów i nikt nie mógł w nich zostać żywy, ktoś podszedł i obejrzał trupa, który spadł ze strychu.

Leżał na plecach. Miał spokojną, bladą twarz, z kącika ust ciekła strużka krwi. Na głowie miał beret z fruującym toporem SAS. Dwaj szeregowi stojący przy ciele byli zbyt wystraszeni, by je tknąć.

–Nie wygląda zbyt zdrowo – powiedział jeden.

–To dlatego, że nie żyje – odparł drugi. Bluza battiedressu był rozpięta. Bandaże wokół brzucha były czarne i mokre w blasku płomieni.

–Uch! – Jeden z żołnierzy skrzywił się. – Cuchnie.

–Odważny człowiek – rzekł pierwszy z Niemców. – Żeby tak walczyć z flakami na wierzchu.

–Cholerny idiota – powiedział drugi. Pochylił się, zamknął mu oczy, które były błękitne, otwarte i mogłyby należeć do jakiegoś szalonego wojownika.

Dopiero o czwartej ściągnęli z drogi płonąca ciężarówkę i pojechali na nabrzeże. Tym razem nikt nie ryzykował.

Lecz gdy dotarli do morza, tylko fale pluskały o keję, a dalej rozciągał się gładki przestwór wód portu w porze przyływu, rozjaśniający się wraz z brzaskiem.

Guy Jamalartegui nie widział wielkiego rozkwitu ognia na szczycie doliny. Łamaną angielszczyzną przemawiał z okna sterówki:

–Messieurs, 'dames, witajcie na "Stella Maris". A teraz, Capitaine Mallory, jest problem pieniędzy...

Wtedy zaczęły przemawiać karabiny, a Jamalartegui przerwał.

W jednej chwili woda była ciemną następną

zakotłowała się od kanonady, którą zapoczątkowała pierwsza niecelna seria pocisków smugowych niemieckiego karabinu maszynowego, gdy Wallace trafił ciężarówkę. Powietrze zaskomlało jak ranne psy i grad młotów walnął w sterówkę. Guy westchnął dziwnym szeptem, jakby powietrze uchodziło z niego nie tylko gardłem:

–Och...

Z hałasem padł na pokład, jak worek węgla. Poszły następne smugacze, ale górą i bokiem, bijąc wysoko jak ognie sztuczne, mijając pajęcze maszty "Stella Maris". Mały, znikły.

Miller ukląkł przy ciele i szukał pulsu na pomarszczonej szyi.

–Nie żyje – oznajmił.

Mallory spojrział na nich oczami piekącymi od bezsenności. Uświadomił sobie, że robi się jasno. Widział Millera przykucniętego na pokładzie. Kościste kolana Amerykanina sięgały mu do uszu. A obok, w kałuży czegoś, co wyglądało na czarne, ale nie było czarne, leżał Guy. Guy, który już nie oddychał, którego przypadkowa seria ze wzgórza trafiła dokładnie w klatkę piersiową.

Mallory przeszedł nad ciałem. Ujął koło sterowe. Pamiętał mapę, na której brzeg zatoki ciągnął się na południowy zachód. Więc skierował się na południowy zachód, ku rozjaśniającemu się horyzontowi.

Silnik dudnił. Ocean był czarny jak plac apelowy, horyzont zasłonięty bladą mgiełką.

Andrea pogładził górną wargę, na której powinien być wąs, sięgnął po butelkę koniaku i pociągnął długi łyk.

–Bądź łaskaw, żadnych skał, mój drogi Keith – powiedział. – Tylko spokój i cisza. – Następnie położył się za sterówką.

Mallory sterował w kierunku południowo-wschodnim, ku horyzontowi, czekając na buczenie silników samolotowych lub okrętowych, które będzie oznaczać, że mimo tego wszystkiego, co się wydarzyło, to koniec.

Po kilku minutach zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak z horyzontem ^"winien być wyraźną linią. Zamiast tego był

zbity i poszarpany, jakby z szarej wełny. A kiedy szary motek uniósł się i dotknął nieba, a Mallory poczuł na twarzy mokre powietrze, uświadomił sobie prawdę. "Stella Maris" wpłynęła w gęstą mgłę.

Świat był okrągłą salą ze ścianami z szarego oparu. Ta sala poruszała się wraz ze "Stella Maris" na południowy zachód. Była nieprzenikniona dla okrętów i samolotów, chyba że przypadkiem. To był najpomyślniej szy zbieg okoliczności.

Jeśli tylko nie przeszkadzało ci, że odbijasz od skalistego wybrzeża podczas pływu o nieznaną siłę, nie wiedząc, dokąd płyniesz.

Wtorek Godz. 05.00-23.00

Słońce, dysk koloru krwi, podniosło się w górę nad wały oparu. Skądś – możliwe, że gdzieś zza rufy, trudno było osądzić – odgłosy ciężkich eksplozji potoczyły się po wodzie. Mallory'emu wydało się, że to ładunki wybuchowe.

–Wallace był dobrym żołnierzem, Keith.

Mallory skinął głową. Oczy bolały go od wpatrywania się w mgłę. Wallace wypełnił swój obowiązek, więcej niż swój obowiązek. Był kolejną ofiarą na ołtarzu wojny. W przeciwieństwie do większości takich ofiar jego śmierć nie poszła na marne. Mallory czuł smutek i wdzięczność.

I zdumienie.

Wallace nie miał ze sobą żadnych materiałów wybuchowych. A to niepodobna, by Niemcy używali czegoś takiego do zdmuchnięcia jednego żołnierza ze strychu stodoły.

To musiał być Cendrars i jego ludzie. Musieli dorwać się do jakichś zawieruszonych materiałów wybuchowych i obrzucali nimi Niemców. Mallory żywił głęboką nadzieję, że się myli. Walna bitwa między Niemcami i bohaterami znad Marny sprowadziłaby tylko okropności na ludność cywilną. Ale zdecydowanie odepchnął od siebie takie rozważania. Liczyło się teraz to, co było przed nimi, w San Eusebio.

Światła przybywało. Owinęli Guy w brezent, obciążyli mu

stopy kawałkiem żelastwa znalezionego w cuchnących zężach "Stella Maris". Jaime zdjął beret i odmówił po baskijsku kilka modlitw. Hugues powiedział:

–Vive la France!

Ciało przeszło czarną powierzchnię morza, nie budząc prawie zmarszczki na wodzie, i przepadło.

Ocean zaczął doskwierać Mallory'emu. W kuli mgły było spokojnie, szaro i samotnie: jak w oazie na pustyni bitwy i gwałtu, przez którą wędrował niczym Beduin. Ale spokój oceanu nie podobał się Mallory'emu tak samo, jak oaza nuży Beduina przesytem błogości. Ogarniało go nerwowe obrzydzenie, jakie Beduin może poczuć pod zielonymi palmami, wśród ludzi, których nie zna, gdy napoi swoje wielbłądy i zatęskni za powrotem do prawdziwego życia buchających żarem wiatrów i czerwonych od gorąca piasków. Przez chwilę Mallory odczuwał dokuczliwą tęsknotę za górami skał i lodu;

twardymi górami, których zwyczajnie rozumiał. Górami, w których nie był myśliwym i niszczycielem; górami, gdzie jedynymi nieprzyjaciółmi był błąd palca lub stopy trzymających się występu czy też słabość ludzkiej woli w dążeniu do szczytu.

Spojrzał na Andreę. Potężny Grek leżał obok sterówki, spoglądał na spokojne, miarowe falowanie oceanu. Andrea poczuł na sobie wzrok Mallory'ego.

–Ten ocean jest w najwyższym stopniu obrzydliwy – rzekł. Mallory skinął głową.

–Te pływy – kontynuował Andrea. – To istne barbarzyństwo. Jak człowiek może myśleć, kiedy świat, w którym zamieszkuje, jest ciągany tam i siam przez księżyc? To dlatego jesteście tacy niespokojni, wy, z północy.

Mallory wybuchnął śmiechem. Uciekli z płonącej wioski i przymierzali się do ataku na ufortyfikowaną skałę. Tymczasem Andrea narzekał na ruch oceanów.

Lecz kiedy spojrzął na jego twarz, ujrzał tam coś, co odebrało mu chęć do śmiechu. Andrea, mimo że twierdził inaczej, nie lękał się ludzi ani kul, nocy ani wojny. Ale jeśli Mallory się nie mylił, Andrea lękał się chłodnych, czarnych wód Atlantyku.

Zapalił papierosa. Teraz wiał lekki wiatr, na tyle silny, że odganiał dym. Słońce przepadło i niebo miało kolor ołowianej szarości. Mallory wcisnął się w kąt sterówki. Dwanaście godzin – pomyślał. Sporządził inwentarz.

"Stella Maris" liczyła czterdzieści pięć stóp długości. Miała wysoki maszt na przedzie i krótki z tyłu, co pewnie znaczyło, że była keczem. Na bomach coś było, pewnie żagle, które oby okazały się niepotrzebne. Środek pokładu zajmowały spore ładownie rybne, mały brudny kubryk i maszynownia pod sterówką. Silnik to był jednocylindrowy bolanger, diesel o zapłonie żarowym, z pokrytym rdzą kołem zamachowym wielkości i wagi kamienia młyńskiego. W posiekanej kulami sterówce był kompas o niewiadomej dokładności i pokryta krwią mapa nawigacyjna, którą Guy rozłożył na kuchennym stole te wszystkie tygodnie – godziny – temu. "Stella Maris" z głuchym dudnieniem przedzierała się przez mgłę na południowy zachód, wyciągając jakieś pięć węzłów – oceniał Mallory. Powinni już wypłynąć z wód francuskich i znaleźć się na hiszpańskich. Napotkają łodzie patrolowe.

Zaproponował Andrei papierosa. Ten wziął, zapalił go i pochmurnym wzrokiem spoglądał spod czarnych brwi na szary, nie rozświetlony słońcem ocean.

–Zimne piekło – oświadczył Grek.

Nerwowo przeszukał luki. Znalazł nową butelkę koniaku, powąchał, pociągnął łyk i wręczył ją Mallory'emu. Jeden z luków był pełen flag. Wyciągnął żółtą.

–Kwarantanna – powiedział. – Kiedy na pokładzie jest choroba. – Białe zęby błysnęły nad czarną, zarośniętą szczęką. – Albo kiedy masz towary do zadeklarowania. Coś mi się zdaje, że ta flaga nigdy nie była używana.

Poradził sobie z tym – pomyślał Mallory. Andrea nie zaliczał się do tych, którzy pozwolą irracjonalnym lękom zająć przestrzeń dającą się z większym zyskiem wykorzystać na lęki racjonalne – jak lęk przed niepowodzeniem w obliczu wroga.

–Guy powiedział, że tu jest hiszpańska flaga – rzekł. Andrea pogrzebał znowu i znalazł czerwono-żółtą banderę.

Była duża – żeby bardziej rzucać się w oczy – i wyglądała, jakby odbyła długą, solidną służbę. Mallory przekazał Andrei koło sterowe, wyszedł ze sterówki i wciągnął banderę na bezan.

Więc teraz "Stella Maris" była hiszpańskim kutrem i ich jedyne zajęcie to płynąć cała naprzód na klif północnej Hiszpanii.

Wiatr wyraźnie nabrał wigoru. Mgła przed dziobem zbladła, postrzępiła się i powolne kołysanie Atlantyku przeszło w bardziej ożywiony taniec.

Za sterówką Miller poruszył się i otworzył oczy. Przez chwilę leżał, przyglądając się hiszpańskiej banderze łopoczącej w ostrym powiewie. Następnie usiadł i zapalił papierosa.

–Buenos dias – powiedział. – Kawy?

–Jeśli można – odparł Mallory.

Miller zszedł na sztywnych nogach do zatłuszczonego kam-buza. Z drzwi najpierw popłynęła woń parafiny, a potem kawy. W końcu przyniósł Mallory'emu i Andrei kubki hojnie doprawionej skondensowanym mlekiem i koniakiem kawy.

–Na razie miło – rzekł, patrząc podejrzliwie i bez sympatii na morze. – Długo tak jeszcze?

–Przynajmniej do wieczora.

"Stella Maris" płynęła dalej, ciężko kołysząc się na martwej fali z zachodu. Mgła rzędła w powiewie, piętrzyła się w wały. Jeden szczególnie gęsty wisiał na południu – kopiec szarego oparu, który, jeśli rachuby Mallory'ego były słuszne, krył ląd. Miller wypił kolejny kubek kawy i wypalił szybko jeden po drugim dwa papierosy. Jego koścista twarz, już blada z wyczerpania, stała się zielonkawa pod oczami. Mallory zwrócił się do Andrei:

–Lepiej oddaj mu ster – i położył się na ławce w głębi sterówki.

Sen przyszedł od razu, głęboki jak jezioro. Wszystko przepadło: okręty podwodne, mgła, zbliżający się klif Hiszpanii.

To był spokojny sen: żadne drzemanie dwa cale pod powierzchnią świadomości, podszyte gotowością do działania, ale głęboka, ciężka śpiączka, sen o bezkrólewiu między labiryntem

Pirenejów i zadaniem czekającym na Cabo de la Calvera. Andrea przyglądał się, jak z czoła śpiącego znika napięcie ostatnich trzech dni, a sztywne szczęki rozluźniają się. Odpocznij głęboko – pomyślał. Zaprowadziłeś nas daleko, ale to dopiero początek drogi.

Mallory śnił. Śnił, że jest gdzieś w górach, w dolinie z szarego kamienia, którą cal po calu pokrywał lodowiec. Śnił, że po niebie kołują wielkie ptaki, które nie były ptakami, lecz samolotami – sztukasami. Nurkowały, zrzucały bomby, które wybuchały wokół czerwonymi kwiatami płomieni. Ale Mallory nic nie czuł, nic nie słyszał, bo był od

tęgo wszystkiego odizolowany. Jakiś głos powiedział mu: Jesteś w lodzie. Głos Wallace'a. I Mallory zdał sobie sprawę, że to prawda. Był zamknięty w wielkim bloku czystego lodu, który chronił go przed bombami. Ale jednocześnie nie pozwalał nic czuć i to było niedobre...

Wtem ktoś nim potrząsnął i wydobywał się z lodu, powoli zdawał sobie sprawę, że coś się zmieniło. Silnik nadal dyszał, kuter nadal się kołysał. Ale Mallory'emu wydało się, że jest pokryty wilgocią, i pojawił się nowy dźwięk, przenikliwy jęk, zawodzenie; odgłos sztukasów...

Jednym skokiem znalazł się na pokładzie i przeczesał wzrokiem niebo. Żadnych sztukasów. Były tylko chmury – ułożone długimi pasmami, ciężarne deszczem. Na ich tle maszty "Stella Maris" zakreślały nierówne pętle. Tępy dziób unosił się i spadał jak gładki drewniany młot, rozpryskując doliny fal, tak że chlustały na pokład całymi wiadrami. Jęk pochodził od wiatru szarpiącego olinowaniem.

–Ziemia na horyzoncie – zgłosił Miller.

Wały mgły były teraz mniejsze, lżejsze, przesuwały się i wiły. Nagle wiatr wielką dłonią odrzucił je na bok.

Za pięcioma milami szarego pomarszczonego morza wyraźnie rysowały się czarne klify Hiszpanii. Przez lornetkę Mallory widział zatokę, skupisko szarych domów, a na jednym z przylądków ruiny czegoś przypominającego fortecę. Wziął namiar i sprawdził na mapie.

–Czterdzieści mil do przepłynięcia – powiedział.

Miller bez entuzjazmu pokiwał głową. Nie lubił morza. Jego zdaniem cztery mile to byłoby coś lepszego; nawet gdyby u końca podróży czekały dwa pułki SS.

–Zawołaj Jaime'a.

Miller zszedł pod pokład. Mallory trzymał kurs na pełne morze, mrużył oczy przed rozpyloną pianą. We mgle było nieomal lepiej. Czuł się straszliwie obnażony w tym czystym szarym powiewie. I wyczuwał, że będą tu przez cały dzień. "Stella Maris" w najlepszym razie wyciągała cztery węzły, wspinała się po zgarbionym morzu jak posługaczka o słabym sercu, wlokąca się noga za nogą po schodach.

Na pokładzie zjawiał się Jaime. Zmrużył zaspane oczy, rozejrzał się i powiedział:

–To Cabo del Logo. Jeszcze długa droga.

–A co z łodziami patrolowymi? – spytał Mallory. Jaime wzruszył ramionami.

–To wielki kłopot przy granicy. Ale tak daleko może im się nie chcieć pływać. Zresztą lubią pieniądze.

–Bądź na pokładzie. Jaime skinął głową.

–Jedna rzecz. Jak tu zostanieie, to będzie podejrzane. To kuter rybacki. Więc podpłynmy pod skały, nie? Jakbyście łowili ryby. I nikt nie zobaczy was z lądu. A jakbyśmy naprawdę mieli jakieś kłopoty, wrzuci się do morza trochę wiecierzy na homary.

–Dobrze się na tym znasz – powiedział Mallory. Jaime wyszczerzył zęby, jak człowiek, który jest w swoim żywiole.

–Granice dają mi zarobić.

Mallory pokiwał głową. Bez Jaime'a nie znaleźliby Chemin des Anges ani labiryntu jaskini. Bez Jaime'a byliby martwi.

"Stella Maris" podeszła do brzegu. Po dwustu jardach szarego, wzburzonego morza klify wystrzeliły na trzysta stóp w brudne niebo, osłonięte białym pyłem niezliczonych mew. Millerowi nie podobał się widok tych skał. Kiedy ich kaik został rzucony na południowy klif Nawarony, przynajmniej było przyzwoicie ciemno. Jeśli Miller miał roztrzaskiwać się na kawałki, wolał, żeby nie nastąpiło to w środku dnia.

Hugues wyszedł na pokład. Wyglądał na równie zdenerwowanego co Miller.

–Wszystko gra – powiedziała Lisette, pokazując białe zęby. – Jaime pływał tym szlakiem wiele razy.

–Nie wiedziałem, że łowisz – rzekł Miller. Jaime wyszczerzył zęby, jego ciemne oczy błyszczały pod beretem.

–Wielu ludzi łowi papierosy. Czasem łowisz z muła, czasem z kutra.

–Tu w wiecierzach znajdziesz nie tylko homary – powiedziała Lisette.

Chociaż żołądek straszliwie dawał mu się we znaki, Miller zdołał zauważyć w niej coś nowego – pewność siebie, której nie miała we Francji. Oczywiście, wymknięcie się gestapo i przejście na terytorium neutralnego państwa znacznie zwiększa pewność siebie, szczególnie jeśli przewodnikiem na tym neutralnym terytorium jest Jaime.

Nierówno zwieńczona góra wody dostała się pod dziób "Stella Maris" i rzuciła ją w dolinę między falami. Przez chwilę, po raz kolejny, Miller był lekki jak piórko. Od strony morza w wodzie pojawiła się wielka dziura z dnem w postaci obrośniętej

wodorostami skały.

–Caja del Muerto – powiedział Jaime. – Pierś nieboszczyka.

Wody z hukiem zamknęły się nad skałą, tryskając z głębin białą jak lód, wysoką na sto stóp fontanną. Porwał ją wiatr.

Przez następne dwie godziny "Stella Maris" szła bliskim brzegu kanałem, niewidoczna z lądu. Mallory zaczął odzyskiwać pewność siebie. Podszedł do Millera leżącego na luku odpływowym przy sterówce i powiedział:

–Cztery godziny snu. Potem sprawdź swój ekwipunek;

zrobię odprawę zespołowi.

Miller zajęczał i powlókł się do kubryka, w którym Hugues chrapał na koi. Wczołgał się na dolną koję i zasnął jak zabity.

Mallory oparł się o sterówkę, pozornie obserwując mewy na klifach. Myślał o mapie Guy pokazującej Cabo de la Calavera

i port San Eusebio. Dojście było od strony nabrzeża miasta, przez port i linie obronne na plażach, na przylądek i do doków U-Bootów. To było oczywiste.

O wiele za oczywiste.

Tuż po zmierzchu nastąpi odpływ. Plaża będzie sucha i łatwa do przebycia.

O wiele za łatwa.

Mallory zapalił papierosa i oparł głowę o framugę drzwi sterówki. Pewne szczegóły mapy San Eusebio kazały mu intensywnie zastanowić się nad klifami; szczególnie jeśli, jak to się zapowiadało, utrzyma się zachodni wiatr.

–Capitaine – odezwał się Jaime niezwykłym ostrym głosem i podniósł palec.

Mallory podążył za nim wzrokiem.

W połowie horyzontu ukazała się sylwetka szarej łodzi motorowej. Gdy Mallory się jej przypatrywał, sylwetka zarysowała się w skrócie perspektywnym i wąsy piany wyrosły po obu stronach dziobu.

Poczuł, jak mięśnie brzucha napinają mu się i sztywnieją. Nagle San Eusebio odsunęło się bardzo daleko.

–No cóż – powiedział spokojny jak akwarium ze złotymi rybkami. – Sądzę, że

nadszedł czas zarzucić więcierze.

El teniente Diego Menendez y Zurbaran był w pieskim humorze. Nie chodziło o to, że sprawował służbę w tym mokrym, zielonym zakątku Hiszpanii; podczas wojny domowej ciężko walczył dla nacjonalistów, więc nie miał nic przeciwko ruinie baskijskich miast i głodowaniu baskijskich dzieci. Było coś gorszego niż deszcze i Baskowie. Tydzień temu podczas nieprzyjemnej rozmowy z almirante Juanem de Saniucarem, jego kuzynem i dowódcą, usłyszał, że ma podwoić patrole i generalnie zwiększyć czujność. Teniente zauważył, że jego czujność jest zawsze maksymalna, a łódź patrolowa znana załodze pod nazwą "Caca-fuego" operuje na okrągło, jak na to tylko pozwalają stary silnik i przeciążone nity. Saniucar przybrał groźną wojowniczą minę i oznajmił, że instrukcje z góry nie uwzględniają takich tłumaczeń. Jest wołają... kogoś na bardzo wysokim stanowisku (tu usta

Saniucara ułożyły się w wyraz "el CaudUlo"), by patrole na tym odcinku wybrzeża, za który odpowiedzialny jest teniente, zostały poważnie zwiększone.

Przy pojawieniu się cesarskiego tytułu dyktatora, tytułu, którego nigdy nie wspominało się lekceważąco, serce teniente boleśnie uderzyło w piersi. Początkowo uznał to za ogólną naganę swojej pobłażliwości; żołd oficera marynarki wojennej ledwo wystarczał na utrzymanie w tej obrzydliwie drogiej prowincji ponurych ludzi i drogiego pożywienia, więc wpadł w nawyk przyjmowania dobrowolnych datków od bractwa szmuglowników. Ale po rozmowie z bosmanem Jorgem zdał sobie sprawę, że chodzi o coś więcej. Jorge zaobserwował ruchliwość wojska na Cabo de la Calavera i usiłował nawiązać kontakt z wartownikami przy bramie. Mieli na sobie mundury Pierwszego Pułku z Saragossy. Oferował im usługi pewnej Baskijki, którą utrzymywał na Calle Brujo w Bilbao. Żołnierze przegnali go, przeklinając w bynajmniej nie hiszpańskim języku. Jorge przedstawił teniente opinię wynikłą z obserwacji wojskowych pojazdów i czarnych mundurów, które podpatrzył przez silnie strzeżoną bramę odcinającą wąski kawałek półwyspu. Garnizon na Cabo de la Calavera jest niemiecki.

A trzydzieści godzin później, tuż przed tym patrolem, teniente został powiadomiony, że obsługa dziobowego działka będzie zmieniona, jak również strzelcy na obu burtach. Nowi strzelcy okazali się Niemcami.

Teniente nie miał nic przeciwko Niemcom. Nie cierpiał ich tylko do tego stopnia, do jakiego nie cierpiał wszystkich oprócz siebie. Ale ich przebywanie na Cabo de la Calavera przyprawiało go o zdenerwowanie, a ich obecność przy jego karabinach była policzkiem dla jego dumy. Cenił neutralność Hiszpanii, bo znaczyła, że jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. Potrzebował wpływów z łapówek. I nie było mu przyjemnie stać na tym wytartym kawałku dywanu przed biurkiem almirante w Satander, wysłuchując diatryby o ważności służby i czując na sobie zimne zielone oczy jakiegoś niewątpliwego homoseksualisty z ambasady niemieckiej w Madrycie.

To wy-

brzeże było własnym kawałkiem teniente. A fakt, że świeżej daty niepokój zwierzchnika był spowodowany przez Niemców, budził w nim bunt – na ile to możliwe w przypadku faszysty -wręcz bolszewicki.

Więc bez żadnego szczególnego przekonania wbijał wzrok w znajomy czarny kadłub "Stella Maris" ciągnącej pod klifem wiecierze na homary.

Zatrzymał się w odległości stu stóp, warcząc na sternika Paco, żeby trzymał łódź prosto. "Stella Maris" szła na wiatr, tłusta i czarna jak zawsze. Było na niej kilka nieznanomych twarzy: dwaj mężczyźni wyglądający na północnych Portugal-czyków albo nawet Niemców, wysocy i szczupli, w podkoszulkach mimo przenikliwego północnego wiatru. Poruszali się niepewnie po splekanym pokładzie; wyglądało na to, że nieczęsto ciągną wiecierze. Ale ciągnęli ile sił. A z tyłu w sterówce -chyba coś się tam z nią stało – Jaime Baragwanath machał ręką i uśmiechał się szeroko spod beretu. Koło niego ktoś stał, chyba kobieta.

Teniente od dawna znał Jaime'a, wiedział, że to pośrednik i szmugler. Kupował w Hiszpanii kawę i sprowadzał do Francji, a w przeciwnym kierunku dostarczał wina bordoskie, by ulżyć cierpieniom, jakie powodowało vino negro. Skoro Jaime był osobiście na pokładzie "Stelli", to znaczy, że wiozła bardzo wartościowy ładunek, na przykład wino.

Teniente nie miał nic przeciwko kilku butelkom bordo wieczorem. Normalnie wzięłby swoją działkę przy wysadzaniu ładunku na brzeg. Ale uznał, że "Stella Maris" to okazja do zaimponowania nowym strzelcom – i tym sposobem, jak sądził, almirante – swoją żarliwością.

Zapalił czarną cygaretkę i zawadiacko nasunął czapkę na oko. Zerwał mosiężną tubę z uchwytów na mostku i przytknął zaśniedziały przyrząd do ust.

–Zatrzymać się! – wrzasnął. – Wchodzę na pokład. – Na dziobie obsada siedemdziesięciopięciomilimetrowego działka skierowała lufę na "Stellę".

Mallory owinął kilka razy linę wiecierza wokół kolumny ładunkowej i zakończył węzłem, który byłby odpowiedniej-

szy na górskiej ścianie niż na pokładzie. Ociężałym krokiem rybaka, szurając butami, przeszedł na rufę.

–Co to? – zapytał.

–Rutynowa inspekcja – odparł Jaime. Ciemna twarz była nieruchoma. Unikał wzroku Mallory'ego. – Ten oficer bierze łapówki. Jest gotów zapomnieć, że widział "Stellę"

pod hiszpańską banderą, byleby tylko dostał pieniądze. Może chce pieniędzy. A może tytoniu, wina, kto wie?

–Jaime wie – podpowiedział Hugues. Mallory go zignorował.

–Czy normalnie celuje z działka?

–Normalnie nie. – Zachmurzony Jaime wskazał ludzi na dziobie "Cacafuego". – I ma nowych strzelców.

Mallory skinął głową i uśmiechnął się szeroko, prostodusz-nie jak rybak, na użytek wszystkich, którzy mogli mu się przyglądać z kanonierki. Ale spojrzenie jego oczu nie było prostoduszne. Zarejestrowało zardzewiałą szarą farbę na dziobie, dwóch blond żołnierzy balansujących sprawnie na pokładzie przy zamku działka. Kapitan stał na mostku. Za mostkiem kolejnych dwóch żołnierzy stało przy karabinach maszynowych. Spandauach. To były lekkie karabiny maszynowe, niemniej jednak mogły rozedrzeć burtę kutra rozmiarów "Stelli". A siedemdziesięciopięćmilimetrowe działko mogło ją zdmuchnąć z powierzchni morza.

Ale nie broń była tu głównym problemem. Chodziło o bogaty zestaw anten radiowych sterczących między masztami.

W myślach przeszedł szlak spustoszeń, cofając się do Pirenejów. Jeśli guarda-costa przesłała wiadomość o niecodziennych wydarzeniach w Zatoce Biskajskiej, każdy Niemiec mający mapę i oczy do patrzenia zauważy generalny kierunek tej przerywanej linii zniszczeń.

Było tylko jedno rozwiązanie.

Podreptał na dziób i krzyknął do głównego luku. Jaime zaczął wrzeszczeć po hiszpańsku w kierunku kanonierki. Z łodzi wrzeszczano coś w odpowiedzi. Mallory odrzucił linę wię-cierza, udał się do sterówki i poleciał Lisette:

–Proszę zejść na dół.

Potem uprzejmie przejął ster od Jaime'a, przerzucił go w prawo na burtę i skierował "Stella Maris" prosto w środek kadłuba kanonierki.

Teniente zaczął wrzeszczeć do megafonu. To był błąd. Zanim zdał sobie sprawę, że wydzieranie się nic nie da, "Stella Maris" była o dwadzieścia stóp. Działko strzeliło raz. Pocisk przeszedł obok sterówki kutra i rozbił się na czarnej skale klifu dwieście jardów dalej. Odezwały się spandauy, kule wachlarzem rozłożyły się na niebie, gdy kanonierka zatoczyła się na fali. Wtem Andrea i Miller wyskoczyli z luku dziobowego "Stelli" jak diabełek z pudełka. Andrea ściął obsługę działka kulami z brena. Znikli. Trafieni czy nie, to nie miało znaczenia tak długo, jak byli daleko od działka. Miller

zajął się strzelcami karabinów maszynowych. Zanim skończył swoją serię, "Stella" była w dolinie wodnej, a kanonierka na grzbiecie fali. Z rozdzierającym trzaskiem szara burta kanonierki siadła na dziób-nicy "Stelli" i utknęła. Strzelcy na łodzi patrolowej nie mogli na tyle zniżyć luf karabinów, by wymierzyć w "Stellę". Tymczasem Andrea wykuwał już kulami brena ciasny wzór w burcie kanonierki, tam gdzie mogły być radiostacje. Miller wyjął zawleczeni czterech granatów i cisnął granaty na pokład kanonierki. Zagrzechotały, a potem wybuchły. Łodzie szepiły się, tworząc literę T. Wgniały się w siebie i rozchyłały, noszone krótką falą przyboju. Dziób "Stelli" rozdzierał bok kanonierki. Pokazała się w nim dziura. Poszycie "Cacafuego" było nie grubsze niż puszki konserw; zardzewiałej puszki...

Z dołu uderzyła fala. "Stella" oderwała się od kanonierki w tym samym momencie, w którym ta odchyliła się od kutra. Łodzie rozdzieliły się i dziób "Stelli" uniósł się wysoko, gdy Mallory obrócił ją w przeciwnym kierunku.

–Ognia! – wrzeszczał teniente. W uszach mu dzwoniło po eksplozji granatów.

Anteny radiowe znikły, uniesione powiewem wiatru. Teniente słyszał, jak pociski dzwonią, świszczą, i poczuł dziwną ociążałość w ruchach swojej łodzi.

–Ognia! – wrzasnął znowu.

"Stella Maris" była dwadzieścia jardów dalej. Zobaczył, że

strzelcy spandauów leżą rozciągnięci na karabinach, a na dziobie przy działku nie ma żywej duszy. Poczuł, że ma mokre stopy, i zdał sobie sprawę, że kanonierka tonie. Została zatopiona przez "Stella Maris". Otworzył usta, żeby wołać o ratunek.

Wtedy wyobraził sobie, co powie kuzyn na relację, że jego łódź patrolową zatopiła banda przemytników.

Teniente zdał sobie sprawę, że czas umrzeć.

Stanął na baczność, zamknął usta.

Łódź patrolowa położyła się na bok i zatonała w przeciągu dwudziestu sekund, wzbijając potężną banię bąbelków powietrza. Na powierzchnię wypłynęło wiosło. I tyle.

–Jesus – rzekł poblady Jaime.

Mallory odwrócił wzrok od aksamitnej płachty wody, gdzie przed chwilą była łódź patrolowa. Oczy Andrei nie miały żadnego wyrazu. Żadnego wyrazu, żadnego szoku wywołanego gwałtownym zatonięciem guarda-costa z kilkoma członkami załogi. Zarówno on, jak i Mallory zastanawiali się, czy guarda-costa zgłosiła swoje zamiary

przez radio, zanim spróbowała abordażu na "Stella Maris".

–Cała naprzód, jak sądzę – powiedział Mallory.

Andrea skinął głową i opuścił swoje gigantyczne cielsko do maszynowni.

Bolander zadudnił gorliwiej. Mallory odciął resztę lin wie-cięży. "Stella Maris", kołysząc się, popłynęła na zachód. Zimny wiatr wiał Mallory'emu w twarz.

Jaime wyszedł na pokład z Lisette. Była blada. Miała do tego powód.

–Capitaine, muszę zamienić z panem słowo – powiedział Jaime.

Lisette przyglądała im się, jak szli do sterówki. Patrzyła na wyprostowane plecy Mallory'ego, na jego równy krok. Nawet na tej brudnej łodzi ten mężczyzna chodził jak żołnierz.

–To nienormalne – oświadczył Jaime.

–Słucham?

–Znam tego człowieka – ciągnął Jaime. – Tego dowódcę guarda-costa. To drań, ale ostrożny drań. Nigdy nie zatrzy-

małby "Stelli". On bierze pieniądze od przemytników, ale nie na morzu. Dopiero w barze, kiedy przybiją do brzegu. Zatrzymał nas tylko dlatego, że kazali mu zatrzymywać każdy statek.

–Więc wilcze stado jeszcze nie wypłynęło – rzekł Mallo-ry. – To dobrze.

–Czy zabijanie tych ludzi było konieczne? – spytał Jaime. Mallory nie miał ochoty drażyć tematu.

–Jest wojna.

–Więc zabijacie takich ludzi. Zamieniacie życie w śmierć. Jak muły zamieniające paszę w gówno.

–Wojna to obrzydliwość – skwitował Mallory. – Jesteśmy tu, żeby zniszczyć okręty podwodne.

Jaime uśmiechnął się szeroko, ze straszliwą ironią.

–Być może chodzi mi tylko o to, że nie podoba mi się zniszczenie dobrego współnika w interesach.

–Po wygraniu przez nas wojny będą lepsze interesy – rzekł Mallory. – A teraz chciałbym się dowiedzieć kilku rzeczy o Ca-bo de la Calavera.

Do południa niebo zbieleło pod welonem cirrusów i Miller czternaście razy miał torsje. Andrea objął zmianę przy pompie. On nigdy nie był zmęczony. Mallory zszedł do ładowni.

–Odprawa – oznajmił. – Gotów?

Andrea skinął głową. Pokryta trzydniową szczecinałą twarz była beznamiętna. Miller zrobiłby to samo, ale kiwanie głową wymagało siły, a on oszczędzał siły na chwilę, w której będą naprawdę potrzebne.

–Od strony morza w tej Calavera jest klif – oświadczył Mallory. – Guy mówił, że skała jest nie do wejścia. Więc Niemcy nie będą jej pilnować. Jeśli będziemy mieli szczęście.

Wszyscy milczeli. Rozlegało się dyszenie silnika i daleki huk fal rozbijających się o skałę.

–Skoro jest nie do wejścia, to co zrobimy? – spytał Miller. Mallory zapalił szóstego papierosa od świtu.

–Wejdziemy na nią – wyjaśnił.

Miller słabo potrząsnął głową.

–Zadaję jakieś głupie pytania.

–Podpłyniemy po zmroku – ciągnął Mallory. – W bączku. Jaime, Hugues i Lisette zabiorą "Stellę" do portu. Mają udawać rybaków, którzy chcą dokonać naprawy kutra. Niemcy przygotowali silną obronę Cabo od strony portu. Jak sądzę, od morza zrobili bardzo niewiele, uznali, że klif wszystko załatwi. Podpłyniemy w ciemności, zdobędziemy jakieś mundury. Dusty, nie zapomnij sprawdzić ekwipunku. Wszyscy musimy się ogolić. Pytania?

Miller słuchał huku fal o skałę.

–A jak wejdziemy z bączka na klif? – zapytał. – Wydaje mi się, że tu zbiegły się wszystkie fale oceanu.

Mallory wygładził mapę na stole do filetowania.

–Fale płyną z zachodu. – Wskazał północny występ brzegu. – Za tym tu jest wrak; przed czterema miesiącami łódź przyjaciela Guy, Didiera Jaulerry'ego, rozbiła się na

plaży. Jaime mówi, że kiedy idzie fala od zachodu, czasami za wrakiem jest gładki skrawek.

–Czasami.

–Podczas odpływu. Dziś to będzie około dwudziestej pierwszej zero zero.

–O dwudziestej pierwszej nie jest jeszcze całkiem ciemno – zauważył Andrea.

–Ale pół godziny później już tak.

–A co, jeśli o dwudziestej pierwszej trzydzieści fale dostaną się za ten wrak? – spytał Miller.

Mallory energicznie złożył mapę i schował ją do kieszeni bluzy.

–Och, spodziewam się, że damy sobie radę. Znowu zapadła cisza. Musieli liczyć na sporo szczęścia. Musieli liczyć, że guarda-costa nie przesłała meldunku, że bączek nie zostanie zauważony przez Niemców ani nie roztrzaska się o skałę i że "Stella Maris" ujdzie uwagi Niemców w San Eusebio.

Wiatr się podniósł, podobnie fale. Lisette wysunęła napuchnięte kostki z koi i ruszyła do brudnego kambuza. Hugues ją powstrzymał.

–Ja przygotuję jedzenie. Odpoczywaj.

Jak to bywa w ostatnich miesiącach ciąży, oczy miała ciężko podkrążone. Zobaczył w nich wrogość i bezsilność.

–O co chodzi? – zapytał i usiłował objąć ją ramieniem. Wyszarpnęła się.

–Masz rację – powiedziała. – Jestem zmęczona.

Odwróciła się twarzą do ściany. Ponury Hugues poszedł do kambuza i zaczął grzebać w skrzynkach stojących wzdłuż grodzi. Pół godziny później z komina zaczął buchać dym oraz zapach smażonej cebuli połączony z koszmarnym smrodem ładowni rybnej. Po godzinie chorizo, kielbaski duszone w pomidorach z cebulą i ziemniakami, stały w poczerniałej wazie. Jaime wyciągnął z szafki butelkę podejrzenie dobrego wina. Mallory, Andrea i Miller rozsiedli się przy stole w najczystszej kucie. Mallory i Andrea jedli dużo i długo. Nie rozmawiano. To było ponure uzupełnienie paliwa wojennych maszyn. Pod koniec Andrea nalał sobie jeszcze jedną szklankę wina, zapalił papierosa i wsparty o burtę, z zamkniętymi oczami nucił grecką melodię, pełną orientalnych kadencji i ćwierćtonów. Mallory patrzył przez stół na potężny kark łączący się z ramionami godnymi kolosa, na spokojną, odprężoną twarz. Patrzył też na Millera, który z bladozielonymi cieniami

pod oczami palił papierosa przed nietkniętym talerzem kielbasek. Wyglądali jak rybacy; zmęczeni rybacy, którzy wypalili i wypili za dużo, kiedy mogli sobie na to pozwolić. Wyglądali na takich rybaków, jakich można się było spodziewać na tym ciekącym kutrze, bez żadnej cholernej ryby w ładowni, za to w towarzystwie przemytnika, osiemnastoletniej dziewczyny w ciąży i łącznika z ruchu oporu, który machnął jej dzieciaka.

Nie wyglądali jak doborowy pluton "Sztorm", którego zadaniem było wspiąć się w ciemności po dwustupięćdziesięciostopowym klifie, wdrzeć do silnego i starannie pilnowanego garnizonu i zniszczyć wilcze stado, dywizjon okrętów podwodnych.

Chociaż... – pomyślał Mallory. Nikt by nie uwierzył, że przebędą taki dystans. Ale przebyli. Po prostu to była kwestia uporczywości: dzielenia wielkiego problemu na mniejsze rozwiązywalne problemy i rozwiązywanie jednego po drugim takimi narzędziami, jakie były do dyspozycji.

I była kwestia jeszcze czegoś. Cholernego szczęścia.

–Chyba sobie kimnę – rzekł Miller i począpał na dziób do koi.

–Co o tym sądzisz? – zapytał Andrea, kiedy zostali sami. Mallory na tyle długo znał Greka, że wiedział, iż nie potrzebuje opinii, ale rozmowy. Mallory dowodził tą ekspedycją – co do tego nie było żadnych wątpliwości. Ale Andrea był pułkownikiem, a także jednym z najbardziej niebezpiecznych i doświadczonych partyzantów na obszarze Morza Śródziemnego. Żeby w walce osiągnąć swój zabójczy szczyt możliwości, Andrea musiał ogarniać sytuację.

–To dobre miejsce do trzymania okrętów podwodnych -orzekł Mallory.

–Ukrycia okrętów podwodnych.

–Tak jest.

–Pełna ochrona.

–Tak jest.

–I ta kanonierka. To była część ochrony?

–Obsada karabinów maszynowych wyglądała na Niemców.

–Zgadza się. – Andrea pogładził się tam, gdzie powinien być wąs. – I to był rutynowy patrol.

–Przepraszam?

–Nie korzystający z konkretnych informacji? Mallory wzruszył ramionami.

–Tego nie sposób się dowiedzieć.

–Racja.

–Czy ufamy tym wszystkim ludziom?

Mallory zastanawiał się nad tym samym. Jaime miał typową dla przemytnika skłonność do szachrowania. Hugues był odważny, ale wyraźnie skłonny do irracjonalnych posunięć. A Li-sette... no cóż, Lisette pod kontrolą "Sztormu" była bezpieczniejsza niż Lisette na swobodzie.

–Musimy – powiedział. Andrea skinął głową.

–Wygląda mi na to, że Niemcy mają własne kłopoty. To również nie uszło uwagi Mallory'ego. Hiszpania była pełna szpiegów. Żeby utrzymać w tajemnicy okupację Cabo de la Calavera, garnizon był uzupełniany i zaopatrywany z morza

lub nocą przez Pireneje. Tak czy inaczej, były to operacje przemytnicze ze wszystkimi niedogodnościami towarzyszącymi takim akcjom. I bez względu na niemiecką rzetelność było prawdopodobne, że w pośpiechu zebrany i potajemnie zaopatrywany garnizon będzie słabiej zorganizowany niż, powiedzmy, garnizon na Nawaronie. Zamieszanie będzie czynnikiem sprzyjającym "Sztormowi".

Andrea nalał do dwóch szklanek resztki wina i wzniosł toast:

–Mój drogi Keith... Za zwycięstwo albo lekką śmierć!

–I za dwa dni kimania na dodatek – uzupełnił toast Mallory.

Pomyślał: Za pięć godzin znowu będziemy się wspinać po twardej skale. Uniósł szklankę i wypił. Andrea położył buty na ławce, założył ręce pod głowę i zamknął oczy.

Otworzyły się drzwi. Wszedł Miller.

Początkowo Mallory myślał, że Amerykanin został postrzelony. Miał szarą, bezkrwistą twarz, wargi koloru popiołu. Ale szedł równym krokiem, nie zważając na kołysanie pokładu. Niósł duże, okute mosiądzem skrzynki, w których trzymał materiały wybuchowe i zapalniki.

–Najpierw sen – powiedział Mallory. – Ekwipunek sprawdzisz później.

Miller potrząsnął głową. Nie odezwał się – jakby stało się coś, co odebrało mu głos. Położył skrzynki na stole do patroszenia ryb, odsunął zasuwę, podniósł pokrywy i

wskazał zawartość.

Gdyby pluton "Sztorm" był bombą, personel byłby zapalnikiem, skorupą i statecznikami. Zawartość tych dwóch skrzynek to był ładunek; materiał, który miał wykonać robotę, siłą eksplozji zamienić trzy okręty podwodne w podwodne wraki i uratować życie wszystkich żołnierzy stłoczonych na transportowcach w Kanale.

Mallory zajrzał do skrzynek. W ustach mu zaschło. Wrócił pamięcią sześć godzin wstecz, do zatoki St-Jean-de-Luz, czerwonego słońca przebijającego się przez mgłę, silnych eksplozji dobiegających z lądu. Pomyślał wtedy, że starzy żołnierze komendanta Cendrarsa dorwali się do jakichś zawieruszonych materiałów wybuchowych.

Mylił się.

Przez kwadrans byli na urwisku Martigny, gdy Andrea załatwiał bunkier, a Mallory i Miller wyjaśniali swoje życzenia wartownikom. Podczas tego kwadransa skrzynki były pod opieką entuzjastycznych weteranów komendanta Cendrarsa.

Weterani skorzystali z tego kwadransa. Być może ich arsenał zaczął przeświecać pustkami lub mieli lepkie dłonie entuzjastów. Bez względu na przyczynę wynik był ten sam.

Skrzynki, które poprzednio zawierały materiały wybuchowe i detonatory mające posłać w diabły wilcze stado, teraz poza kilkoma źdźbłami trawy i kamyczkami zawierały pół cetnara najlepszego humusu Martigny.

Cisza trwała chyba pięć lat. Przerwał ją Andrea. Ziewnął i powiedział:

–O rany! Teraz muszę iść spać.

–Weź koję – zaproponował zdrętwiałymi z szoku ustami Miller.

–Dziękuję ci. – Andrea jak niedźwiedź poczłapał do kabiny sypialnej. Tak to wypadło, jakby zaakceptował skruchę Millera i uznał jego niedbalstwo za rzecz tak małego znaczenia, że zaproponowanie koi wydało mu się pełnym odszkodowaniem.

–Spuściłem je z oczu – powiedział Miller.

Nigdy nie spuszczaaj narzędzi z oczu. Jeśli używasz pistoletu, noś go przy sobie cały czas. Trzymaj nóż przy pasie, nawet w wannie. I nigdy, nigdy nie zostawiaj swojego heksogenu i detonatorów pod opieką bohaterów znad Marny, kiedy roznosi ich chęć działania.

–Są granaty.

–Dziesięć sztuk – sprecyzował Mallory. Miał miękkie kolana. Pocił się. Więc tak wygląda koniec – pomyślał.

–Cztery – poprawił go Miller. – Osiem użyliśmy przeciw tej kanonierce. – Odzyskał zdolność myślenia. – W każdym razie granaty nic nie dadzą przeciwko odpornym na ciśnienie kadłubom U-Bootów.

Ale nie powiedział tego nerwowo. Powiedział to nieśpiesz-

nym, rozsądnym głosem, jak prokurator oceniający szansę skazania znanego kryminalisty na podstawie dowodów pośrednich. Jeśli granaty nic nie dadzą – dawał do zrozumienia ten głos – konieczne będzie znalezienie czegoś innego, co załatwi sprawę.

Mallory usłyszał ten nowy ton.

W jednej chwili poczuł, jak opuszcza go cały niepokój. Dał się ponieść nerwom, bo w swoim wyczerpaniu zapomniał, że ma tu Dusty'ego Millera, który zniszczył działa Nawarony i zaporę Zenica, nie wspominając o składzie amunicji Afrika-korps wysadzonym za pomocą spinek do włosów pewnej prostytutki. Pewność siebie małymi kroczkami zaczęła powracać w myśli Mallory'ego.

–Tak mi się zdaje, że mają tu magazyn – ciągnął Miller. – I od czasu do czasu muszą załadowywać torpedy. Takie torpedy zajmują większość miejsca na U-Boocie. Nie można przeprowadzać uzupełnień, mając torpedy na pokładzie, no nie? – Złożył ręce. – I do tego się rzecz sprowadza. A poza tym są te silniki. Te turbiny Waltera. Nadtlenek wodoru, mówiłeś. Olej napędowy. Woda. Ciekawa sprawa ten nadtlenek wodoru. – Oparł długie ciało o grodz, ręce złożył na zapadniętym brzuchu, buty wsparł na ławce po drugiej stronie i przymknął oczy. Wyglądał na pogrążonego w myślach.

Wreszcie Mallory nie mógł tego wytrzymać.

–Co z tym nadtlenkiem wodoru? – spytał.

Lecz Miller spał.

Mallory miał ochotę go zbudzić, ale uznał to za zły pomysł. Jeśli wilcze stado ma wypłynąć jutro w południe, czy nie będzie już miało torped na pokładzie? I co takiego interesującego jest w nadtlenku wodoru?

Zapalił kolejnego papierosa. Rozluźnij się – powiedział sobie. Miller i Andrea byli zdania, że operacja jest możliwa. Więc jest możliwa. Dziecinnie proste.

I w ciągu pół minuty sam też zasnął.

To mewy dały pierwszy znak. Przez całe popołudnie, po zmianie kierunku pływ, było ich coraz więcej. Gdy Mallory,

nieprzytomny od zbyt krótkiego i zbyt płytkiego snu, wyszedł na pokład, krzyki mew wypełniały powietrze.

"Stella Maris" znowu wpłynęła na pełne morze. Z północnego zachodu wiał nieustępliwy wiatr i na jego skrzydłach mewy ślizgały się i balansowały z idealną pewnością siebie. Skrzeczały gorączkowo. Wiatr zdawał się wiać od słońca, które blade i błyszczące pokazało się pod dachem szarej chmury. Do zachodu brakowało dwudziestu minut, ale na słońcu nie było śladu czerwieni. Świeciło oślepiająco ponad wodą, jak wielkie metalowe oko wysysające kolor ze wszystkiego. Nadawało "Stella Maris" kolor czarny, morzu szary, a klifowi pozór bezbarwnego łupku. I świeciło w oczy każdemu, kto by patrzył z łądu.

Mallory zapalił papierosa, wziął go w poplamione nikotyną palce i wyjął z futerału caisowskie szkła. Przesuwał dalekosiężne oko po czołgających się falach, aż znalazł czarną linię łądu, płaską linię, równy klif zmacony tu i ówdzie skalnymi kolumnami, nad którymi wisiała mgła wodnego rozprysku, srebrząc wieże mew. Przesunął lornetkę na zachód.

Linia klifu nagle unosiła się, tworząc okrągłą narośl o nagich ścianach, które spadały prosto do oceanu. Ten kształt przypominał stalowy hełm lub czaszkę. Cabo de la Calavera. Przylądek Czaszki.

Mallory wydmuchnął dym i delikatnie poprawił ostrość.

Na koronie czaszki, w najwyższym punkcie, w niebo sterczał gruby biały ołówek – latarnia morska. Nie świeciła. Po prawej stronie, jakby na czole czaszki, były ostro zakończone kształty z nasadzoną wieżą. Forteca, znakomita forteca wbita w klif od strony wejścia do portu San Eusebio. Przesunął lornetkę na wschód, wzdłuż krawędzi grzbietu.

Tam, gdzie zapewne była podstawa półwyspu, coś przerzucono, ale Mallory znajdował się zbyt daleko, żeby móc to rozpoznać. Niemniej jednak mógł zgadywać. Wyglądało to jak kamienny mur, zapewne z blankami i fosą. Niemcy dodali do tego linię drutów kolczastych i rowy. Na ile mógł to ocenić, mur nagle urywał się w pewnej odległości od morza – zapewne tam, gdzie prostopadle opadał klif. Podstawą klifu była nieprzerwana linia białej wody.

Mallory poszedł na rufę. Jaime stał przy sterze.

–Wyłynęłeś z jakiegoś portu. Masz kłopoty. Reperujesz silnik. Znasz kogoś w San Eusebio?

–Tylko zawodowo.

–To wystarczy Zaplanuj naprawę. To działa? – Mallory wskazał na radio w sterówce. Jaime wyszczerzył zęby.

–Radio przemytnika zawsze działa.

–Trzymaj włączone. Teraz płynmy do brzegu.

–Jak się dostaniecie na brzeg?

–Damy sobie radę. – Na tym etapie operacji nie było sensu opowiadać nikomu na "Stella Maris" więcej niż to konieczne. Spojrzał na zegarek. Dwudziesta piętnaście. – Dostaniemy się do was jutro przed piętnastą. Bądźcie przy kei rybackiej. Odpływamy natychmiast z chwilą, w której wejdziemy na pokład.

–Dokąd?

Mallory przybrał nabożną minę.

–Bóg to wskaże.

Jaime popatrzył na czarną kamienną czaszkę Cabo, na chmurę mew pomalowaną różowiejącym słońcem.

–Kapitalnie – powiedział. – Bonne chance. Dziób "Stella Maris" obrócił się i zatrzymał na czole czaszki. Słońce kryło się szybko i jednocześnie róż przechodził

w krew, pokrywając szkarłatem chmurny dach.

–Wygląda jak piekło – powiedział Jaime.

–Przepraszam? – spytał Mallory. Według niego był to zachód słońca zapowiadający trudną nocną wspinaczkę.

–No importu. Zapadła ciemność.

Godzinę później Mallory, Miller i Andrea siedzieli w bączku "Stella Maris", huśtając się na siedmiostopowej martwej fali toczącej się z bezmiarów Atlantyku. Dyszenie silnika "Stelli" ginęło na wschodzie. W bączku były dwa zwoje liny, trzy schmeissery, każdy z pięcioma zapasowymi magazynkami, i granaty Wszyscy trzej mieli na sobie skafandry SS, spodnie pokryte kamuflażem i stalowe hełmy W kieszeni na piersi ska-

fandra Mallory miał specjalne haki, które Jonas Schmelk wykonał dla niego w 1938 roku z tylnych resorów fordą T. Wszystko inne, co będzie potrzebne, znajdą na Cabo.

Przynajmniej taka była idea.

Miller siedział na dziobie łódki; podkurczonymi kolanami prawie sięgał uszu. Ścisnął zamek automatu, chroniąc go przed wilgocią. Miller był święcie przekonany, że to koniec. Niewiele go to obchodziło, poza tym jednym, że kiedy wreszcie koniec nadejdzie, nie życzył sobie, by miał coś wspólnego z morzem. Miller miał serdecznie dość morza.

Bączek unosił się i opadał pionowo na połyskliwej czarnej fali, jak na grzbiecie zwierzęcia ludojada. Andrea chwycił za wiosła i pociągnął nimi kilka razy w kierunku ciemności nad huczącą białą linią dzielącą pionową skałę od Atlantyku.

–Tam – wskazał Mallory.

W linii bieli była przerwa; najmniejszy z możliwych ślad przerwy, jakby fala bezsilnie dobiegała do skały, wcześniej trafiwszy na jakiś opór. Na przykład w postaci wraka łodzi rybackiej, dawnej własności pana Jaulerry'ego, która wbiła się na głazy u podstawy klifu.

W każdym razie będziemy mieli przewagę zaskoczenia -pomyślał Miller. A jeśli przeżyjemy, nikt nie będzie bardziej zaskoczony ode mnie.

Andrea po raz ostatni pociągnął wiosłami i bączek wspiął się na grzbiet następnej fali, wielkiej i czarnej jak poprzednia. Tylko że ta nie pozostała wielka i czarna, lecz gdy łódka była na jej szczycie, zabieliła się, spieniła, utraciła solidność konieczną do podtrzymania bączka spadającego rufą z całą resztą świata w wodny kataklizm, który wydał huk jak trzęsienie ziemi, i nie miał dna...

Znaleźli dno. Znaleźli z nagłym trzaskiem rozłupującego się drewna i Millerowi uciekło siedzenie spod tyłka. Odkrył, że to, co poprzednio służyło za oparcie, nie zapewnia już mu tej możliwości. Fala go dopadła i toczyła nie wiedząc gdzie, tylko że miał na szyi schmeissera i parę kilo obciążenia, które zaraz ściągnie go do wodnego grobu między głazy, i pomyślał sobie:

To by było na tyle.

Ale wtem coś go złapało za kołnierz skafandra i ciągnęło w kierunku przeciwnym do tego, w którym chciała go zabrać woda. I wydostał się z tego czarnego wiru na coś twardego i oślizgłego, co, jak to sobie uświadomił, musiało być pokładem rybackiego kutra. Głos Andrei zabrzmiał mu w uchu:

–Jak się dostaniemy na brzeg, sprawdź broń.

Wszystko wróciło do normy.

Lub raczej do tego, co było normalne tu, na oceanie pod Cabo de la Calavera.

U dołu klifu ciągnęła się plaża z głazów opadłych ze stromych skał, pochyłość, o którą fale rozbijały się na białe strzępy. Kuter uderzył w tę plażę, został wepchnięty na jej koniec i wylądował na osi północny wschód – południowy zachód, wciśnięty dziobem w główną ścianę klifu, rozciągającą się w kierunku wschód-zachód.

Przez chwilę Mallory, Andrea i Miller przycupnęli na śliskim pokładzie, uciekając przed młotem oceanu i czując w kościach wstrząsy wielkich fal. Następnie Mallory wręczył swojego schmeissera Andrei, przerzucił przez ramię zwój liny i w podkutych butach zszedł z pokładu w kierunku czarnej jak atrament wyniosłości klifu.

Pierwsze dziesięć stóp to były głazy, śliskie od morszczynów, zdradzieckie w całkowitej ciemności, a do tego jak najbardziej strome. Mallory szedł uważnie, ale szybko, aż natrafił rękoma na coś, co nie było wodorostami. Porosty. Skorupa roślinności wpiła się w piasek i torf, kruszący się pod palcami. Palce przepelzły wyżej, szukając chwytu. Znalazły zwietrzałą skałę. Klif Cabo de la Calavera nie był tak solidny, jak na to wyglądał.

Zerknął w dół. Odbita, rozłamująca się fala przypominała szeroką białą drogę, przeciętą ukośnie kadłubem rybackiej łodzi. Poczul wilgoć na twarzy, gdy uderzył wielki bałwan.

Zaczął wspinaczkę.

To była ciężka wspinaczka. Skała na dole była dziurawa jak ser i rzadkie mchy oraz wodorosty wpiły się w szczeliny. Każdy uchwyt wymagał wpięcia dłoni, by usunąć luźną warstwę. Potem stopniowo naciskał palcami, aż dźwigały pełny ciężar ciała. Wspierał się na przynajmniej dwóch bezpiecznych

punktach i próbował trzeciego, powoli, ale pewnie. Nigdy nie stawiał wszystkiego na jedną kartę. Szedł w górę cal po calu. Tchawicę miał obolałą od papierosów z ostatnich trzech dni, piekły go mięśnie palców, cały czas był świadomy straszliwego łoskotu luźnych kamieni w dole.

Po pięciu minutach wspinaczka stała się mechaniczna, jak zawsze. Delikatnie przesuwiał ciężar ciała z uchwytu na uchwyt. Ruch wychodził z bioder, tak że wyglądało to raczej na unoszenie się w powietrzu lub wodzie niż czołganie. A część umysłu nie zajęta sprawdzaniem uchwytów i wyważaniem ciężaru ciała podążała dalej, na Cabo. Z tego, co mówił Guy, wynikało, że jest tam SS. Jest też Wehrmacht. Kriegsmarine, stoczniowcy. Pośpiesznie zgrupowany oddział noszący różne mundury, ludzie nie znający się nawzajem, będący zapewne w ostatnim stadium przygotowań do wyprawy. To oznaczało zamieszanie. Mallory miał gorącą nadzieję, że zamieszanie to zdoła wykorzystać.

Był już siedemdziesiąt stóp w górze. Wiatr wył mu w uszach, a huk morza ustępował, aż stał się tępym, stałym rykiem. Macając jak ślepiec, wyciągnął rękę po następny uchwyt.

Nagle przestał być ślepy. Nagle dłoń wyłoniła się z ciemności, blady pajak pełznął po kwarcu i macierzystej skale w kierunku cienia uchwytu. I ściana przechodziła w dziwną ocienioną rzeźbę, pejzaż pionowych wzgórz i dolin ciągnący się do morza, którego fale wyglądały teraz nie tyle na czarne, co srebrnoszare.

A nad horyzontem klifu, tam gdzie niebo było matową pustką szkwałowych chmur, zaszła zmiana, która doprowadziła do zmiany wszystkiego. Chmury zawróciły i rozdzieliły się. Między nimi pokazały się palce czarnego nieba oproszonego gwiazdami niczym czubkami igieł. A w jednej z tych bezdennych czeluści mroku pływał jak srebrna lampa księżyc w pierwszej kwadrze.

Mallory zastygł, przylgnął do ściany Głęboko w dole widział białą pianę przyboju i wrak kutra ochraniającego mały wycinek czarnej wody. Wyraźnie mógł odróżnić potrzaskany

wrak od bączka obracającego się w wirze. Niedobrze. Potencjalnie bardzo niedobrze. Wystarczyłoby jedno przelotne zerknięcie w dół oświetlonego księżycem urwiska i "Sztorm" zostałby przygwożdżony, zdmuchnięty ze skały jak mucha. I jutro w południe wilcze stado wypłynęłoby nietknięte.

Wiatr ścichł, chwilowo zamarł.

Dokładnie nad głową Mallory'ego ktoś zakaszłał.

Mallory zastygł, nieruchomy jak sama skała. Skierował wzrok w górę. Księżyc prześlizgiwał się do krawędzi chmury. Zanim znikł i ciemność z powrotem ogarnęła klif, Mallory ujrzał coś, czego przedtem nie zauważył.

Wysoko na ścianie był nawis skalny, zbyt regularny na to, by stworzyła go natura.

Kaszlenie rozległo się znowu. Na krótko rozbłysło żółte światło. Iskra spadła obok głowy Mallory'ego. Zużyta zapalka.

Mallory rozluźnił stopy na minimalnych występach i wcisnął się w skałę. Patrzył.

W przywykłym do ciemności oku regularny blask papierosa odbijał się tak jasno jak światło latarni. Na tym tle odznaczało się małe dzieło fortyfikacyjne, wysunięte poza klif. Był to kamienny lub betonowy półksiężyc, punkt oporu sterczący z wąskiego występu skały. Mallory odpoczywał i odtwarzał w myślach fortyfikacje Cabo. To byłby dochodzący do morza kraniec fortyfikacji, które biegły przez nasadę półwyspu.

Księżyc znowu wyszedł. W jego świetle widział spojenia murarki. Nie niemiecka – pomyślał. Jest starsza niż wojna.

Coś zabłysło w świetle księżyca, coś ukształtowane jak mały lejek. Tłumik płomieni na końcu lufy lekkiego karabinu maszynowego. Stare hiszpańskie fortyfikacje miały nowych mieszkańców.

W mgnieniu oka Mallory zrobił inwentarz.

Skąła po prawej ręce była naga, niemniej jednak nadająca się do wspinaczki. Lecz księżyc malował ją na brylantową szarość. Postaci wspinające się tamtędy będą wyraźnie widoczne z półksiężyca. Po lewej klif wyglądał na jeszcze łatwiejszy, szczyt krył się za ramieniem skalnym. Niepodobna było orzec, co znajduje się na szczycie. Jednego można było być pewnym:

nawet jeśli szczyt zostawiono bez obrony i dałoby się na niego wejść ukradkiem, dotarłoby się na złą stronę fortyfikacji i w dalszym ciągu trzeba by pokonać bramy.

Więc pozostawała tylko jedna droga.

Prosto w górę.

Zwolnił zapinkę komandoskiego noża w pochwie na prawym biodrze i wrócił do wspinaczki.

Księżyc pływał teraz w szerszej zatoce. Lecz Mallory wspinał się szybko i efektywnie, wiedząc, że bezpośrednio pod półksiężycem jest niewidoczny. Dziesięć minut zabrało mu przebycie stu stóp. Dziesięć minut w ciszy, poświęcone wyszukiwaniu uchwytów z chirurgiczną delikatnością. Oddychał przez nos, powoli i głęboko. To był ten sam Mallory, który nieugięcie sunął południowo-wschodnią ścianą Mount Cook nad lodowcem Caroline. Dla tego Mallory'ego wykruszający się klif wybrzeża Atlantyku to był spacer po parku.

Podstawę półksiężyca stanowiło betonowe wybrzuszenie, zaczepione o skałę. Dziesięć stóp niżej Mallory przycupnął na znikomym występie. Uspokoił oddech, zdjął buty, skarpetki i zawiesił je na szyi. Morze tępo mruczało dwieście stóp niżej. Nad sobą słyszał parę butów chodzącą cztery kroki w lewo, pauza, cztery kroki w prawo, pauza. Stał przez chwilę, palce u rąk i nóg trzymały się uchwytów, balansował jak człowiek na odskoczni, czekał na cztery kroki w lewo, dwa w prawo...

Wziął głęboki oddech i jak pajak po ścianie przeszedł ostatnie dziesięć stóp.

Gdyby zapytano go wtedy lub potem, jakich chwytów używał lub jakim szlakiem szedł, nie potrafiłby odpowiedzieć. Miał wrażenie, że w jednej chwili czaił się pod stanowiskiem, a w następnej był przy nim. Patrzył na postać w niemieckim

mundurze. Stała za wysokim do pasa murkiem, plecami do niego, przy końcu lewego odcinka długości czterech kroków. I Mallory'ego spotkała premia, bo postać stała zgarbiona, brzeg hełmu rozjaśniało od spodu żółte migające światelko. Kolejny papieros. Bardzo prędko po poprzednim...

Mallory wysunął nóż z pochwy, położył lewą rękę na parapecie półksiężycy, prawą na występie skalnym z boku...

Nastąpiły dwa wydarzenia.

Prawa ręka Mallory'ego wylądowała na kupce gałązek i suchych wodorostów, a coś ciepłego i pierzastego nagle ożyło i zaczęło pischceć cienko, z wściekłością. I księżyc wyszedł zza chmury.

Przez ułamek sekundy Mallory wisiał lewą ręką na skale, wpatrując się w opadnięte szczęki nie jednego, lecz dwóch młodych niemieckich żołnierzy. Następnie zdał sobie sprawę, że nie ma oparcia pod stopami i że spada, kopie w powietrzu nogami, wyciągnięty do granic możliwości na lewej ręce. Durniu! – powiedział sobie, czując trzeszczenie mięśni i ścięgien, zagryzając zęby w oczekiwaniu na nieznośny ból palców wbijających się w betonowy parapet. Czekał przez ułamek sekundy, który trwał rok, czekał, żeby kolba karabinu zmiażdżyła mu palce, czekał, żeby Niemcy zaczęli -wrzeszczeć, zaalarmowali garnizon...

Prawa dłoń była już na skale, wyszukiwała uchwyt, znalazła. Skądś dobiegał pisk wystraszonej mewy, chrapliwy oddech młodych spanikowanych Niemców, usiłujących znaleźć sposób na pozbycie się z urwiska tego stwora. Nie pomyśleli, że najprostszy sposób to wrzasnąć i pozwolić pięciuset kolegom zrobić to za nich.

Mallory wpadł na pewien pomysł.

–Hilfe! – wyrzęził.

Niemieckiego nauczył się przed wojną na uniwersytecie w Heidelbergu i na wysokich turniach bawarskich Alp w połowie słonecznych lat trzydziestych. Miał idealny akcent; tak idealny, że Niemcy się zawahali.

–Wyciągnijcie mnie – błagał po niemiecku. – Spadłem. Żołnierze odetchnęli z ulgą. To nie był wróg, ale ofiara wypadku, kolega w potrzebie...

Wahanie trwało ułamek sekundy. Tyle wystarczyło Mallory'emu. Podciągnął się i przerzucił połowę ciała przez parapet. Niemcy wyglądali na niezdecydowanych. To był Mallory nie niepokojony przez mewy. To był Mallory, który przez półtora roku żył jak dzikie zwierzę w Białych Górach na Krecie.

Niemcy nie mieli szans.

Mallory wbił sztylet w oko i mózg pierwszego. Drugi otworzył usta do krzyku. Mallory wcisnął mu pięść w gardło. Wyrwał nóż z oczodołu. Gdy ciało uderzyło o ziemię, drugi Niemiec, dysząc, rzucił się na niego. Rozpęd żołnierza poniósł go ponad ramieniem Mallory'ego na parapet. Zawisł twarzą w dół, zahaczywszy noskiem o mały występ w kamieniu. Gdyby struny głosowe wartownika funkcjonowały, krzyczałyby.

Anglik poczuł dziwne szarpnięcie. W świetle księżyca ujrzał, jak but Niemca milimetr po milimetrze się przesuwają. Niemiec zaczepił czymś o zwój liny wiszący na ramieniu Mallo-ry'ego. Spadając, pociągnie Mallory'ego za sobą.

Mallory przykucnął za parapetem. Niemiec cicho zacharczał. But znikł. Nagle przemożny ciężar szarpnął linę. Poniósł Mallory'ego. Lecz tarcie o parapet uchroniło go przed ściągnięciem na drugą stronę.

Ostrożnie znalazł i przywiązał koniec liny do stalowych szczebli osadzonych w skale nad półksiężycem. Potem wydobył się ze zwojów liny.

Napięła się jak struna. Wychylił się poza krawędź.

Niemiec wpakował się w zwój szyją. Mallory zostawił go wiszącego, a tymczasem przerzucił trupa pierwszego Niemca poza parapet. Potem zajął się rozsupływaniem liny.

–W porządku, Schlegel?! – wrzasnął z góry jakiś Niemiec.

–Wszystko gra! – odkrzyknął Mallory. Trzydzieści stóp poniżej półksiężyca trup drugiego Niemca jak wahadło zegara kołysał się nad oszalałymi przepaściami klifu i falami rozbijającymi się o skały u podstawy.

Wyszedł księżyc. Mallory spuścił koniec liny. Wiszący Niemiec zamienił się w plamę ciemności spadającą w większej ciemności ku białej koronce piany w dole. Mallory'emu wydawało się, że widzi mały rozprysk. Skończył rozsupływać linę i spuścił ją tam, gdzie czekali Miller i Andrea. A kiedy oni się wspinali, włożył skarpetki i buty.

Po pięciu minutach Miller i Andrea znaleźli się w półksiężycu. Oddychali ciężko. Mallory wyciągnął i zwinął linę, przedostał się poza parapet i zawiesił ją na gałęziach karłowatego

jałowca na klifie, niewidocznego z góry. Zanim wrócił, koledzy przestali sapać.

–Gotowi? – spytał. Dwa hełmy skinęły potakująco.

Mallory spojrzął na zegarek. Nafosforyzowane wskazówki pokazywały dwudziestą

drugą piętnaście.

–O północy spotkamy się przy generatorach – powiedział. – Sprawdźcie strażę przy warsztatach naprawczych. Zapamiętajcie kolejność, czas. I, Dusty, twoja działka. Bum i tak dalej.

–Tak jest – rzucił Miller.

–I może nie dajcie się złapać, co?

Zęby Andrei nagle zabłysły w blasku księżyca.

–Bez moich wąsów, gdzież ja się ukryję? Mallory roześmiał się cicho.

–Spotykamy się o północy. – Lekkim ruchem wstąpił na parapet półksiężyca, wysunął rękę i nogę i wyszedł na nagi klif.

Przez chwilę wisiał oświetlony promieniami księżyca, trzymając się łątko na pozornie gładkiej ścianie. Miller zamknął oczy i złapał się żelaznego szczebla. Zawroty głowy sprawiły, że żołądek podszedł mu do gardła. Wspinanie się po linie to jedna sprawa. Ten interes z człowiekiem muchą zupełnie inna.

Kiedy otworzył oczy, mała chmurka spływała z księżyca i klif znów pokrywało światło. Ale nie było śladu Mallory'ego.

–Chodźmy na ten spacer, żeby go szlag trafił – rzekł Andrea.

Szedł pierwszy po stalowych szczeblach. To była pięć-dziesięciostopowa wspinaczka. Na górze w drugim parapecie był rodzaj przełazu. Zanim Andrea tam dotarł, zahaczył ramię o szczebel, z grubsza otrzepał skafander i odbezpieczył schmeissera. To było łatwiejsze niż tamto szwendanie się w Pirenejach. Tu wiedziałeś, na kim możesz polegać. To był stary zespół, bez żadnych uciążliwych dodatków, dobrze naoliwiona maszyna.

Wszedł na parapet, garbiąc ramiona dla ukrycia potężnych kształtów. Zapewne nie przypominał żadnego z dwóch żołnierzy zabitych przez Mallory'ego. Ale narzucało się, że żołnierze, którzy wychodzą po żelaznych szczeblach, to ci sami żołnierze,

którzy zeszli po żelaznych szczeblach do kamiennego mewiego gniazda zawieszzonego nad morską przepaścią, nawet jeśli wyglądali inaczej.

–Do diabła, ale zimno tam, w dole – powiedział idealną niemczyzną.

Drugi parapet tworzył swoistą krawędź szerokiego na dziesięć stóp tarasu, do którego prowadziło dziesięć kamiennych stopni z innego poziomu fortyfikacji. Sznur

wiekowych armat rdzewiał w strzelnicach. U końca szeregu rysowały się sylwetki dwóch żołnierzy, obsługa ciężkiego karabinu maszynowego. Jeden z nich odpowiedział:

–Tu, na górze, też zimno jak cholera. Szeregowcy – pomyślał Andrea. Żaden problem.

–Kawa? – spytał.

–Jeszcze ponad pół godziny do pomocy – zauważył jeden z cieni. – Befehl ist Befehl.

Andrea wzruszył ramionami. Spojrzał poza krawędź. Oświetlona księżycem gładka przepaść spadała do morza. Ani śladu Mallory'ego.

–Pośpiesz się, ty. Miller wszedł na taras.

–Weźmiemy kawę i zniemiemy na dół – powiedział Andrea. Władczy ton jego głosu nie uszedł uwagi żołnierzy. Jakiś oficer. Oficerowie wiedzą, co robią.

–Marsch! – zakomenderował Andrea. Miller prowadził. Tupiąc po kamiennych stopniach, przeszli z tarasu na wyższy poziom.

–W prawo zwrot! – powiedział Andrea.

Maszerowali gładką przestrzenią wysadzaną kamieniami, srebrzoną księżycem, Po ich prawej parapet wskazywał brzeg klifu. Wprost i po lewej podłoże opadało nisko w czarną czeluść, poza którą ćmiło się kilka żółtych światełek San Eusebio. Bezpośrednio po lewej spoza źle zaciemnionych okiennic wartowni prześwitywało światło. Bezpośrednio za nimi widniały wiekowe blanki, zwieńczone nowoczesnym drutem kolczastym. Wyglądało na to, że ciągną się od klifu do plaży przed miastem.

Byli w środku. W środku, ale przerażająco na patelni. Gdzieś w wartowni rozległ się dzwonek i ktoś zaczął krzyczeć. To był krzyk z placu apelowego; sygnał wojskowego alarmu żądającego natychmiastowego działania. Zapłonęły światła. Przestrzeń, na której znajdowali się Andrea i Miller, nagle stała się ostro iluminowaną płaszczyzną i każdy z nich był punktem centralnym gwiazdy cieni. Żołnierze w ciężkich butach wysypywali się z drzwi, ustawiali ramię przy ramieniu, równali szeregi, szurali butami na granitowej kostce. Miller poczuł, że się poci. To nie był pot wspinaczki, ale pot, jaki występował człowiekowi na całym ciele, kiedy znalazł się pośrodku pięciusetosobowej gromadki Niemców.

Andrea ryknął:

–Baczność!

Miller zatrzymał się z łoskotem butów.

Byli w środku, a jakże. Ale nie w samym środku.

Oto czego nie mogli zobaczyć bez włączonych reflektorów iluminacyjnych – drugiego płotu. Biegł równoległe z murem. wysoki na piętnaście stóp, zwieńczony drutem kolczastym naciągniętym między izolatorami. Ciągnął się od brzegu do czarnych wód portu. Teren między ogrodzeniami był ziemią niczyją, skąpaną w bezlitosnym szarobiałym świetle. Wybielało każdą kruszynę żwiru, każdy guzik i sprzączkę na każdym z dwustu pięćdziesięciu niemieckich żołnierzy, którzy wypełnili przestrzeń między wartownią i workami z piaskiem tworzącymi stanowiska karabinów maszynowych po obu stronach bramy.

Miller czuł strumyk potu na czole. Obok stał Andrea, potężny i nieruchomy.

W środku wewnętrznego ogrodzenia była inna brama. Stała otworem. Po jej obu stronach były następne stanowiska broni maszynowej. Reflektory oświetlały stalowe hełmy wartowników.

Wzrok Andrei obiegnął plac. Ci żołnierze to był Wehrmacht, nie SS. Wyprostował ramiona. Głosem jak spiż zakomenderował:

–Marsch!

Dwaj mężczyźni, trzymając sztywno schmeissery na piersiach, równym krokiem przemaszerowali po bruku. Brama rosła jak siatka ciemności w palisadzie ogrodzenia. Miller czuł na sobie spojrzenia luf karabinów zerkających ze stanowisk. Zdawał sobie również sprawę, że hełm Andrei jest odrobinę przekrzywiony, a skafander zabrudzony. To nieuniknione po wspinaczce. Ale Wehrmacht nie cierpiał brudu. Równie mocno, jak nie cierpiał SS...

Ktoś podniósł alarm – pomyślał Miller. To na pewno ci faceci przy armatach. Odczekali, aż intruzi wejdą do gniazda szerszeni, a potem szturchnęli patykiem. Szukano dwóch ludzi w mundurach SS. I oto byli ci dwaj – w mokrych, zabrudzonych mundurach, maszerujący w zabójczym świetle reflektorów.

Miller maszerował dalej. Małe nasionko nadziei zakorzeniło się i zaczęło rosnąć. Nikt nie reagował. Może to ćwiczenia -pomyślał. Może tak się boją SS, że nie będą chcieli zadzierać nawet z ich mundurami. Może to jest zwyczajna noc w dużej bazie i tak długo chyłkiem przemykałeś się przez góry, że zapomniałeś, jak to wygląda.

Z każdym krokiem byli bliżej worków z piaskiem i czarnej bramy. Za nimi ktoś huczał rozkazy. Po prawej trzech szeregowych i feldfebel stali sztywno na baczność. Miller czuł, jak feldfebel mierzy go z góry na dół wzrokiem pedanta, przywykłego zapamiętywać kropkę smaru na bucie i drobne przekrzywienie parcianego pasa. A ci

faceci z SS maszerowali przez jego bramę unurzani w Atlantyku, targając na sobie połowę klifu. Mokrzy nie tylko od Atlantyku...

Andrea maszerował dalej, regularny jak metronom, poza obszar bramy, poza zasięg tych oczu, w ciemność. Ciemność kryjącą doki i U-Booty, które czekały, by wysliznąć się z portu i wrócić do swojego czarnego podwodnego świata...

Przeszli. Światło przygasło, ocienione brzegiem hełmu Millera. Udało się – pomyślał. Cholera, udało się nam...

Nagle ciemność wypełniły metaliczne hałasy. Przed nimi i po lewej ożyły słońca brylantowego światła, a czyjś głos rzekł:

–Nie dotykać broni! Ręce na boki, jeśli łaska. Jesteście otoczeni ze wszystkich stron.

Miller, mrużąc oczy, spojrzał w jasność, ale nic nie zobaczył. Mógł tam być jeden człowiek albo stu. Stu to była bardziej prawdopodobna liczba.

Powoli, niechętnie rozłożył ręce jak do ukrzyżowania. Więc tak naprawdę wygląda koniec – pomyślał. Z ciemności wyłoniły się jakieś postacie, postacie w mundurach SS. Zdjęły Millerowi schmeissera z karku i stanęły na palcach, rozbijając Andreę.

–Witajcie, panowie – rzekł hauptsturmführer SS. – Spodziewaliśmy się was.

Potem ich odprowadzono.

Wtorek godz. 23.00 -środa godz. 04.00

Odprowadzono ich przez małe skupisko drewnianych chat, obok otoczonego kolczastym płotem betonowego budynku, w którym pulsowały diesle. Kwatery mieszkalne – pomyślał Miller, zbierając informacje, których nigdy nie miał spożytkować. Siłownia. Po lewej rozległ się terkot pneumatycznych nitownic. Ujarmione błyskawice spawalnic zaśniły niebiesko w ciemności. Prace dokowe. Uprzywilejowany pokaz całości urządzeń.

–Halt! – wrzasnął hauptsturmführer dowodzący eskortą.

Stali na mostku przed bramą w wysokiej, gładkiej ścianie z granitu. Była nabita żelaznymi ćwiekami. Wyżej sterczały blanki. Lodowaty pot zlewał Millera, bolało go całe ciało. Był wyczerpany.

W bramie otwarła się furtka. Hauptsturmführer podszedł i okazał przepustkę. Dwuskrzydłowa brama otwarła się i pistolet maszynowy dźgnął Millera w nerkę. Oddział wszedł do środka. Brama z hukiem zatrzasnęła się za nimi.

Stali na dziedzińcu pokrytym granitową kostką, pilnowanym przez trzy ustawione na blankach karabiny maszynowe. W kółko to samo – pomyślał Miller.

–Żadnej wyobraźni – powiedział głośno.

–Ale duża fachowość – odparł Andrea, przeczesując wzrokiem dziedziniec. – Sprawność.

–Jak to Niemcy. Sprawni.

Lufa za plecami dźgnęła go boleśnie w nerkę.

–Milczeć! – warknął hauptsturmfuhrer.

–Nie rozumieć – powiedział Andrea.

–Nie mówić niemiecki – powiedział Miller. I przez krótką chwilę poczuli trochę otuchy na myśl, że chociaż są w rękach wroga, a misja jest nie wypełniona i nigdy nie będzie, to jednak kryją coś w rękawie.

Dwie rzeczy. Poza tym był Mallory, nadal na swobodzie. W murze naprzeciwko otworzyły się drzwi. To nie był klasyczny, średniowieczny, nabijany ćwiekami dąb. To była naga dwudziestowieczna płyta pancerna, dobre cztery cale faszystowskiej stali. Uchyliła się szeroko, wypuszczając fetor wilgotnego kamienia i kanalizacji. Potem połknęła ich i z hukiem zatrzęsnęła się za plecami.

Zeszli granitowymi stopniami, przez korytarze z odpornymi na działanie bomb sufitami, malowane wapnem, które pokryła pleśń. Były tam spiralne schodki przywodzące na myśl wejście do grobowca. W dole, na korytarz rozjaśniony do oślepiającej białości, wychodziło wiele stalowych drzwi. Jedne z nich były otwarte.

–Wchodzić – rozkazał hauptsturmfuhrer.

–Rzucimy okiem – rzekł Miller. – Jeśli bielizna pościelowa się nam nie spodoba, porozmawiamy sobie z kierownikiem...

Żołnierz uderzył go w ucho lufą schmeissera. Ból przeszył głowę Millera. Ciężki but wyekspediował go przez próg. Andrea wszedł drugi. Stalowe drzwi zatrzęsnęły się. Ciężkie żołnierskie buty oddaliły się korytarzem.

Oślepiające białe światło, brud i cisza.

Otucha przepadła. Znaleźli' się w zimnych, skalnych trzewiach ziemi.

Najgorsza była cisza.

Pomieszczenie mogło być zbudowane z myślą o magazynie lub celi. Sufit półokrągły. Brak okien. Podłoga z granitowych płyt fugowanych betonem. W kącie kratka, zapewne otwór latryny. Dolatywał z niej ohydny smród.

To była cisza miejsca przywalonego tonami murów i skały.

Cisza miejsca, w którym nie było żadnych tajemnych przejść, żadnej nadziei na obezwładnienie straży, żadnej nadziei na ucieczkę. Cisza grobowca.

Mallory'emu bardzo by się tu nie spodobało – pomyślał Miller.

Andrea ziewnął.

–Naprawdę, bardzo niesympatycznie – rzekł i z wdziękiem potężnego zwierzęcia, które nie zamierza rozważać przyszłości, gdyż przebywa w wiecznej terażniejszości, znalazł nieco czystszy kawałek podłogi, położył się i zamknął oczy.

Millerowi nie odebrano papierosów. Wyjął paczkę, znalazł i zapalił suchego papierosa.

Potem czekał.

Wskazówki na zegarku doszły do wpół do dwunastej. Minutę później w zamku trzasnął klucz i weszło pięciu mężczyzn.

Czterej z nich to byli żołnierze Waffen SS. Potężne torsy prężyły się pod skafandrami. Piątym był mężczyzna w wieku około dwudziestu pięciu lat, ubrany w niebieski dwurzędowy garnitur, koszulę ze sztywnym kołnierzykiem i granatowy krawat. Miał jasne, falujące włosy, usta układające się w pąsową różyczkę, a błękitne oczy przypominały parę ślimaków, gdy prześliznęły się po twarzach więźniów.

Machnął przed nosem chusteczką.

–Doprawdy – zaszczebotał po angielsku z lekkim akcentem, krzywiąc się jak stara panna. – Powinni coś zrobić z tym smrodem. – Uśmiechnął się jak cherubinek. – Panowie, jestem Gruber. – Pstryknął palcami. – Krzesło.

Jeden z esesmańskich osiłków wybiegł na korytarz i przyniósł krzesło. Herr Gruber chusteczką strzepnął kurz z krzesła i usiadł.

Miller i Andrea pół siedzieli, pół leżeli obok siebie, wsparci o ścianę. Andrea przyglądał się Gruberowi wzrokiem jednocześnie wrogim i protekcyjnym. Podczas podróży po okupowanej Grecji obaj bliżej zapoznali się z gestapo. Żaden z nich nie miał pojęcia, dlaczego wciąż żyją. Herr Gruber miał dostarczyć odpowiedzi na to pytanie.

–Więc co możemy dla was zrobić? – spytał Miller. – Tylko że trochę chce mi się spać i...

Gruber skinął na jednego z esesmanów. Lufa automatu zrobiła szybki łuk i mocno uderzyła już opuchnięte ucho Millera. Ból chrząstki uwięzionej między metalem i czaszką był okrutny. Oczy Millera zaszyły łzami. Opanował gniew. To było coś na potem.

–Więc tak – rzekł Herr Gruber. – Rozumiem, że chcielibyście zabić mnie i tych żołnierzy. – Znów uśmiechnął się jak cherubi-nek. – SS to nie to, co dawniej. Więc pewnie by się wam udało. Ale muszę podkreślić, że szansę przeciwko wam są miazdzące. Nawet gdybyście uciekli z tej celi, szybko stracie życie. Co, jeśli będziecie mnie słuchać, może nie być konieczne.

Gruber pilnie przypatrywał się tym dwóm mężczyznom. Normalnie, gdy mówił więźniom, że są na drodze do wolności, od razu byli gotowi na nią wskoczyć i biec, spychając jeden drugiego poza krawędź, jeśli to konieczne.

Nie ci dwaj.

Ich twarze były szare pod skórą zniszczoną wiatrem i słońcem. Byli starzy, liczyli sobie przynajmniej po czterdzieści lat, a wyglądali starzej. Herr Gruber prawie nie mógł uwierzyć, że ci ludzie dokonali tego, co się o nich mówiło; umknęli pułkowi Panzerjager, zamordowali pluton SS, znaleźli to miejsce. Ale dokonali tego. I ich sukces wprawiał w absolutny zachwyt Herr Grubera, bo dzięki temu przeciętna tajna broń stała się czymś o wiele ważniejszym. Ułatwili mu zadanie.

Ale gdy teraz siedzieli – ten wielki patrząc bez wyrazu czarnymi oczami jak bizantyjska ikona, chudy Amerykanin krwawiąc z ucha na kołnierzyk bluzy – zupełnie nie wyglądali na ludzi, którzy ułatwiają komukolwiek zadanie.

–Przybyliście tutaj, żeby zniszczyć pewną broń – ciągnął Herr Gruber. – Na co oczywiście nie możemy pozwolić, nie tylko dlatego, że cenimy tę broń, ale ponieważ sprawiłoby to dyplomatyczne kłopoty naszym przyjaciółom w Madrycie. – Uśmiech trwał na posterunku. – Niebawem zostawimy za sobą to miejsce. I, jak sądzę, was również. Wygląda na to, że jest wam tu całkiem wygodnie. I po tych całych trudach przyda się

wam odpoczynek. A podejrzewam, że Guardia Civil otrzyma anonimowy telefon informujący, że pewni żołnierze aliantów zostali... zamknięci w kłopotliwej sytuacji. Nie wątpię, że tak zostanie to ocenione. Mam nadzieję, że będziecie jeszcze wtedy żywi. – Uśmiech znikł. Usta były wilgotne i lśniące, oczy lodowate. – Chociaż wątpię, byście długo przetrwali w hiszpańskim obozie dla internowanych. Strażników świerzbią palce, żeby użyć broni. A pożywienie nie jest ani zdrowe, ani obfite i szerzy

się tyfus. – Uśmiech powrócił. – I wątpię, by ktokolwiek w ambasadzie brytyjskiej palił się do oglądania was po postawieniu ich w żenującej sytuacji. Przecież Hiszpania jest neutralnym krajem i wasza obecność zostanie uznana za możliwie najbardziej cyniczne pogwałcenie jej statusu. – Obliznął usta. Widział świetlaną przyszłość, awans, zwycięstwo, ogólny sukces. – Akurat wasi dyplomaci naciskają na rząd hiszpański, by zaprzestął eksportu wolframu i wycofał swoje oddziały z frontu rosyjskiego. Jak sądzę, wasza wizyta zmieni to wszystko. Prawdę mówiąc, wydaje mi się wielce prawdopodobne, że pod koniec tej małej... przygody Niemcy będą miały nowego sojusznika. – Westchnął. – Oczywiście, jest w tym wszystkim jedna przykrość. Względy polityczne nie pozwalają mi zastrzelić was od ręki.

Andrea splunął mniej więcej w kierunku kratki. Gestapowiec cmoknął.

–Oszczędzaj ślinę. Myślę, że wkrótce będzie ci potrzebna. Ale do rzeczy. Jest jedna sprawa. Wasz towarzysz. Gdzie on się podziewa?

–Towarzysz? – spytał Andrea.

Miller spojrział na niego. W postawie Amerykanina gestapowiec odczytał gorycz porażki. Miller zwrócił się do Andrei:

–Co chcesz udowodnić?

–Nie mamy towarzysza – rzekł Andrea.

Bolesny tik szarpnął policzkiem Millera. Obliznął wyschłe wargi. Gestapowiec zauważył oznaki strachu. Miał dużą praktykę w rozpoznawaniu tej emocji.

–To nie ma sensu – zaprotestował Miller. Odwrócił się do gestapowca. – Słuchaj, on...

Andrea ruszył się. Nagle z ociężałością niedźwiedzia ruszył po brudnej podłodze na Millera. Złapał go za szyję, oderwał od ściany i gestapowiec wiedział, że wielkolud zaraz rozbije czaszkę chudzielcowi. Byłoby wielką przyjemnością móc to obejrzeć.

Ale nie pozwalały na to ważne względy.

Więc skinął na strażników. Złapali Andreę za ramiona i odciągnęli. Nie było to takie trudne, jak lękał się gestapowiec. Wielkolud wielkoludem, ale był słaby. Ci południowcy. Gorąca krew, ale żadnej mocy.

Miller masował kark.

–Hej! – zapiszczał. – Nie ma potrzeby rzucać się na człowieka...

–Wesz! – syczał Andrea. – Żmija!

–Cicho! – zarządził Gruber. Grek ucichł.

–Ten trzeci facet nie żyje – powiedział Amerykanin.

–Daj spokój – rzekł gestapowiec. – Nie stać cię na coś lepszego?

–To prawda.

Błękitne oczy były tak pozbawione wyrazu jak światła pozycyjne na wraku czołgu.

–Jak umarł?

–Spadł z klifu.

–Co tam robił?

–Krył się.

Spokojnie – pomyślał Miller. "Stella Maris" jest w porcie. Nie ma potrzeby ich w to mieszać.

–Przeprowadził nas z lądu. Wbił linę. Spadł, biedaczysko. Udusił się. Poszukajcie na dole klifu, znajdziecie trupa. Potem złapaliście nas.

Gestapowiec pogładził się po podbródku. Naturalnie, spadnięcie z klifu to rzecz możliwa.

–To było niemądre – powiedział. – Włazenie na ten klif. Narobiliście tylko hałasu. Oczywiście, zostaliście złapani.

Miller zwiesił głowę. Hauptsturmfuhrer powiedział coś innego. Powiedział, że spodziewano się ich, i Miller był skłonny mu wierzyć.

–Gadanie!

–Słusznie – rzekł Gruber. Wstał. – No cóż. Nie mogę powiedzieć, że poznanie was było dla mnie przyjemnością. – Pstryknął palcami. – Krzesło.

Jeden z esesmanów zabrał krzesło. Gruber podszedł do Andrei, który siedział oparty o skałę.

–Żegnaj, Greku. – Trzciniowa laseczka w jego dłoni wy-trzeliła jak żmija. Trafiła Andreę nad oczami.

Mięśnie nabrzmiały w kącikach szczęk Greka. A potem uśmiechnął się radośnie i pokazał białe zęby na myśl o tym, co go czeka.

–Za to umrzesz – rzekł.

Hen Gruber uśmiechnął się z wyższością i szybkim krokiem opuścił celę.

Drzwi zamknęły się z hukiem. Strzelił zamek. Światło zgasło. Byli w ciemności.

–Pułkowniku? – powiedział Miller.

–Miller... – Głos był dziwnie zduszony.

–Widzisz coś?

–Widzę.

–To więcej niż ja – rzekł Miller. Dziwny odgłos odbił się od półkrągłego sklepienia celi.

Mogli sobie być zamknięci w ciemności, czekać na nieuniknione fiasko misji, zdziesiątkowanie floty inwazyjnej i dyplomatyczną katastrofę w Madrycie.

Lecz Mallory był gdzieś na swobodzie. I dlatego Miller się śmiał.

Dla Mallory'ego przebywanie w samotności na klifie było rodzajem wyzwolenia. Po tych wszystkich dniach i tygodniach rzadkiego odpoczynku i przypadkowego pożywienia dotyk skały pod stopami i dłońmi, wolność na wielkiej pionowej płaszczyźnie działały uspokajająco. Ufał pozostałym dwóm, że przeprowadzą rozpoznanie strony lądowej i miejsca ukrycia okrętów podwodnych. Ale jeśli chodzi o rozpoznanie od strony morza, ufał tylko samemu sobie. Były pewne rzeczy, które musiał obejrzeć na własne oczy. Mallory był graczem zespoło-

wym, lecz Andrea był zbyt wielki, a Miller miał zawroty głowy. Trafiały się okoliczności, w których samotna wspinaczka musiała wystarczyć.

Księżyc wśliznął się za skałę. Mallory w ciemności rozpoczął szybki trawers. Przeszedł sto jardów, gdy z góry usłyszał zamieszanie: dzwonek, krzyki, stukot butów na granitowej kostce; potem odległy łomot ciężkich żołnierskich buciorów i krzyk Andrei: Marsch!

Stukot butów się urwał.

Nic więcej nie usłyszał. Ale nie potrzebował uszu, by wiedzieć, że są kłopoty. Cekał na początek strzelaniny. Nie doczekał się.

Wisiał przez chwilę, czekając na zniknięcie księżycy. Chmura wróciła.

Poprzednio wspinał się po skosie w górę, w kierunku parapetu. Ale niebo nad parapetem jaśniało blaskiem lodowatosza-rych reflektorów. Więc skierował się w dół, w stronę morza, dowiadując się za pomocą palców rąk i nóg o zwietrzalej skale. Między nim i parapetem cały czas wisiało wybrzuszenie nawisu.

Wkrótce reflektory zgasły i Cabo de la Calavera znów był samotną kopułą ciemności na tle ciemności nieba. Co się stało, to się nie odstanie. Mallory westchnął głęboko. Wiedział, że nikt nie będzie na niego czekał przy siłowni.

Był zdany na własne siły.

Zamartwianie się Millerem i Andreą było stratą czasu. Skupił się na operacji. Jeden człowiek musi działać inaczej niż trzech. Teraz czas przeznaczony na rekonesans był czasem straconym. Musiał wejść do Cabo. Potrzebował słabego punktu.

Coś chodziło mu po głowie.

Zaczął wspinaczkę w górę.

Ten nienawidzący Maurów grand, który zbudował forteleza na czubku Cabo de la Calavera, dobrze wybrał miejsce. Klif wyrastał prosto z morza. Więcej – miejscami wyrastał z głębiny. Mallory skupił się na skale. Gładki kamień był mniej kruchy; trawy i morska roślinność nie znajdowały punktu za-

czepienia. Tu były pęknięcia i wyżłobienia, na które nie zdecydowałyby się mucha z kroplą oleju w głowie. Ale Mallory był zdesperowany. Więc szedł w górę, powoli, ale pewnie, ruchami wychodzącymi z bioder, z gracją, niemal bez wysiłku. Stopniowo posuwał się w kierunku zachodnim, tam gdzie stała forteleza. Jednocześnie zyskiwał na wysokości. Chmury znów spęczniały i księżyc znikł. To było korzystne, nawet gdy oznaczało wspinaczkę na wycucie. Morze ciężko mruczało z oddali, wiatr drżącą ręką przyciskał wspinacza do skały.

I po jakiejś godzinie wiatr przyniósł smród ścieków. Gdy Mallory spojrzał w górę, stwierdził, że klif zmienił charakter. Nie był to już naturalny granit. To był mur forteleza.

Mallory zatrzymał się; stał na ścianie przepaści łączącej niebo z morzem. Klif nie stanowił problemu i z murami też mógł sobie poradzić. Kłopoty były w miejscu połączenia skały z ułożoną ludzką ręką ścianą fortecy.

Przebiegała tam gruba czarna linia. Mur podparto konsolami. O ile Mallory się nie mylił, podtrzymywały machikuły, murowane ganki wysunięte przed lico muru obronnego. Konsole czy machikuły – jeden pies. Miał do czynienia z cholernym

nawisem. Sam, bez liny, dysponując czterema hakami. Normalnie szukałby innej drogi, by obejść nawis. Ale tym razem nie było żadnego obejścia.

Nagle ogarnęło go straszliwe zmęczenie.

Wisiał tak przez chwilę. Smród nieczystości potężnie drażnił powonienie. Gdy sięgnął ręką w kierunku następnego chwytu, trafiła na obrzydliwy śluz.

Obrzydliwy śluz, który musiał skądś wypływać.

Nagle znużenie opuściło Mallory'ego. Dzięki Bogu za hiszpańską kanalizację – pomyślał. Za hiszpańską kanalizację wynalezioną przez Arabów, którzy wprowadzili cywilizację do europejskiego świata.

I którzy przy odrobinie szczęścia wprowadzą Mallory'ego za mury Fortaleza de la Calavera.

Znów zaczął się wspinać. Trzymał się lewej strony, poza strumieniem ścieku. W ciągu dwóch minut dotarł do dołu machikułów.

Teraz widział detale nawisu. Przypominał odwrócone o sto osiemdziesiąt stopni schody składające się ze stopni szerokości jednej stopy i wznoszące się pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Nie do przejścia bez liny.

Ale dziesięć stóp po prawej ręce Mallory'ego pionowa linia ciemności rozdzielała te odwrócone schody; linia szeroka może na dwie stopy, będąca nie linią, ale szczeliną. Dla projektantów kanalizacji forteleza był to wylot ubikacji. Dla wspinacza takiego jak Mallory to był użyteczny komin w nieużytecznym nawisie. Opuściło go zmęczenie. To była droga. Kiedy ma się przed sobą drogę, nie można odczuwać zmęczenia.

Przykucnął na prawie niewidzialnym występie i sprawdził swoje haki. Zdjął buty i skarpetki. Założył buty na gołe stopy, a skarpetki naciągnął na buty. Podniósł głowę i łzawiącymi oczami ocenił sytuację. Otwór w machikułach sięgał do ostatnich dwóch stopni. Jeśli uda mu się tam dotrzeć, sięgnie ręką do prostopadłego muru i znajdzie miejsce do wbicia haka.

Ubikacja czy nie, było to potwornie trudne miejsce. Ale ta myśl nawet nie dotarła do Mallory'ego. To był problem wspinaczkowy, a wspinaczkowe problemy były po to, żeby je rozwiązywać.

Sięgnął do kieszeni skafandra, sprawdził haki i obciążony ołowiem młotek ze skórzaną rączką. Następnie wsunął się w straszliwą czeluść komina.

Jak podejrzewał, był wycięty w skale. Początkowo Mallory wspinał się po śliskiej skale, a gdy ta ustąpiła miejsca murarce, oparł się plecami o jedną stronę, stopami o

drugą i przepychał się w górę.

Skarpetki dawały butom oparcie na nieczystościach, które z kolei ułatwiały ślizganie się ramion po wyciętych kamiennych blokach. Łatwo pokonywało się ten komin, pomijając smród. Teraz odsunął się od pionu, od ściany klifu, i szedł za linią machikuły. Poprzednio gładź klifu była zniechęcająca. Teraz z każdą minutą wydawała się coraz bardziej zaciszna, jak domowe pielesze.

Łatwo pokonywało się komin, jeśli zignorowało się czarną dziurę nad głową i to, co mogło wydarzyć się na dole.

Napnij ramiona. Wbijaj stopy w ścianę po drugiej stronie, mocno, żeby skarpetki przecisnęły się przez warstwę świństwa, a gwoździe w podszewkach butów wbiły się w twarde kamień. Zrób to znowu. I znowu...

Hełm Mallory'ego zadźwięczał o kamień. Koniec komina.

Stał tak, wbijając ramiona i nogi w otwór w murarce i oddychając płytko. Dwieście stóp niżej białe języki piany zwijały się wokół najeżonych skał, lizały klif.

Mallory poszukał w kieszeni haka. Przed wojną nigdy nie brał pod uwagę używania haków. One były dla Niemców, podczas ataku na północną ścianę Eigeru czy podczas prób wejścia na Kangczendzangę dla większej chwały Trzeciej Rzeszy. Kiedyś, wspinając się po Wielkim Murze Mount Cook, Mallory wyjmował haki wbite przez używającą niesportowych metod niemiecką ekspedycję. Ale w Zermatt poznał Schmelka, amerykańskiego kowala, który miał kuźnię z tyłu swojej półcię-żarówki. Schmelk spodziewał się wojny i przewidział, o dokonanie jakich rzeczy będzie proszony Mallory. Wmusił mu swoje cudeńko: trzycalowe stalowe ostrza wycięte z tylnych resorów ford model "T", z otworem na końcu, przez który przewłócił linowy uchwyt. Sześć sztuk. Kiedy Mallory się opierał, Schmelk zauważył, że bez względu na to, co alpinista myśli o używaniu haków, przydadzą się żołnierzowi walczącemu z Niemcami.

Niech cię Bóg błogosławi, Schmelk, gdziekolwiek jesteś -pomyślał Mallory w swoim cuchnącym kominie. Wsunął nadgarstek w pętlę haka. Następnie sięgnął dłonią powyżej dwóch ostatnich stopni nawisu i pociągnął po kamieniach czubkiem haka jak ołówkiem, aż trafił na wgłębienie oznaczające spoinę murarki. Wtedy niezdarnie jedną ręką zaczął wbijać hak.

Robił to powoli, z nieskończoną cierpliwością, po części ze względu na konieczność zachowania ciszy, ale przede wszystkim dlatego, że zostały mu tylko cztery z tych trzycalowych odłamków metalu. Dwa z oryginalnego zestawu zostały stracone. I wiele zależało od tych czterech; jego życie, życie Andrei i Millera, całość floty inwazyjnej. Wbijał go przez pełne dwie minuty, aż był go pewien. Wtedy wsadził drugi

hak w ścianę

komina, na wysokości oczu. Ten wchodził łatwiej; Mallory nie musiał pracować na odległość wyciągniętego ramienia i zaprawa w ścieku, atakowana setki lat przez kwas węglowy deszczu i kwas moczowy garnizonu, była miększa niż na zewnątrz skały.

Gdy hak był osadzony, Mallory szarpnął go bezszelestnie. Trzymał się pewnie. Wyciągnął rękę, znalazł pętlę przy główce pierwszego haka, włożył w nią rękę i pociągnął z całej siły, nie rozluźniając uchwytu w kominie.

Hak trzymał się pewnie.

Wziął głęboki oddech. Zawisł całym ciężarem na wyższym haku i wysunął się nad przepaść. Przez chwilę zwisał luźno -pająk na gzymsie, strzępek ciała podtrzymywany przez stalowy szpikulec i pętlę ćwierćcalowego sznura dwieście stóp nad ponurym odmętym zbieżnym przyboju bijącego o czarną skałę. Następnie podciągnął w górę lewą nogę, szukając haka, który wbił w ścianę komina.

Wspart o niego podeszwę buta, nacisnął go, jak naciska się pedał roweru, i wyprostował nogę, aż stanął, mając nogę pod nawisem, a tors pionowo, równoległe z murowaną ścianą idącą w czarne niebo. Sięgnął lewą ręką do kieszeni, znalazł kolejny hak, umieścił go nad pierwszym i zaczął drapać, jakby pisał ołówkiem, aż czubek znalazł punkt zaczepienia i zagłębił się pierwsze kilka milimetrów; a kiedy już trzymał się samodzielnie, Mallory podniósł młotek i zaczął wbijać hak. Mięśnie prawego ramienia i lewej nogi wrzeszczały, żeby się nie spodziewał, iż długo to wytrzymają, zaczną boleć, zaczną się skurcze, aż Mallory, żeby go jasna cholera, przestanie im tak dawać w kość. Mallory siłą woli nie zwracał na to uwagi. Wbijaj delikatnie hak, nie spiesz się...

Pod podeszwą lewego buta nastąpiło poruszenie, najdrobniejsze z możliwych.

I nagle spadał, wyciągnięty na całą długość ramienia. Dopiero pętla powstrzymała upadek, z trzaskiem ścięgien pod pachą, i znów wisiał z krawędzi gzymsu nad głodnymi skałami w dole.

Hak pod stopą wypadł.

Podczas spadania odruch każe otworzyć dłonie, udawać, że palce jako tako mogą zastąpić upierzenie, każe rozłożyć ręce i nogi, zamienić masywne ciało w coś szybującego, co uleci przed niebezpieczeństwem.

Mallory znał się na odruchach. Wiedział, że jedyny kierunek, w jakim fruwać ludzie, to pionowo w dół. Nawet gdy się kołysał, nie zwolnił uścisku dłoni na młotku.

I po jakichś dziesięciu sekundach, które bardziej przypominały dziesięć godzin, kołysanie ustało. Mallory wisiał. Odpocznij – mówiło ciało. Ale gdy tak wisiał, wiedział, że siła będzie go opuszczała, krew odpłynie z ramienia, które potrzebowało każdej kropli życiodajnego płynu. Więc nawet gdyby ruch mięśni ramienia miał spowodować wysunięcie się haka ze ściany, w rezultacie czego runąłby w pustą przestrzeń na te wszystkie skały, musiał się ruszyć.

Jesteś skazany, jeśli będziesz wisiał. Jesteś niekoniecznie skazany, jeśli nie będzie wisiał.

Mallory ostrożnie wsunął młotek do kieszeni. Wyciągnął lewą rękę do prawej i podciągnął się, jak gimnastyk na drążku.

Mięśnie ramion zaskrzypiały. Obnażył zęby w szaleńczym wysiłku. Krew zaszumiała mu w głowie.

Ale oto dłonie, hak i błogosławione kamienie były na wysokości oczu.

Przytrzymał się prawą ręką, naciągnął fałdę skafandra na końcówkę haka i opuszczał się, aż zawisł na pieczołowicie utkanym niemieckim materiale. Następnie bardzo ostrożnie wyjął z kieszeni ostatni hak i młotek. Uniósł ręce nad głowę i zaczął wbijać hak.

Dwie minuty później był wyżej; lewą ręką trzymał się górnego haka, prawy but był na dolnym, prawa ręka wbijała następny hak. Nawis był pełne dwie stopy poniżej; co z oczu, to z serca. Ściana fortecy rozciągała się nad nim. Czterdzieści pięć stóp gładkiej murarki do szczytu wieży. Mallory wbijał hak, nie pozwalając sobie na przerwę, bo przerwa wzbudziłaby reakcję, reakcja – dreszcze, a dreszcze nie były niczym pożytecznym, kiedy balansowało się na dwóch stalowych koniuszkach, bez żadnego zapasu w kieszeni.

Więc Mallory się nie zatrzymywał. Mallory szedł w górę.

Wpadł w rytm. Wbij hak. Sprawdź hak. Druga ręka. Druga stopa. Wyjmij dolny hak, przesun na górę...

Wspinaj się...

Postronnemu obserwatorowi wydawałoby się, że Mallory sunie w górę wbrew prawu grawitacji. Z tym że oczywiście nie było żadnych postronnych obserwatorów. Pomruk morza ucichł. Z lewa i prawa w grubym murze pojawiały się małe okienka. Mallory nie poświęcał im uwagi. Świst oddechu i pulsowanie krwi w uszach mieszały mu się z rykiem morza. Wbij hak. Sprawdź hak. Zaczął padać deszcz; uparty atlantycki kapuśniaczek zacinający w plecy, niesiony wiatrem. Ten deszcz był pomocny Mallory wspinał się po tej gigantycznej kamiennej beczce, ponieważ każdy żołnierz wartujący na wieży górującej trzysta stóp nad poziomem morza wykonuje swoje obowiązki w najlepszym razie na pół gwizdka. A w deszczu to wartowanie na pół gwizdka przejdzie wręcz w zaniedbywanie obowiązków służbowych. Druga ręka. Druga stopa. A Mallory miał pomysł, którego realizacja zakładała, że ktoś zaniedba obowiązki służbowe. Wbij hak. Sprawdź hak.

Nad głową Mallory'ego nie było już klifu ginącego w ciemności. Był mur. Ostro ucięty kamienny półokrąg. Mallory był blisko szczytu.

Zatrzymał się, przyklejony do skały jak mucha, i nadśluchiwał. Wiatr gwizdał mu w uszach, deszcz wywabił z kamienia nikłą, stęchłą woń. Poza szemraniem deszczu usłyszał jeszcze coś: stukot ciężkich butów.

Czekał.

Buty maszerowały raz w lewo, raz w prawo. Deszcz zelżał, potem się wzmógł. Siekł. Głos nad głową Mallory'ego zaklął:

–Scheisse!

Odgłos kroków zmienił się, stał się przytłumiony Metalicznie trzasnęła zasuwa, ciężko jęknęły żelazne zawiasy. Wartownik schronił się przed deszczem.

Mallory podjął wspinaczkę. Śpieszył się, ale nie zmienił równomiernego rytmu. Deszcz gęstniał, wzmagał się wraz z wiatrem. Po szóstym haku Mallory mógł już ucześcić się

kolejnego parapetu. A potem buty owinięte skarpetkami dotknęły kamiennej

posadzki wewnątrz fortyfikacji i Mallory prostował zeszywniałe palce.

Szczyt wieży był płaski, jeśli nie liczyć wieżyczki z klatką schodową. Drzwi osadzono od strony lądu, tyłem do kierunku, z którego przeważnie wiały wiatry. Na dachu wieżyczki stały kominy, z których uchodził dym ze spalanego drewna. Sterczała tam też grupka anten oraz drzewce flagowe. Anteny były cztery, trzy biczowe i jedna wielka, krótkofalowa. Na szczycie drzewca coś powiewało i podskakiwało na wietrze – coś nie będące flagą. Na tle chmur widać było niewyraźny kształt przypominający ludzkie ciało, ale obrzydliwie poszarpany. Kształt, który kiedyś był przemytnikiem Juanito.

Po niebezpiecznej godzinnej wspinaczce pionową skałą Mallory był zmarznięty i sztywny Teraz poczuł, jak rozpala go gniew przeciwko szaleńcowi, który chciał zepchnąć świat z powrotem w średniowiecze.

Przeszedł cicho po kamieniach i rozpląszczył się przy ścianie wieżyczki. Zza drzwi dochodził kaszel. Dym papierosowy wysnuł się dziurką od klucza. Wartownik był sam.

Mallory czekał z cierpliwością ściganego zwierzęcia. Deszcz zelżał. •

Drzwi się otwarły.

Wartownik nie zobaczył, co go uderzyło. Poczuł tylko nagły, straszliwy ból po lewej stronie klatki piersiowej.

Mallory starannie otarł klingę noża o bluzę zabitego. Zdjął z niego schmeissera, odpiął od pasa dwa zapasowe magazynki. Przeszukał mu kieszenie i znalazł książeczkę żołdu. Potem zaciągnął trupa po mokrym dachu do parapetu i zrzucił w dół.

Zabity spadał bez dźwięku, tą samą drogą, która w razie wypadku czekałaby Mallory'ego. On sam nie został, by się temu przyglądać.

Ściągnął z butów resztki skarpetek. Deszcz splukał trochę fekaliiów ze skafandra. Mallory wyprostował ramiona i otartymi do żywego mięsa rękami sprawdził schmeissera. Przeszedł próg, cicho zamknął drzwi za sobą i ruszył w dół kamiennymi kręconymi schodami.

Czuł zapach papierosów, starego kamienia i odchodów na skafandrze. Po czternastu stopniach napotkał półokrągły gotycki łuk w murze, zamknięty nabijanymi ćwiekami drzwiami. Umieszczono na nich kartkę grubego papieru, na którym gotykiem napisano: WARTOWNIA. Niech Bóg błogosławi uporządkowane niemieckie myślenie – pomyślał z nową nadzieją Mallory. To może jeszcze okazać się ratunkiem dla nas wszystkich.

Poniżej wartowni były inne drzwi. Dochodziły zza nich głosy i klekot morse'a. Sala łączności. Z dołu dobiegał nowy hałas, gęste brzęczenie wielu telefonów, szybko poruszających się stóp i wykrzykiwanych instrukcji; hałas ludzkiego mrowiska, krzątania. Jeśli okręty podwodne miały wypłynąć w południe, to były to odgłosy przygotowań z ostatniej chwili, kończących się napraw, planowanej ewakuacji. Mallory pozwolił sobie na mały, ponury uśmieszek. Był to taki rodzaj krzątania, który z niewielkim nakładem sił można by zamienić w zamieszanie i wykorzystać.

Przeszedł ostatni zakręt schodów.

Przed sobą miał korytarz. Po jednej stronie były drzwi, po drugiej okna wychodzące na zaciemniony dziedziniec. Korytarz oświetlały słabe żółte żarówki. Mallory miarowym krokiem wartownika udał się do kamiennej balustrady strzegącej klatki schodowej w głębi korytarza. Wizytówki ze sztywnego papieru informowały, że mija biuro Kriegsmarine, biuro portu, magazyny. Za tymi drzwiami żołnierze pochylali się nad biurkami zasłanymi górami dokumentów. Pałac papierosy, wiedli rozmowy telefoniczne, robili notatki w świetle biurowych lamp. Niemiecka maszyna stawiała kropkę nad ostatnim "i" i kreskę przy ostatnim "t", zanim wyłączy samą siebie.

Minęło go dwóch żołnierzy, bladych kancelistów. Jeden z nich skrzywił nos i powiedział:

–Co za smród!

Mallory zachował kamienną twarz. Kanceliści przyśpieszyli kroku. Mallory szedł tym samym tempem, powoli, równomiernie, w kierunku schodów w głębi, kryjąc za miarowym tupotem butów fakt, że nie wiedział, gdzie jest ani jak ma znaleźć

to, czego szuka. Mallory'emu był potrzebny trop, jakikolwiek trop. A podczas takich operacji, kiedy szedłeś zmęczony i obolały w sercu bazy nieprzyjaciela, niełatwo znajdowało się jakieś tropy.

Dotarł do schodów. Zbliżał się kapitan Kriegsmarine. Mallory odczekał, strzelił obcasami i wyrzucił w górę sztywne ramię.

–Heil Hitler! – powiedział.

Kapitan niedbale dotknął daszka czapki, skrzywił się, czując smród bijący od Mallory'ego, ominął go wzrokiem. Dla Niemca mundur znaczył więcej niż człowiek. No i jeszcze ten smród.

Mallory w myślach podziękował forteleza za system kanalizacyjny, który pozwolił mu wejść do środka i trzymał ludzi z daleka. Ruszył schodami w dół.

Wtedy natrafił na swój trop.

W zapachy potu, dymu, fekaliów i zimnego kamienia wplótł się inny zapach: zapach, który w ułamku sekundy przeniósł go do Kairu sprzed trzech lat. Fontanny szemrały dźwięcznie na marmurowych patiach, oficerowie sztabowi w idealnie zapra-sowanych mundurach wymieniali łagodne uściski dłoni i półgłosem umawiali się na drinka w hotelu Shepherd's, podczas gdy oddziały na pierwszej linii frontu ginęły w upale, ciskane eksplozjami pod pustynne niebo.

Zapach drogiego tureckiego tytoniu.

Cienką strużką unosił się schodami w kolumnie zimnego, mokrego powietrza. Mallory poszedł za nim jak wyżeł.

Zszedł schodami okolonymi kamienną balustradą i znalazł się w korytarzu identycznym jak ten wyżej, z tym wyjątkiem, że ten był w połowie ucięty drzwiami. Nie były nabijane ćwiekami, natomiast wykonano je z czarnego dębu. Wisiały na ozdobnych zawiasach z kutego żelaza, mających kształt stylizowanych gałęzi oliwek. To były eleganckie drzwi wykonane z myślą o tym, by stanowiły uciechę dla oka, jak również ochronę przed orężem. Po umiejscowieniu korytarza Mallory zdał sobie sprawę, że dalsze pokoje wychodzą na południe, na port. Kiedyś były to pomieszczenia komendanta.

Zapach tureckiego tytoniu był tu silniejszy.

To nadal były pomieszczenia komendanta.

Gdy Mallory szedł do drzwi, otworzyły się. Wyszedł z nich szybko mężczyzna w czarnym mundurze, obersturmführer SS. Zerknął bez ciekawości na Mallory'ego, zamknął drzwi za sobą i odszedł. W ręce niósł arkusz papieru. Na twarzy miał wyraz nadąsania i zniecierpliwienia. Za esesmanem rozległo się wołanie:

–Za godzinę!

Ktoś, kto wołał, miał dziwny głos, jakby coś było nie w porządku z jego gardłem.

–Jawohl, Hen Generał – zamruczał adiutant i znikł na schodach.

Mallory szeroko otworzył drzwi.

Spowiła go woń tureckich papierosów. Korytarz kończył się w głębi gotyckim oknem, za którym była noc. Marokańskie dywany pokrywały płyty podłogi. Było ciepło, woń mokrego kamienia znikła. Światło biło z kandelabrow obwieszonych rżniętymi kryształami. Ściany zdobiły obrazy hiszpańskich świętych; obnażonych do pasa męczenników noszących ślady tortur.

Mallory nie poświęcił uwagi aranżacji wnętrza. Po obu stronach korytarza były

drzwi. Troje z nich zamknięto; było nie do pomyślenia, żeby kryły coś tak pospolitego i wulgarne jak pomieszczenia wartowników. Czwarte stały otworem.

To był wielki pokój, mierzący czterdzieści stóp długości. Stały w nim kanapa, dwa fotele, niski stoliczek. Szeroki kominek był zwieńczony rzeźbionym herbem hiszpańskiego księcia. W głębi była różycza, gotyckie okrągłe okno. Przed nim stało biurko z dwoma telefonami, przyrządami biurowymi z zielonego onyksu, przyciskiem dzwonka i popielniczką, na której leżał papieros. Dym unosił się pionowo w ciepłym, nieruchomym powietrzu, roznosząc woń tureckiego tytoniu. Za biurkiem siedział mężczyzna ze spiczastą czaszką, łysiejący, ale jeszcze z wianuszkami przyklejonych siwoblond włosów.

Żadnych wartowników. Jak to możliwe?

Skoro nikt nie mógł dostać się do zamku, to nie było potrzeby, żeby urzędowały w nim warty. Logiczne.

Mallory wszedł do pokoju i zamknął drzwi. Mężczyzna za biurkiem nie podniósł głowy. Światła odbiły się od srebrnych oznak generała SS, błyskawic na kołnierzyku, srebrnej trupiej główki z pieszczelami poniżej orła na czapce z wysokim denkiem, leżącej na biurku. Cienkie palce sięgnęły po papierosa. Pomarszczone wargi wciągnęły i wydmuchały dym. Oczy podniosły się, napotykając spojrzenie Mallory'ego.

Te oczy były koloru wody, osadzone nad wysokimi kośćmi policzkowymi i wychudzoną do granic możliwości twarzą z dołkiem w podbródku. Jabłko Adama drgnęło. Coś było nie tak z tym jabłkiem; po prawej stronie miało wgłębienie, rowek, gruby i głęboki na palec. Może stara rana. Prążki mięśni drgnęły w zapadlinach, w których powinny być policzki.

–Co? – zaskrzeczał cienko generał. W prawej ręce ścisnął papierosa. Mallory ujrzał, że to sztuczna ręka, pozbawiona życia imitacja z twardej pomarańczowej gumy.

Mallory sięgnął do kieszeni, wyjął książeczkę żołdu zabraną martwemu wartownikowi i podał ją generałowi. Generał zbył go niecierpliwym gestem. Zmarszczył nos. Szeregowcy nie tarzają się w ściekach, a potem nie wpadają do generalskich gabinetów bez zameldowania się. Cóż, na Boga, myślał ten Dummkopf? Palce protezy odchyliły się w kierunku dzwonka.

Mallory z przyklejonym do twarzy idiotycznym uśmiechem odrzucił protezę. Teraz generał spoglądał na niego. Grube żyły nabrzmiały po obu stronach karku. Nie zwracał uwagi na rękę z książeczką żołdu. Otworzył usta do krzyku.

Ręka z książeczką poszła dalej. Generał nadal nie zwracał na nią uwagi. Spoglądał na twarz Mallory'ego. Gniew zamieniał się w coś innego, coś jak zdziwienie lub nawet

strach. Ale ręka wyciągnęła się dalej, niż to było potrzebne, i opuściła książeczkę, złożyła kłykie w twardą krawędź i przyśpieszyła, aż stała się toporem mknącym ku zniszczonemu jabłku Adama w tej żyłastej szyi.

Mallory włożył w uderzenie cały ciężar ciała. Miało zgnieść tchawicę. Ale to, co generał zobaczył w piwnych oczach Mal-lory'ego, nad idiotycznym uśmiechem, sprawiło, że w ostatnim ułamku sekundy odchylił głowę. Kłykie uderzyły w bok szyi,

doprowadzając do stłuczenia tchawicy zamiast do jej zmiżdżenia. Generał spadł w tył z rzeźbionego, złotanego fotela w okienny wykusz. Padając, próbował sięgnąć do kabury.

Mallory rzucił się za nim przez biurko. Gwoździe w podszewkach rozdarły czerwony marokin. Generał był już w połowie na nogach, plecami do kamiennej koronki okna. Mallory wymierzył do niego ze schmeissera.

–Ręce do góry!

–Zwariowałeś? – szepnął chrapliwie generał.

–Rób, co ci każę.

–Nie jesteś niemieckim żołnierzem.

–Nie – powiedział Mallory.

Jabłko Adama skoczyło w górę i w dół szyi. Pewność siebie wróciła w lodowate jak woda oczy.

–Jak mnie zastrzelisz, wpadnie tu dziesięciu żołnierzy, zanim zdejmiesz palec z cyngla.

–A ty zostaniesz trupem – oświadczył Mallory. – Co ci z tego przyjdzie? – Ujrzał błysk kalkulacji w tych bezbarwnych oczach i wiedział, że to nieskuteczny argument. Być może dałby coś wobec jakiegoś młodszego oficera. Ale w bliskim kręgu Heinricha Himmlera trafiały się rzeczy bardziej przerażające niż śmierć.

–Więc tak – szepnął generał, rozciągając wargi, co w jego wypadku oznaczało uśmiech. – Spodziewaliśmy się ciebie.

–To sprytne z waszej strony – rzekł Mallory. – Jakim cudem?

–Wydaje mi się, że umrzesz, zastanawiając się nad tym. Mallory ziewnął.

–Proszę wybaczyć. – To był stary wariant szachowej partii. Kłamstwa i uniki. – Złapałeś dwóch ludzi. Gdzie są?

Generał się rozluźnił. Mallory ujawnił słaby punkt. Okazał się sterowalny. Sztuczna ręka spoczęła na czerwonej skórze blatu biurka.

–Tam, gdzie i ty niebawem będziesz – rzekł. Dzwonek był o sześć cali. – Co chcesz osiągnąć?

Ten człowiek zawiśnie na strunie fortepianowej – syczał z wściekłością w myślach. Na rzeźnickim haku. Nie ma pojęcia o rozmiarach swojej bezczelności. Ale dowie się, kiedy życie będzie z niego uciekać z każdym kopnięciem nóg wiszących

w powietrzu, a cienka stal zagłębi się w tym cholernym nieostrożnym karku.

–Moje cele – powiedział Mallory. Lufa schmeissera poruszyła się jak język węża i trafiła generała w zdrową rękę nad łokciem.

Niemiec cofnął rękę. Ból był ohydny. Ramię miał na pewno złamane. Rwącym się szeptem, w męczarniach, wysyczał:

–Za to umrzesz.

–Święta racja – rzekł Mallory. – Gdzie są więźniowie?

Generał stał nieruchomo, podtrzymując zdrową rękę gumowymi palcami, by ulżyć ramieniu. Od czystki w SA w 1934 roku nikt tak z nim nie rozmawiał. Ból był straszliwy. Chciał krzyczeć, ale struny głosowe miał sparaliżowane. Chciał nacisnąć dzwonek, ale bał się, że druga ręka zostanie złamana. Kiedy wróci von Kratow, jego adiutant? Za godzinę. Powiedział mu, żeby go zostawił na godzinę.

Był sam, bezbronny pod spojrzeniem tych bezlitosnych piwnych oczu. I wiedział, z instynktowną pewnością człowieka bezlitosnego, że osobnik o tych oczach ma równie mało litości jak on sam.

W tym momencie go rozpoznał. Abwehra rozesłała nazwisko, rysopis, odbitki wycinków z przedwojennego londyńskiego "Timesa" i "Frankfurter Zeitung". Wycinki ze zdjęciami tej twarzy, tych bezlitosnych oczu utkwionych w następnym szczycie do zdobycia.

–Mallory – wyszeptał chrapliwie. – Mallory. – Odetchnął głęboko. – Wszyscy umrzecie. To nie będzie lekka śmierć.

Mallory poczuł, jak poci się z ulgi pod tym cuchnącym mundurem. Andrea i Miller wciąż żyli.

–Proszę zdjąć mundur.

Generał poczuł, że krew przestaje dopływać mu do mózgu. Wiedział o czynach tego człowieka. Więc wiedział, że jest w tarapatach.

–Nie – powiedział. A potem rzucił się do dzwonka.

Mallory widział go jak na zwolnionych obrotach. Powtórnie zamachnął się schmeisserem. Trafił generała w białą skroń. Bez-barwne oczy uciekły w głąb czaszki. Ciało zwiędło i opadło na turecki dywan. Z głośnym trzaskiem i chlupotem głowa wyrznięta o kamień przy brzegu dywanu. Generał znieruchomiał.

Mallory położył schmeissera na biurku. Zgasił papierosa w popielniczce, wyjął następnego ze srebrnego pudełka, zapalił i zaciągnął się głęboko. Podeszedł do drzwi i cicho zamknął wielką zasuwę. Potem przykląkł przy ciele i sprawdził puls na szyi.

Nie było pulsu.

Zaczął zdejmować mundur.

Zdjął buty, kurtkę, spodnie. Na chwilę przerwał. Brew uniosła się na nieruchomej twarzy. Mundur był większy niż ciało. Trup generała był biały, pozbawiony mięśni, tłuszczu, zaledwie sam szkielet. Pod czarnym mundurem mężczyzna nosił francuskie jedwabne reformy koloru kości słoniowej.

Mallory zsunął z siebie skafander, rozpiął bluzę. Przykrył generała zabrudzonym ubraniem i wdział jego mundur.

Był za duży na Niemca, ale na niego w sam raz... Mallory wspiął się na wieżę zamkową bez skarpetek i stracił całe kawałki skóry na stopach. Generał nosił czyste jedwabne skarpetki, które przyjemnie łagodziły otarcia; wypucowane do połysku oficerki były o numer za małe, co było już mniej przyjemne. Ale butom Mallory'ego brakowało elegancji obuwia generała, więc był skazany na wymianę.

Kiedy już się ubrał, przełożył zawartość kieszeni battiedres-su do kurtki mundurowej i spodni generała. Zauważył odbicie w oknie. Zobaczył wysokiego, chudego generała SS. Twarz z zapadniętymi policzkami ocieniał daszek zachodzącej na oczy czapki, uszkodzoną szyję ukrywał kołnierzyk koszuli. Jeśli nie wpadnie na kogoś dobrze znającego generała, da sobie radę. Oddział na Cabo de la Calavera to pośpiesznie zebrany zespół. Nie zna się dobrze nawzajem.

Oby!

Trzymaj się cieni.

Zdjął czapkę i zaczął krążyć po pokoju. Były tam drzwi do pomieszczenia, w którym na stole stała krótkofalówka.

Poszedł do łazienki. Umył ręce, twarz. Zmienił żyletkę w maszynie do golenia i ogolił się; generałowie SS nie chodzą

z jednodniowym zarostem. Podczas toalety zastanawiał się, dlaczego światła zapaliły się po ich wylądowaniu. Myślał o natychmiastowym złapaniu Andrei i Millera. I o tym, co powiedział generał: "spodziewaliśmy się was".

Startł z twarzy resztki piany i zdecydował, że bez względu na to, jak bardzo potrzebuje kamuflażu, nie jest w stanie użyć pachnącej fiołkami wody kolońskiej generała. W ciasnych butach, na sztywnych nogach wrócił do pomieszczenia łączności. Jensen zadbał, by jego ludzie umieli się posługiwać niemieckim sprzętem. Mallory włączył zasilanie i przesunął skalę strojeniową na zakres "Stella Maris".

–Id 1'Amiral Beaufort – powiedział.

Rozległy się trzaski. Potem słaby głos powiedział:

–Monsieur 1'Amiral. – Nawet mimo zakłóceń dało się rozpoznać głos Hugues'a.

–Kazałem założyć silne ładunki wybuchowe przy bramie głównej. Oczekuję posiłków od strony lądu – rzekł Mallory.

–O co... – zaczął Hugues. Mallory przełączył na nadawanie.

–Nie ruszaj się – rzekł. – Nie reaguj na żadne dalsze przekazy radiowe. Oczekuj przybycia głównych sił. Za godzinę. Potwierdź przyjęcie. – Podniósł kciuk z przełącznika.

Trzaski wypełniły słuchawki. Przez chwilę sądził, że Hugues nie odebrał rozkazu. Potem zdał sobie sprawę, że to milczenie jest oznaką mieszania.

Lub zdrady.

–Potwierdź przyjęcie – zażądał powtórnie.

–Potwierdzam – rzekł Hugues.

–Bez odbioru – powiedział Mallory i wyłączył radio. Kulejąc, wrócił do gabinetu. Bardzo cicho cofnął zasuwę w drzwiach, podszedł do biurka i wciągnął trupa za zasłonę. Zapalił kolejnego aromatycznego papierosa i odwrócił się twarzą do okna. Na dworze było ciemno. Czekał pięć minut. Nagle po jego lewej ręce noc zamieniła się w dzień, jakby włączono wiele świateł. Mallory przycisnął dzwonek. Drzwi za nim otworzyły się.

–Herr General?

Mallory widział w pokrytej deszczem szybie odbicie młodego oficera SS. Był tak wyprężony, że prawie dygotał. Patrzył przed siebie. Nie był w stanie dojrzeć odbicia Mallory'ego. Ten ostatni stał zbyt blisko szyby. I oczywiście oficer był Niemcem, więc zwracał uwagę na mundur, nie na twarz.

Przynajmniej taka była teoria, którą Mallory podpierał swoim życiem. I Andrei, i Millera.

Miał nadzieję, że udanie naśladuje chrapliwy skrzek generała:

–Wygląda na to, że są kłopoty przy bramie. Światła się palą. Co się dzieje?

–Doniesienia mówią o działaniach nieprzyjaciela.

–Czyje doniesienia?

–Wywiadu.

–Sprawdź to. Osobiście. Wracaj dopiero, kiedy się dowiesz, jakiego rodzaju są te działania, i" je zneutralizujesz. Weź wszystkich ludzi, jakich masz do dyspozycji. Cały garnizon, jeśli konieczne.

–Ale, Hen General, administracja... wyruszamy o świcie... Mallory'emu wydało się, że serce staje mu w piersi.

–Kiedy?

–O świcie – powtórzył zaniepokojony esesman. – Hen General pamięta... to Hen General wydał rozkaz...

–Kiedy o świcie, idioto – warknął Mallory.

–Oczywiście. – Esesman chyba tracił głowę. – Proszę o wybaczenie. Piąta zero zero, Hen General.

–Więc ogłoś powszechny alarm. I ruszaj do bramy.

–Ale, Hen General...

–Ze wszystkimi żołnierzami, jakich uda ci się zebrać.

–Ale prace...

–Milczeć! – szczerknął Mallory. – Zostawisz tylko warty i jednego człowieka. Muszę odpytać więźniów. Będę potrzebował eskorty. Reszta do bramy. Jesteś osobiście odpowiedzialny.

–Ale...

–Wyjdiesz na deszcz i stawisz czoło wrogowi! Na Ost-front są gorsze rzeczy niż deszcz! Usłyszał trzask obcasów.

–fawohl, Hen General – powiedział oficer ściśniętym, obrażonym głosem. Nie widział nic poza mundurem.

.– Za pięć minut przysłać eskortę – rozkazał Mallory. – Odmaszerować!

Obcasy strzeliły po raz drugi. Drzwi zamknęły się z hukiem. Rozbrzęczały się dzwonki alarmowe – przeraźliwie, nakazujące. Mallory odwrócił się, zdusił papierosa, zapalił następnego.

Piąta zero zero. U-Booty wypływają siedem godzin wcześniej. A operacja "Sztorm" nawet się nie zaczęła.

Z korytarza dobiegł tupot wielu butów; sztab generała truchtał do bramy, nieprzytomnie wystraszony wizją rosyjskiego frontu. Kroki ucichły. Dwukrotnie zastukano do drzwi. Mallory odwrócił się od okna:

–Komm! – krzyknął. Zdenerwowany głos powiedział:

–Hen General!

–Złożymy wizytę więźniom – oświadczył Mallory. – Prowadź.

–Prowadzić?

–Prowadź – zacharczał Mallory. – Ja za tobą. W tył zwrot!

Żołnierz zrobił w tył zwrot. Mallory skrzyżował ręce za plecami i kulejąc, wyszedł z za biurka.

Na korytarzu ściągnął podbródek do kołnierzyka koszuli i maszerował sztywno za szeregowcem. Każdy obserwujący ujrzałby generała, jak w czapce nasuniętej na czoło, głęboko zamyślony, odbywa inspekcję. Ale mogli go obserwować tylko urzędnicy. Dzwonek alarmu wypędził garnizon na miejsca zbiórek, a stamtąd wrzeszczący feldfeble pognali żołnierzy na wały obronne półwyspu.

Stukot butów żołnierza odbijał się od sklepienia. Podeszwy miażdżyły żwir na kamiennych schodach. Ból w stopach i ciele Mallory'ego był małą, odległą niedogodnością.

"Stella Maris" otrzymała fałszywą informację. W ciągu pięciu minut tę informację przekazano garnizonowi.

Ktoś na "Stella Maris" był zdrajcą.

**Lisette znalazła się poza granicami Francji, daleko od długiego ramienia gestapo.
Hugues miał ukochaną i dziecko przy**

sobie; jeśli by zdradził grupę ze "Stella Maris", Lisette zostałaby mu odebrana i prawdopodobnie zabita. Pozostawał więc *Jai-me*: Jaime, śniady i milczący, przemytnik, znawca tajemnych przejść i dróg na skróty.

Chociaż w tej chwili nie miało to znaczenia.

Żołnierz przystanął z tupotem.

–Herr General!

Byli w długim korytarzu, na który wychodziły stalowe drzwi. Białe światło ostro biło z sufitu. Panował zapach wilgoci i pleśni. Wartownik stojący sztywno na baczność przy najbliższych drzwiach zakaszał.

–Klucz – rozkazał Mallory. Wartownik nadal kaszłał.

–Klucz' – zacharczał Mallory, wyciągając dłoń.

–Hen General – powiedział wartownik i zaczął grzebać przy pasie. Spojrzał na dłoń Mallory'ego.

I skóra Mallory'ego nagle zamieniła się w lód.

Albowiem wartownik wytrzeszczał zdumione oczy na wyciągniętą dłoń. Prawą dłoń. Na ciało, w którym pulsowała żywa krew.

Dłoń, która u prawdziwego generała była gumową protezą z różowej gumy.

–Herr General – rzekł wartownik. Po jego twarzy było widać, że jest na granicy nerwowego załamania. – To jest... ty nie jesteś generałem.

–Klucz! – charczał Mallory.

Ale spod daszka czapki ujrzał, że ręce żołnierza chwytają za *schmeissera*.

Cela się nie zmieniła. Była zimna, śmierdziała, nadal było ciemno, absolutnie czarno jak to w otworze wyciosanym w skale. Północ w cholernym lochu – pomyślał Mallory. Duchy chodzą, a wiedźmy robią to, co wiedźmom, do diabła, wypada robić, kiedy pada deszcz. Jeśli chodzi o Millera, duchy i wiedźmy mogły wyczyniać, co się im żywnie podobało. W tej chwili północ to był akurat tylko dobry moment na papierosa.

Poczęstował Andreę, drugiego wsadził do ust i zapalił kole-

dze i sobie. Gorące węgielki zapłonęły w ciemności i przez chwilę były ciepłymi punktami w tym zimnym, cuchnącym wszechświecie.

Ale papierosy się wypalają. A gdy się skończyły, było znowu zimniej, bardziej samotnie i co najgorsze ze wszystkiego -ciszej.

Po jakimś czasie – wydawało się, że po dwóch godzinach -Andrea spytał:

–Która godzina?

Andrea na pewno myślał o operacji. Miller też o niej myślał. Chciałby już mieć ją z głowy. Minimalna szansa. Popatrzył na fosforyzowane wskazówki.

–Pięc po dwunastej – powiedział.

–Już za chwilę! – zahuczał Andrea.

I chociaż Miller wiedział, że to chrzaniecie na potęgę, przygotował się, że za chwilę coś może się wydarzyć.

Ale nic się nie wydarzyło.

W każdym razie nie przez pół minuty. Po tym czasie ciszę przerwał dziwny hałas.

Przypominał wiertarkę udarową. To nie była wiertarka.

Ktoś strzelał z automatu tuż przy drzwiach celi.

Otworzyły się z rozmachem. Brylantowo jasne światło eksplodowało w ciemności. Na jego tle stała lekka sylwetka o kanciastych kształtach. Andrea wpatrywał się w nią oszołomiony. Z monochromatycznego zamazanego obrazu wynurzyła się kanciasta postać na rozstawionych nogach, w wysokich butach, z rękoma wspartymi na biodrach i twarzą niewidoczną pod czarną czapką, której denko było wysoko zagięte z przodu. To była postać, która prześladowała Andreę w snach: czarna jak rdza sylwetka stojąca na tle słońca na niskim greckim wzgórzu, a błękitne Morze Egejskie połyskiwało jak szafiry pod czystym niebem.

U stóp wzgórza był dom brata Andrei, Iannisa. To był mały dom, winorośla wspinały się po niewielkim tarasie wyłożonym czerwonymi płytkami. Owiewała go morska bryza zmieszana z wonią tymianku.

Zanim Andrea tam dotarł, nieszczęście już się stało. Jego brat był podejrzany o działalność partyzancką i znaleziono u niego brytyjską broń. W przyjemnym zielonym cieniu winorośli generał nalał sobie do kieliszka retsiny Iannisa. Potem przysiadł elegancko na murku, skrzyżował nogi w wysokich butach i oglądał przedstawienie.

Program przedstawienia zakładał, że należy rozpać ognisko z węgla drzewnego, na którym rodzina od czasu do czasu przyrządzała posiłek na świeżym powietrzu. Wtedy trzech chorwackich esesmanów wyprowadziło z domu trzy córki Iannisa – sześciolletnią Athenę, ósmiolletnią Eirenę i dziewięcioletnią Helenę. W żarze spalili dziewczynkom ręce. Kiedy żona Iannisa zaczęła krzyczeć, generał rozkazał powiesić ją na oczach męża i ciągle żywych dzieci. Iannisa zostawili żywego;

przybili mu gwoździami ręce do drzwi domu, żeby nie wydarł sobie oczu, które widziały to wszystko, i nie wyszarpał sobie serca, które zostało złamane.

Dopiero kiedy powieszono dzieci obok matki, Iannisiowi udało się oderwać ręce i uciec, uciec jak szaleńcowi, oślepijonemu łzami, na brzeg białego klifu; biegł dalej, chociaż jego stopy nie dotykały już ziemi, ale biegł w powietrzu i spadał w dół błyszczącej ściany klifu, spadał szczęśliwy, bo znowu miał ujrzeć dzieci, żonę, rodziców zamordowanych przez Bułgarów...

Pięć minut później zjawił się Andrea; powoli, ubrany w słomkowy kapelusz, prowadząc osła dźwigającego kosze, w których była broń. Andrea stał przez chwilę i patrzył oczami bez wyrazu. Ujrzał kobietę i trójkę dzieci zwisających z winorośli, w których cieniu dawniej popijali wieczorem ouzo. Ujrzał ubranych na czarno esesmanów, tłuste, purpurowe, roześmiane mordy spływające w słońcu potem. Płomienie zaczęły strzelać z dachu domu. Widział sylwetkę generała stojącego na brzegu klifu, podziwiającego z daleka ruinę, uśmiechającego się błogo do ametystowego błysku słońca w kieliszku retsiny. Czuł zapach spalonego ludzkiego ciała.

Potem Andrea nic nie widział.

Gdy znowu przejrzał na oczy, u jego stóp leżało pięciu martwych esesmanów. Rzucił trupy świniom Iannisa. Genera-

łowi przestrelał kolana i wrzucił go do wygodki, żeby utonął. Później dowiedział się od ludzi z wioski, że trwało to trzy dni. Chociaż nie był tym zainteresowany. Albowiem Andrea nie czekał. Zebrał ciała brata, szwagierki i bratanic i zaniósł księdzu, by je pochował. Potem odszedł walczyć za swoją ojczyznę na innych frontach.

Andrea nie lubił oficerów SS.

Z pomrukiem zebrał się do skoku, rozprostował gigantyczne dłonie.

Generał SS rzucił tureckiego papierosa, którego palił, i z przesadną starannością przydeptał niedopałek czubkiem buta.

–Jak już tak bardzo się wam tu nie podoba, to chyba powinniśmy się wynieść –

powiedział głosem Mallory'ego.

Przez chwilę panowała pełna zdumienia cisza, przerywana tylko jękami dobiegającymi z korytarza. Wreszcie Miller powiedział:

–Osobiście uważam, że jest tu trochę za wilgotno. Oczy Andrei były czeluściami mroku. Przesuwały się z Mallory'ego na Millera i z powrotem. Po chwili pokazał w uśmiechu zęby. Ten uśmiech był jak słońce między chmurami.

–Powinieneś uważać na to, w co się ubierasz – rzekł. – Możesz złapać coś niemiłego. Na przykład nóż w brzuchu.

–Prawdę mówiąc, właściciel nie był w kwitnącym stanie, kiedy go opuszczałem – powiedział Mallory. W korytarzu leżały dwa ciała.

–Weźcie ich ubrania i książeczki żołądu – polecił Mallory. Andrea zaciągnął trupy do celi i zamknął drzwi.

–A teraz? – spytał. Mallory spojrzał na Millera.

–Czego ci potrzeba? – zapytał.

Miller tak naprawdę potrzebował odzyskać swoje materiały wybuchowe. Ale nie było sensu płakać nad roztrwonionym heksogenem.

–Czegokolwiek – rzekł. – Ci faceci będą targać torpedy. Z torpedą można mieć bardzo niemiły wypadek. Chciałbym zajrzeć do magazynu.

Andrea z powagą pokiwał głową. Podczas tygodni znajomości z Millerem nauczył się traktować bardzo poważnie tego nonszalancko pytlującego Amerykanina.

–Odnoszę wrażenie, że na zewnątrz może zapanować lekkie zamieszanie – powiedział Mallory. – Więc im prędzej się przebierzecie; tym lepiej.

Pięć minut później generał SS opuścił forteleza główną bramą, eskortowany przez dwóch żołnierzy w niechlujnych mundurach Waffen SS, jednego wysokiego i barczystego, drugiego wysokiego i chudego. Maszerowali, patrząc prosto przed siebie. Mieli schmeissery na piersiach. Warta przy bramie zasalutowała. Generał odpowiedział na salut lewą ręką; prawa, jako że sztuczna, spoczywała sztywno u boku.

Gdy minęli most nad fosą, skierowali się w prawo, w dół długiego szeregu niskich stopni. Prowadziły do czegoś w rodzaju leja na ramieniu wyniosłego przyładka. W środku leja był przysadzisty stalowy schron, otoczony drutem kolczastym.

Powoli, statecznie, Mallory i jego eskorta zeszli schodami. W okolicy kręciło się niewielu ludzi. Palniki spawalnicze przy porcie nadal słały w niebo błyskawice, młoty pneumatyczne nadal terkotały w ciemnościach. Gdzieś dudnił silnik ciężarówki. Trwała ewakuacja. Ale wyglądało na to, że zasadnicze siły garnizonu nadal stoją przy bramie głównej.

Lecz nie będą stać tam wiecznie. Wcześniej czy później ktoś zdecyduje, że informacje o zagrożeniu mogą być fałszywe i że nie jest zbyt rozsądnie zostawić resztę Cabo bez osłony. Nastąpi to w najlepszym razie za kwadrans.

Zbliżali się do bramy schronu. Z bliska widać było, że jest to nie tyle schron, co ufortyfikowane wejście, stalowe drzwi za systemem betonowych zapór broniących dostępu do niskiego wzgórza, przypominającego kopiec. Okrywała go darń zniszczona morską wodą. Wejście do magazynu.

Żołnierz przy bramie spozierał prosto przed siebie.

–Przepustka? – zapytał.

–Otworzyć bramę – polecił mu Mallory chrapliwym szeptem generała.

–Ale, Hen General...

–O tej porze roku pogoda w Rosji jest straszna – rzekł Mallory.

W świetle reflektorów twarz żołnierza zbladła.

–Herr General?

–Być może, jak się tam znajdziesz, przyślesz mi widokówkę – zachrypiał Mallory. – A teraz może będziesz tak uprzejmy i otworzysz bramę?

Wewnętrzna walka trwała ułamek sekundy. Potem wartownik odciągnął na bok bramę w drucie kolczastym i Mallory przeszedł, kulejąc, drobnym kroczkiem. Wartownik musiał włączyć jakiś przycisk, bo stalowe drzwi otworzyły się z sykiem hydrauliki. Mallory i jego eskorta weszli bez zatrzymywania się. Stalowe drzwi zasunęły się za nimi. Przed sobą mieli stalowe kręcone schody. W ich środku była winda transportująca amunicję dla dział fortu. Mallory spojrzał na twarze towarzyszy. Były blade i bez wyrazu, ale do zmęczenia doszło napięcie. Spowodowało je zamknięcie tych stalowych drzwi.

Znaleźli się teraz w środku. Nie było worków z piaskiem, za którymi można by się skryć, nie było ciemności, w której można by przemknąć. Ich jedyną osłoną przed pięciuset żołnierzami nieprzyjaciela był cienki materiał mundurów i kształt noszonych oznak. Byli małymi, kruchymi maszynami z ciała i krwi, uzbrojonymi w skromną broń. Tą skromną bronią i gołymi rękoma mieli zniszczyć wielkie maszyny ze stali. To było wstrętne uczucie;

uczucie, że jest się nagim. Uczucie z sennego koszmaru.

Ale było realne. I od tej pory tak miało być.

U dołu tych schodów są narzędzia do wykonania zadania -powiedział sobie Mallory. Postawić Millera w pobliżu materiałów wybuchowych, a gołymi rękami rozwali całą armię. Wszystko będzie znakomicie.

Poza moimi stopami – pomyślał Mallory, kulejąc dalej. Miał wrażenie, że jego stopy nigdy nie wrócą do poprzedniego kształtu.

Szyb ze schodami opadał we wnętrzości wzgórza. Pociski artyleryjskie można było transportować windą. Ale torpedy były wielkie, ciężkie i musiały podróżować w pozycji horyzontalnej. Podłoga magazynu będzie na tym samym poziomie co keja.

Miller tupał po schodach z nadzieją, że udaje mu się przekonująco naśladować tupanie Wehrmachtu. Utrzymywanie wojskowej postawy sporo go kosztowało. Miller był bojowym mężczyzną, ale pierwszy przyznałby, że żołnierz z niego marny. Kiedy mijali ostatni zakręt schodów, poczuł miły dreszcz. Po raz kolejny będzie można błysnąć improwizacją.

U podstawy schodów były ognioodporne drzwi. Miller pchnął je i znaleźli się w

magazynie.

To był wielki magazyn. Rozciągał się przed nimi, oświetlony ostrym światłem zza białych kloszy przykręconych do ścian, był jak piwniczka winna samego czarta: szare betonowe przegrody, skrzynie na pociski, nawy na wózki wożące torpedy na keje, przy których czekały okręty podwodne, czarne i złe, przyczajone w zimnym Atlantyku.

Mallory spojrział na zegarek. Była trzecia pięćdziesiąt pięć.

Chryste!

Minęli drzwi i spojrzeli w dół chodnika z gołego betonu, który był centralnym przejściem magazynu. Tu mieli znaleźć środki do zatopienia trzech okrętów podwodnych, ostatniego środka obrony faszystów przeciwko inwazji aliantów.

Ale był pewien szkopuł.

Betonowe nawy i pomieszczenia magazynu zawierały tylko kilka skrzyń. Wózki do przewożenia pocisków czekały na szynach, a stojaki na torpedy, całe pięć setek, stały wyłożone filcem. Ale skrzynie były pootwierane, wózki bez ładunku, a stojaki na torpedy puste. Brygada pracowników rozkładała elektryczny silnik.

Ale poza nią w magazynie nie było nikogo.

Mallory, Andrea i Miller stali i ogarniali wzrokiem sytuację. Zadanie czekało. Narzędzi brakowało.

Po długiej chwili Mallory skierował się do szyn, którymi torpedy pojechały na keję.

"Stella Maris" stała poza gęstwiną łodzi rybackich, przy murze kei San Eusebio. Szczekanie żółtych psów z postrzępionymi ogonami, wałęsających się wśród ruin domów, mogło doprowadzić do szaleństwa. Hugues i Lisette byli pod pokła-

dem. Jaime stał oparty o resztki sterówki i palił papierosa. Radio u jego boku szumiało łagodnie. Nie było żadnych przekazów. Ale Jaime wcale ich nie oczekiwał.

W głębi czarnych wód portu baraki i keje starej przetwórnicy sardynek na Cabo de la Calavera, gdzie wcześniej iskrzyły szlifierki i błyskały spawalnice, były prawie ciemne. Wyglądało na to, że prace zakończono. Od czasu do czasu światło odbijało się od huśtającego się wysięgnika żurawia. Załadunek – pomyślał Jaime. Już niedługo.

W porcie też coś się działo: mrucały szalupy i lichtugi wyruszające do dwóch handlowych pięciotysięczników, kotwiczących na głębokich wodach, pół mili od

brzegu. Zbierają się do wypłynięcia. I kto wie, gdzie to wszystko dopłynie?

–Wolno – powiedział Mallory. – Pracujecie bardzo wolno. Szybciej!

Porucznika odpowiedzialnego za załadunek zapasów magazynowych ogarnął gorący gniew na tę niesprawiedliwość. Ale nikomu jeszcze nie pomogło gniewanie się na generała SS. Więc strzelił obcasami, skłonił głowę i rzekł:

–Jak Herr General uważa.

–Herr General tak uważa – powiedział Mallory. – A teraz chciałbym przeprowadzić inspekcję magazynu.

–Herr General...? Mallory zmarszczył brwi.

–Rozumiesz chyba po niemiecku, co?

–Herr General! – Porucznik dopiero co został zrugany za powolność. Poprowadzenie inspekcji jakiemuś cholernemu faszycie z trupa główką na czapce niczego nie przyspieszy. Ale generał to generał.

–Tu były pociski – wyjaśnił porucznik. – Zgodnie z pańskimi rozkazami wszystkie przewieziono. Tu były torpedy. One też naturalnie zostały przetransportowane.

Machnął ręką w kierunku tunelu wiodącego do kei i podszedł do kolejnego pomieszczenia zastawionego pustymi stelażami. Na podłodze piętrzyły się szare skrzynki.

–A tu pociski mniejszego kalibru. Granaty Pociski do

moździerzy. Ostatni ładunek zostanie wysłany, kiedy wróci barka. – Znow trzasnął obcasami, przycisnąwszy kciuki do szwów spodni. – Mam nadzieję, że Herr General jest zadowolony.

Mallory ocenił wzrokiem trzy drewniane skrzynki wskazane przez porucznika.

–Całkiem zadowolony – rzekł. Rozejrzał się. W zasięgu wzroku nie było nikogo. – Andrea?

Potężny Grek zrobił krok w przód i huknął obcasami o beton. Ramiona poszły do przodu. Rozległ się odgłos, jaki wydaje topór, uderzając o pień. Niemiecki oficer westchnął i padł.

–Ukryj go – polecił Mallory. – Miller, skrzynki z granatami. Miller położył jedną skrzynkę na drugiej. Dziesięć sztuk granatów w każdej. Z boku linowe uchwyty.

–Pójdziemy na keję – rzekł Mallory. Jego twarz miała kolor brudnej kości słoniowej.

Wyczerpanie – pomyślał Miller.

Mallory pogrzebał w kieszeni. W małej staniolowej torebce były trzy pastylki benzydryny. Rozdał każdemu po jednej. Benzydryna szkodzi – pomyślał Miller, schylając się po skrzynki. Ale to samo można powiedzieć o włożeniu na pokład U-Boota z zamiarem wysadzenia go.

Miller dawno nie miał nic w ustach. Pastylka szybko zaczęła działać. Miller czuł powracające siły. Po tych pigułkach brak śliny w ustach i pocisz się – pomyślał. Strasznie się potem czujesz.

Tyle że, zważywszy na okoliczności, "potem" to był mały powód do zmartwienia.

Miller wybuchnął śmiechem i skierował się za dwoma towarzyszami zmierzającymi do gardła tunelu.

Środa Godz. 04.00-05.00

Tunel miał pięćdziesiąt jardów długości, był oświetlony tymi samymi białymi ściennymi kloszami jak cały Cabo. Po obu bokach biegły szyny dla wózków torpedowych. Środkiem szedł pomost. Wielu ludzi szybkim krokiem przemierzało tunel w obie strony. Na widok munduru Mallory'ego uciekali wzrokiem. Gość był powszechnie lubiany – pomyślał z ironią Miller.

Trzej mężczyźni ruszyli pomostem; echo ich kroków biło o sufit. Przeszli

dwadzieścia jardów, gdy z tyłu rozległo się:

–Stać!

Serce ciężko uderzyło Mallory'emu w piersi. Przycisnął prawą, aż nazbyt żywą rękę do kurtki. Ręce Andrei ścisnęły schmeissera. Dłonie Millera ślizgały się spocone na uchwytach skrzynek z granatami. Mallory wykręcił się na pięcie. Te buty przyprawiły go o mękę.

Patrzył na niskiego, łysiego człowieczka w okularach bez oprawek. Człowieczek miał zaciśnięte usta i wprost wylewał się z pozbawionego oznak munduru. Trzymał księgę.

–Was? – rzekł Mallory.

Wyglądało na to, że człowieczek nie jest wcale onieśmielony trupią główką na czapce, czarnym mundurem, chrapliwym, skrzeczącym głosem. Zasznurował usta.

–Konieczne jest wypisanie stosownych formularzy – rzekł. – Z racji odebrania tej broni z magazynu. Inaczej zrobi się nieporządek.

–Jesteś magazynierem – powiedział Mallory.

–Jawohi.

–Znakomicie, kapralu – rzekł Mallory. – Dajcie mi waszą księgę. Podpiszę.

Magazynier cmoknął.

–Sam podpis nie wystarczy. Konieczny jest stosowny formularz podpisany przez oficera dyżurnego garnizonu.

–Wiesz, kim jestem? – spytał Mallory głosem, w którym słychać było miażdżone szkło.

Magazynier zwilżył wąskie wargi szarym językiem.

–Tak jest, Herr General. Jest pan komendantem garnizonu, Herr General.

–A kto podpisuje zamówienia?

–Oficer dyżurny.

–Na czyj rozkaz?

–Na pański rozkaz, Herr General.

–Właśnie!

–Obowiązują mnie rozkazy. Oficer dyżurny musi podpisać zamówienie.

Mallory spojrział na zegarek. Było pięć po czwartej. Okręty podwodne miały wypłynąć za pięćdziesiąt pięć minut.

Te pięćdziesiąt pięć minut może zająć kłótnia z magazynierem. Jedyna rzecz potężniejsza od munduru to porządek.

–Kapralu, wyrażam wam moje uznanie za obowiązkowość – rzekł. – Oficer dyżurny jest na kei. Zechcecie się tam ze mną udać.

–Ale...

–Schnell! – warknął Mallory głosem nie dopuszczającym sprzeciwu.

Uznał, że magazynier to dar od Boga. Mały, w okularach bez oprawek, nadęty oficjalnością, niemniej jednak dar od Boga.

–Prowadźcie, kapralu – zamruczał chrapliwie Mallory.

Magazynier ruszył.

Mur zagraadzał wylot tunelu. Z jednej strony był otwór

dla wózków torpedowych. Po drugiej – jakby bramka w pomoście dla pieszych. Przy bramce stał rodzaj budki wartowniczej, a w niej dwie postaci jak wycięte z czarnego papieru: SS.

Mallory kątem oka ujrzał, że dłonie Andrei zaciskają się na uchwytach schmeissera. Sam chciałby teraz mieć automat. Ale miał ługera i insygnia na mundurze. To powinno wystarczyć...» Tyle że twarz nad mundurem to nie była właściwa twarz.

Naciągnął czapkę na oczy.

Zadźwięczały obcasy. Esesmani w budce mieli puste twarze koloru brudnego łoju. Ich mundury były zrudziałe, pasy porysowane, wysokie buty pomarszczone, zniszczone solą. Oczy zimne, złe i niespokojne. Kiedy spoczęły na mundurze Mallory'ego, coś nastąpiło, coś odbiegającego od reakcji innych żołnierzy na widok tego oficerskiego stroju. To był wzrok wyrażający uległość i dumę. Duch koleżeństwa – pomyślał Mallory. Mój Boże...

Na Cabo de la Calavera było pięćdziesięciu esesmanów; elita pilnująca interesów Himmlera. Wszyscy dobrze znali się nawzajem.

Lecz jedyna droga na keję prowadziła przez tę czarną od nocy bramkę przy budce wartowniczej.

–Bacność! – krzyknął Mallory.

Twarze esesmanów stały się martwe, bez wyrazu. Mundur generała robił swoje. Mallory, Miller, Andrea i magazynier szli dalej. Beton zgrzytał pod butami. Magazynier wyglądał na zadowolonego z siebie, był dumny, że jest częścią czegoś ważnego i oficjalnego. Mallory czuł wobec niego głęboką wdzięczność. Magazynier zapewniał wiarygodność. Esesmani go znali.

Byli teraz blisko – o dziesięć stóp. Mallory szedł, trzymając niby sztuczną rękę na piersi, z pochyloną głową, jakby pogrążony głęboko w myślach. Z bramki dochodziły zapachy morza, dojmujący chłód, ołowiana woń magazynu. Zapach końcowej rozgrywki.

Spojrzenia kierowały się teraz na niego, rzucane przynajmniej kątem oka. Mallory ukradkiem dostrzegał białą skórę,

szerokie pory, niżej piwne zwężone oczy wyrażające arogancję i okrucieństwo. Czuł woń munduru, kwaśny odór przemokniętej i źle wysuszonej serży oraz skóry butów, na których pasta przegrywała bitwę z pleśnią. Czuł zapach oliwy na schmeisse-rach, woń tytoniu i czosnku w oddechach.

Byli już za wartownikami i Mallory się poccił...

–Herr Generał? – rzekł twardy, zimny głos. Trochę prosząco. To był głos jednego z ubranych na czarno wartowników. Mallory zrobił następny krok.

–Herr General raczy się zatrzymać – rzekł głos.

–Spokój – zamruczał po angielsku Mallory i powiedział, naśladowując charkot zniszczonej tchawicy generała: – O co chodzi?

–Czy Herr General zechciałby okazać przepustkę? Mallory chrząknął cicho, z rozdrażnieniem.

–Magazynier! – powiedział. – Okazać przepustkę. Twarz magazyniera była różowa i świecąca. Pogrzebał w kieszeni.

–Szybko! – zacharczał Mallory. – Szkoda czasu. Wzrok esesmana przemknął po przepustce magazyniera. Oddał ją właścicielowi.

–A teraz pańska przepustka, Hen General – rzekł. Coś jakby odcięło dół brzucha Mallory'ego. W głosie wartownika był lodowaty pomruk, pomruk kota, który szykuje

się wbić pazur w szczura.

Miller odłożył skrzynkę z granatami. Dłonie na uchwytach schmeissera miał mokre. Przesunął broń niedbale, opieszale, aż celowała w strażnika, który się nie odzywał. Ten, który mówił, miał dziwny wyraz twarzy. Miller rozumiał jego uczucia.

To był wyraz twarzy kogoś, kto dobrze zna generała, ale przywykł reagować na mundury, nie na twarze. Miller wiedział, że zaraz wydarzy się coś złego. Esesman oblizał wargi szarym językiem i zwrócił się do Mallory'ego:

–Herr General, jak Herr General się nazywa? – Wsunął prawą dłoń pod biurko. Tam był przycisk alarmu.

Miller kciukiem zmienił przełącznik schmeissera na ogień pojedynczy. Zauważył, że Andrea nie trzyma ręk na broni, lecz rozłożył je szeroko w geście rozpaczy i rzekł:

–Na litość boską, co ty sobie wyobrażasz? Że do kogo mówisz?

Wartownik otworzył usta do odpowiedzi. Ale nigdy nie miał już wypowiedzieć ani słowa, bo ręce Andrei nie wyrażały już rozpacz, wielka dłoń uderzyła podstawą w nos esesmana, wbiła kość do mózgu, podczas gdy druga dłoń, lewa, wyciągnęła nóż, który wszedł w ciało drugiego wartownika i wyszedł z niego dwukrotnie. Dwa hełmy zadźwięczały o beton.

Zapanowała długa, straszna cisza, trwająca może sekundę. Potem coś przemknęło obok Millera. Magazynier.

Amerykanin podłożył mu nogę. Człowieczek jak długi padł na twarz. Okulary szurnęły w kąt po betonie. Odwrócił do Mallory'ego twarz przypominającą mordkę ślepego kreta.

–Błagam...

Miller spojrzał na niego. To nie był esesman. Ten człowiek był równie nikczemny jak kontroler biletów na stacji Grand Central.

Ale ten człowiek mógł uziemić całą operację.

Miller odwrócił wzrok.

Rozległ się odgłos, jaki wydaje dobrze trafiona piłka baseballowa. Gdy Miller znowu spojrzał, magazynier leżał cichy, twarzą w dół, ale oddychał.

Andrea z westchnieniem obejrzał długą lufę swojego schmeissera.

–Myślałem, że ją zgiałem – powiedział.

Zaciągnęli magazyniera i esesmanów za biurko wartowni. Magazynier nadal oddychał.

Weszli na keję.

Stali w miejscu, które nieżyjący Guy Jamalartegui wskazał na swoim planie, nakreślonym zapalką na plamie wina obok prawdziwej mapy. Odtąd szły keje.

Baskijczyk – Amerykanin, który wzniosł port w darze dla swoich łowiących sardynki ziomek – nie poskąpił dolarów. Keję wzniesiono z bloków ciętego granitu. Jej rozmiary wzbu-

dziłyby szacunek i zazdrość faraona. Wejście do magazynu osadzono w niskim urwisku w połowie długiego boku kei wewnętrznej. Trzy następne biegły równoległe do pierwszej. W nawierzchnię wpuszczono szyny, zapewne planowane pod wagoniki z sardynkami, które najpierw miano puszkujeć w długich budynkach u podstawy kei, a następnie dostarczać europejskim wielbicielom sardynek na grzance.

Teraz czarne pasma wody między granitowymi palcami kei nie kołysały łodzi rybackich, pewnie zresztą nigdy nie miały ku temu okazji. Za to pod żurawiami leżały długie, smukłe kadłuby i sterczały dziwne opływowe kioski trzech wielkich U-Bootów.

Obok przeszło trzech mężczyzn, paląc papierosy i rozpryskując kałuże, które zostawił nocny deszcz. Mieli na sobie workowate kombinezony, a ich miny wyrażały uczucia, jakimi stoczniowcy całego świata darzyli obcych – do diabła z tobą. Nie zwracali uwagi na Mallory'ego i jego eskortę. Oni mieli już fajrant. Na najbliższym okręcie podwodnym – zapewne tym, który uległ staranowaniu – mała brygada pakowała palniki i szlifierki. Na następne ładowano dźwigami zapasy. Mallory przyglądał się palecie z warzywami i puszkami mleka. To były zapasy świeżej żywności.

Kolejni stoczniowcy w niebieskich kombinezonach szli w górę kei. Stał tam budynek zwrócony fasadą z zielonego szalunku do tunelu w urwisku. Dolatywał z niego zapach smażonej cebuli. Kantyna – pomyślał Mallory. Idący do niej robotnicy nieśli skrzynki narzędziowe, a wracający oprócz skrzynek dźwigali torby i tobołki. Poszli do kantyny na ostatni posiłek i po rzeczy. W głębi portu w blasku przedświt warkotały silniki szalup. Wiozły stoczniowców na frachtowce czekające na kotwicowisku. Urugwajskie znaki trzepotały na drzewcach bander.

Mallory czekał na przejście następnej pary robotników. Wyraźnie omijali jego wzrok, tak jak każdy cywil technik jakiegokolwiek narodowości omija spojrzenie mordercy i kata. Nadeszła kolejna para. Jeden ze stoczniowców był wielki, potężny jak Andrea.

To było to, na co czekał Mallory.

-Ty i ty – powiedział.

Mężczyźni popatrzyli na niego jak uczniacy mający stałe poczucie winy. Jeden rzucił niedopałek i przygasił go butem. Olbrzym trzymał nie zapalonego papierosa w ustach.

–Nie bójcie się – zaskrzeczał Mallory. – Nie popełniliście żadnej zbrodni.

Nadal patrzyli tępo.

–Palcie, jeśli macie ochotę – zezwolił Mallory. Kolejny ro-bo.tnik szedł w ich kierunku. Był sam. Mallory wyjął zapalniczkę generała i zapalił ją lewą ręką. – Jest robótka. Hej ty!

Samotnie idący człowiek przystanął. Mallory wskazał na tunel magazynowy:

–Komm!

Wszedł do tunelu. Po szarym blasku przedświtów sztuczne światła były bardzo jaskrawe. Robotnicy ziewali i byli posępni. Mieli za sobą długą nocną zmianę i chcieli zjeść, wejść na pokład handlowców i się przespać. Nie uśmiechały im się żadne robótki, szczególnie dla – jak się szeptało – mordercy dzieci i dla jego eskorty, której źle z oczu patrzyło.

–No i o co chodzi? – spytał olbrzym.

–Dalej – rzekł generał S S.

Weszli do tunelu magazynu. W ścianie było wiele stalowych drzwi. W powietrzu unosiła się świeża woń krwi. Generał wskazał na jedno z drzwi.

–Do środka – powiedział. Olbrzym odwrócił się.

–Po co? – zapytał.

Wtedy zobaczył broń eskorty, patrzącą mu między oczy zabójczymi czarnymi ślepkami.

–Zdejmujcie ubrania – rozkazał Mallory.

Olbrzym to był prawdziwy zbir. Do tego zmęczony, skacowany i głodny. Rozkaz podzielał na niego jak cegła ciśnięta w gniazdo os. Nikt nie będzie mu wyjeżdżał z taką gadką, choćby generał SS. I podobno ciota.

–Sam je sobie zdejmij – rzekł i wymierzył cios w generalską szczękę.

Nie miał nawet okazji zobaczyć, co go trafiło. Miał tylko niewyraźne wrażenie, że ktoś wsadził mu głowę w działo, trafił

nią w płytę pancerną i rzucił to, co zostało, na aksamitną poduszkę.

Jego dwaj koledzy z otwartymi ustami patrzyli na Andreę, gdy otrzepywał ręce, zdierał kombinezon z leżącego twarzą w dół ciała i wkładał narzędzia z powrotem do skrzynki.

–Wyskakiwać z łachów – polecił im Mallory. Wyskoczyli z nich z szybkością, która zapewniłaby im pierwszą nagrodę na konkursie rozbierania się.

–Drzwi – powiedział Mallory.

Miller podszedł do stalowych drzwi. Były zamknięte z zewnątrz na zasuwę. Okazało się, że to potężna szafa zastawiona puszkami farby, szeroka na dziesięć stóp.

–Do środka – rzekł Mallory. Jeden z robotników spytał:

–Jak się stąd wydostaniemy? – Wyglądał na wystraszonego. Był cywilem wciągniętym w kłótnię, która go nie dotyczyła.

Mallory nie wierzył, by dorosły człowiek mógł uniknąć wplątania się w wojnę. Gdyby ktoś go spytał o zdanie w tej sprawie, powiedziałby, że można być albo po jego stronie, albo nieprzyjaciela.

–Jak się dostajecie na te U-Booty? – zapytał.

–Mamy przepustki.

–Jakie przepustki?

Robotnik pokazał wielokrotnie składaną i rozkładaną kartę, umazaną smarem.

–Coś jeszcze?

–Nie. Kim jesteście?

Mallory podszedł do Niemca, tak że stał dwa cale od jego twarzy.

–Mnie to wiedzieć, a tobie zachodzić w głowę – rzekł. – Zaraz tam pójde. Zamierzam poruszać się swobodnie. Jeśli zostanę ujęty, nikt o was nie usłyszy, a te drzwi są dźwiękoszczelne. Wybierajcie. – Czuł, jak pot spływa mu pod mundurem, widział pozbawione wyrazu twarze Millera i An-drei. Zostało niewiele ponad pół godziny. – Jeśli mówicie prawdę, nie macie się czego obawiać. Jeśli nie, ta szafa będzie waszym grobem.

Robotnik gwałtownie przełknął ślinę.

–Prawdę mówiąc... jest... coś jeszcze. Hasło.

–No proszę – rzekł Mallory.

–Ritter. Musicie powiedzieć: Ritter straży przy trapie.

–Jeśli kłamiecie, umrzecie w gaciach – ostrzegł Mallory.

–To prawda.

–Jaki jest rozmiar twojego ubrania i jaki masz numer butów?

–Czterdzieści dwa.

Bogu niech będą dzięki – pomyślał Mallory.

–Dawajcie i buty.

Pięć minut później trzech stoczniovców szło wzdłuż kei w kierunku szalup. Nieśli bardzo poobijane niebieskie skrzynki narzędziowe i palili papierosy. Ich twarze były zdumiewająco ponure, jak na ludzi mających popłynąć do Hamburga, do domu i rozkoszy życia. Ale być może było to spowodowane niebezpieczną bliskością okrętów podwodnych.

Zatrzymali się przy budynkach u podstawy kei.

Andrea zadarł do góry głowę. Chmury odeszły. Niebo było błękitne jak kacze jajo. Nadchodził świt, piękny świt nad ludzką przemocą i śmiercionośnymi maszynami.

Mallory zwrócił się do Andrei spokojnym, cichym głosem:

–"Stella Maris" musi być gotowa do wypłynięcia.

–Załatwię to – rzekł Andrea.

Mallory spojrzał w dół pierwszego granitowego palca. Po bokach widział w skrócie wodne uliczki, bulwiaste, szare, odporne na ciśnienie kadłuby i wąskie stalowe pokłady okrętów podwodnych. Były tam dwa trapy, jeden prowadzący na lewo, drugi na prawo, skrzyżowanie kei i trapów. To było wejście na okręty podwodne. Jeśli tylko dałoby się minąć tych marynarzy! Stali u dołu każdego trapu z karabinem na ramieniu, lekka poranna bryza podnosiła im nad karkiem wstążeczki u czapek.

Mallory nabrał głęboki haust porannego powietrza i starał się nie myśleć o małych stalowych pomieszczeniach w tych sztywnych kadłubach, do których musieli wejść z

granatami.

–Nadtlenek – powiedział Miller, pociągając nosem.

–Przepraszam?

–Woda utleniona. Wonieje jak u fryzjera. Sądząc po zapachu, to na sto procent to. Nie ubabrajcie się. Niszczy ubranie.

–Co proponujesz? Miller powiedział mu.

–Fascynujące – rzekł Mallory, biorąc głęboki oddech. – Załatwię tę z prawej. Ty tę z lewej.

–Powodzenia! – powiedział Andrea.

Mallory skinął głową. Było coś takiego jak powodzenie, ale przyznać, że się w to wierzy, to igranie z losem. Zadanie Andrei było potencjalnie jeszcze bardziej niebezpieczne niż wejście na U-Booty ze skrzynkami granatów.

Chociaż trudno powiedzieć, co było lepsze. Śmierć to śmierć, bez względu na swoją postać.

Mallory nie tracił czasu na myślenie o śmierci. Planował następną fazę operacji.

Andrea wśliznął się w tłum podążający do szalup. Mallory i Miller ruszyli w dół kei, w kierunku wartowników. Miller trzymał ręce w kieszeni, pogwizdywał.

Równy chłopak – pomyślał Mallory. Czego trzeba, żeby naprawdę się zmartwił?

Myśli Millera były mniej podniosłe. Zapach wody utlenionej przeniósł go do domu madame Renard w Montrealu, do Minette, francusko-kanadyjskiej dziewczyny z pracowitym języczkiem i jasnorudymi kędziorami. Minette robiła taki numer, coś z dwiema złotymi rybkami i workiem cementu...

Skup się.

Głęboko w skarbnicy wspomnień sabotażysty pamiętał, że katalizatorem nadtlenu wodoru jest dwutlenek manganu, braunsztyn. Braunsztyn rozłoży nadtlenek wodoru i spowoduje BUUM, przy którym eksplozja ręcznego granatu wypadnie jak strzał z nadmuchanej papierowej torebki.

Braunsztyn to było coś, co narzucało się samo.

Niestety, nie było to nic takiego, czym ludzie sieją na prawo i lewo.

Był już u stóp trapu. Wyszczerył zęby do wartownika i okazał przepustkę.

–Ritter – rzekł, potrząsając narzędziami. – Kłopoty ze sra-czem. Tylko dwie minutki.

–No, to dzięki Bogu, że wpadłeś – powiedział wartownik. Miller wszedł na trap.

Andrea przepychał się przez gęstniejący tłum na kei. W roj-nym zbiegowisku robotników i żołnierzy panował teraz pośpiech i bardzo mało teutońskiej sprawności. Doszedł do końca kei.

I zatrzymał się.

W kolejce mógł panować rozgardiasz, ale procedura zaokrętowania była na wysokim poziomie. Cztery żelazne drabiny prowadziły z kei. U dołu każdej czekała szalupa. A u góry każdej drabiny stał oficer SS z listą. Kiedy robotnik dochodził do końca kolejki, esesman oglądał jego dowód osobisty, dokładnie porównywał fotografię z twarzą i skreślał nazwisko z listy. Dopiero wtedy można było zacząć schodzenie po drabinie.

Szalupy, gdy już odbiły od kei, nie zwlekały. Płynęły prosto do kotwiczących w porcie handlowców, na których pokładach zrobiono niemarynarskie, niemniej jednak sprawne stanowiska ogniowe z worków z piaskiem, spoza których wyglądały ryje karabinów maszynowych.

Nawet podczas ewakuacji baza wilczego stada nie zdawała się na przypadek.

Kombinezon i dowód osobisty Andrei należały do Wulfa Tietmeyera. Żadna ilość smaru na palcach Wulfa, odcisnięta następnie na dowodzie, nie mogła przesłonić faktu, że Tietme-yer, chociaż mniej więcej rozmiarów Andrei, miał rude włosy i bladoniebieskie oczy. Co więcej, Andrea nie miał ochoty wylądować na płynącym do Niemiec frachtowcu.

Mrucząc pod nosem przekleństwa na użytek sąsiadów, odwrócił się tyłem do tłumu i ramieniem wielkości i twardości sejfu bankowego utorował sobie drogę, jak to stocznowiec, który śpieszy się po coś, czego zapomniał zabrać.

Gdy dotarł do podstawy kei, jeden z okrętów podwodnych plunął czarną chmurą spalin i poranek wypełnił ogłuszający klekot zimnego silnika wysokoprężnego. Rozruch znaczył, że okręty wypłyną lada chwila. Andrea spojrzął na zegarek. Dokładnie za osiemnaście minut. I ta dokładność będzie zachowana.

Spojrzął na wejście do portu miasta San Eusebio, rozjaśnione teraz bladym świtem. Okna domów czarne od pożaru, puste jak oczodoły trupa, wieżyczki dwóch kościołów szczerbate jak wybite zęby. Ale wzdłuż kei, przed ślepyimi magazynami ciągnącymi się wzdłuż portu, kotwiczyła flota rybacka. A pośród niej, z przodu i

trochę bliżej wyjścia, był czarny od smoły kadłub i źle zwinięte czerwone żagle "Stella Maris".

Stała w odległości czterystu jardów. Krótki dystans pływacki na Morzu Śródziemnym. Ale w czterystujardowym zwężeniu był burzliwy przepływ, z małymi paskami zmarszczek na wodzie – zmarszczek niewytłumaczalnego pochodzenia. Trwał odpływ – najsilniejszy u podstawy kei. Wyglądało na to, że bardzo duża ilość wody usiłuje się wydostać bardzo małym wylotem. Andrea uznał, że tak naprawdę może to być bardzo długi dystans.

Ale Andrea wychował się na wybrzeżu Morza Egejskiego. Wśród wielu najbliższych przodków miał poławiaczy gąbek, a w dzieciństwie spędzał równie dużo czasu w wodzie co poza nią. Andrea pływał jak ryba...

Śródziemnomorska ryba.

Powoli, demonstracyjnie wyjął z kieszeni spodni ołówek, notatnik i podszedł do końca zewnętrznej kei. Nikt nie zwracał na niego. uwagi, gdy mijał wartę przy trapie U-Bootu. A czemu ktoś miałby to robić? Oto potężny inspektor w niebieskim kombinezonie, marszcząc czarne brwi, przyglądał się kei. Niemcy to naród inspektorów. Było naturalne, nawet w tym małym niemieckim światku na krawędzi Hiszpanii, że i podczas ostatniego stadium ewakuacji ktoś robi notatki o stanie kei.

Przy jej końcu żelazne szczelnie wiodły w dół granitu. Na

użytek wszystkich ciekawskich Andrea wsunął ołówek za ucho, zacisnął wargi i pokręcił głową. Następnie zaczął opuszczać się po szczelkach.

Gdy znikł poniżej poziomu kei, był niewidoczny dla wszystkich z wyjątkiem wart w forteleza. Miał nadzieję, że skoro okręty wypływają za szesnaście minut, to wartownicy zostali odwołani. Na dole rzucił notatnik i ołówek w morze. Wydostał się z kombinezonu, zrzucił z nóg buty i zdjął bieliznę. Ubranie przez chwilę kołysało się na fali u stóp ściany, a potem odpłynęło.

Andrea był brązowy i owłosiony niczym niedźwiedź. Dotknął złotego krzyżyka na szyi i opuścił się w zielony wir u dołu szczelki. Lodowaty ten Atlantyk – pomyślał.

I rzucił się w odpływ.

–Ritter – powiedział Mallory do wartownika u stóp trapu naprzeciw okrętu Millera.

Wartownik miał skórzane spodnie i nierówno wywinięty golf. Kiedy lustrował i oddawał dowód osobisty Mallory'ego, jego twarz była pokryta tłustym potem. Wystraszony – pomyślał Mallory. Może to z powodu tej tajnej broni, to przecież U-Booty, a załogi U-Bootów nie żyją długo. Zatonąć w stalowym pomieszczeniu, cał po

calu...

Mallory spróbował tego raz. Nie chciał przechodzić tego nigdy więcej.

Ale stał na stalowoszarym pokładzie U-Bootu, zużyte emaliowane uchwyty skrzynki narzędziowej ślizgały mu się w dłoni, a przed nim ziała pokrywa przedniego luku. Przedział torpedowy był na dziobie. Okrętowi podwodnemu tych rozmiarów granaty nie wyrządzą dużej szkody. Chyba – powiedział mu Miller – że użyje się ich jako zapalnika, spłonki przytwierdzonej do ton amatu, torpexu czy czegośkolwiek, czego tam używają. Wtedy będziesz miał wynik...

Mallory zmusił się do pokonania odległości dzielącej go od luku. Przyjemnie byłoby zostać na pokładzie, nie schodzić do tych stalowych pomieszczeń, które lada chwila mogą zanurzyć się pod wodę...

Miłe czy niemiłe, musiało być zrobione.

Lukiem okazały się podwójne stalowe drzwi w pokładzie. Stalowa drabinka zanurzała się w żółtawy półmrok. U jej dołu patrzyła w górę czyjaś twarz, wychudzona i brodata, z sinymi workami pod oczami. Bosmanmat.

–Czego chcesz, do diabła? – spytał.

–Sprawdzam ubicacje. – Mallory udawał głupiego.

–Nic nie wiem o żadnych ubicacjach. Idź, pogadaj z kapitanem.

–Gdzie jest? – Mallory czuł, jak upływają minuty.

–W kiosku. Lepiej się pośpiesz.

Mallory wrócił na pokład i wspiał się po metalowych szczeblach z boku kiosku. Odetchnął głęboko i wszedł do środka.

W powietrzu unosił się zapach ropy, potu i czegoś jeszcze. Wody utlenionej. Mężczyzna w brudnym białym swetrze z kołnierzykiem i Żelaznym Krzyżem na szyi kłócił się z innym mężczyzną. Obaj byli bladzi i brodaci.

Mallory chrząknął.

–Przyszedłem naprawić ubicację – rzekł.

Mężczyzna z Żelaznym Krzyżem nosił czapkę kapitana.

–Teraz? Nie wiedziałem, że jest awaria. Zjeżdżaj z mojego okrętu.

–Rozkazy – powiedział Mallory. Poranek był okręgiem dziennego światła widocznym w luku.

–Jestem kapitanem...

–Generał bardzo nalegał.

–Sram na generała – oświadczył kapitan. – Do diabła! No, idź i zobacz, co z tą ubikacją. Ale ostrzegam cię, wypływam za dziesięć minut i jak dalej będziesz na pokładzie, wylecisz stąd wyrzutnią torpedową.

–To nie będzie konieczne – obiecał solennie Mallory, ale kapitan wrócił do kłótni. Nie miał czasu dla stoczniovców.

Silniki na rufie. Torpedy na dziobie. Ważny jest dziób.

Mallory zakołysał w dłoni skrzynką, ześliznął się w dół drabiny pod peryskop i ruszył przed siebie korytarzem.

Mijał mesę, podwieszane torpedy, wiele koi. Palily się żółte

światła. Kręciła się tu cała masa marynarzy upakowanych jak sardynki w puszcze, ale tu było gorzej, bo w tej puszcze sardynki nagle jakoś ożyły. Mallory przepychał się do przodu. Nie ma okien – powiedział głos w jego głowie. Jesteś poniżej poziomu wody...

Zamknij się – powiedział sobie. Wciąż jesteś przy brzegu.

Przeszedł pod otwartym lukiem. Bosmanmat zerknął na niego i odwrócił wzrok. Korytarz kończył się na owalnych drzwiach. Po drugiej stronie grodzi Mallory ujrzał długą komorę wypełnioną po lewej i prawej grubymi walcami. Przedział torpedowy.

Po prawej miał małą kabinkę: ubikacja. Dziób.

Rozejrzał się. Bosmanmat przyglądał mu się. Mallory puścił do niego oko, wszedł do toalety i zamknął drzwi. Ręce mu się pocily. Policz do pięciu – pomyślał.

Rozległ się nowy dźwięk, wibracja. Silniki zaczęły pracować. Gdzieś zajęczał klakson. Teraz albo nigdy – pomyślał.

Szybko wyszedł na korytarz, podrapał się w głowę i skręcił na prawo do przedziału torpedowego.

Było w nim dwóch ludzi, zabezpieczali torpedy na stojakach. Torpedy wyglądały jak poziome piszczałki organów. Obaj mężczyźni byli zwykłymi marynarzami.

–Cholera – powiedział jeden z nich. – Lepiej się zwijaj.

–Sprawdzam uszczelnienia – odparł Mallory. – Który z tych interesów najpierw wystrzeliwujecie?

–Te. A teraz bądź tak miły, zamknij się, zjeżdżaj stąd i daj nam skończyć ładować te cholerne rybki do cholernych wyrzutni.

Torpedy, które wskazał marynarz, były na pierwszym stojaku, licząc od owalnych drzwi, które musiały prowadzić do wyrzutni. Mallory wepchnął się za torpedy i znikł z oczu marynarzy. Znalazł wspornik na stalowej ścianie okrętu i zawiesił na nim granat. Potem delikatnie odkręcił pokrywę, delikatnie wysunął porcelanową gałkę kończącą sznur naciągający i przywiązał ją do wału śruby napędowej torpedy.

Pierwsza.

Wyjął klucz i przeszedł na drugą stronę pomieszczenia.

Marynarz nie podniósł głowy. Mallory przywiązał drugi granat do dolnej torpedy z lewej burty, tam gdzie cienie były najgęstsze. Trzeci i czwarty przywiązał do wyżej spoczywających torped.

Gdzieś na stalowym pokładzie nad jego głową ktoś się poruszał. Wibracje silnika były teraz głośniejsze.

–W porządku – powiedział Mallory. – Nie ma żadnych przecieków kanalizacji.

Marynarze go zignorowali. Wyszedł z przedziału torpedowego na korytarz. Luk był nadal otwarty. Czuł błogosławiony zapach powietrza. Minął kilku marynarzy, postawił stopę na dolnym szczeblu drabiny.

Silna ręka chwyciła go poniżej łokcia i spokojny głos zapytał:

–Jak przyszedłeś naprawiać sracze, to co robisz w przedziale torpedowym? Mallory się obejrzał. Głos należał do brodatego bosmanmata.

–Rzucić cumy! – zahuczał inny głos na pokładzie. Luk nad głową Mallory'ego zatrasnął się.

Dwadzieścia jardów dalej Dusty Miller był w innym świecie. Miller był doświadczonym ekspertem od materiałów wybuchowych lub mówiąc bez ogródek – sabotażystą. Zdał sobie sprawę, że ma siedem minut. Poszedł prosto do kiosku, zameldować się u kapitana i oficera nawigacyjnego. Stali pochyleni nad mapami.

–Przyszedłem rzucić okiem na ubikacje – oznajmił. Oficer przesunął po nim

obojętnym spojrzeniem kogoś,

**kogo za dziesięć minut czeka ważne zadanie prowadzenia
podwodnej nawigacji.**

–Które ubikacje?

–Powiedzieli mi tylko "ubikacje".

–Wiesz, gdzie są.

Miller wzruszył ramionami. Czuł ciężar skrzynki narzędziowej, młotka, kluczy i czterech granatów w dolnej szufladzie.

–Taaa – mruknął.

Mallory poszedł na dziób, szukając torped; Miller udał się na rufę.

Na większości U-Bootów był przedział wielkich silników spalinowych do pływania nawodnego i ładowania baterii akumulatorów ołowiowych oraz przedziały silników elektrycznych do pływania podwodnego. Użycie turbin Waltera zmieniło ten rozkład. Diesle wykonywały całą pracę. Gdy U-Boot był pod wodą, silnik pobierał tlen do spalania z rozkładającego się nadtlenu wodoru i wypuszczał spaliny w postaci dwutlenku węgla prosto do wody, gdzie się rozpuszczały.

Miller zszedł lukiem do centrali i ruszył niskim stalowym korytarzem. Obok niego przepychali się członkowie załogi. Nie zwracał na nich uwagi. Szedł pozornie za jednym z równoległych ciągów malowanych na szaro rur. Biegły na rufę wzdłuż pomieszczenia grodziowego.

Przebywszy niewielki dystans, znalazł się w przedziale silników spalinowych.

Było tam tak, jak być powinno: grube rury szły ze zbiorników paliwa, każda z kurkiem odcinającym. Ropa, woda, nadtlenek wodoru. Pracowano tu ciężko, smarowano, zerowano tarcze wskaźnikowe przy pokrętłach zaworów ręcznych. Wielki diesel pracował z ogłuszającym rykiem, w którym nie słyszało się ludzkiego głosu. Miller zauważył spojrzenie jednego ze smarowników, mrugnął i skinął głową. Ten odpowiedział ruchem głowy. O tej porze w maszynowni okrętu podwodnego mogli być tylko ludzie, którzy mieli tu jakiś interes. I o tej porze ten interes z pewnością był uzasadniony.

Więc Miller pochylił się, pozornie badając rury, i okiem profesjonalisty zlustrował labirynt przewodów i pomieszczeń.

I podjął decyzję. A raczej zatwierdził decyzję, którą podjął już wcześniej.

Na powierzchni turbina Waltera była dieslem naturalnie pobierającym powietrze. Zmiana z powietrza na nadtlenek wodoru była sterowana przełącznikiem pływakowym w kiosku. To było proste urządzenie; gdy woda osiągnęła pewien poziom, przełącznik zamykał się i otwierał zawór łączący

zbiornik nadtlenu wodoru z dysocjatorem. W mniemaniu Millera zniszczenie zaworu powinno spowodować wypuszczenie dużych ilości oleju napędowego, będącego pod wielkim ciśnieniem, i tlenu w przestrzeń pełną niemitych iskier.

To stwarza bardzo realne niebezpieczeństwo eksplozji -pomyślał radośnie Miller, otwierając skrzynkę.

Jego palce pracowały szybko. Przełącznik pływakowy kontrolował prosty zawór zasurowy. Przytwierdź granat do rury. Przywiąż sznur naciągający do jednej ze szprych koła zaworu. Gdy koło się obróci, sznur zostanie wyciągnięty z granatu. Pięć sekund później... no cóż – pomyślał Miller. Panie i panowie, jesteście proszeni o zdanie wszystkich materiałów łatwo palnych.

Spożytkował następne dwa granaty, przedłużywszy sznury naciągające dla uzyskania nieco późniejszych eksplozji, jednej w miejscu ujęcia wody, kolejnej przy cięgnię przepustnicy w ciemnym kącie. Następnie udał się z powrotem, wspiął się na mostek i rzekł:

–Wszystko gotowe.

Oficer nawigacyjny nie podniósł głowy.

–Zjeżdżaj – powiedział.

–Nie ma sprawy – odrzekł Miller. Wdrapał się po drabinie na chłodne, śmierdzące ropą poranne powietrze i potruchtał trapek na keję.

Kiedy tylko granit zachrząścił mu pod butami, wiedział, że stało się coś złego. Dwaj ludzie ścigali trap z okrętu stojącego po drugiej stronie kei. Marynarze na dziobie czekali na znak sztaue-rów, żeby wybrać cumy. Miller ujrzał, jak jeden z nich pochylił się i zatrzasuje luk. Keja po obu stronach opustoszała, stało na niej tylko parę postaci w mundurach i parę w kombinezonach. Miller na tyle długo pracował z Mallorym, że potrafił go rozpoznać bez względu na to, co tamten miał na sobie.

Żadna z tych postaci nie była Mallorym.

Więc Mallory nadal przebywał na pokładzie, a okręt odpływał.

Z kiosku wychynęło kilka głów. Na jednej z nich widniała kapitańska czapka.

–Hej! – wrzasnął Miller, przekrzykując dudnienie i klekot diesli. – Macie mojego kumpla na pokładzie!

Kapitan rozejrzył się, marszcząc brwi. Cumy były wybrane. Zostały tylko dwie – dzioba i rufowa. Za dwie minuty odbijali. Kapitan spojrzał na stracha na wróble stojącego na kei, na obtłuczoną skrzynkę narzędziową, chude ramiona i nogi sterczące z przykrótkich spodni. Krzyknął do jednego z majtków na wąskim pokładzie.

Ten wzruszył ramionami i podrapał się po głowie pod szarą wełnianą czapeczką. Pochylił się. Złapał za dźwignię luku i pociągnął.

Mallory był cały pokryty potem. Głowa przestała mu pracować. Zatopiony w stalowym pudle – myślał. Nie. Nie chodzi o to...

–Co robiłeś w przedziale torpedowym? – pytał bosmanmat.

–Chodziło o rury – odparł Mallory. – Sprawdzalem rury.

–Akurat.

W tej chwili z nieba zaświecił promień czystego szarego światła, który jak boska strzała przeszył cuchnący żółty półmrok okrętu podwodnego.

Luk był otwarty

Mallory wiedział, że zdarzył się cud. To był cud, który odsunie od niego śmierć przez zatonięcie w metalowej skrzyni i pozwoli umrzeć pod niebem, gdzie umieranie w słusznej sprawie wcale mu nie przeszkadzało.

Wiedział również, że bosmanmat nie ma prawa żyć.

Mallory spojrzał w górę. Z luku sterczała czyjaś głowa.

–Już idę! – krzyknął.

Głowa znikła. Sięgnął ręką za plecy, na krzyże, gdzie ukryty w pochwie spoczywał sztylet. Ostrze przemknęło dołem w przód i utkwilo pod żebrami bosmanmata. Mallory poszedł za ciosem, pchnął marynarza na koję i zakrył go kocem. Potem wszedł po drabinie.

Majtek na pokładzie kopnięciem zamknął luk. Sztauer rzucił cumy. Między okrętem a keją rósł pas zielonej wody. Z kiosku rozległ się ryk:

–Skacz!

Mallory obejrzał się. Nad szarą pancerną płytą ujrzał zimną, nieprzyjazną twarz kapitana.

–Nie lubi stoczniowców – powiedział majtek przy cumie dziobowej. – Ani ja. – Podniósł nogę w gumowym bucie, szykując się do kopniaka.

Mallory mógł się uchylić, mógł złamać temu człowiekowi nogę, uratować swoją godność. Ale to, co chciał teraz zrobić, nie miało nic wspólnego z godnością. Chciał szybko prysnąć z tego okrętu podwodnego.

Skoczył.

Usłyszał, jak skrzynka narzędziowa uderza z łoskotem o sztywny kadłub. Widział, jak mruga niebieską emalią i znika w głębinie.

A z nią trzy granaty.

Wtem woda zalała mu usta i oczy i płynął do kei. Słyszał śmiech kapitana. Nieważne.

Myślał: Pięć minut do zniszczenia trzeciego U-Bootu.

Ale jak to zrobić?

Andrea też płynął. Prawdę mówiąc, płynął, uciekając śmierci.

Wody Grecji to był ciepły szafir. Oczywiście, owiewany wiatrami, ale bez pływów, nieruchomy.

Wody Zatoki Biskajskiej były inne. Były jak ciemne szmaragdy, zimne jak kocie oczy.

I poruszały się.

Gdy Andrea opuścił swoje marznące ciało do wody i puścił szczebel, odpływ pobrał go i obrócił. Keje i port zawirowały mu wokół głowy. Początkowo chłód odebrał mu oddech, tak że musiał utrzymywać się w pozycji stojącej, i po raz drugi zobaczył wirujący port. Potem utkwiał oczy w dalekich, zaniedbanych masztach "Stella Maris" i popłynął.

Z pozoru wszystko wyglądało znakomicie. Lecz gdy tylko wszedł do kanału, wiedział, że ta cała eskapada jest chybiona.

Mógł teraz oddychać. Płynął, potężne mięśnie barków kur-

czyły się i napinały, pchając ciało przez zimną słoną wodę. Płynął żabką. Gdyby go dostrzeżono, zobaczono by tylko głowę, niewielką jak głowa foki. Wcześniej przy końcu kei rozstawiono sieci przeciwko okrętom podwodnym. Lecz teraz spoczywały zwinięte w ładowniach handlowców, bo wypływały własne okręty podwodne.

Więc do "Stella Maris" był tylko czterystujardowy odcinek. Dziesięć minut pływania. Znakomicie.

Tylko że wcale nie układało się znakomicie.

Odpyw był jak rzeczny nurt, porywał Andreę z cieśniny na pełne morze. Maszty "Stella Maris" przemykały w górę nurtu -szybko, przerażająco szybko.

To było coś nowego. I nieprzyjemnego, nie dlatego, że napawało strachem, bo nic materialnego, nawet śmierć – zwłaszcza śmierć – nie mogła przestraszyć Andrei. Ale jego życie było oparte na zasadzie, że nie opuszcza się przyjaciół w potrzebie i że to, co zaplanowane, ma być wykonane. Wierzył bezgranicznie, że Mallory i Miller wykonają swoją część zadania.

Zaczął tracić wiarę, że jemu uda się to samo.

Mimo benzydryny ogarniało go zmęczenie. Nawet on, nawet Andrea, zaczynał być zmęczony. Wiedział, że jego zapasy sił są na ukończeniu. Nie było sensu płynąć prosto do celu.

Rusz głową, nie tylko ramionami.

Obracał się, aż skierował się twarzą do czarnych kadłubów frachtowców kotwiczących w porcie; słyszał klekot kabestanów wyciągających kotwice, widział parę szalup przesuwających się z wolna po szklistej powierzchni morza. Zaczął płynąć dokładnie pod prąd i jakieś dziesięć stopni w prawo.

Dla każdego innego oznaczałoby to natychmiastową utratę sił, samobójstwo.

Dla Andrei było możliwe.

Poruszał się krótkimi, potężnymi ruchami, pchając przed nosem falę dziobową. Keja, z której wyruszył, poprzednio zostawała za nim, kiedy porwał go prąd. Obecnie plasowała się również nieco po lewej.

I bliższy z handlowców, poprzednio stojący do niego rufą, zaczął ukazywać prawą burtę.

Nie dopuszczał do siebie wiary, że czyni postępy. Zajadle wykonał kolejne dwieście ruchów. Minął grzbiet wzburzonych fal stojących. Kilka chlusnęło mu twarz.

Zachłysnął się słoną wodą, zakrztusił. Był już naprawdę zmęczony. Teraz musiał popatrzeć.

Popatrzył.

Do "Stella Maris" był kawał drogi. Ale stała tylko jakieś dwadzieścia stopni na prawo.

Docierał do połowy dystansu.

Ale bynajmniej nie oznaczało to kresu kłopotów.

Fale urosły, kołysały regularnie. Gdy rozejrzał się na boki, ujrzał nie nabrzeże miasta ani klif Cabo poniżej murów forta-leza. Ujrzał otwarte morze.

Według regulaminu Andrei mężczyzna to był ktoś taki, kto nie uznaje granic.

Andrea znalazł gdzieś rezerwy sił. Dzięki nim zaczął posuwać się w przód. Dokonywany postęp rozgrzał mu krew, a rozgrzana krew pomagała postępowi. Zauważył, że płynie wzdłuż spokojnych wód przy plaży San Eusebio i że zbliżają się keje z podwójnymi rzędami kutrów cumujących dziób w dziób.

Na chwilę przyjął pozycję stojącą.

Stopy dotknęły dna. Spojrzał za siebie na przebyty odcinek. Poza pasmem głębokiej zieleni w środku kanału, woda po obu stronach blakła. Opadała w odpływie. Przed nim też blakła, ciemniejąc tylko tam, gdzie kanał dochodził pod keje z kotwiczącą flotą rybacką.

Przepłynął dystans co się zowie.

Ale gdyby odczekał jeszcze pięć minut, pewnie mógłby pokonać większą część, idąc.

Ktoś inny śmiałby się, płakał lub czuł ulgę. W wypadku Andrei żadne z tych zachowań nie wchodziło w grę. Wyczerpujące warunki działania nareszcie zelżały. Pozostawał cel:

dostać się na pokład "Stella Maris" w przeciagu – zerknął na wodoszczelny zegarek – czterech minut.

Zaczął brodzić w wodzie.

Hauptsturmführer von Kratow nie lubił Hiszpanii. Latynosi to była opieszala banda, podejrzana rasowo i zupełnie wyzbyta

die Kultur. Ale von Kratow uświadomił sobie, że przy takiej operacji jak "Przedsięwzięcie Wilcze Stado" można było ich wykorzystać. Rzecz w tym – rozmyślał, drobiąc po kamiennych stopniach forteleza i niosąc raport dla generała – że coś wisiało w powietrzu. Organizacja załadunku nie powinna być trudna. Ale panował duch... no cóż, mańana... przy którym nawet porządek i system SS czasami stawał dęba.

Niemniej jednak teraz wszystko było w porządku. Atak na bramę główną okazał się fałszywym alarmem. Załadunek był niemal ukończony. Pozostawało tylko zdać raport generałowi, który będzie zachwycony. Drań z tego generała, z jego tureckimi papierosami i, jak przekonali się żołnierze, najcięższą sztuczną ręką w Reichu. Ale drań, który umiał pochwalić, zwłaszcza kogoś, kto, jak von Kratow, był kształtnym junkrem, o nogach zgrabnie leżących w wysokich butach, i kto wykonywał swoje obowiązki jak należy. Von Kratow był w pełni przekonany, że doprowadzone do stanu gotowości bojowej okręty podwodne i dokonany bez zakłóceń załadunek oznaczają awans.

Pchnął zdobione drzwi pomieszczeń generała i pociągnął nosem, wietrząc zapach tureckiego tytoniu.

Nie było zapachu tureckiego tytoniu.

Von Kratow zmarszczył brwi.

Od kiedy został adiutantem generała, między palcami sztucznej ręki dymił papieros. Generał nie palił tylko wtedy, kiedy spał. Teraz, kiedy ewakuacja była prawie zakończona, nie mógł spać.

Von Kratow otworzył drzwi.

Ciepłe światło poranka sączyło się przez tę część gotyckiego okna, której nie zakrywały zasłony. Stęchła woń aromatycznego tytoniu wisiała w powietrzu, ogień na kominku wygasł w popiele. Von Kratow podszedł do biurka i poczęstował się pełną garścią tureckich papierosów. Generał nawet nie zauważył ubytku. Luftwaffe co tydzień dostarczała mu z Istambułu nowy zapas; Bóg wie, gdzie w dzisiejszych czasach znajdowało się takie specjały.

Von Kratow ziewnął i przeciągnął się. To była ostatnia z serii długich nocy. Ale teraz już koniec z tym.

Za kamienną koronką okna leżał port, niczym oświetlona żółtym słońcem tafla zielonego szkła. Błyszczało tuż ponad górami na wschodzie. Frachtowce stały dalej na kotwicy, szalupy wracały po malejące resztki ludzi na kei, zapewne ostatni raz. Bliżej okręty wilczego stada wyrzucały niebieską mgłę spalin. Najbliższy rzucił cumy i kierował się do wyjścia.

Więc to koniec – pomyślał von Kratow. Misja wypełniona. Czas złapać statek. Czas zadbać, żeby generał złapał statek.

Von Kratow był człowiekiem metodycznym. Zanim zastukał do drzwi sypialni, rozsunął ciężkie brokatowe załony, które kryły połowę okna.

Wtedy właśnie znalazł generała.

Przez jakieś dziesięć sekund z kamiennym wyrazem twarzy wpatrywał się w perłowe jedwabne dessous, bladą jak kość słoniowa skórę twarzy, wyschły czarny strumyk krwi, który wysączył się z prawego ucha. Potem skierował rękę do pudełka z papierosami. Zapalił generalskiego papierosa i pomyślał: Jedwabna bielizna.

Następnie z namysłem wysunął palec i nacisnął guzik za kurtyną.

Przycisk alarmu generalnego.

Nagle na całym Cabo de la Calavera rozległy się dzwonki.

Mallory z wysiłkiem wdrapał się po żelaznych szczelkach granitowej ściany, kaszląc i pluąc wodą. Przed sobą zobaczył keje; granitowe nawierzchnie, schnące kałuże, szubienice żurawi, trzy głębokie wąwozy doków okrętów podwodnych. Okręt najbliższy lądu poruszał się. Mallory usłyszał za sobą klekot diesli i chlupot wody wypływanej z dysz napędowych nad sterami. Tamten okręt – jego okręt – też wypływał.

Kiosk ostatniego okrętu stał. Nie ruszał się, jak sam Mallory nie ruszał się na drabinie. Na benzydrynie czy nie, był tak zmęczony, że ledwo potrafił wdrapać się po ostatnich szczelkach na keję.

Zobaczył coś potwornego.

Zobaczył Dusty'ego Millera w kiosku okrętu. Miller wyklócał się z mężczyzną w czapce na głowie, zapewne domagając

się wpuszczenia do środka. Ten ktoś w czapce, chyba kapitan, mówił, że włazi mu w paradę, a on właśnie odbija od brzegu, więc niech zjeżdża, bo zostanie tu na dłużej.

Dusty Miller zwyciężył. Znikł z pola widzenia.

Pośpiesz się – pomyślał Mallory. Na litość boską, pośpiesz się!

Spojrzał na zegarek. Za trzy minuty piąta. Wcześniej -pomyślał – wypływają wcześniej.

Za wcześniej.

Mallory odczołgiwał się od okrętu, który odwiedził, od okrętu z nieżywym bosmanmatem na dziobie...

I wtedy właśnie usłyszał, jak w całym porcie rozbrzmiały dzwonki.

Kiosk, w którym znikł Miller, zaczął posuwać się wzdłuż kei.

Mallory prawie słyszał rozkazy: "w razie jakichś kłopotów wypływać".

Więc U-Booty wypływały trzy minuty wcześniej.

I na jednym z nich na pokładzie był Miller.

Coś pękło w Mallorym. Dźwignął się na równe nogi. Zapomniał o zmęczeniu. Powłócząc nogami, biegł za kioskiem, krzycząc chrapliwie z wściekłości. Ale kiosk posuwał się za szybko, by mógł go doścignąć.

Trzy wielkie U-Booty zgromadziły się w obrotnicy; wielkie, szare, metalowe wieloryby długości niszczycieli. Masywne jak skała, z niskimi opływowymi kioskami. Woda kipiała za śrubami. Załogi szybko poruszały się po pokładach, czyniąc ostatnie przygotowania do wypłynięcia. Kapitanowie rozprawiali ze sobą, kiosk przy kiosku, nonszalancko, jak ludzie, którzy wiedzą, że setki metrów wody nad głowami zapewniają im nietykalność.

Mallory spojrzał poza keję. Dzwonki dźwięczały jak oszalałe.

Dojrzał łódkę.

To była mała, zapluta łódź, w jednej czwartej pełna wody. Ale miała wiosła, dulki i mniej więcej utrzymywała się na powierzchni.

Mallory złapał za faleń, którym była przycumowana do pachołka. Owinął go sobie wokół zniszczonych dłoni, szedł na dół i odciął go nożem. Łódka odsunęła się od kei. Miał pomysł, zwariowany pomysł, zrodzony pod wpływem wyczerpania. Płyn do tego U-Bootu. Tłucz o burtę. Powiedz, że zaszła pomyłka. Na pokładzie jest stoczniovec. Musisz z nim pogadać. Szybko. Potem dostaną się z Millerem na pokład "Stella Maris", przynajmniej będą mieli jakąś szansę...

Pociągnął wiosłami. Łódka skoczyła przez wir przy końcu kei.

Wpadła w odpływ.

Odpływ o prędkości czterech węzłów.

Mallory mógł wyciągnąć na wiosłach dwa węzły. Maksimum.

U-Booty odsuwały się z przerażającą szybkością. Mallory odwrócił się, usiłował je dogonić.

Bez szans. U-Booty równie dobrze mogły być w Berlinie.

Z goryczą w sercu Mallory powoli wiosłował przez kanał w kierunku "Stella Maris". Niebawem w powietrzu rozległy się dźwięki przypominające strzały z bicia, jak małe wybuchy, fajerwerki. Ktoś do niego strzelał. Prawdę mówiąc, strzelało do niego wielu ludzi. Z handlowców. Tępo przypomniał sobie o stanowiskach ogniowych przy lukach, ryjach karabinów maszynowych i innej broni. Zapewne go trafią.

Mallory zdał sobie sprawę, że go to nie obchodzi. Coś się stało, nieważne co. Stracili Millera. Głos w jego głowie, podobny do głosu Jensena, powiedział: Stracili Millera. Jeśli Miller musiał umrzeć, to pewnie chciał umrzeć w ten sposób. Własny głos Mallory'ego odpowiedział na to: Pieprzenie.

–Rozkazy! – krzyczał Dusty Miller do kapitana ostatniego U-Bootu. – Rozkazy generała. Mam sprawdzić ustęp na dziobie. Nie odpłyniecie przez pięć minut.

Kapitan miał okrągłą głowę, ostrzyżone przy skórze włosy, przetrącony nos i wyglądał na kompletnie wyczerpanego.

Zwrócił się do sternika stojącego u jego boku:

–Zabierz tego robotnika pod pokład. Upewnij się,

że będzie na kei, kiedy odpłyniemy. Jesteś za to odpowiedzialny.

–Rozkaz! – powiedział sternik. Był drobnym, bladym mężczyzną i nie wyglądał na zadowolonego, że odsyła się go z kiosku. – Gdzie chcesz iść?

–Do ubikacji przy maszynowni – powiedział Miller, grze-chocząc skrzynką narzędziową.

–Przy maszynowni nie ma żadnej ubikacji.

–Taki dostałem rozkaz.

–No, to ci pokażę – powiedział sternik, zszedł po drabinie i skierował się na rufę.

Luk kiosku był kręgiem światła nad centralą. Gdy Miller ruszył w dół, wydało mu się, że słyszy dzwonki i krzyki. Ale wiedział, że ma pięć minut zapasu. Dzwonki musiały być bez znaczenia. Głowę miał zajętą cholernym sternikiem i tym, jak się go pozbyć.

Główny korytarz wzdłużny był terytorium, z którym Miller już się zaznajomił: żółte światła, gorąco, spocone twarze. Odgłos pracy silnika to było coś nowego.

Początkowo rozlegał się potężny klekot. Wtem zmienił barwę, przyśpieszył, stał się wyższy. Utrzymał nowy ton. Znow przyśpieszył.

Sternik przystanął. Spojrzał na Millera. Poruszył wargami. W piekielnym hałasie diesla nic nie dało się usłyszeć. Ale można było bez kłopotu odczytać ruch warg.

Serce uderzyło Millerowi w piersi raz, boleśnie.

Słowa, które wypowiedział sternik, znaczyły:

–Odbiliśmy od brzegu.

Na sekundę szok usztywnił twarz Millera, ale już po chwili Amerykanin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Hm, cóż – powiedział, chociaż wiedział, że tamten go nie słyszy. – Mamy kupę czasu.

Sternik doszedł do maszynowni.

–Patrz. Żadnej ubikacji.

Miller nadal szczerzył zęby jak kretyn.

–No, taaa.

Sternik wskazał drogę z powrotem, ku drabinie. Miller prawie widział myśli przebiegające przez głowę marynarza: To

nie moja wina, to dlatego, że wcześniej wypłynęliśmy. Muszę tylko dostarczyć tego durnia kapitanowi. Kapitan zapomniał o nim w gorączce chwili. Upiecze mi się...

Miller wpatrywał się w sternika, nie przestając szczerzyć zębów, podczas gdy ten nadal wskazywał drabinę. Miller pragnął jej jak narkoman opium. Sternik podszedł i popchnął go w kierunku drabiny.

Miller mu przyłożył.

Przyłożył mu mocno w brzuch. Gdyby zrobił to Andrea, cios zabiłby marynarza. Ale Miller był specjalistą od materiałów wybuchowych, nie od zabijania ludzi gołymi rękami. Sternik jęknął i zgięty padł na podłogę. Miller rozejrzał się.

W korytarzu byli trzej ludzie. Wszyscy przyglądali się temu, co się dzieje.

Miller przeszedł nad leżącym ciałem i żwawo udał się na rufę. Huk silnika stał się równomierny. Minął drzwi wodoszczelne prowadzące do maszynowni. Przed nim, na

wsporniku szalunku podpokładowego, wisiał wyciągnik łańcuchowy. Jak w kopalni – pomyślał Miller, chwytając łańcuch. Spędził tysiące godzin w kopalniach, niekiedy bardzo miłe. Gdy owinął łańcuchem uchwyty drzwi, poczuł się jak w domu.

Teraz ktoś usiłował otworzyć drzwi. Gdy same ręce nie wystarczyły, zaczął czymś tłuc w uchwyty. Sądząc po odgłosie, użył młota kowalskiego. A tłucz sobie do usranej śmierci -pomyślał Miller. Mamy tu kawałek dobrego niemieckiego łańcucha, a okręty podwodne nie są zbudowane z myślą o walce z wrogiem, który jest w nich w środku.

Prawdę mówiąc, wróg w środku okrętu podwodnego to rzecz praktycznie nieznaną. Bo kiedy okręt podwodny tonie, to tonie ze wszystkim, z wrogiem w środku włącznie.

Kiedyś musiało do tego dojść – powiedział sobie Miller.

Niewiele mu to pomogło.

Schylił się, otworzył skrzynkę i wyjął dwa granaty.

Nagle poczuł dym z papierosa.

Za bloku cylindra diesla wyszedł blady, wysmarowany olejem człowiek w kombinezonie. Z ust zwisał mu niewątpliwie zakazany papieros. Spojrzał na Millera wzrokiem członka

załogi, który zna swoich towarzyszy i jest zaskoczony pojawieniem się nowej twarzy. Potem jego wzrok przesunął się na dłonie Millera.

Miller uśmiechnął się do niego szeroko i ukradkiem wsunął granaty z powrotem do skrzynki.

Wzrok mężczyzny jak przyklejony nie odrywał się od granatów.

Zbladł jak ściana. Następnie złapał wielki klucz maszynowy, wypluł peta i rzucił się na Millera.

Był to niski mężczyzna, prawie karzeł, równie szeroki co wysoki. Sternik to było chuchro. Jego obowiązki ograniczały się do pracy w centrali. Ten był mechanikiem. Wielkie muskuły rozpychały mu białą skórę ramion. Złapał klucz oburącz, uniósł go nad głowę jak kij baseballowy i pognał na Millera niczym wysmarowany olejem Nibelung. Miller zamachnął się skrzynką narzędziową. Ten zamach był wykonany z nadmierną pewnością siebie, popartą zbyt silną dawką benzydryny i nie dość dokładną oceną. Rozminął się o milę. Nibelung palnął kluczem w skrzynkę. Skrzynka wyskoczyła Millerowi z rąk, przeleciała po kratownicy i otworzyła się z łoskotem. Narzędzia i granaty wypadły. Miller zauważył, że granaty nieużyteczne,

zabezpieczone, wpadają do tunelu, przez który biegł wał śrubowy. Rzucił się w bok i klucz walnął w stalową grodź, blisko miejsca, w którym była jego głowa.

Miller stał tyłem do drzwi, ciężko dysząc, z ciężko bijącym sercem. Żółte światło odbijało się od warstwy potu na rozwścieczonej twarzy mechanika. Twarz drgnęła i Miller wiedział, dlaczego. W pracy silnika pojawiła się nowa nuta, wysoki jęk. Podłoga pochylała się lekko.

Jęk był spowodowany pracą dysocjatora. Silnik przeszedł z tlenu z powietrza na tlen z rozkładu nadtlenu wodoru.

Okręt podwodny zanurzał się.

Krępy marynarz znów rzucił się na Millera. Ten kopnął go w brzuch. Równie dobrze mógł kopać blachę falistą. Mechanik nacierał, nie zrażony niczym.

Trzymać się drzwi – pomyślał Miller. Nie mogę ruszyć się od drzwi, bo inaczej zdejmie łańcuch i wpadnie reszta załogi...

Klucz grzmotnął o metal. Miller prysnął na bok. Drzwi czy nie drzwi, dziura w głowie to nic dobrego.

Miller wiedział, że przegrywa.

Ale krępy marynarz zapomniał o istnieniu drzwi. Był mechanikiem na okręcie podwodnym, a kiedy ktoś wpakuje się z granatami do okrętowej maszynowni, mechanicy tracą zdolność racjonalnego myślenia. Znowu zaatakował.

Miller niezdarnie przykucnął. Klucz trafił go w bark, paraliżując ramię. Cofnął się do silnika. Jego głowa znalazła się między pracującymi popychaczami. Opadł na kratownicę.

Zobaczył inny klucz. Podniósł go. Zbyt ciężki, żeby się zamachnąć. Ale lepsze to niż nic.

Nibelung znowu atakował. Miller przemknął na drugą stronę silnika. Cofał się, ciągle się cofał. Tamten znał tu każdy skrawek i zamierzał zapędzić Millera w kąt, zabić, i to będzie koniec. Wilcze stado na wolności i cała robota na nic.

Na myśl o zmarnowanym trudzie Miller naprawdę się zdenerwował. Energia znowu rozsadziła mu żyły. Gdy mechanik ponowił atak, Miller zamachnął się kluczem. Mechanik odskoczył. Ciężka stalowa główka uderzyła w rurę na ścianie, tuż poniżej gwintu złącza.

I nagle w maszynowni zmienił się zapach. Rozeszła się woń salonu fryzjerskiego.

Twarz Nibelunga też się zmieniła. Wpatrywał się w rurę rozbitą przez Millera. I już wcale nie był zły. Wyglądał na nieprzytomnego ze strachu.

Miller czuł w ręce ciężar klucza. Wiedział, że zostało mu sił na niewiele więcej uderzeń. Na jedno.

Tamten nadal był w połowie skupiony na rurze.

Miller uderzył kluczem w rurę, a potem w bok głowy mężczyzny.

Rozległo się solidne ŁUP, które Miller raczej odczuł, niż usłyszał. Mężczyzna wyrócił oczy i padł jak worek cementu.

Martwy – pomyślał Miller. Martwy.

Szybko!

Nadtlenek z hukiem wylewał się z rury, gulgotał na ciele maszynisty. Tam, gdzie stykał się z trupem, pieniał się.

Jest inny katalizator, który przyspiesza rozkład nadtlenku wodoru na tlen i wodór. Nazywa się peroksydaza i znajduje się w ludzkiej krwi.

Miller pobiegł na rufowy kraniec maszynowni. Obok dławika wału napędowego śruby stała jakby żelazna szafa, schowek ze stalowymi drzwiami, na których wypisano "Siebie -German".

Maszynownia wypełniała się swobodnym tlenem i wodorem.

Na podłodze niedopałek Nibelunga już się nie ćmił. Palił się wielkim jasnym płomieniem.

Szybko! – pomyślał Miller.

Mallory miał wrażenie, że wszystko dzieje się bardzo wolno, jakby zaczął się poruszać w czasie nowego rodzaju, ciągnącym się jak syrop. Widział płaskie zielone zwierciadło wody, czerwone i zielone smugacze unoszące się z pokładów handlowców, powolne jak baloniki. Ustawiały się w kolejkę, przyspieszały wokół jego głowy i burzyły wodę. Pod skalistym czołem Cabo de la Calavera widział poruszające się U-Booty. Kiwały się na falach, formując szyk torowy. Miller był na okręcie prowadzącym. Potem płynął okręt, który Miller odwiedził wcześniej. Okręt Mallory'ego był ostatni.

Łódka kołysała się w miejscu stłoczenia małych fal pływ. Słońce grzało mu twarz. Coś uderzyło w pawęż. Zasłonił oczy przed drzazgami, poczuł pękającą skórę na

policzku, strumień płynu, na pewno krwi. Łódka obracała się w wirze. Zobaczył nabrzeże San Eusebio, cumujące kutry. Ruch wirowy łódki sprawił, że maszty kutrów zdawały się poruszać...

Jeden maszt się poruszał. Maszt "Stella Maris".

Poruszała się powoli, pełzła wzdłuż drzewcy innych łodzi i ślepych okiennic magazynów nadbrzeżnych. Przyspieszyła, czarny kadłub zwęził się, maszty ustawiły się w jednej linii. To sternik nakierował dziób prosto na Mallory'ego. Płynęli go zabrać.

Ale nie Millera.

U-Booty wysunęły się teraz poza obszar kei, sunęły z wolna po spokojnym zielonym aksamicie wody. Pierwszy był już w kanale, zielona woda przelewała się przez pokład, okręt zanurzał się. Zanurzał się szybko, jakby nie chciał być widziany podczas opuszczania neutralnego portu. Zanurzał się z Mille-rem pod pokładem.

Kawałek metalu rąbnął u stóp Mallory'ego. Nagle tam, gdzie było klepkowe poszycie, zjawiała się woda, wlewała się trzema otworami wielkości pięści. Mallory usiłował zatkać dziurę nogą, ale stopa była zbyt mała i nagle łódka stała się częścią portu, a zimna woda sięgnęła Mallory'emu do szyi.

W pobliżu zadudnił silnik. Wysmarowana smołą dziobnica "Stella Maris" przesunęła się obok, pchając białe wąsy piany. Nad dziobem wyciągnęła się ręka.

–Bonjour, mon Capitaine.

Zobaczył głowę Andrei.

Ręka Andrei sięgnęła w dół. Złapała Mallory'ego za przegub. Mallory poczuł, że jest windowany w górę. Złapał drewniany reling i wylądował twarzą na cuchnącym pokładzie "Stella Maris".

–Witamy na pokładzie – rzekł Andrea. – Gdzie Miller?

Seria z karabinu maszynowego pacnęła w rufę "Stella Maris". Mallory odpowiedział na pytanie ruchem ręki.

Prowadzący U-Boot był w połowie kanału. Z wody wystawał tylko kiosk.

Bizantyjskie oczy Andrei były bez wyrazu. Tylko jego sztywność wskazywała, co przeżywa. "Stella Maris" obróciła się i popłynęła w dół kanału. Mallory powlókł się na rufę i przejął ster od Jaime'a. Prowadził "Stellę" prosto na burtę ostatniego U-Boota. Jedna z głów w kiosku darła się, czyjaś ręka wskazywała, że ta brudna rybacka łódka

ma zjeżdżać na bok, dać drogę. Ogień z handlowców zmniejszył się teraz, z obawy o trafienie okrętu podwodnego.

A pod pokładem – myślał Mallory – w przedziale torpedowym załoga zakłada wyciągi na pierwszą torpedę, otwiera wyrzutnię, ładuje, jest gotowa na nieprzyjaciela czekającego

w zatoce. Wyciągi zaczynają pracować, naprężają sznur naciągający granatu, uruchamiają sflonkę, uzbrajają zapalnik działający z pięciosekundową zwłoką.

Mallory stał nieruchomo w chłodnej porannej bryzie, obserwując dwa kioski, jeden na w pół zanurzony, drugi opływany u podstawy wodą. Sześćdziesiąt jardów dalej woda zaczęła zalewać pokład ostatniego U-Boota. Głowy znikły z kiosku.

Eksplozja nie nastąpiła.

Znaleźli granaty – pomyślał Mallory. Jak można się było spodziewać, że zniszczy się U-Boota granatem i kawałkiem sznurka? Przełożył ster lewo na burtę, żeby utrzymać "Stellę" w wąskim pasku turkusu dzielącym bladą zieleń płycizny od atramentowogranatowej głębi kanału. Kadłub U-Boota był już pod wodą.

Oddalał się.

Mallory poszukał papierosa, wsadził go do ust i obserwował kanał.

Kanał wybuchnął mu prosto w twarz.

Wybuchnął pod samo niebo strumieniem palącego białego płomienia. Zabrał ze sobą miliony ton wody. Unosiły się i unosiły, aż wydawało się, że nie będzie temu końca, że ten odwrócony wodospad sięgnie w nieskończoność. Hałas był tak donośny, że huk piorunu był przy nim jak odgłos szpilki upuszczonej na perski kobierzec. Ściana wody palnęła w "Stella Maris", położyła ją na burtę i przewaliła się po pokładzie. Kiedy kuter wyprostował się z drzeniem, nie było grotma-sztu. Ale jakimś cudem bolander nadal dudnił i Andrea stał wśród takielunku z toporem w dłoni. Odciął wanty i sztagi. Kopnięciami zrzucił za burtę kłębowisko lin. Unosiło się na powierzchni jak jakiś morski potwór, łącząc się z ropą, materacami i innymi już nierozpoznawalnymi szczątkami. Wypływały z gotującego się skrawka piasku i wody, który kiedyś był jedną trzecią wilczego stada.

Musiał płynąć dokładnie środkiem kanału – pomyślał Mallory. Inaczej poszlibyśmy pod niebo razem z nim...

Dalej na morzu rozległ się kolejny grzmot. Wypłynęła masa

bąbelków. Były pełne dymu. Pękając, zostawiały na powierzchni warstwę ropy.

–Co to było? – spytał Hugues.

–Kolejny U-Boot – rzekł Mallory.

Bąbelki unosiły się przez pół minuty; wiele ogromnych bąbelków. Żadnych ciał. Żadnych materaców. Stalowa maszyna zamieniła się w powietrze i ropę.

–Bon Dieu – rzekł wstrząśnięty Hugues.

–Statki – powiedział Jaime. Patrzył w tył, przez ramię. Frachtowce podniosły kotwice. Majestatyczne i niewyraźne za całunem dymu i wodnego pyłu, który nadal opadał po wybuchu pierwszego U-Boota, wydawały się olbrzymie. Z karabinów maszynowych znowu posypały się pociski smugowe.

–Merde! – zaklął Jaime.

Handlowce były szybsze niż "Stella Maris". Dopadną i zatopią kuter. W najlepszym razie zatopią. No cóż, Dusty -pomyślał Mallory z nagłą i zaskakującą wesołością. Siedzimy w tym wszyscy razem. Andrea wytaszczył brena z ładowni. Położył się na rufie "Stelli". Wycelował do pierwszego handlowca. Ogień zatańczył w wylocie lufy. Bren przeciwko statkom. Niesportowo – pomyślał Mallory...

Od strony morza doleciał huk, od którego pokład zadygotał pod stopami Mallory'ego. Kiedy się rozejrzał, zobaczył białą górę wody unoszącą się przy brzegu. I zapomniał o handlowcach, zapomniał o wszystkim. Ta góra bowiem – opadająca zaraz, jak tylko się podniosła – to był wodny nagrobek Dusty-'ego Millera.

Trzy na trzy. Sukces stuprocentowy.

Ale Dusty Miller nie żył.

Pociski z handlowca śmigaly nad jego głową i tłukły w obolałe wręgi "Stelli". Mallory nie zwracał na nie uwagi. Skierował dziób kutra na pełne morze.

Było spokojne. Szmaragdową gładź szpeciły jedynie skrawki ropy i szczątki. Stary rybacki kuter włókł się ku horyzontowi. Cuchnął rozgrzanym metalem z luku maszynowni. Kładł się na boki, obciążony sporą ilością wody na dnie kadłuba.

A za nim płynęły handlowce. Nabierały szybkości. Pluły nawałnicą pocisków wskaźnikowych. Urugwajskie Hagi zwisały z fałów.

–Co teraz? – spytał Hugues.

Mallory uśmiechnął się ponuro. Hugues nie mógł znieść blasku, jakim świeciły jego oczy. Był po prostu upiorny.

–Ukryjemy się – rzekł Mallory. – Zatopią nas, złapią albo jedno i drugie.

Kule tłukły o pokład "Stelli". W powietrzu gwizdały drzazgi.

–Rozleci się – powiedział Hugues.

–Bardzo prawdopodobne – przyznał Mallory.

Opuścili już port. Prowadzący handlowiec wpływał w przewężenie. Kocił czarnym dymem z komina. Pokonywał w równym tempie granatowe wody kanału. Gdy tylko znajdzie się poza kanałem, przyspieszy. I to będzie koniec "Stella Maris".

Nie zawracali sobie głowy szukaniem ukrycia. Patrzyli na dziób frachtowca, wysoki dziób, z odkosami wody pokonujący hałaśliwie kanał. Nad dziobem był mostek, z którego krawędzi szedł rzadki niebieski dym amunicji karabinów maszynowych. Głowy wielkości szpilek przyglądały się z mostka. Wodny wąs zakołysze "Stella" po raz ostatni. "Stella Maris" podniesie się, zanim dziób handlowca spadnie w dół i skruszy ją, wciśnie w zimny, zielony ocean...

Nagle Mallory wstrzymał oddech. Stojący z boku Hugues złapał go za ramię, wpił palce jak stalowe szpony.

Albowiem wąs białej wody pod dziobem statku znikł. Stalowa krawędź, ostra jak nóż, uniosła się w wodzie i zatrzymała.

Statek utknął na U-Boocie, który pięć minut temu został wysadzony w kanał.

Na ich oczach odpływ pochwyił rufę statku, obrócił nią, aż frachtowiec jak stalowa ściana zablokował wyjście z kanału;

jedyne kanału prowadzącego z portu.

Na chwilę ogień maszynowy ustał i po bezwietrznej patelni morza przetoczył się potężny dźwięk.

To śmiał się Andrea.

Karabiny maszynowe znów przemówiły.

Tym razem odezwały się w nową zaciekłością, pełną furii i bezsilności. Kule siekły morze na białą pianę. Kadłub kutra zadrżał pod uderzeniami. Mallory przykucnął w sterówce. Jeszcze pięć minut – pomyślał. Potem wyjdziemy poza zasięg. Hałas był ogłuszający. Fruwające kawałki metalu wyły w powietrzu. A z tym wyciem połączył się inny dźwięk.

To Hugues. Hugues krzyczał. Stał na pokładzie i wskazywał na coś w wodzie. Coś

pomarańczowego. Coś, co się ruszało, podniosło rękę i pomachało nią. Machało słabowicie, ale jednak machało. Ręka trzymała dymiącą pomarańczową flarę.

A gdy pomarańczowy dym się rozwiął, odsłoniła się twarz. Ta twarz, chociaż kaszłąca i wykrzywiona, była niewątpliwie twarzą Dusty'ego Millera.

Mallory zakręcił kołem sterowym. Ustawił "Stellę" bokiem to strumienia kuł handlowca. Hugues stał wyprostowany, nierozsądnie widoczny, odsłonięty. Woda niosła Millera wzdłuż burty.

–Łap go! – wrzasnął Mallory.

Hugues wychylił się za burtę. Gdy kuter przechodził obok Millera, wyciągnął rękę, a Miller podniósł swoją. Dłonie spotkały się, zacisnęły. Teraz "Stella" holowała Millera, a ręka Hugues'a była liną holowniczą. Nagle Hugues zadygotał i na jego piersi pojawiły się cztery ciemne plamy. Lecz Andrea był już obok, złapał Millera wielką łapą. Pociągnął. I już wszyscy leżeli na pokładzie: Andrea, Hugues i Miller. Ten ostatni sapał jak trafiony ościeniem łosoś, ociekając wodą.

Mallory skierował dziób łodzi w stronę morza. Pomarańczowy dym rzedł za rufą. Wkrótce byli poza zasięgiem karabinów maszynowych. Nie groziły im żadne kule.

Miller zapalił papierosa. Twarz miał szarobiałą, a worki pod oczami takie, że zmieściłby się w nich ekwipunek sporego oddziału ekspedycyjnego.

–Dzień dobry – rzekł. – Czy dysponujemy czymś do picia? Mallory wręczył mu butelkę cudownie nietkniętego koniaku z podziurawionej jak rzeszoto sterówki.

–Jak się wyostałeś? – spytał.

Miller podniósł butelkę.

–Chciałbym wznieść toast za dwóch Szwabów. Panów Siebiego i Gormana. I za najbardziej fikuśną aparaturę ratunkową na okręcie podwodnym, jaką zna nauka. – Pociągnął wielki łyk.

Andrea przyszedł na rufę.

–Hugues chce gadać.

Hugues leżał na pokładzie w wielkiej czerwonej kałuży. Mallory słyszał, jak przy każdym oddechu coś bulgoce w piersiach rannego.

–Przepraszam – powiedział Hugues. Nie mógł wyrzec więcej.

–Ten człowiek jest zdrajcą – rzekł Andrea. Mallory spojrzał na sinobiałą twarz, na

wychodzące z orbit oczy.

–Dlaczego? – spytał.

Oczy Hugues'a przesunęły się z Andrei na Mallory'ego.

–Ratował Lisette i dziecko – wyjaśnił Andrea. – Gestapo śledziło ją do St-Jean. Kiedy chcieli zdjąć ją razem z Hugiem, ubił interes. Nie aresztowali nas tam, bo woleli nas przyłapać na akcie sabotażu. Więc kiedy Hugues już wiedział, że jesteśmy na Cabo, przesłał im informację.

Hugues zadygotał.

–Zrobiłem to dla mojego dziecka – rzekł. Krew chlusnęła mu z ust i umarł.

Lisette stała w luku, widoczna do połowy, blada i zmęczona. Jej oczy szklily się łzami, cienie pod nimi miała prawie czarne i ogromne.

–Był człowiekiem, który stracił wszystko, co kochał -powiedziała. – Kiedy spotkaliśmy się w Pirenejach, opowiedział mi, co spotkało jego żonę, dzieci. Był samotnym człowiekiem. Nie potrafię wam opisać, jak samotnym. Był dobrym człowiekiem. – Z jej oczu popłynęły grube łzy. – Człowiekiem, który oddał całe serce. Swojemu krajowi. Mnie. Podczas wojny takie rzeczy się zdarzają, to wcale nie takie dziwne.

–Enfin był zdrajcą – skwitował Jaime.

Mallory spojrzał na ciemną, wychudzoną twarz, gęste czar-

ne wąsy, nieprzeniknione oczy. Jaime wzruszył ramionami – jak przemytnik, człowiek, który jeśli nie może przejść górami, przejdzie pod nimi. Jak człowiek, który występował samotnie przeciwko wszystkim innym ludziom. Nikt nigdy nie zgadłby, czy Jaime walczył z powodu swoich przekonań, czy dlatego, że chciał przetrwać. Zapewne sam tego nie wiedział.

Mallory spojrzał na oblicze Andrei, smagłe i nieprzeniknione, na wynędzniałą twarz Millera, na krótką czuprynę pokrytą ropą i wyschniętą solą. Zapewne żaden z nich nie wiedział, dlaczego robi te rzeczy.

Być może w sumie nie było to takie ważne. Tak długo, jak konieczne było robienie tych rzeczy i się je robiło. Wstał i objął Lisette.

–To nie tragedia – rzekła. – Nie kochałam go. Ale jest ojcem mojego dziecka. I to coś znaczy, hein?

Nie był to rodzaj pytania, na które Mallory potrafiłby odpowiedzieć, ale skinął głową i zwrócił się do Millera:

–Jak już przestaniesz męczyć tę butelkę, podaj to drań-stwo.

Epilog Środa godz. 14.00

"Stella Maris" płynęła na północ po szerokim granatowym oceanie. Godzinę temu Cabo de la Calavera znikł za horyzontem po południowej stronie. Wysłano przekaz radiowy. Teraz nie było nic poza błękitną bezchmurną kopułą nieba i wiotką wstęgą, nie szerszą niż rzęsa przyklejona nad gładką cięciwą świata, prosto przed dziobem "Stelli".

Rzęsa zamieniła się w brew, potem w gęste czarne pióro. Nasada pióra rozwinęła się w niszczyciel "Masai" klasy Tribal, rozcinający niskie fale Atlantyku z szybkością trzydziestu pięciu węzłów. Ciągnął za sobą oleistą chmurę czarnego dymu. Manometry kotłów drżały na granicy skali.

Dowódca okrętu, kapitan, spojrzął na brudny czarny kuter rybacki. Pogładził się po brodzie i pomodlił się w duchu, żeby to świństwo nie zostawiło żadnych śladów na jego świeżutkiej farbie. Podszedł do relingu i zawołał:

–Kapitan Mallory?!

Obwieś przy kole sterowym odkrzyknął:

–Zgadza się!

Na pokładzie było jeszcze dwóch obwiesiów – z oczami jak króliki, spalonych słońcem, pokrwawionych, nie ogolonych, Ale wzrok kapitana przesunął się po zrytym kulami pokładzie, okrężnicy i zauważył błysk wysokiego lustra

wody w otwartym luku, który zapewne prowadził do ładowni.

–Chciałbym wiedzieć, czy może mielibyście ochotę na mały lunch?

Mallory miał taką minę, jakby słowo "lunch" było mu z gruntu obce.

–Czy moglibyście przysłać ludzi z noszami?

–Macie rannego?

–Niezupełnie.

Noszowi wbiegli na podniszczony pokład "Stelli". Mallory wskazał im kajutę. Rozległ się wysoki pisk, jakby kwilenie. Bosmanmat dozorujący noszowych nerwowo spojrzął przez ramię. Pływał w konwojach na Maltę i spotkał się ze sztukasami.

Mallory pokręcił głową.

–Pięciu na lunch? – spytał kapitan.

–Szóstka – odparł Mallory. Kapitan się zdziwił.

–Myślałem, że straciliście kogoś.

–Kogoś tracisz, ktoś ci przybywa – rzekł Miller. Nosze zjawily się na pokładzie. Za nimi Jaime. Na noszach leżała Lisette. A w ramionach, w czerwonym pledzie z izby chorych, trzymała zawiniątko, z którego dobiegało kwilenie. Kapitan złapał się relingu.

–Teraz kojarzę, o co wam chodziło.

–Byłam w trochę bardziej zaawansowanej ciąży, niż kapitan myślał – rzekła. – Mam nadzieję, że nie sprawiam kłopotu.

–Wprost przeciwnie – rzekł dowódca niszczyciela. Załoga "Stelli" przeniosła się na pięknie wymalowany pokład "Masai". Kapitan zaprowadził ją do maleńkiej, ale lśniącej czystością mesy oficerskiej i nalał gigantyczne miarki dżinu z Campari.

–Spodziewam się, że mieliście, chłopaki, fajną zabawę -powiedział.

Wpatrywali się w niego wyblakłymi oczami, aż zaróżowił się jak płyn w szklankach. Przytruchtał sygnalista, niosąc kartkę z wiadomością radiową. Kapitan odczytał tekst.

–Kapitanie Mallory – rzekł. – Do pana. Mallory miał zamknięte oczy.

–Proszę przeczytać – powiedział. To było horrendalne złamanie etykiety.

–Ale... – zaczął kapitan.

–Proszę przeczytać. Kapitan wyprostował ramiona.

–Napisano, jak następuje:

**GRATULUJĘ UDANEGO WYKONANIA OPERACJI SZTORM STOP W SAM CZAS
STOP MAM DLA WAS KOLEJNE ZADANKO STOP ZGŁOSIĆ SIĘ JAK NAJSZYBCIEJ
STOP JENSEN**

Mallory spojrział na Andreę i Millera. Oczy mieli przerażone i nabiegłe krwią. On sam zapewne też. Powiedział:

**DO KAPITANA JENSENA STOP WIADOMOŚĆ NIE ZROZUMIANA STOP OGŁUPIALI
STOP PLUTON SZTORM**

Podniósł szklanę.

–A teraz, zanim umrzemy tu wszyscy z pragnienia, może znalazłaby się jeszcze kropelka dżinu?

•«

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-08

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/